Héctor Tobar

CIEMNOŚĆ

SERIA REPORTERSKA

Héctor Tobar

CIEMNOŚĆ

SERIA REPORT

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Héctor Tobar

CIEMNOŚĆ

Nieopowiedziane historie
o trzydziestu trzech mężczyznach
uwięzionych pod ziemią
i o cudzie, który ich uratował

przełożył
Tomasz Bieroń

Dowody na Istnienie Wydawnictwo

PROLOG: MIASTA NA PUSTYNI

Kopalnia San José mieści się we wnętrzu okrągłej, skalistej, martwej góry na pustyni Atakama w Chile. Wiatr powoli zamienia powierzchnię góry w drobny, szaropomarańczowy pył, który sypie się na dół, tworząc pylne sadzawki i wydmy. Niebo nad kopalnią jest lazurowe i puste, dzięki czemu słońce może bez przeszkód wypalać z ziemi wilgoć. Co kilkanaście lat nad pustynią przechodzi front burzowy z prawdziwego zdarzenia i spuszcza na okolicę San José deszcz. Pył przekształca się wtedy w błoto gęste jak świeżo wylany beton.

Ten zakątek Atakamy odwiedza niewielu turystów, mimo że w pobliżu, podczas swojej odbytej w XIX wieku podróży dookoła świata na statku badawczym brytyjskiej marynarki wojennej, przepływał przyrodnik Karol Darwin. Miejscowi opowiadali mu mało wiarygodne naukowo historie, które wiązały rzadkie deszcze z trzęsieniami ziemi. Ogrom Atakamy zaskoczył Darwina, który napisał w swoim dzienniku, że jest to „zapora znacznie gorsza aniżeli najbardziej burzliwy ocean”[1]. Jeszcze dzisiaj ornitolodzy, którzy odwiedzają ten region Chile, zwracają uwagę, że jest tutaj bardzo niewiele gatunków ptactwa. W głębi pustyni zaś jedyne rzucające się w oczy żywe organizmy to górnicy, przeważnie mężczyźni, jadący ciężarówkami i minibusami w góry, w których wydobywa się złoto, miedź i żelazo.

Bogactwo ukrytych pod nagimi wzgórzami minerałów przyciąga do kopalń Atakamy robotników z pobliskiego miasta Copiapó i z wielu innych odległych zakątków Chile. Najdłuższą drogę do San José ma do pokonania Juan Carlos Aguilar: ponad tysiąc sześćset kilometrów. Chile ma na mapie kształt węża i żeby dotrzeć do pracy, Aguilar przemierza połowę długości tego gada. Jego cotygodniowa wyprawa zaczyna się w położonych w klimacie umiarkowanym lasach deszczowych południowego Chile. W kopalni Juan szefuje trzyosobowej brygadzie, która naprawia ładowarki czołowe i niskie, podobne do owadów podnośniki zwane jumbo. Jego siedmiodniowa szychta zaczyna się w czwartek rano, ale do pracy wyrusza trzydzieści sześć godzin wcześniej, czyli we wtorek wieczorem, z miasta Los Lagos. W swojej okolicy nie dostanie tak dobrze płatnej pracy, więc sadowi swoje trochę już zmęczone życiem ciało człowieka w średnim wieku w autobusie Pullmana i patrzy, jak za oknem przelatują bukowe lasy, eukaliptusy i górskie rzeki. Pogoda harmonizuje z nastrojem mężczyzny: niebo jest zachmurzone, a w okna uderzają krople deszczu, który często pada podczas dojazdów do pracy. Średnie opady w jego rodzinnym regionie Chile, na czterdziestym stopniu szerokości południowej, wynoszą około dwóch i pół tysiąca milimetrów rocznie.

Jeden z mechaników z trzyosobowej brygady mieszka trochę bliżej kopalni. Raúl Bustos wyruszył do pracy z położonego w pobliżu trzydziestego siódmego równoleżnika portowego miasta Talcahuano. Pięć miesięcy wcześniej w Talcahuano uderzyło tsunami wywołane przez trzęsienie ziemi o magnitudzie osiem koma osiem. W wyniku wtargnięcia fali na ląd zginęło ponad pięćset osób, ponadto żywioł zostawił po sobie jeziora i tysiące trzepoczących się ryb oraz zmył z powierzchni ziemi bazę marynarki wojennej, w której pracował Bustos. Raúl jest dobrym ojcem dla dwójki swoich dzieci i oddanym mężem. Wsiadł do autobusu i jedzie

na północ pośród płaskiego krajobrazu wypełnionego szklarniami, traktorami, łąkami i polami uprawnymi rolniczego serca Chile. Przejeżdża przez miasto Chillán, z którego swoją wyprawę na północ rozpoczyna inny człowiek brygady Aguilara, a następnie przez Talca, gdzie do jednego z autobusów wsiada wysoki, pobożny operator jumbo. W San José pracuje się na dwie szychty – A i B. Tych ludzi przydzielono do szychty A, która dzieli się na dwie dwunastogodzinne zmiany – dzienną (od ósmej do dwudziestej) i nocną, dzięki czemu kopalnia pracuje na okrągło. Niewiele później dojeżdżający z południa górnicy z szychty A wjeżdżają do Santiago z jego budującymi się drapaczami chmur i estakadami. Jest wcześnie rano, kiedy docierają do tętniącej życiem latynoamerykańskiej stolicy, której najbardziej charakterystyczna cecha, czyli potężny i strzelisty zarys pobliskich Andów, często ginie w kłębach słynnego stołecznego smogu. Z dworca autobusowego w centrum Santiago, niedaleko pałacu prezydenckiego, do pracy wyruszają kolejni górnicy z kopalni San José. Jednym z nich jest Mario Sepúlveda, mający frenetyczne usposobienie ojciec dwójki dzieci, swoim współpracownikom znany z tego, że zbyt agresywnie obsługuje ładowarkę czołową (przez co mechanicy muszą ją często naprawiać), że mówi za głośno i za dużo i że jest ogólnie nieprzewidywalny. W środę po południu wyrusza w osiemsetkilometrową podróż z Santiago do San José, później, niż powinien: istnieje duże prawdopodobieństwo, że spóźni się do pracy. W San José Sepúlveda nosi przydomek *Perri*, co jest skróconą formą słowa *perrito*, zdrobnienia od *perro*, pies. Gdy go zapytać, skąd się wziął ten pseudonim, odpowie, że kocha psy (w domu trzyma dwa przybłędy) i „ma serce psa”. Mario jest lojalny jak pies, ale jeśli spróbujesz go skrzywdzić, „to cię ugryzie”. Ze swoją żoną Elvirą mają dwójkę dzieci, pierwsze zostało poczęte pod gołym niebem w przypływie namiętności. Mieszkają na obrzeżach Santiago.

Największą chlubą Maria jest wielka zamrażarka, a ulubionym miejscem do siedzenia mały, kwadratowy stolik w salonie. Przed wyjazdem na północ Mario lubi zjeść szybki posiłek z Elvirą, nastoletnią córką Scarlette i młodszym synem Franciskiem.

Po opuszczeniu centrum Santiago i minięciu północnych robotniczych przedmieść autobusy wiozące górników wjeżdżają do pełnych winnic i owocowych sadów dolin. Po prawej stronie piętrzą się ośnieżone Andy (w Chile jest teraz zima). Klimat panuje tu śródziemnomorski, ale z każdą mijającą godziną i z każdym pokonywanym stopniem szerokości geograficznej – trzydzieści trzy, trzydzieści dwa, trzydzieści jeden stopni szerokości południowej – doliny stają się coraz mniej zielone. Po jakimś czasie autobusy wjeżdżają do suchego regionu zwanego Norte Chico, Bliską Północą.

Górnicy i inni poszukiwacze przygód przemierzają ten szlak od początków historii Chile. Północ to pustynne pogranicze kraju, jego Dziki Zachód. Dyktator Augusto Pinochet więził tutaj swoich wrogów, zgromadził ponad tysiąc dysydentów w hotelach robotniczych opuszczonej kopalni saletry, gdzie spędzali czas na studiowaniu astronomii pod nieskazitelnie czystym pustynnym niebem. Na północy narodził się chilijski ruch związkowy założony na początku XX wieku przez górników wydobywających azotan, którzy zostali później zmasakrowani w mieście Iquique, dlatego w dzisiejszym demokratycznym Chile znaczna część mieszkańców północy nadal wiernie głosuje na lewicę. Pomordowanych ludzi Pinochet kazał grzebać w płytkich grobach na pustyni Norte Grande, czyli na dalekiej północy, i po czterdziestu latach krewni poszukujący zaginionych nadal znajdują tam ich kości.

Kiedy członkowie szychty A wjeżdżają do portowego miasta Coquimbo, czterysta kilometrów od kopalni San José, znajdują się na trasie,

którą w 1835 roku przemierzył Karol Darwin podczas chilijskiego etapu swojej podróży. Chile było wtedy młodym krajem, zaledwie dwudziestopięcioletnim. Darwin zszedł z HMS „Beagle”, żeby zbadać geologię, faunę i florę tych okolic. Jego mała ekspedycja jechała w cztery konie i dwa muły. Droga łącząca Coquimbo z Copiapó przecina najstarszy górniczy region Chile, dlatego brytyjski przyrodnik spotkał po drodze wielu górników.

W mieście Los Hornos członkowie szychty A mają za oknami widok na Ocean Spokojny, ponieważ droga numer pięć, będąca częścią Drogi Panamerykańskej, prowadzi wzdłuż plaży. W tym ostatnim spojrzeniu na ocean i horyzont, kiedy słońce późnego popołudnia pokrywa rozległą powierzchnię wody swoimi ciepłymi promieniami, jest coś okrutnego: przez następny tydzień mężczyźni będą spędzali większość dnia sześćset metrów pod ziemią, w chodnikach szerokich na tyle, żeby przecisnęły się przez nie ich maszyny. Ponieważ na półkuli południowej jest teraz zima, słońce będą widywali tylko przez kilka minut rano, przed rozpoczęciem zmiany, i w porze obiadowej. Niedaleko plaży w Los Hornos Darwin zobaczył górę, na której prowadzono prace górnicze, „podziurawioną jakby wielkie mrowisko”[2]. Dowiedział się, że miejscowym górnikom zdarza się zarobić duże sumy, a potem – „podobnie jak żeglarze, gdy sprzedadzą swoje łupy – starają się tak prędko, jak tylko można, roztrwonić pieniądze”. Spotkani przez Darwina górnicy za dużo pili i za dużo wydawali, więc po kilku dniach musieli wracać „bez centa do swych nędznych domów, aby pracować tam ciężej od zwierząt pociągowych”[3].

Członkom szychty A nie grozi, że w najbliższej przyszłości znajdą się bez grosza przy duszy – w porównaniu z większością współczesnych chilijskich robotników zarabiają całkiem nieźle. Nawet najgorzej opłacani dostają około tysiąca dwustu dolarów miesięcznie (prawie trzykrotność

płacy minimalnej), a razem z wręczanymi pod stołem premiami wychodzi tego jeszcze więcej. Zamiast trwonić zarobki, wykorzystują je do tworzenia sobie namiastki mieszczańskiego stylu życia, biorą różnego rodzaju kredyty, płacą alimenty byłym żonom czy opłacają studia dorosłym dzieciom. Kilku górników z szychty A to motywowani religijnie abstynenci, a Mario Sepúlveda jest świadkiem Jehowy i również nie pije. Większość z pozostałych pozwala sobie jednak po pracy łyknąć trochę alkoholu: ich ulubione trunki to whisky, piwo i czerwone wino. Niektórym zdarza się wypić więcej, niż powinni. W Copiapó, na ostatnim przystanku autobusowej podróży górników dojeżdżających z południa, jeden z ich kolegów z północy właśnie doprowadza się do stanu zamroczenia, który może mu uniemożliwić podjęcie pracy następnego dnia. W dzisiejszych chilijskich kopalniach praca wciąż jest bardzo ciężka i ludzie rzeczywiście mogą się czuć jak zwierzęta pociągowe, a śmierć jak zawsze czyha w każdym podziemnym korytarzu. Podczas swojej wyprawy na północ Darwin natrafił na kondukt pogrzebowy – czterech górników w dziwnych strojach złożonych z długich koszul z ciemnej wełny, skórzanych fartuchów i jasnych szarf niosło trumnę z ciałem swojego kolegi. Górnicy już się tak nie ubierają, ale w ostatnich latach pracownikom kopalni San José zdarzało się opłakiwać śmierć kolegów. Widzieli też innych górników okaleczonych przez niespodziewane eksplozje z pozoru litej skały, jedne z najbardziej nieprzewidywalnych przyczyn wypadków w górnictwie głębinowym. Raúl Bustos, mechanik z portowego miasta Talcahuano, ma stosunkowo niedługi staż pracy, widział jednak podziemną kaplicę ku czci ofiar kopalni. Jadąc autobusem, wiezie różaniec, którzy zabierze ze sobą pod ziemię.

Na ostatnim etapie podróży mężczyźni wjeżdżają od południa na pustynię Atakama, równinę, na której Darwin miał kłopoty ze znalezieniem paszy dla swoich zwierząt. Na Atakamie, najbardziej suchej

i być może najstarszej pustyni świata, niektóre meteorologiczne urządzenia pomiarowe nigdy nie zarejestrowały ani jednej kropli deszczu. Patrząc z okien autobusu, można odnieść wrażenie, że Bóg powyrywał stąd wszystkie drzewa, a potem większość krzewów i zarośli, i zostawił tylko nieliczne wytrzymałe rośliny, które nakrapiają jasnobrązową równinę szarooliwkowymi plamami. Kiedy autobusy zanurzają się w nawodnionej, pstrej zieleni doliny rzeki Copiapó, pobocza powoli budzą się do życia. Wzdłuż drogi zaczynają się pojawiać peruwiańskie drzewa pieprzowe, które pochodzą właśnie z tego zakątka Chile i są wszechobecne w pustynnych miastach Stanów Zjednoczonych. Kiedy autobusy przybywają do Copiapó, smukłe liście tych drzew spływają ku samej ziemi. Podczas ostatnich pięciuset metrów jazdy mężczyźni mijają stary cmentarz, na którym spoczywa wiele pokoleń górników, włącznie z ojcem jednego z członków szychty A, emerytowanym górnikiem, który zapił się na śmierć i został pochowany kilka dni wcześniej. Za cmentarzem autobus szybko mija dzielnicę drewnianych i blaszanych bud, jedną z najbiedniejszych w mieście, a potem przekracza wyschnięte koryto rzeki Copiapó.

Największa grupa pracowników kopalni San José mieszka w Copiapó, mieście położonym najbliżej ich zakładu pracy. Wielu z nich to doświadczeni górnicy w wieku od czterdziestu kilku do sześćdziesięciu kilku lat, którzy mają przyjemne wspomnienia o rzece. W czasach ich dzieciństwa jeszcze płynęła i biegali w jej sięgającej po kostki chłodnej wodzie. W miejscu, gdzie droga numer pięć przekracza rzekę, rosły kępy koniczyny, podobnie jak w czasach, kiedy do Copiapó dotarł Darwin i odnotował w swoim dzienniku przyjemny zapach tej rośliny. Pokolenie temu rzeka Copiapó zaczęła umierać i dzisiaj jest szpetną szramą na ciele ziemi, w kolorze khaki, zasypaną śmieciami i kolczastymi zaroślami. Średnie roczne opady wynoszą tutaj kilkanaście milimetrów i od ostatniej

wielkiej burzy, kiedy to korytem rzeki popłynęła woda, minęło trzynaście lat.

Kiedy autobus zajeżdża na dworzec, górnicy z szychty A wysiadają i wyjmują bagaże. Taksówkami dojeżdżają do jednego z dwóch pobliskich hoteli robotniczych, w których będą nocowali przez następny tydzień. Kilka godzin przed rozpoczęciem porannej zmiany piątego sierpnia wszyscy członkowie szychty A, z wyjątkiem jednego, są w Copiapó albo na jego robotniczych przedmieściach.

W 1835 roku, kiedy Darwin odwiedził Chile, geologia była jeszcze w powijakach: podczas wyprawy morskiej do Ameryki Południowej przeczytał jeden z tekstów założycielskich tej nowej nauki – *Principles of Geology* Charlesa Lyella. Po dotarciu do Chile był świadkiem wybuchu wulkanu w Andach i zauważył muszle morskich skorupiaków kilkaset metrów nad poziomem morza. Darwin przeżył również dwuminutowe trzęsienie ziemi, kiedy odpoczywał w lesie w pobliżu portu Valdivii. Te doświadczenia i obserwacje skłoniły go do wysnucia wniosku – ponad sto lat przed ugruntowaniem się teorii płyt tektonicznych – że grunt, na którym stał, był stopniowo wypychany do góry przez te same siły, które wywołują wybuchy wulkanów. „Możemy śmiało wnioskować, że siły, które powoli i małymi etapami podnoszą kontynenty, i te siły, które w kolejnych okresach wyrzucają z ziejących otworów materię wulkaniczną, są siłami identycznymi”[4], napisał. Dzisiejsi geolodzy twierdzą, że Chile spoczywa na „kręgu ognia”, ogromnym szwie na styku dwóch kawałów skorupy ziemskiej wielkości kontynentów. Płyta Nazca wpycha się tam pod płytę południowoamerykańską. Jak dziecko, które wsuwa się pod pościel, unosząc ją i marszcząc, Nazca wypiętrzyła Amerykę Południową i stworzyła sześciotysięczne szczyty Andów – proces ten zwany jest przez geologów orogenezą.

Kamień wewnątrz gór na północ od Copiapó narodził się głęboko pod ziemią z magmy i przecinają go ogromne złoża bogatych w minerały skał rudnych. Ich żyły powstały ponad sto czterdzieści milionów lat temu, w epoce wielkich gadów, około dwudziestu milionów lat po pojawieniu się na Ziemi pierwszych roślin kwiatowych, ale przed przybyciem pszczół, i czterdzieści milionów lat, zanim po Ameryce Południowej grasował największy dinozaur – argentynozaur. Gęsty od minerałów bulion przeciskał się przez skorupę ziemską do góry, przepływał przez szczeliny uskoku Atakamy przez ponad sto milionów lat, od końca jury do początku paleogenu. Ostatecznie bulion zestalił się w formie dwustumetrowych cylindrów rudy zwanych rurami brekcyjnymi, *breccia pipes*. Leżące pod ziemią złoża kwarcu, chalkopirytu i innych minerałów przebiegają przez wzgórza od południowego zachodu ku północnemu wschodowi, nanosząc na mapę poszukiwacza minerałów linię, którą można nazwać echem znajdujących się wiele kilometrów niżej gigantycznych płyt kontynentalnych.

W Copiapó kopalniane minibusy zwane *liebres*, zające, zaczynają zabierać członków szychty A z dwóch hoteli robotniczych i kolejnych przystanków w robotniczych dzielnicach miasta. Tego ranka po Copiapó krąży wiele takich minibusów, ponieważ miasto przeżywa boom gospodarczy – kolejne wahnięcie zmiennego cyklu koniunkturalnego, który trwa od trzystu lat. Na początku XVIII wieku Copiapó nawiedziła zakończona krachem gorączka złota, a trzy lata przed przybyciem tu Darwina rozpoczęła się gorączka srebra. Pod koniec XIX wieku złoża srebra się wyczerpały, ale dzięki wynalezieniu azotowych środków wybuchowych w położonych dalej na północ regionach pustyni Atakama zaczęto wydobywać saletrę. Chilijscy górnicy dostarczali podstawowego składnika umożliwiającego Europejczykom masowe zabijanie się nawzajem podczas pierwszej wojny

światowej. Eldorado to skłoniło z kolei Chile do inwazji na bogate w azotyn ziemie Boliwii i Peru, przy czym Copiapó służyło za bazę operacji wojskowych. Ale zwycięstwo w wojnie pacyficznej źle się przysłużyło gospodarce Copiapó, ponieważ pieniądze inwestorów odpłynęły na nowo zdobyte terytoria. Rosnący popyt na miedź w XX wieku doprowadził jednak do kolejnego boomu i budowy w mieście w 1951 roku huty miedzi. Seria azjatyckich „cudów" gospodarczych pod koniec XX wieku zwiększyła popyt na chilijskie minerały i sprowadziła do Copiapó kolejnych górników, zwłaszcza po otwarciu w 1994 roku odkrywkowej kopalni miedzi w Candelarii. Ten ostatni boom spowodował wyschnięcie rzeki Copiapó, gdyż zarówno rozrastające się miasto, jak i nowoczesne metody górnicze zużywały ogromne ilości wody.

W pierwszej dekadzie XXI wieku, dzięki czterokrotnemu wzrostowi ceny złota (do tysiąca dwustu dolarów za uncję) i rekordowym cenom miedzi, eksploatacja kopalni San José i innych kopalń w dolinie rzeki Copiapó stała się opłacalna. Liczba ludności Copiapó wzrosła do stu pięćdziesięciu tysięcy, powstawały nowe, wyższe budynki, w tym rekordowy pod względem wysokości piętnastopiętrowy luksusowy apartamentowiec przy Atakama Street, a także pierwszy ośrodek wypoczynkowy w Copiapó, kasyno i hotel Antay – konstrukcja z takimi modernistycznymi elementami jak karmazynowa kopuła w kształcie fezu. Rosnące ceny minerałów oznaczały również więcej pieniędzy w kieszeniach górników. W ostatnich latach i miesiącach członkowie szychty A wykorzystywali tę mannę z nieba do rozbudowywania swoich domów i organizowania wielkich przyjęć, w tym także dla swoich dzieci i wnuków. Niektóre z tych rodzinnych spotkań urządzano w parku El Pretil, z jego mechanicznie spryskiwanymi trawnikami, drzewami pieprzowymi,

eukaliptusami i minizoo, w którym można oglądać lamy, sowy i dwa brudne lwy w klatce pomalowanej na lawendowo.

Pod koniec poprzedniego siedmiodniowego tygodnia pracy dwudziestu kilku ludzi z szychty A wzięło udział w fajrantowej imprezie w domu Víctora Segovii, lubiącego wypić operatora jumbo o muzycznych zamiłowaniach. Gospodarz wrzucił do wielkiego gara wołowinę, kurczaka, wieprzowinę i ryby i ugotował rodzaj gulaszu o nazwie *cocimiento*, potrawę, która jest swoistym symbolem obfitości. Kilka dni później, piątego sierpnia, Darío, kuzyn Víctora Segovii, zamierzał urządzić duże przyjęcie urodzinowe dla swojej córeczki, ale dowiedział się, że wzywają go do kopalni (tego dnia zgodnie z harmonogramem miał wolne). Pieniądze za jeden nadliczbowy dzień pracy (dziewięćdziesiąt tysięcy chilijskich peso, czyli około stu osiemdziesięciu dolarów) były za dobre, żeby próbował się wykręcać, więc powiedział matce dziewczynki i swojej partnerce Jessice Chilli, że przyjęcie urodzinowe trzeba przełożyć. Jessica się obraziła i nie odzywała do niego ani nie zrobiła mu wieczorem w dniu poprzedzającym jego pójście do pracy kolacji.

Nazajutrz przed świtem para się pogodziła. Około wpół do siódmej Darío całuje Jessicę, schodzi na parter swojego domu, a potem zatrzymuje się, wraca i obejmuje ukochaną kobietę. Przytula Jessicę przez kilka sekund. Ten ogorzały czterdziestoośmiolatek ze stwardniałą skórą na dłoniach potrzebuje tej chwili czułości. Przeprasza ją w ten sposób, a ponieważ nie zdarza się to zbyt często, po jego wyjściu z domu Jessica jest zaniepokojona.

Luis Urzúa opuszcza średnio zamożną dzielnicę Copiapó, w której mieszka. Jest szefem szychty A. Inni ludzie na tym stanowisku dojeżdżają do pracy własnymi samochodami, on jednak jeździ autobusem razem ze swoimi podwładnymi. Wsiada niedaleko od innego przystanku, na którym

dwadzieścia lat wcześniej poznał swoją żonę Carmen Berrios. Urzúa pochodzi z górniczej rodziny i zaczął pracować pod ziemią jako nastolatek, ale kiedy spotkał Carmen, miał bardzo pożądaną pracę na powierzchni, a później uzyskał uprawnienia topografa. Carmen jest inteligentną kobietą o romantycznym usposobieniu. Kiedy najdzie ją odpowiedni nastrój, pisze wiersze, a pracowitego Luisa Urzúę traktuje jak swój projekt życiowy: między innymi próbuje go nakłonić do wyraźniejszego mówienia, ponieważ nie lubi jego typowego dla ubogiego górnika mamrotania. O ósmej wieczorem czeka na niego z kolacją, do której zasiadają razem z dwójką dorosłych, studiujących dzieci.

Na pogrążone jeszcze w ciemnościach miasto spłynęła gęsta poranna mgła. W miejscu, w którym prawie nigdy nie pada, woda wisi w powietrzu, unosi się pod ulicznymi latarniami i wędruje przecinającymi miasto parowami. W tym regionie Chile mgła występuje prawie codziennie, dzięki czemu zasłużyła sobie na własną nazwę – *la camanchaca*. Czasem jest tak gęsta, że jazda do kopalni byłaby zbyt niebezpieczna i górnicy zaczynają pracę dopiero wtedy, kiedy jej opary się rozwieją, ale tego dnia nie ma takiego problemu. Na rogach ulic w całym Copiapó mężczyźni czekają na odgłosy „zajęczych” autobusów.

Każdy członek szychty A jedzie tego ranka do San José dla kobiety albo kobiet swojego życia: żony, dziewczyny, matki, córki. Dziewczyna Jimmy’ego Sáncheza, który ma osiemnaście lat, a zatem nie wolno mu legalnie pracować w kopalni (trzeba mieć ukończony dwadziesty pierwszy rok życia), jest w ciąży. Ta okoliczność skłoniła jego krewnych do wybłagania u kierownictwa kopalni, żeby dali mu pracę. W dzielnicy nazwanej na cześć Artura Prata, bohatera wojny pacyficznej, niewysoki, ale przystojny Alex Vega właśnie pożegnał się ze swoją żoną, która również ma na imię Jessica. Odmówiła mu tradycyjnego codziennego całusa, bo jest

na niego zła, jednak niedługo zapomni, co ją rozgniewało. Kilometr dalej, w dzielnicy imienia Papieża Jana Pawła II, członek jednej z ekip wzmacniających chodniki kopalni wychodzi z domu swojej dziewczyny. Yonni Barrios to brzuchaty, obdarzony aksamitnym głosem Romeo z bliznami na policzkach, który zawsze mieszka ze swoją aktualną kochanką, chyba że jest z nią pokłócony – wtedy jest u swojej żony. Tak się szczęśliwie składa, że te dwie kobiety mieszkają o rzut beretem od siebie, więc po drodze do autobusu Barrios widzi drzwi domu swojej żony. Wziął kredyt na sklepik osiedlowy, który żona prowadzi w swoim domu, i spłata tego zobowiązania (a także pomoc kochance w utrzymaniu domu) to jeden z powodów, dla których wstał dzisiaj wcześnie i nasłuchuje odgłosu autobusu, który zawiezie go do pracy.

Istnieje wiele przesądów związanych z kobietami i kopalniami wyrażających ambiwalentny stosunek tej zdominowanej przez mężczyzn kultury zarówno do kobiet, jak i do pracy pod ziemią. Według jednej z legend kopalniana góra jest kobietą i można powiedzieć, że „kiedy do niej wchodzisz, gwałcisz ją”, co tłumaczy, dlaczego góra często próbuje zabić mężczyzn, którzy wykuli przejścia w jej kamiennym ciele. Inny mit mówi, że kobieta pracująca pod ziemią przynosi pecha (chociaż co najmniej jeden górnik ma siostrę, która przez wiele lat pracowała w jakiejś małej kopalni), dlatego w pieczarach San José prawie nigdy nie widuje się kobiet. Rozdział między żeńskim światem domu i miasta a męskim światem kopalni na pustyni jest tak rygorystyczny, że większość żon i kochanek członków szychty A nigdy nie była w San José i nie zna dokładnego położenia kopalni. Niektóre nie są nawet pewne, jak się nazywa kopalnia, do której zmierzają teraz ich mężowie i kochankowie.

Kiedy przyjeżdżają autobusy, zaspani mężczyźni zajmują w nich miejsca. Brną przez miasto i mgłę, mijając położone blisko północnych

rogatek miasta musztardowe budynki Uniwersytetu Atakama, gdzie córka jednego z górników studiuje inżynierię lądową. Docierają do zmierzającego na północ odcinka Drogi Panamerykańskiej, który prowadzi z Copiapó w stronę kości ofiar junty i starych kopalń saletry w głębi pustyni Atakama. San José leży pięćdziesiąt siedem kilometrów od Copiapó. Ostatnim charakterystycznym punktem po drodze do kopalni jest skaliste wzniesienie tuż za miastem zwane Cerro Bramador – Ryczącą Górą. Widział ją Darwin i napisał o charakterystycznym odgłosie, który z niej dobiegał. Dzisiaj dźwięk ten najczęściej porównuje się do wydawanego przez latynoski instrument zwany zaklinaczem deszczu. Według jednej z miejscowych legend źródłem warkotu, który się wydobywa z wnętrza góry, jest lew strzegący schowanego tam skarbu, a według innej – jeszcze nieodkryta podziemna rzeka. Quasi-naukowe wyjaśnienie tego fenomenu jest takie, że znajdujące się we wnętrzu góry złoża magnetytu przyciągają i odpychają drobiny piasku, które wibrują na wietrze i wydają ów dźwięk.

Darwin zmierzał drogą obok Ryczącej Góry do pobliskiego portu, w którym czekał na niego HMS „Beagle”, a stamtąd pożeglował na wyspy Galapagos, gdzie podczas obserwacji miejscowych ptaków wymyślił teorię doboru naturalnego. Ale górnicy za Ryczącą Górą zjeżdżają z Drogi Panamerykańskiej w prawo, aby wąską, wyboistą asfaltową szosą skierować się na północ, w głąb lądu. Przez pierwszych kilka kilometrów droga prowadzi prosto jak strzała przez brzydką równinę z szarobrązowego piasku, urozmaiconą tylko odłamkami skał i smaganymi wiatrem roślinami. Autobusy mijają Cerro Imán, czyli Górę Magnetyczną, z kopalnią rudy żelaza, a potem droga łagodnym łukiem prowadzi do wąskiej doliny o ścianach z nagich skał. Wzgórza wznoszą się jak czerwonawe wyspy na morzu ciemnoszarego piasku, a przy drodze wykwitają zarośla w kształtach i rozmiarach jeżowców. Człowiek, który znajdzie się dzisiaj

pośród tego krajobrazu, wciąż widzi tę samą bezlitosną pustkę Atakamy, którą widział Darwin: nie ma wędrujących i czmychających zwierząt, nie ma stacji benzynowych, przydrożnych sklepów ani żadnych innych oznak obecności człowieka. Góry zmieniają kolor na bordowy i pomarańczowy, przypominają fotografie powierzchni Marsa. W końcu autobusy wjeżdżają do innej doliny i docierają do niebieskiego drogowskazu przed skrętem do dwóch kopalń Spółki Górniczej San Esteban – San Antonio i San José. Od tego miejsca pasażerowie widzą skorodowane i zużyte konstrukcje z cyny, stali i drewna, które wyglądają tragicznie i samotnie pośród księżycowego krajobrazu. Droga zaczyna się łagodnie wspinać i znajome budynki na zboczu góry widać już wyraźniej: parterowe zabudowania administracji, szatnie i prysznice, stołówki. Górnicy wiedzą jednak, że kopalnia jest jak góra lodowa, ponieważ obiekty na powierzchni stanowią tylko niewielki ułamek tego, co znajduje się pod ziemią.

We wnętrzu góry rozmaite drogi prowadzą do gigantycznych jaskiń wykutych za pomocą środków wybuchowych i maszyn – to szlaki do sztucznych korytarzy i kanionów. W podziemnym mieście kopalni San José można mówić o zmianach pogody – temperatury rosną tu i maleją, a wiatry wieją w różnych kierunkach zależnie od pory dnia. Na podziemnych skrzyżowaniach jest sygnalizacja świetlna i obowiązują przepisy ruchu drogowego, dzięki czemu ruch jest uporządkowany. Ten rozrastający się w dół system zaplanowało i wytyczyło wiele pokoleń geodetów i kartografów. Główna droga, która łączy te wszystkie prowadzące na powierzchnię przejścia, nazywa się La Rampa. Głębokość kopalni San José prawie dorównuje wysokości najwyższego budynku świata, a odległość od powierzchni do jej najgłębszej części wynosi około ośmiu kilometrów (odległość liczona wzdłuż spiralnej rampy).

Założona w 1889 roku kopalnia San José leży na złożach minerałów, które przybrały postać dwóch równoległych żył bardziej miękkiej skały przebiegających pod kątem sześćdziesięciu stopni w znacznie twardszej, szarej odmianie granitu zwanej diorytem. Stary drewniany budynek na zboczu góry wyznacza miejsce, w którym złoża rudy podchodziły najbliżej do powierzchni. Kiedyś mieściła się tam winda, która wywoziła z kopalni ludzi i minerały, ale od kilkudziesięciu lat nie jest już używana i wygląda jak element scenografii jakiegoś starego westernu.

Sto dwadzieścia jeden lat po otwarciu kopalni San José i sześćset metrów pod tym starym budynkiem nocna zmiana kończy pracę. Zlani potem i pokryci szarą sadzą ludzie zaczynają gromadzić się w jednej z komór – można powiedzieć, że na podziemnym przystanku autobusowym – gdzie czekają na wózek, który w ciągu czterdziestu minut wywiezie ich na powierzchnię. Podczas swojej dwunastogodzinnej zmiany górnicy usłyszeli w oddali jakby skowyczący łoskot. W zapomnianych wyrobiskach we wnętrzu góry spadają tony skały. Odgłosy i wibracje spowodowane przez te lawiny są przenoszone przez kamienną strukturę góry, tak jak fala uderzeniowa pioruna przemieszcza się przez powietrze. Kopalnia często łka, mówią do siebie ludzie. *La mina está llorando mucho*. W tym warczącym skowycie nie ma niczego niezwykłego, jednak w jego częstotliwości – już tak. Górnicy mają wrażenie, że słyszą z oddali nasilającą się burzę. Bogu dzięki, ich zmiana niedługo się skończy. Kilku z nich powie swoim zmiennikom z szychty A, że *la mina está llorando mucho*, ale kopalnia raczej nie zostanie z tego powodu zamknięta. Pracującym tutaj ludziom już wcześniej zdarzyło się słyszeć takie odgłosy wzbierającej burzy. Grzmot zawsze cichnie i góra w końcu się uspokaja.

Kiedy górnicy z szychty A docierają na teren kopalni, mijają budkę strażnika, a potem wejście do Rampy, tunelu wyłupanego w twardym

diorycie ponad dekadę temu. Otwór ma pięć metrów szerokości i pięć wysokości, a jego krawędzie przypominają kamienne zęby. Wcześniejsza zmiana kończy pracę, więc zaczynają się z niego wyłaniać pojazdy wypełnione ludźmi i kopaliną. Górnicy wyfedrowali kilkaset ton rudy, siarczan miedzi mieni się plamami wielkości paznokcia, które przypominają marmurkowane pastele sztuki secesyjnej: karmazyn, leśna zieleń, bordo i mosiądz, pięciokątne kryształy rudy miedzi zwanej chalkopirytem. Z jednej tony skały wytapia się aż osiemnaście kilogramów miedzi (warte około stu pięćdziesięciu dolarów) i niecałą uncję złota (wartą kilkaset dolarów). Złoto jest niewidoczne, chociaż ojcowie wielu górników z szychty A mawiali, że w takiej skale można poczuć jego smak.

Górnicy wchodzą do szatni, które są zatęchłe i ciasne jak na starym statku. Wkładają kombinezony, przypinają do pasków zestawy świeżo naładowanych baterii, a do niebiesko-żółto-czerwonych kasków lampy czołowe. Urzúa jako szef zmiany ma biały kask, do skórzanego pasa przypina również butlę z tlenem wielkości dłoni. Pracuje w San José stosunkowo niedługo. Jak na szefa zmiany ma dosyć łagodne usposobienie i nie zna swoich ludzi tak dobrze, jak by chciał, między innymi dlatego, że skład jego brygady zmienia się z dnia na dzień. Tego dnia do szychty A dołączył człowiek, który pierwszy raz w życiu będzie pracował pod ziemią. Wchodząc do kopalni, Urzúa zauważa, że jeden z dwudziestu kilku członków jego brygady nie przybył jeszcze do pracy.

Po długiej podróży z Santiago Mario Sepúlveda przyjechał do Copiapó za późno, żeby zdążyć na minibus do kopalni. Stoi na rogu ulicy i myśli, że taka sytuacja w sumie mu odpowiada. Kiedy poprzednim razem był w mieście, rozmawiał ze znajomym, który kieruje inną małą kopalnią. Znajomy ten doskonale wiedział, że kopalnia San José ma kłopoty finansowe i jest w kiepskim stanie technicznym, dlatego zaproponował

Sepúlvedzie pracę u siebie. Jest dziewiąta, szychta A w San José zaczęła pracę godzinę temu, i Sepúlveda myśli sobie, że przy odrobinie szczęścia zwolnią go z pracy za absencję, dzięki czemu jego znajomemu łatwiej będzie go zatrudnić u siebie. Kiedy te myśli przebiegają mu przez głowę, zauważa go kierowca kolejnego minibusu.

– Perri! – woła przez okno. – Spóźniłeś się na autobus? Jadę w tamtą stronę. Podwiozę cię. Wskakuj.

Człowiek, który ma serce psa, zjawia się w kopalni San José o wpół do dziesiątej, czyli z półtoragodzinnym spóźnieniem. Mgła zdążyła się już rozproszyć i Sepúlveda przez kilka chwil stoi w pustynnym słońcu, a potem wchodzi do środka i zjeżdża na przodek.

---

[1] Karol Darwin, *Podróż na okręcie „Beagle”*, przeł. Kazimierz Szarski, Egis, Kraków 2008, s. 381. [Przypisy pochodzą od redakcji, chyba że zaznaczono inaczej].

[2] Karol Darwin, op.cit., s. 367.

[3] Op.cit.

[4] Karol Darwin, op.cit., s. 339.

CZĘŚĆ I

POD GÓRĄ GRZMOTU I SMUTKU

ROZDZIAŁ 1

TOWARZYSKI CZŁOWIEK

Głównym punktem odniesienia w kopalni San José jest poziom morza. Otwór Rampy o wymiarach pięć na pięć metrów zaczyna się na poziomie siedemset dwadzieścia, czyli siedemset dwadzieścia metrów nad poziomem morza. Rampa schodzi do wnętrza góry serpentynami, a w niższych partiach przybiera formę spirali. Wywrotki, koparki, pikapy i różne inne maszyny razem z ich operatorami zjeżdżają poniżej poziomu dwieście, gdzie nadal są niewyeksploatowane złoża minerałów, a ludzie pracują w chodnikach, które prowadzą od Rampy do złóż rudy. Rano, piątego sierpnia, członkowie szychty A pracują na poziomie czterdzieści, czyli sześćset pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią, i ładują świeży urobek na wywrotkę. Inna grupa znajduje się na poziomie sześćdziesiąt, wzmacnia chodnik w pobliżu miejsca, gdzie miesiąc wcześniej jeden z górników stracił kończynę. Kilku poszło odpocząć czy też poleniuchować w El Refugio, Schronie, wykutym w skale na poziomie dziewięćdziesiąt pomieszczeniu rozmiarów szkolnej sali. Jak sama nazwa wskazuje, El Refugio ma pełnić funkcję schronu w razie wypadku, ale służy również za świetlicę, ponieważ pompuje się tam z powierzchni świeże powietrze, dzięki czemu można w nim odpocząć od ciężkich warunków, które panują w tej części kopalni: wilgotność osiąga dziewięćdziesiąt osiem procent,

a temperatura – czterdzieści stopni. Górnicy mówią, że w kopalni jest jak w piekle, co ma dodatkowe uzasadnienie w tym, że im niżej, tym goręcej.

Mechanicy pod kierunkiem Juana Carlosa Aguilara pracują w trochę niższych temperaturach, ponieważ ich warsztat znajduje się na poziomie sto pięćdziesiąt, w chodniku nieopodal gigantycznego wyrobiska El Rajo, w wolnym przekładzie – Pieczara. Dzięki cyrkulacji powietrza w wyrobisku do chodnika dostaje się lekki powiew, który dociera do zaimprowizowanego warsztatu. Mechanicy postanowili rozpocząć tydzień pracy od poproszenia Sepúlvedy, żeby im zademonstrował, jak obsługuje ładowarkę. Patrzą, jak hamuje, wciska sprzęgło i wrzuca wsteczny bezpośrednio z pierwszego biegu, nie przechodząc przez luz.

– Kto cię tego nauczył? – pytają. – Tak się nie robi, zepsujesz przekładnię.

– Nikt mi tego nie pokazał – odpowiada Sepúlveda. – Patrzyłem, jak inni to robią.

Mechanicy są zatrudnieni w firmie zewnętrznej, z którą kopalnia podpisała umowę, i nie są zaskoczeni informacją, że pracownik San José obsługuje kosztowną maszynę, mimo że nie przeszedł żadnego przeszkolenia. San José to stara, stosunkowo niewielka kopalnia, znana z oszczędzania na wszystkim, na czym się da, z prymitywnych warunków pracy i lekceważenia przepisów bhp. Na przykład w szybach awaryjnych nie ma drabin, zatem w przypadku tąpnięcia czy zawału górnicy nie mogliby z nich skorzystać.

Poinstruowany, jak ma zmieniać biegi, Sepúlveda zostawia mechaników na poziomie dziewięćdziesiąt.

Przez całe przedpołudnie góra wydaje z siebie przerywany, dudniący skowyt, huk odległego tąpnięcia, któremu towarzyszy przeciągły jęk. Carlos Pinilla, dyrektor zarządzający Spółki Górniczej San Esteban, słyszy

ten hałas, jeżdżąc pikapem na różnych poziomach kopalni San José. Biuro Pinilli znajduje się na powierzchni, ale wjechał do wnętrza góry, żeby nieco zdyscyplinować górników, ponieważ w jego odczuciu atmosfera pracy jest zbyt swobodna.

– Musiałem udzielić nagany wszystkim od sztygara w dół – powie później. – Każdy miał coś za uszami. Nie chciałem, żeby się mnie bali, ale kiedy zjeżdżam na dół i widzę sześciu facetów, którzy siedzą i gadają, to chciałbym, żeby przynajmniej wstali na widok szefa. Bez tego wszystko zaczęłoby się sypać…

Pinilla jest około pięćdziesięcioletnim mężczyzną z obfitym podbródkiem, który zaczynał od podrzędnych stanowisk administracyjnych, a teraz zarządza dwiema kopalniami spółki San Esteban. Jego podwładni uważają go za człowieka despotycznego, który warczy, wykrzykuje polecenia i tak traktuje górników, jakby się brzydził tymi spoconymi robolami w kaskach. W kraju z rygorystycznymi podziałami klasowymi, jak Chile, zamożniejsze warstwy z reguły traktują robotników z protekcjonalną wyniosłością. Górnicy mają tę świadomość, ale Pinilla wyróżnia się według nich jako szczególnie wywyższający się „biały kask”, zwłaszcza w porównaniu z bezpośrednio mu podległym łagodnym „białym kaskiem”, którym jest szef zmiany Urzúa. W ostatnich tygodniach jeden z członków szychty A kilka razy prosił Pinillę o wymianę filtrów powietrza w kaskach górniczych, aż w końcu dyrektor odpowiedział sarkastycznie:

– No, zaraz wam przywiozę całą ciężarówkę filtrów!

Pinilla jest *el amo de la mina*, mówi górnik Jorge Galleguillos, panem i władcą kopalni. Jorge ma pięćdziesiąt sześć lat, starsi ludzie, tacy jak on, boją się Pinilli, bo wiedzą, że w każdej chwili może ich zwolnić, a nie byłoby im łatwo znaleźć nową pracę w branży, w której szczególnie cenione są młodość i sprawność fizyczna. Z drugiej strony tylko starsi,

najbardziej doświadczeni górnicy mają odwagę protestować przeciwko zaniedbaniom w kopalni San José, która znajduje się w fatalnym stanie technicznym.

Po stu dwudziestu jeden latach eksploatacji góry kopalnia wciąż się nie zawaliła tylko dlatego, że w większości jest zbudowana z twardego diorytu. W górniczym żargonie dioryt to „dobra” skała, ponieważ nie kruszy się na skutek odwiertów. Jeżeli rudę porównamy do kruchego ciasta, które wystarczy dziabnąć, żeby się rozsypało, to dioryt bardziej przypomina zastygły budyń. Ogólnie rzecz biorąc, dioryt stanowi świetny, stabilny budulec dla tunelu, wymaga bowiem stosunkowo niewielkich umocnień. W skale tej wykuto Rampę, która tak naprawdę jest jedyną drogą ucieczki z kopalni. Do niedawna nikt z pracowników nie wierzył w niebezpieczeństwo zawału. Tymczasem kilka miesięcy przed opisywanymi tu wydarzeniami na poziomie pięćset czterdzieści w ścianie Rampy pojawiło się pęknięcie o szerokości palca.

Mario Gómez natychmiast pokazał szczelinę swojemu sztygarowi. Gómez to sześćdziesięciotrzyletni górnik, który wjeżdża do kopalni koparką o nośności trzydziestu ton.

– Wyjeżdżam stąd i nie wrócę – powiedział wtedy Gómez. – I nie wróci nikt inny, dopóki nie sprowadzisz tutaj dyrektora i inżynierów z Copiapó, żeby się temu przyjrzeli i ocenili to.

Po kilku godzinach zjawili się inżynier i dyrektor. Powkładali do centymetrowej szczeliny lusterka: gdyby górotwór nadal się przemieszczał, lusterka by pękły.

Jednak żadne nie pękło.

– Rampa to najbezpieczniejsze miejsce w całej kopalni – powiedział dyrektor do górników. – To pęknięcie idzie przez Pieczarę. Nawet gdyby ściany Pieczary zawaliły się pięć metrów stąd, z Rampą nic się nie stanie.

Kiedy ze szczelin zaczęła wyciekać woda, włożono do niej kolejne lusterka, ale przez wiele miesięcy nie pojawiła się na nich ani jedna rysa. Galleguillos zawsze oglądał lusterka, kiedy koło nich przejeżdżał. Zapisywał też w notesie inne niepokojące spostrzeżenia: „Odpadanie materiału na poziomie pięćset czterdzieści, na poziomie pięćset czterdzieści oberwane ściany chodnika”. Potem zmusił dyrektora do podpisania kopii tych notatek. Po jakimś czasie znowu się do niego zgłosił.

– Skąd mamy wiedzieć, że nie zamieniacie lusterek za naszymi plecami? – zapytał Galleguillos.

– Ale z ciebie tchórz! – odpowiedział mu kpiąco dyrektor.

Patrolując wnętrze kopalni swoim pikapem, Pinilla wielokrotnie spotyka na drodze górników. Koło jedenastej Yonni Barrios i jego ekipa wzmacniająca chodniki widzą go na poziomie sześćdziesiąt i mówią mu, że góra wydaje odgłosy, których tak nisko na ogół nie słychać.

– Nie martwcie się – mówi im. – To jest normalne osiadanie góry, *el cerro se está acomodando*.

Wyżej, na poziomie sto pięć, inna grupa górników zaczęła podobną rozmowę. Grzmot słychać w każdym zakątku kopalni i zaniepokojenie rozprzestrzenia się wszystkimi chodnikami – zaniepokojenie, ale także brawurowa postawa. Górnictwo jest niebezpiecznym zajęciem i ludzie, którzy mają dziesiątki lat doświadczenia pracy pod ziemią, czerpią dumę z tego, że są nieustannie narażeni na ryzyko. Kiedy członkowie szychty A opowiadają swoim żonom i kochankom o San José, warunki panujące w kopalni najczęściej określają eufemistycznym mianem „skomplikowanych”, a kiedy ich kobiety domagają się szczegółów, bagatelizują niebezpieczeństwo.

Luis Urzúa również powiedział żonie, że sytuacja w San José jest skomplikowana. Kiedy kilka miesięcy wcześniej brał tę pracę, doskonale

wiedział o wypadkach, do których tam niedawno doszło. Tego przedpołudnia podwładni informują go o huku, a kilku przekonuje, że wszyscy powinni wyjść na powierzchnię. Urzúa mówi im, żeby zaczekali. Ma pięćdziesiąt cztery lata i chociaż skończył studia z topografii górnictwa, przyznaje się bez bicia, że onieśmielają go ludzie „więksi” od niego. Mógłby pójść do szefa Pinilli i zażądać wycofania wszystkich swoich ludzi na powierzchnię – niektórzy z nich zaczynają go uważać za człowieka słabego charakteru, ponieważ tego nie robi. W tym momencie nikt jednak nie skarży się zbyt głośno ani nie ogłasza, że nie będzie pracował ani minuty dłużej i że natychmiast opuszcza kopalnię, co już się wcześniej zdarzało.

Mario Gómez, najstarszy pracownik szychty A, nie ma dwóch palców u lewej ręki, co mu przypomina, że pod ziemią w każdej chwili może się zdarzyć jakiś wypadek. Koło południa słyszy ostrzeżenie przed nadchodzącą katastrofą.

– Na poziomie sto dziewięćdziesiąt zauważono dym – mówi kierowca Raúl Villegas, kiedy ich wywrotki wymijają się na Rampie. Gómez słucha jednak twardego, mrukliwego głosu w swojej głowie, który podpowiada mu, że powinien być ostrożny, ale nie może się bać. Przejeżdżając obok rzekomego dymu, dochodzi do wniosku, że to jest pył, czyli normalka w kopalni.

Cały czas przychodzą jednak doniesienia o nietypowych hałasach i wyrzutach kamieni. Koło południa Pinilla zaczyna, jak informuje kilku jego podwładnych, dziwnie się zachowywać. Urzúa i jego zastępca Florencio Ávalos widzą pikapa szefa wszystkich szefów na poziomie czterysta. Pinilla zatrzymuje się i oświetla skalne ściany Rampy wielką lampą. Górnik, który go w tym momencie zobaczył, powie potem: „Lampa była olbrzymia, dużo większa niż nasze, i to mnie wystraszyło”. Później

inni górnicy widzą, jak dyrektor jednym z chodników dostaje się do gigantycznego wyrobiska Pieczary, żeby poświecić na ściany tą samą lampą. Widzą go też, jak stoi koło pikapa, tak jakby czegoś nasłuchiwał albo próbował poczuć ruchy górotworu. Nasłuchuje też przy wejściach do chodników blisko poziomu czterysta i wyciera biało-niebieskie napisy na tabliczkach: WSTĘP WZBRONIONY i PRZECZNICA. Kiedy Florencio Ávalos kilka minut po południu spotyka Pinillę, dyrektor mówi mu, że przebił oponę i musi jak najszybciej dostać zapasową.

– Wyglądał na zdenerwowanego – mówi Ávalos. – Jak tylko dokręciliśmy ostatnią śrubę, odjechał i już nigdy więcej go nie widzieliśmy.

Wyjeżdżając około pierwszej na powierzchnię, Pinilla mija na Rampie Franklina Lobosa, wysokiego, łysiejącego byłego gwiazdora piłki nożnej i lokalnego celebrytę, który pod ziemią słynie przede wszystkim z tego, że jest zrzędą. Lobos kieruje furgonetką, która zwozi górników na dół, a potem wywozi na powierzchnię. Teraz jedzie w dół, żeby zabrać ludzi na obiad.

– Franklin, mam do ciebie dwie uwagi – mówi Pinilla. – Po pierwsze, chcę ci pogratulować, ponieważ Schron jest ładnie utrzymany i wysprzątany.

W Schronie stoi metalowa szafa z prowiantem, który z założenia ma wyżywić całą zmianę przez dwa dni. Jako kierowca furgonetki do przewozu osób Lobos ma do niej klucz i jest odpowiedzialny za utrzymywanie porządku w El Refugio.

– Po drugie – kontynuuje Pinilla – chcę, żebyś jak najszybciej porozmawiał z zaopatrzeniowcem, bo szykujemy dodatkową dostawę do Schronu. Więcej jedzenia, koce i apteczka, tego typu sprawy.

Widać, że Pinilla chce jak najszybciej opuścić kopalnię i przygotowuje się na sytuację awaryjną, ale twierdzi, że nie dostrzega groźby zawału. Jego największym zmartwieniem nie jest możliwość wystąpienia katastrofy

górniczej, lecz zamknięcia kopalni przez nadzór państwowy. Do rutynowej inspekcji wyeksploatowanej Pieczary potrzebna była wielka lampa: Pieczara w niektórych miejscach ma dwieście metrów wysokości, więc Pinilla musi mieć wyjątkowo silne światło. Właśnie zarządził, żeby zanieść do Schronu dodatkowe awaryjne zapasy, ponieważ górnicy ciągle kradną stamtąd jedzenie (w końcu Pinilla kupił kłódkę i stalową sztabę, żeby im to uniemożliwić), a gdyby inspektor stwierdził, że zapasów jest za mało, zarządziłby zamknięcie kopalni.

W 2007 roku, po podziemnym wstrząsie, w wyniku którego śmierć poniósł geolog Manuel Villagrán, chilijski rząd nakazał zamknięcie kopalni San José. Jej właściciele obiecali władzom podjęcie wielu kroków na rzecz poprawy bezpieczeństwa i uzyskali zgodę na ponowne otwarcie San José (górnicy postawili świeczki w miejscu, w którym zginął Villagrán i gdzie pod zwałami materiału skalnego nadal znajduje się samochód, którym jechał geolog). W odróżnieniu od innych kopalń w regionie Copiapó San José nie jest własnością wielkiego zagranicznego koncernu, lecz dwóch synów nieżyjącego już Jorgego Kemeny'ego, uchodźcy z komunistycznych Węgier, który w 1957 roku osiedlił się w tym regionie Chile. Niestety, Marcelo i Emérico Kemeny nie odziedziczyli po ojcu zamiłowania i smykałki do górnictwa. Emérico scedował udział na swojego szwagra Alejandra Bohna. Bracia Kemeny i Bohn mieli kłopoty z pogodzeniem wymogów ekonomicznych z obowiązującymi przepisami. Spółka musiała zamontować drabiny w szybach wentylacyjnych jako dodatkowe wyjście bezpieczeństwa z Rampy, a także nowe wentylatory w celu zapewnienia cyrkulacji powietrza na dnie kopalni i obniżenia temperatury, która sięgała czasami pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Przyznawszy, że z przestrzeganiem zasad bezpieczeństwa nie było do tej pory zbyt dobrze, właściciele wynajęli firmę E-Mining do codziennego zarządzania kopalnią. E-Mining zaleciła

wprowadzenie systemu monitorowania sejsmicznego, który wykrywałby zagrażające katastrofą przesunięcia górotworu, ale nie został on zakupiony. Drugą propozycją firmy zarządzającej było nabycie geofonów, czyli urządzeń, które tak jak sejsmografy rejestrują drgania. Tym razem właściciele wysupłali pieniądze, lecz urządzenia po miesiącu przestały działać, ponieważ kopalniane ciężarówki ciągle przejeżdżały po światłowodach. Po jakimś czasie spółka San Esteban zaczęła zalegać z płatnościami dla E-Mining, w związku z czym ta wypowiedziała umowę. Wtedy San Esteban zatrudniła swojego byłego pracownika Carlosa Pinillę. Spółka nie ma pieniędzy na zakup sejsmografów ani na bieżącą eksploatację geofonów, nie zamontowała też wymaganych drabin i systemów wentylacyjnych. Zasadniczy problem polega na tym, że przestrzegając przepisów bhp, nie da się osiągnąć zysków ze średniej wielkości kopalni. Spółka ma między innymi dwa miliony dolarów długu wobec ENAMI, państwowej firmy przetwarzającej rudę dla małych i średnich kopalń. Tak jak górnicy wiedzą, jak bardzo niebezpiecznie jest w San José, a mimo to nadal tam pracują, tak właściciele kopalni są świadomi, z jak wielkimi zagrożeniami wiąże się dalsza eksploatacja. Jednak nie zamykają jej. Chcąc utrzymać spółkę, ryzykują życie górników.

Wyjeżdżając na powierzchnię, Carlos Pinilla robi dokładnie to, czego wymagają od niego właściciele: utrzymuje wydobycie przynoszącej pieniądze rudy, a jednocześnie tnie koszty, gdzie się tylko da, i zdaje się na opatrzność, licząc na to, że bardzo twardy dioryt Rampy wytrzyma i pozwoli górnikom uciec, nawet gdyby osłabiona trwającą sto dwadzieścia jeden lat eksploatacją wewnętrzna struktura góry się rozpadła.

Gdyby Pinilla zamknął kopalnię i kazał wszystkim wyjść na powierzchnię, a do zawału by nie doszło, mógłby stracić pracę. Poza tym

ocenia, że rudy pozostało jeszcze na co najmniej dwadzieścia lat eksploatacji.

Kilka minut po trzynastej na wykutej w kamieniu drodze mija się dwóch ludzi – jeden zmierza do góry, drugi w dół. Carlos Pinilla, mężczyzna w białym kasku, który zaczynał jako magazynier, aby dojść do stanowiska dyrektora, naciska na pedał gazu w swoim pikapie, żeby dotrzeć na powierzchnię. Franklin Lobos, człowiek, któremu życie fatalnie się ostatnio układa, patrzy spod niebieskiego kasku na odjeżdżającego *jefe*. Lobos zwalnia hamulec ręczny i z pomocą grawitacji rusza w podróż na dół. Włącza światła przeciwmgielne – drogowe nigdy nie działały – i jedzie w stronę Schronu, poniżej poziomu sto, gdzie zaczynają się zbierać górnicy, którzy czekają, żeby zawiózł ich na obiad.

Na poziomie pięćdziesiąt Lobos widzi nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówkę, a ponieważ jadący do góry mają pierwszeństwo, przepuszcza ją: za kierownicą siedzi Raúl Villegas, który przed chwilą skarżył się na dym. Prowadzi wielką wywrotkę wypełnioną tonami rudy.

Pozdrawiają się nawzajem i Lobos ponownie rusza w dół. Osiąga poziom czterysta, gdzie wypolerowane przez Pinillę znaki błyszczą trochę jaśniej. W kabinie obok Lobosa siedzi starszy górnik Jorge Galleguillos, który jedzie, żeby sprawdzić system zbiorników i węży dostarczających do kopalni wodę. Jazda jest powolna i żmudna, światła przeciwmgielne omiatają podłogę szarego tunelu, krętego i monotonnego, tak jakby ciężarówka wjeżdżała w ciemny, zawilgły i pusty krajobraz podświadomości górnika. Przez następne pół godziny pokonują kolejne zakręty wijącej się wśród skał drogi, mijają milion poszarpanych, zębatych krawędzi wyciosanych w skale przez górnicze środki strzałowe. Mniej więcej na poziomie sto dziewięćdziesiąt dostrzegają, jak przed przednią szybą ciężarówki przelatuje biała smuga.

– Widziałeś? – pyta Galleguillos. – To był motyl.

– Motyl? Co ty gadasz? – odpowiada Lobos. – To biały kamień.

Skały rudne w kopalni są bogate w półprzezroczysty, mleczny kwarc, który migocze w świetle.

– To był motyl – upiera się Galleguillos.

Lobos nie bardzo wie, skąd ponad trzysta metrów pod powierzchnią miałby się znaleźć motyl, ale postanawia dać za wygraną.

– Masz rację, to był motyl.

Lobos i Galleguillos przejeżdżają jeszcze około dwudziestu metrów, a potem słyszą potężne tąpnięcie i chodnik przed nimi zaczyna wypełniać się pyłem. Blisko miejsca, gdzie przeleciał kamień albo motyl, Rampa zapada się za ich plecami.

Huk i podmuch przerywają pracę trzydziestu czterem górnikom. Mężczyznom ładującym skałę hydraulicznymi maszynami, mężczyznom słuchającym brzdęku rudy o metalowe dna wywrotek, mężczyznom drążącym skałę, mężczyznom prowadzącym pojazdy z silnikiem Diesla po skalnej szosie. A także mężczyznom czekającym w wykutej w kamieniu sali na furgonetkę z obiadem, mężczyznom, którzy noszą zwietrzałą skałę na ubraniach i twarzach.

Jedynym z trzydziestu czterech ludzi znajdujących się pod ziemią w chwili katastrofy, któremu udaje się uciec, jest kierowca ciężarówki Raúl Villegas. Ze zgrozą widzi we wstecznym lusterku, że za jego plecami zbiera się pył, i przyspiesza, a kiedy dociera do wylotu Rampy, pył podąża za nim na powierzchnię. Zapiaszczona brązowa chmura jeszcze przez wiele godzin będzie się wydobywała z tej bezkształtnej paszczy.

Lobos i Galleguillos, którzy siedzą w furgonetce na poziomie sto dziewięćdziesiąt, znajdują się najbliżej zawału, którego potężny huk brzmi tak – jak to określił później Lobos – jakby za ich plecami upadał ogromny

drapacz chmur. To niezwykle trafna metafora. Chaotyczna architektura wielkiej kopalni, rezultat ponad stu lat górniczej improwizacji, w końcu ustępuje pod naporem górotworu. Pojedynczy blok diorytu dorównujący wysokością czterdziestopięciopiętrowemu budynkowi odłamał się od reszty góry i przeleciał przez kolejne poziomy kopalni, zburzył całe odcinki Rampy i wywołał reakcję łańcuchową, pociągając za sobą resztę góry. Kawałki skały płonnej i rudnej oddzielają się od siebie, uderzają o inne skały i wprawiają całą kopalnię w dygot jak podczas trzęsienia ziemi. Wytworzony i przemieszczany przez tąpnięcie pył fruwa na wszystkie strony, wrzucany w kopalnianym labiryncie z jednego chodnika do drugiego.

W biurze położonym około trzydziestu metrów powyżej wylotu kopalni dyrektor Carlos Pinilla słyszy grzmot i jego pierwsza myśl brzmi: „Przecież dzisiaj nie prowadzą robót strzałowych”. Dochodzi do wniosku, że znowu doszło do zawału Pieczary i nie ma się czym przejmować. Przeciągły grzmot trwa jednak nadal. Dzwoni telefon, Pinilla odbiera i słyszy w słuchawce: „Wyjdź na zewnątrz i spójrz na wejście do kopalni”. We wczesnopopołudniowym słońcu widzi największą chmurę pyłu, jaką zdarzyło mu się ujrzeć w całej dotychczasowej karierze górniczej.

ROZDZIAŁ 2

KONIEC WSZYSTKIEGO

Odłamujący się megablok diorytu wydaje głośny, łomoczący dźwięk. Wielu spośród trzydziestu trzech tkwiących w pułapce na dole ludzi go nie słyszy, ponieważ mają nauszniki albo obsługują głośny ciężki sprzęt. Mechanicy na poziomie sto pięćdziesiąt naprawiają dwudziestosiedmiotonową ładowarkę kołową Toro 400 zaparkowaną nie więcej niż dziesięć metrów od przepastnej Pieczary. Spieszą się, żeby skończyć przed obiadem, a muszą nadrobić półtorej godziny czekania na specjalny klucz, po który ktoś pojechał na powierzchnię. O trzynastej czterdzieści trzech mechaników dokręca dwie ostatnie śruby półtorametrowego koła owego monstrum, kiedy słyszą dźwięk, który brzmi jak strzał z pistoletu. Chwilę później podmuch powietrza rzuca ich na ziemię, ogłusza ich huk walącej się skały, ściany wokół nich zaczynają się trząść i spadają kamienie wielkości pomarańczy. Raúl Bustos, który pięć miesięcy wcześniej przeżył trzęsienie ziemi i tsunami, czmycha pod podwozie toro 400. To samo robi Richard Villarroel, dwudziestosześciolatek, którego dziewczyna jest w szóstym miesiącu ciąży z pierwszym dzieckiem. Juan Carlos Aguilar, górnik, który przywędrował tutaj z lasów deszczowych południowego Chile, chwyta się rury wodnej. Przez dwie minuty wszyscy mają w uszach dźwięk zapadania się góry: jeden z górników powie później, że brzmiało to tak, jakby wiele

młotów pneumatycznych naraz rozbijało płyty chodnikowe. Potem przetacza się druga fala powietrza zmierzająca w przeciwnym kierunku niż pierwsza i spadają kolejne kamienie, które zaczynają wypełniać ich zaimprowizowany warsztat. Kiedy huk i trzask nareszcie trochę cichną, mechanicy rozglądają się wokół siebie i widzą, że jeden z pojazdów zaparkowanych bliżej prawej ściany Pieczary jest do połowy przysypany skalnymi odłamkami.

Trzej mechanicy wstają i uzgadniają, że podejdą do Rampy i poszukają czwartego członka ekipy, który jeździ pikapem i być może uda mu się wywieźć ich na powierzchnię.

Kilka minut wcześniej Juan Illanes usłyszał od swojego szefa Juana Carlosa Aguilara polecenie, żeby pojechał pikapem do Schronu po wodę do picia. Trochę powyżej poziomu sto trzydzieści pięć Illanes natrafia na oderwany od ściany płat skały, który ma dwa metry długości i dwadzieścia kilka centymetrów grubości, więc nie da się przez niego przejechać. Musi go albo przesunąć, albo objechać. Wybiera tę drugą opcję i wrzuca wsteczny. Kiedy zdejmuje dłoń z dźwigni biegów, słyszy potężny rakietowy huk, *un cohetazo*. Ściany Rampy zaczynają pluć kamieniami. Illanes wciska gaz i jedzie na wstecznym, ale tylko przez kilka sekund, bo w samochód uderza podmuch powietrza, w ślad za nim idzie chmura pyłu i trzęsienie ziemi, powie później Illanes, tak jakby Rampa znajdowała się w tekturowym pudełku, którym ktoś postanowił potrząsnąć. Czeka chwilę, a potem, przypomniawszy sobie o kolegach, którzy zostali na poziomie sto pięćdziesiąt, zawraca i jedzie w stronę warsztatu, przebijając się przez wściekłą chmurę nadlatującego pyłu, który jest tak gęsty, że Juan nic nie widzi i co chwila zderza się ze ścianą tunelu. W końcu zatrzymuje się i czeka z włączonymi światłami i silnikiem. Wciąż siedzi w kabinie, kiedy z chmury pyłu wyłania się jakaś postać i staje w krótkim snopie światła

jednego z reflektorów. To jego szef Aguilar. W stronę pikapa biegną pozostali mechanicy – Raúl Bustos i Richard Villarroel.

Illanes mówi im, że w tym pyle nie da się jechać. Wszyscy czterej znajdują odcinek Rampy ze ścianą wzmocnioną stalową siatką i przywierają do tej, jakże mizernej ochrony przed kopalnią, która rozsypuje się wokół nich.

Huk i podmuch nadal pędzą w dół przez kopalnię, mijają grupę górników, którzy wiercą otwory w skale na poziomie sto pięć. Jest wśród nich czterdziestosiedmioletni wdowiec José Ojeda. Na poziomie sto Alex Vega czeka na Franklina Lobosa i furgonetkę obiadową, odpoczywa, rozmawia z innymi górnikami, między innymi z Edisonem Peñą, trzydziestoczteroletnim mechanikiem z Santiago, który w kopalni San José ma opinię człowieka zestresowanego i lękliwego. Edison ćwiczy kondycję fizyczną, jeżdżąc po Copiapó na rowerze, który nazwał Vanessa – od gwiazdy porno, której wysportowane ciało budzi w nim podziw. Kiedy zbliża się pora obiadowa, Peña jest przygnębiony, ponieważ miał nadzieję, że po tym całym rabanie ze stękaniem góry szefostwo ogłosi fajrant, ale tak się nie stało. Obaj górnicy słyszą dochodzący z góry huk, który dociera do nich przez jakieś sto metrów twardej jak granit skały, dlatego jest tutaj znacznie cichszy.

– Byliśmy przyzwyczajeni do hałasów – powie później Alex. – To było normalne, że góra pękała i waliła się. Szef ciągle mawiał, że to jest żywe stworzenie.

Ten hałas różni się jednak od wszystkich, które wcześniej słyszeli, i następuje po nim dudnienie, stające się z każdą sekundą głośniejsze. Grupa odpoczywających górników w niebieskich, żółtych i czerwonych kaskach, którzy stoją z Vegą i Peñą na poziomie sto pięć, rozgląda się

wokół siebie i wymienia spojrzenia. Ich twarze mówią: „Ktoś wie, co to jest?”. W końcu któryś z nich krzyczy:

– *¡La mina se está planchoneando!* Kopalnia jest miażdżona!

Pięć minut później uderza w nich fala powietrza, a potem widzą chmurę pyłu wpadającą do Rampy z chodników, które prowadzą do starych, wyeksploatowanych części kopalni. Chmura pędzi Rampą w ich stronę i po chwili zasypuje ich ziemią i kamyczkami, mimo że co sił w nogach biegną na dół do Schronu.

Samuel Ávalos jest około dziesięciu metrów poniżej Vegi i Peñi, w drugiej grupie górników czekających na furgonetkę obiadową, zgromadzonych przy Schronie albo koło niego. Ávalos ma jeszcze bardziej nieustatkowane życie i pogmatwaną karierę zawodową niż większość jego kolegów. Do niedawna pracował jako uliczny handlarz i do tej pory dorabia na boku sprzedażą pirackich płyt, czym zasłużył sobie na przydomek CD. Ten niski, zabawny człowiek jest nieśmiały, ale ma ironiczne poczucie humoru pozwalające mu radzić sobie w niełatwym życiu, w którym zdarzało mu się również utrzymywać ze sprzedaży kwiatów i innych rzeczy na rogach ulic. Po przybyciu do Schronu Ávalos odprawia wczesnopopołudniowy rytuał, który w każdym innym miejscu pracy wydawałby się ekscentryczny albo wręcz wariacki: otoczony przez kolegów rozbiera się do bielizny. Po połowie szychty jego kombinezon roboczy jest przesiąknięty potem, więc Samuel zdejmuje go, wykręca i wiesza na rurze z wodą, żeby wysechł. Schron to pomieszczenie wykute w skale, z podłogą wyłożoną białymi płytkami, ścianą z pustaków i stalowymi drzwiami wychodzącymi na Rampę. Inni górnicy wchodzą i wychodzą, ale nikt się nie odzywa do półnagiego, odpoczywającego Ávalosa. Ten jest w Schronie już od dłuższej chwili, więc kombinezon zdążył trochę podeschnąć i górnik jest w trakcie jego zakładania, kiedy słyszy grzmot.

Ávalos od początku zadaje sobie pytanie, czy ktoś odpalił ładunki, ale na ten dzień nie były przewidziane żadne roboty strzałowe. Takich prac nie powinno się prowadzić bez ostrzeżenia, chociaż już się to zdarzało. Z drugiej strony dźwięk jest głośniejszy od kontrolowanej eksplozji. Co to może być?

Víctor Zamora, mężczyzna z kręconymi włosami, który wychował się w mieście Arica na peruwiańskiej granicy, siedzi w pobliżu Schronu na kamieniu przypominającym ławkę. Ten nałogowy palacz zaciąga się kolejnym papierosem i ma całkiem niezły nastrój mimo tępego, momentami pulsującego bólu zęba trzonowego, w którym rozwinęła się próchnica. Zamora jest tutaj z członkami ekipy od wykonywania umocnień i zapamięta tę chwilę jako przepełnioną radością i braterstwem. Członkowie tej zmiany mówią o sobie *los niños*, chłopaki, niezależnie od tego, czy mają dwadzieścia jeden, czy sześćdziesiąt dwa lata. Zamora lubi pracować w kopalni San José z innymi „chłopakami”: podoba mu się to, że wszyscy się tu traktują jak równi sobie, nikt się nie wywyższa. Zamora również słyszy tąpnięcie, ale ponieważ z przerwami pracuje w kopalni od młodego wieku, w pierwszej chwili po prostu kolejny raz zaciąga się papierosem.

Po paru sekundach dociera do niego pierwsza fala uderzeniowa, zmiata go z kamiennej ławy i gwałtownie otwiera ciężkie metalowe drzwi Schronu. Zamora wstaje i wbiega do środka.

W tych wypełnionych paniką minutach Alex Vega, Edison Peña i kilku innych górników, którzy czekali w pobliżu na furgonetkę obiadową, zbiegają do Schronu i dołączają do Samuela Ávalosa, Víctora Zamory i innych kolegów. Wkrótce wewnątrz znajduje się dwudziestu kilku mężczyzn. Za stalowymi drzwiami zapada się góra. Po piętnastu czy dwudziestu minutach hałas nie jest już tak głośny, dlatego mężczyźni

zbierają się na odwagę i wybiegają ze Schronu, żeby uciec na oddaloną o ponad sześć kilometrów powierzchnię.

Szef zmiany Luis Urzúa, który przez całe przedpołudnie objeżdżał wszystkie poziomy kopalni, znajduje się na poziomie dziewięćdziesiąt, niedaleko od miejsca, w którym Mario Sepúlveda obsługuje ładowarkę czołową. O trzynastej czterdzieści słyszy głośny trzask, który wybija się ponad warkot maszyny – brzmi to jak odgłos upadku ogromnej skały w Pieczarze. Takie hałasy często dobiegają z wyeksploatowanych komór, nad którymi górnicy wydobywają rudę, zatem Urzúa nie jest szczególnie zatroskany. Pięć minut później słyszy kolejny trzask i mówi Sepúlvedzie, żeby wyłączył swoją maszynę, ale Mario już to zrobił, ponieważ wydaje mu się, że pękła jedna z wielkich opon ładowarki. Sepúlveda zdejmuje nauszniki, po czym przez tunel przechodzi fala ciśnieniowa i zatyka mu uszy. „Co to jest?”, zastanawia się Sepúlveda. Po chwili białą toyotą hilux sztygara przyjeżdża Florencio Ávalos i informuje, że kopalnia prawdopodobnie się wali. Sepúlveda i Urzúa wskakują do pikapa i jadą Rampą w stronę Schronu, ale nie zastają tam nikogo.

Dwaj sztygarzy razem z Sepúlvedą wracają na dół. Oddalają się od powierzchni i od bezpieczeństwa, ponieważ głębiej są górnicy.

– Musimy pomóc tym *huevones*[5] wydostać się na górę – mówi Urzúa. Za każdym razem, kiedy schodzi do kopalni, bierze na siebie odpowiedzialność za każdego pracującego pod ziemią górnika.

Kolejne trzydzieści metrów niżej, na poziomie dziewięćdziesiąt, emigrant z Boliwii Carlos Mamani obsługuje inną maszynę górniczą. Są to jego pierwsze godziny pracy pod ziemią: kilka dni wcześniej przeszedł na powierzchni test i tego przedpołudnia zdał pod nadzorem jednego z mechaników swego rodzaju ostateczny podziemny egzamin. Mechanik trochę mu się poprzyglądał, a potem po raz pierwszy zostawił go samego

przy pracy. Mamani, poważny dwudziestoczterolatek z twarzą niemowlęcia, od wielu lat czekał na tę chwilę. Wychowywał się w mówiącej językiem ajmara chłopskiej rodzinie na jałowym, pięknym płaskowyżu Altiplano, w jednym z najbiedniejszych zakątków najbiedniejszego kraju Ameryki Południowej. Jako nastolatek dołączył do fali emigrantów, którzy wyjeżdżali do Chile zbierać winogrona albo pracować w budownictwie, ale cały czas marzył o tym, żeby zostać policjantem śledczym. Zamiast pójść na studia, wybrał szkolenie techniczne i dzisiaj po raz pierwszy samodzielnie obsługuje wielką szwedzką maszynę z dżojstikiem i cyfrowymi wskaźnikami, które świecą w ciemnościach komory, umacniając w nim poczucie, że obsługuje skomplikowany i nowoczesny sprzęt.

Do podnośnika Mamaniego podwieszony jest duży kosz, w którym stoją dwaj mężczyźni i pracują nad wzmocnieniem stropu tunelu. Do czteroosobowej ekipy należy Yonni Barrios mieszkający na przemian z dwiema kobietami i Darío Segovia, człowiek, który tego ranka wyjątkowo długo i czule żegnał się z żoną. Za pomocą wiertarek udarowych drążą w stropie otwory, w które później wpuszczą dwumetrowe stalowe pręty przytrzymujące stalową siatkę do ochrony przed spadającymi odłamami skały. Mamani o tym nie wie, bo to jest jego pierwszy dzień pracy, ale stojący w koszu górnicy wiedzą: ponad miesiąc wcześniej w tym właśnie miejscu ważący ponad tonę kawał skały zmiażdżył Giniemu Cortésowi lewą nogę i trzeba ją było amputować. Mamani zapomniał o lampie, którą mu wydano – zostawił ją w szatni – ale Barrios mówi mu, żeby się nie martwił, że zabierze ją podczas przerwy obiadowej. Mamani nie zna nawet kopalnianego rozkładu dnia. Patrzy na zegarek, widzi, że dochodzi druga, i zadaje sobie pytanie: „O której zjemy obiad? Kiedy ci ludzie zrobią sobie

przerwę? Może będą pracować do końca zmiany? Następnym razem więcej zjem na śniadanie”.

Stojący w koszu górnicy nagle przerywają pracę. Mamani patrzy na nich przez szybę kabiny. Barrios i Segovia wymieniają spojrzenia, jakby chcieli zapytać: „Co to było?”.

Barrios pracuje w nausznikach, dlatego nie usłyszał echa odległego wstrząsu, ale poczuł na ciele falę ciśnieniową. Ma wrażenie, jakby coś ścisnęło jego ciało i po chwili puściło, jakby znajdował się w rurze pompki i ktoś przesunął tłok na dół, a potem do góry. Segovia słyszał tąpnięcie i teraz patrzy na dwóch stojących na dole górników – Estebána Rojasa i Carlosa Bugueña.

– Coś się dzieje! – krzyczy jeden z nich. – Mamy zatkane uszy!

Jednak ekipa pracuje jeszcze przez kilka minut, do momentu, kiedy ze stropu zaczynają odpadać kamienie, a chodnik wypełnia się pyłem.

Mamani zadaje sobie pytanie, czy chmura pyłu, która zaczyna się tworzyć przed jego maszyną, to normalna rzecz przy umacnianiu stropu. Podejrzewa, że nie, ponieważ górnicy pokazują mu gestami, żeby jak najszybciej opuścił kosz i wyjechał z chodnika. Wykonuje więc polecenie, a potem obraca się i dostrzega, że Daniel Herrera sięga do klamki kabiny. Kiedy otwiera drzwi, uszy Mamaniego błyskawicznie się zatykają i operator podnośnika w dużym stopniu traci słuch: widzi, że usta kolegów się poruszają, ale ma problemy ze zrozumieniem, co do niego mówią.

Jeden z kolegów zaczyna kreślić latarką koła – Mamani zna ten sygnał z innych kopalń, w których pracował. Znaczenie sygnału jest dosyć przerażające: „Wychodzić! Ewakuacja! Natychmiast wychodzić!”. Z miejsca, w którym się znajdują, od powierzchni dzieli ich osiem kilometrów i sześćset metrów przewyższenia, około czterdziestu minut

jazdy w dół i Bóg wie ile do góry, bo Mamani nigdy wcześniej nie pokonywał tej trasy.

Kilka chwil później Mamani wjeżdża na Rampę, wiezie kilku kolegów do tunelu, który szybko wypełnia się pyłem, zmierza w stronę Schronu i uderza o ścianę, ponieważ nic nie widzi.

Trochę dalej, na poziomie dziewięćdziesiąt, spotykają schodzących na dół szefa zmiany Urzúę i sztygara Ávalosa.

– Jedźcie dalej do góry – mówią szefowie. – Dogonimy was. My schodzimy po dwóch ludzi, którzy pracują na samym dole.

Przed południem Mario Gómez trzy razy przemierzył drogę na dół kopalni i z powrotem. Pusty kurs zajmuje mu około trzydziestu minut, a załadowana rudą złota i miedzi wywrotka, która męczy się na pierwszym i drugim biegu, żeby dotrzeć na powierzchnię, potrzebuje ponad godziny. Kilka minut po dwunastej Gómez jest na górze z pustą wywrotką i postanawia zrobić sobie przerwę obiadową. Wchodzi do stołówki, która mieści się w baraku z blachy falistej, wkłada do mikrofalówki przywieziony z domu pojemnik z ryżem i wołowiną, wyjmuje podgrzane danie i zaczyna jeść. Po jednej łyżce przerywa. Mario oprócz pensji podstawowej dostaje dodatek za każdy zjazd do kopalni. Myśli o pieniądzach i dochodzi do wniosku, że powinien zjeść obiad na dole, w trakcie załadowywania wywrotki rudą, bo w ten sposób więcej zarobi. Ten dodatkowy zjazd, który o mało nie kosztował go życie, jest wart cztery tysiące chilijskich peso, czyli około dziewięciu dolarów.

Gómez wsiada do kabiny i zjeżdża na poziom czterdzieści cztery, gdzie parkuje obok czekającej na wywiezienie na powierzchnię hałdy skały rudnej. W tym momencie znajduje się najgłębiej ze wszystkich górników, sześćset siedemdziesiąt sześć metrów pod ziemią. Operatora ładowarki nie ma, więc zaczyna jeść obiad w kabinie z włączonym silnikiem

i klimatyzacją, która chroni go przed panującym na zewnątrz gorącem – temperatura wynosi prawie czterdzieści stopni. Dziesięć minut później zjawia się Omar Reygadas, operator ładowarki, siwowłosy pięćdziesięcioszesciolatek. Nabiera rudę na łyżkę i wrzuca na wywrotkę. W tym momencie Gómez czuje na twarzy podmuch powietrza, co go zaskakuje, bo okna szoferki są zamknięte. Potem odczuwa wzrost ciśnienia między uszami, jakby jego czaszka była nadmuchiwanym balonem. Silnik wywrotki wyłącza się samoczynnie, a po kilku chwilach znowu zapala. Reygadas przez cały czas ładuje rudę na wywrotkę i łomot skały o betonowe dno paki powoduje, że obaj górnicy nie słyszą żadnych innych dźwięków. Do Reygadasa też dotarło dudnienie i poczuł falę ciśnieniową – myśli, że szef zmiany Urzúa zlecił jakieś roboty strzałowe, nikogo o tym nie powiadamiając. To kolejne zlekceważenie zasad bezpieczeństwa przepełnia czarę goryczy. „Tego już za wiele – mówi sobie. – Dokończę robotę, a potem zwymyślam tego kretyna Urzúę i powiem mu, że odchodzę”.

Kiedy wywrotka jest już załadowana, Gómez rusza do góry. Po kilkudziesięciu metrach jazdy stromym odcinkiem Rampy widzi, że wokół niego zaczyna się tworzyć chmura pyłu. Nie martwi go to szczególnie, bo już wcześniej tak się zdarzało. Jedzie dalej, ale po chwili pył robi się tak gęsty, że widoczność ogranicza się do kilkudziesięciu centymetrów. Gómez boi się, że wjedzie w ścianę, dlatego staje, wysiada i sprawdza rękami, czy ściana jest w tym miejscu prosta, czy zakrzywiona. Jest prosta, więc wsiada z powrotem do szoferki, ustawia koła prosto i na ślepo jedzie przed siebie aż do momentu, kiedy obok jego okna pojawia się Urzúa i pokazuje mu, żeby się zatrzymał i wysiadł. Gómez opuszcza szybę i w tym momencie uderza w niego ogłuszający hałas, którego wspomnienie będzie go prześladowało przez wiele dni, tygodni i miesięcy. Kiedy sobie o tym

później przypomina, zaczyna płakać: słyszy dudnienie wielu jednoczesnych wstrząsów, odgłos pękania skały, kamienne ściany wokół niego wydają się trzeszczeć, jakby w każdej chwili miały się rozpaść.

Ludzie przebywający w Schronie, dwa razy próbują uciec na piechotę podczas przerwy między tąpnięciami. Pierwsza próba kończy się wycofaniem do Schronu, a kilka chwil po rozpoczęciu drugiej znowu słyszą odgłos trzęsienia ziemi. Lita skała górotworu przeobraża się w oddychającą, pulsującą masę. Strop i podłoga Rampy zmieniają się w kamienne fale. Góra wyrzuca z siebie głazy, które wyłaniają się z tunelu, toczą się na dół i podskakują, a każdy z nich jest śmiertelnie groźnym, wymierzonym w górników pociskiem.

– Byliśmy stadem owiec i góra chciała nas zjeść – powie później José Ojeda.

Víctorowi Zamorze odgłos pękania skały przypomina terkot wycelowanego w niego i jego kolegów karabinu maszynowego. Jak wspomni jeden z górników, to się stawało zbyt straszne, zbyt niebezpieczne, więc gonili z powrotem na dół, ale mieli poczucie, jakby biegli po kołyszącym się na wietrze moście. W tym momencie nadjeżdżają Luis Urzúa i Florencio Ávalos i widzą grupę spanikowanych mężczyzn biegnących w stronę ich pikapa. Patrzą zahipnotyzowani, jak kolejna fala uderzeniowa przechodzi przez tunel: unosi do góry Alexa Vegę, najniższego i najlżejszego z górników, jakby był porwanym przez nagły podmuch wiatru latawcem w kształcie człowieka. Inni się przewracają, wymachując w powietrzu rękami. Potykają się, ci duzi mężczyźni w kombinezonach, mężczyźni z ciałami ukształtowanymi przez czerwone wino, piwo i grillowanie w ogródkach, przekarmiani przez żony, matki i teściowe. Fala uderzeniowa rzuca Zamorą o ścianę Rampy i wybija mu kilka zębów – własnych i sztucznych – przez co do ustawicznego ćmienia spróchniałego

trzonowca dołącza ostrzejszy ból. Kiedy Zamora i inni dostrzegają pikapa sztygarów, zrywają się i biegną w jego stronę. Zamora wciska swoje zapylone ciało z zakrwawionymi ustami na wąskie siedzenie obok kierowcy.

Większość pozostałych górników wskakuje na pakę pikapa.

– Jedziemy! Uciekajmy stąd! – krzyczą wszyscy naraz.

Siedzący za kierownicą Ávalos rusza w stronę powierzchni. Toyota hillux osiada na resorach pod ciężarem dwudziestu kilku mężczyzn, „ściśniętych jak pszczoły w ulu”, powie później Carlos Mamani, który wisi na tylnym zderzaku, obejmując za nogę jednego z mężczyzn stojących na pace. Maska samochodu się unosi, przez co ludzie siedzący w kabinie mają wrażenie, że pikap jest jak przeciążony samolot, który z wysiłkiem podrywa się do lotu. Pył znowu robi się zbyt gęsty, by można było cokolwiek zobaczyć, więc Mario Sepúlveda wysiada i idzie przodem z lampą, oświetlając kierowcy drogę. Kiedy przemieszczają się w ten sposób, spotykają Raúla Bustosa i trzech pozostałych mechaników, którzy pracowali w warsztacie. Oni także wsiadają na pakę i zaczynają opowiadać kolegom o tąpnięciach, które poczuli na skalnym występie nad Pieczarą. Zagłębiwszy się jeszcze bardziej w pył, słyszą, że zbliża się do nich jakiś mechaniczny terkot: to furgonetka osobowa, jadą nią Franklin Lobos i Jorge Galleguillos. Sepúlveda oświetla ich lampą i dostrzega na ich bladych twarzach wyraz śmiertelnego strachu. Dwaj starsi mężczyźni opowiadają o zawale, przed którym uciekli, Galleguillos nadal się upiera, że chwilę wcześniej widział motyla. Urzúa każe im zawrócić i jechać na górę. Większość górników przesiada się do Lobosa. Jadą dalej, ale po każdej pętli spirali, za poziomami sto pięćdziesiąt i sto osiemdziesiąt, na szosie Rampy leży coraz więcej materiału skalnego, jakby zbliżali się do pola bitwy na kamienie. Po pokonaniu ośmiu pętli spirali od Schronu docierają

na poziom sto dziewięćdziesiąt. Po drodze kilka razy się zatrzymują, ponieważ pył jest zbyt gęsty, i czekają pięć, dziesięć, piętnaście minut, żeby się trochę przerzedził. Od pewnego momentu nie da się jechać dalej, bo na ziemi leży zbyt wiele skalnych odłamków, więc wysiadają z pikapa i furgonetki i idą na piechotę. Marsz pod górę przy dziesięciostopniowym nachyleniu jest wykańczający, zwłaszcza przy takiej temperaturze i wilgotności. Jednak nie dla tych napędzanych adrenaliną ludzi próbujących sobie wyobrazić południowe słońce, które na nich czeka na końcu tej powolnej, często przerywanej podróży, jeżeli zgodnie z obietnicą szefów i właścicieli kopalni Rampa wytrzyma. Pokonują pieszo kolejne pięćdziesiąt metrów, przebijając się przez chmurę pyłu przy świetle czołówek i latarek, aż w pewnym momencie snopy światła natrafiają na obiekt, który wydaje się blokować drogę. Jest to szara kamienna płyta, której kształtu i rozmiarów w skłębionych tumanach pyłu nie są w stanie określić. Górnicy siedzą i czekają w tej chmurze przez kilka minut, żeby opadło trochę zawieszonych w powietrzu cząstek skały. W końcu przeszkoda staje się dla nich widoczna.

Rampa jest zatarasowana od góry do dołu i od lewej do prawej przez skalną ścianę.

Dla Luisa Urzúy wygląda to jak „kamień, którym zamknęli grób Jezusa”. Dla innych jest to „skalna kurtyna”, a dla jednego górnika – „gilotyna z kamienia”. Mają przed sobą płaską, gładką płachtę niebieskawoszarego diorytu, która spadła na Rampę. Edisona Peñę najbardziej martwi nieskazitelność kamienia – jest czysty, niezabrudzony kopalnianą sadzą i pyłem, tak jakby został stworzony przed chwilą, żeby zamknąć ich w pułapce.

Dopiero później górnicy się zorientują, jak ogromne są rozmiary tej przeszkody, w raporcie rządu chilijskiego nazwanej megablokiem.

Gigantyczny kawał górotworu oberwał się w jednym kawałku. Górnicy są w sytuacji, jakby stali pod granitowym klifem: skała ma około stu siedemdziesięciu metrów wysokości i waży siedemset milionów kilogramów, czyli siedemset tysięcy ton, dwa razy więcej niż Empire State Building. Niektórzy górnicy mają już świadomość ogromu katastrofy. Mario Gómez, podobnie jak inni, uważa, że zawał miał swój początek na poziomie pięćset czterdzieści, gdzie kilka miesięcy wcześniej w ścianie Rampy pojawiła się szczelina, z której wyciekała woda. Pod naciskiem Jorgego Galleguillosa i kilku innych starszych górników właściciele kopalni umieścili w szczelinie lusterka w celu sprawdzenia, czy skała się przemieszcza. Żadne z nich nie pękło, ale Gómez, Galleguillos i starsi górnicy czują teraz instynktownie, że kopalnia rozpadła się właśnie w tym miejscu. Z ich szybkich (i całkiem poprawnych) obliczeń wynika, że zniknęło co najmniej dziesięć poziomów Rampy.

– *Estamos cagados* – mówi jeden z górników, co w wolnym tłumaczeniu znaczy: mamy przesrane.

Alex Vega sprawia wrażenie najbardziej zdesperowanego. W zwykły dzień na powierzchni, z długimi bokobrodami i wyraźnie zarysowanymi brwiami, wygląda jak umięśniony, przystojny, choć nieco melancholijny model z reklamy papierosów. Ma około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu i na tle skalnej przeszkody wydaje się wyjątkowo niski, chociaż właśnie ta drobna postura daje mu nadzieję. Alex kładzie się na brzuchu i zagląda w szczelinę pod blokującą drogę do wyjścia szarą skałą: być może jest jedynym górnikiem, który da radę się przez nią przecisnąć.

Podobnie jak wielu ludzi z północy Vega jest spokojnym domatorem. Swoją dziewczynę Jessicę zapłodnił, kiedy miała piętnaście lat, później się z nią ożenił i od tamtego czasu są razem. W San José mówią na niego El

Papi Ricky, od postaci z opery mydlanej, która tak jak on jest ojcem nastoletniej dziewczyny. Kilka lat wcześniej Alex i Jessica wzięli kredyt, żeby kupić działkę w Arturo Prat, dzielnicy Copiapó, i od tej pory powoli dobudowują kolejne pokoje, a także stawiają wokół posesji niski murek z pustaków, który jest symbolem ich pomyślności i pracowitości. Murek ma teraz niecały metr i Alex nie rezygnuje ze swojej dobrze płatnej pracy mechanika w kopalni, żeby móc go dokończyć, mimo że jego ojciec i dwaj bracia (którzy pracowali kiedyś w San José) ostrzegają go, jak bardzo jest tam niebezpiecznie. Alex chce wrócić do domu, a oprócz szczeliny pod skalną kurtyną nie ma innej drogi. Mówi do kolegów, że chyba się przeciśnie.

– Nie – protestuje Urzúa, a kilku innych kolegów ostrzega Alexa, że to szaleństwo.

Vega się upiera i Urzúa w końcu wyraża zgodę.

– Ale uważaj. Będziemy nasłuchiwali i jeśli w skałach zacznie coś pękać albo się ruszać, powiemy ci.

Alex wciska swój drobny korpus do szpary w poszarpanej skale.

– W tym momencie czułem całą tę adrenalinę – powie po pewnym czasie. – Nie myślałem ani nie zastanawiałem się nad ryzykiem.

Później pomyśli sobie: „Ale głupotę zrobiłem”. Z lampą w ręce przeciska się przez szczelinę, ale po sześciu metrach robi się za wąsko.

– Nie ma przejścia – oznajmia po wypełznięciu spod skały.

Dla części starszych pracowników i innych górników z długim stażem widok skały i słowa Alexa niosą w sobie przytłaczającą ostateczność. Wielu z nich zdarzało się być uwięzionymi w kopalni, ale były to niewielkie zawały i buldożer mógł do nich dotrzeć w kilka godzin, natomiast uwięzienia za taką przeszkodą jak ta szara ściana nie doświadczył jeszcze żaden z nich. Ten płaski kamień jest symbolem śmierci i skłania górników

do rozmyślań o świecie, od którego ich oddziela: o królestwie żywych, o rodzinach i mgielnych wiatrach, o domach i rodzicielskich obowiązkach. Wszystkie niezałatwione sprawy zaczynają dawać o sobie znać. Galleguillos myśli o tym, że już nigdy nie zobaczy niedawno narodzonego wnuka, i czuje, że po policzkach płyną mu łzy. Gómez uświadamia sobie, że podobnie jak jego ojciec górnik, który zmarł na pylicę, pracował zbyt wiele lat i igrał z losem: najpierw stracił dwa palce, teraz straci życie. Umrze jako górnik. „Dotarłem do końca drogi”, myśli sobie. *Hasta aguí llego*.

Milczenie przygnębionych górników przerywa odgłos liczenia ludzi przez szefa zmiany. Nie ma Raúla Villegasa, kierowcy jednej z wywrotek, ale Franklin Lobos i Jorge Galleguillos widzieli go, jak jechał na górę, i wydaje się prawdopodobne, że się wydostał.

– Trzydzieści, trzydzieści jeden, trzydzieści dwa… – Urzúa liczy i znowu wychodzi mu trzydzieści dwa, ale ludzie się kręcą, a poza tym Urzúa nie jest pewien, ilu ich powinno być, bo w kopalni San José lista pracowników zmienia się z dnia na dzień. Tutaj nic nie jest nigdy pewne, ale szef zmiany co do jednego nie ma wątpliwości: nie ma drogi ucieczki i w tym przypadkowym układzie wykutych w skale przejść zapewne nie dotrą do nich ratownicy.

---

[5] *Huevones* – popularna chilijska obelga, a zarazem pieszczotliwe słowo pochodzące od *huevo*, co dosłownie oznacza jajo i jest slangowym określeniem męskiego jądra.

ROZDZIAŁ 3

PORA KOLACJI

Nie ma niczego nadzwyczajnego w tym, że o godzinie czternastej do niepracującego dzisiaj górnika Pabla Ramireza dzwoni Carlos Pinilla, dyrektor Spółki Górniczej San Esteban.

– W kopalni jest problem – mówi dyrektor. – Problem z Rampą. Don Carlos prosi, żebyś przyjechał. I wygląda na to, że na swojej zmianie będziesz potrzebował kilku operatorów.

Ramirez jest u siebie w domu w Copiapó, odpoczywa przed nocną szychtą w kopalni San José. Po zakończeniu tej dziennej przejmie pałeczkę od *jefe del turno*, szefa zmiany, Urzúy, ale ma to nastąpić dopiero za mniej więcej pięć godzin. Rzeczowy ton dyrektora każe podejrzewać, że w Pieczarze znowu posypały się odłamki skalne i że dotarcie do górników będzie rutynowym, chociaż mozolnym zadaniem wymagającym usunięcia skały z Rampy przez kilku operatorów. Dla wydobycia ten dzień będzie stracony.

Takie są myśli Ramireza, kiedy jedzie do kopalni. Nie martwi się o kolegów. Około połowy górników zna całkiem dobrze: sztygar Florencio Ávalos to jeden z jego najbliższych przyjaciół, jego dwaj synowie mówią do niego *tío*, czyli wujku. Ramirez i Ávalos mają około trzydziestu lat. Tych inteligentnych młodych ludzi czeka w górnictwie wspaniała kariera

i na razie Pablo nie usłyszał niczego, co by zmieniło jego przekonanie, że całkiem niedługo będzie mógł wypić z przyjacielem piwo. O szesnastej trzydzieści przyjeżdża do kopalni i widzi coś znacznie bardziej niepokojącego, niż się spodziewał. Z wylotu Rampy, jedynego wejścia do kopalni, buchają kłęby pyłu. Czasem trochę się go wydobywało na powierzchnię, ale takiej skłębionej chmury, która wylatywała z otworu „jak z wulkanu", nigdy wcześniej nie widział. Dochodzą do tego hałasy: wyrzuty skał, wielokrotne trzaski. Ale nawet to nie jest jakieś bardzo niezwykłe, ponieważ góra nieustannie transmituje ze swojego wnętrza różne odgłosy: na przykład kiedy głęboko na dole prowadzone są roboty strzałowe, hałas z reguły dociera chodnikami na powierzchnię. Mija piąta, szósta, a pył nadal uniemożliwia wejście do kopalni i podjęcie próby dotarcia do górników. Koło wylotu Rampy gromadzi się coraz więcej górników i menedżerów, którzy sprawiają wrażenie trochę zagubionych. Jest wśród nich Carlos Pinilla w swoim białym kasku. Wcześniej dwa razy próbował wejść do środka, ale dotarł tylko do poziomu czterysta czterdzieści. Chmura pyłu zrobiła się zbyt gęsta, żeby mógł przebić się dalej.

Około piątej – na półkuli południowej jest teraz zima i szybko nadchodzi zmierzch – Pinilla ponownie zabiera swoją ekipę do środka. Dołącza do nich Pablo Ramirez i dwaj inni sztygarzy.

Zjeżdżają pikapem, bez żadnych incydentów pokonują kilka pętli spirali i na poziomie czterysta pięćdziesiąt widzą kilkucentymetrową szczelinę w podłodze Rampy. „Dobry" dioryt jedynej drogi prowadzącej do środka i na zewnątrz kopalni pękł bardziej, niż Ramirez kiedykolwiek widział – zapamięta to jako moment, w którym po raz pierwszy uświadomił sobie powagę sytuacji. Jadą dalej, Pablo podąża wzrokiem za światłem reflektorów pikapa i w każdej chwili spodziewa się zobaczyć luźne odłamki

skalne wytworzone przez zawał w wyeksploatowanej Pieczarze. Tymczasem po przejechaniu czterech i pół kilometra od wejścia do kopalni, na poziomie trzysta dwadzieścia, pikap napotyka niespodziewaną przeszkodę – jego reflektory oświetlają płaską szarą masę. Rampa jest zatarasowana od góry do dołu przez lity skalny blok. Ramirez sądzi, że widział wszystkie możliwe wypadki górnicze albo jest na nie przygotowany, ale czegoś takiego nawet sobie nie wyobrażał. Wygląda to tak, jakby ktoś przeciął kopalnię nożem na pół. Wszyscy wysiadają i stają przed skalnym murem, którego nie ma prawa tam być.

– *Cagamos* – mówi ktoś, nieświadomie powtarzając słowo wypowiedziane przez jednego z górników uwięzionych przez tę samą skałę sto trzydzieści metrów niżej. – Mamy przesrane.

Ramirez, człowiek, który chlubi się tym, że żaden górniczy problem nie jest mu straszny, nagle ma poczucie, że jest bezsilny, że ani on, ani jego szef nie mogą zrobić nic, żeby uratować trzydziestu trzech ludzi uwięzionych po drugiej stronie skały. Jedyna nadzieja w szybach awaryjnych, ale tylko specjalna jednostka policyjna, zespół ludzi ze sprzętem wspinaczkowym, może się do nich opuścić.

Stojąc w białym kasku przed tą skałą, Pinilla sprawia wrażenie osłupiałego. Dla pracowników kopalni San José jest człowiekiem najwyżej postawionym w ich zawodowej hierarchii, bardzo surowym szefem. Umykając w pośpiechu, zostawił za sobą podwładnych, zanim za jego samochodem spadła skalna kurtyna. Teraz jednak zaczyna płakać.

– Normalnie zachowuje się jak twardziel, prawdziwy macho – powie później Ramirez – ale wtedy od razu się rozpłakał.

– Pomyślałem sobie, to znaczy nie pomyślałem, wiedziałem, że część górników nie żyje – powie później Pinilla. O trzynastej czterdzieści pięć, w chwili katastrofy, furgonetka powinna jechać na górę i wywozić

górników na obiad; mechaników nie powinno w ogóle być o tej porze w kopalni i oni pewnie też jechali na lunch. Pinilla wyobraża sobie ludzi zmiażdżonych przez oberwany strop Rampy i nie może się opędzić od myśli: „To ja jestem draniem, który posłał ich wszystkich na dół”.

Wracają na powierzchnię i widzą właścicieli kopalni – Marcela Kemeny’ego i Alejandra Bohna – którzy czekają w białych kaskach. Trzeba zadzwonić po pomoc, nie ma innej rady. Bohn i Kemeny muszą zatem wsiąść do pikapa i pojechać na dół, w stronę głównej drogi, żeby złapać sygnał w telefonach komórkowych – w kopalni jest telefon stacjonarny, ale z jakiegoś powodu postanawiają z niego nie skorzystać. O dziewiętnastej dwadzieścia dwie, ponad pięć godzin po katastrofie, właściciele kopalni San José zawiadamiają władze.

Informacja o wypadku dociera do miejscowej straży pożarnej, potem do biura Państwowej Służby Geologicznej i Górniczej i wreszcie do Sztabu Kryzysowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które nadzoruje policję i służby specjalne. Godzinę później do kopalni przyjeżdża sześć osób ze specjalnej jednostki policji (Grupo de Operaciones Policiales Especiales, GOPE) ze sprzętem wspinaczkowym. Wjeżdżają do kopalni pikapem, ale podczas przejazdu przez pęknięcie na poziomie czterysta pięćdziesiąt przebijają oponę. Carlos Pinilla i Carlos Ramirez, którzy jadą za nimi drugim pikapem, widzą, że szczelina jest teraz dwa razy większa.

Gdyby policjanci wiedzieli, że pęknięcie jest nowe i że w ciągu minionych dwóch godzin tak bardzo się powiększyło, być może uświadomiłoby im to, jak bardzo niestabilna jest góra, i przerwaliby akcję ratunkową. Jak później relacjonował Ramirez, kiedy wysiedli z samochodu, żeby zmienić oponę, Pinilla popatrzył na Ramireza i przyłożył palec do ust. Pablo zrozumiał gest i nie powiedział nikomu ani słowa o tej przerażającej,

coraz większej szczelinie w górze, sygnale ostrzegającym przed kolejnym zawałem, który z pewnością nastąpi.

Godziny mijały, ale kierownictwo Spółki Górniczej San Esteban nadal nie zawiadamiało o wypadku rodzin trzydziestu trzech górników uwięzionych za chmurą pyłu i skalną kurtyną.

– Pierwszym odruchem władz niektórych kopalni w takich przypadkach jest próba jak najdłuższego tuszowania sprawy – powie później pewien chilijski urzędnik. – Mogli zadzwonić o piątej i powiedzieć: „Był zawał, wydostanie ich trochę potrwa, nie czekajcie z kolacją". O siódmej mogli powiedzieć: „Wygląda to trochę poważniej, niż się spodziewaliśmy, i nie wiemy dokładnie, kiedy ich wydostaniemy, ale raczej są bezpieczni".

Tymczasem przez ponad osiem godzin po wypadku, kiedy czwartkowa noc nieuchronnie zmierza ku piątkowemu porankowi, przedstawiciele spółki nic nie mówią. Tak więc wiadomość o wypadku dociera do żon, matek, ojców, córek i synów górników w Copiapó i innych miastach długiego pasa Chile za pośrednictwem ogólnikowych, przerażających i często nieprecyzyjnych newsów różnych stacji radiowych i telewizyjnych.

Jedną z nielicznych bliskich, którzy mają mniej więcej bezpośrednią wiedzę o wydarzeniach w kopalni, jest kobieta niewymieniona w żadnym dokumencie spółki górniczej, niemająca dostępu do zastrzeżonych informacji: zwalista, rumianolica i zawsze szczęśliwa kochanka Yonniego Barriosa – Susana Valenzuela.

Szwagier Susany pracuje w kopalni Punta del Cobre niedaleko Copiapó i dowiaduje się o wypadku dzięki temu, że w górniczym środowisku rozchodzi się wiadomość, iż mogą być potrzebni ratownicy. Szwagier dzwoni do żony, siostry Susany, która o siódmej wieczorem zjawia się w drzwiach domu Yonniego i Susany w Copiapó i pyta:

– Jest Yonni?

– Nie, nie ma – odpowiada Susana.

Siostra dzwoni do męża i oddaje telefon Susanie.

– O drugiej w kopalni był zawał i *los niños* są żywcem pogrzebani – mówi szwagier. – Nie ma ucieczki.

– Tak mi powiedział: „Żywcem pogrzebani. Nie ma ucieczki” – relacjonuje po pewnym czasie Susana. Ludzie, którzy mają jakieś pojęcie o pracy w kopalni, wiedzą, co znaczy usłyszeć coś takiego, więc wpadłam w rozpacz.

Susana i jej siostra idą na posterunek policji do Carabineros de Chile, zawsze wyprężonych, niekorumpowalnych i kompetentnych. Policja nie ma jeszcze żadnych informacji, jednak docierają one kilka minut później – Susana i jej siostra patrzą, jak radiowozy ruszają w stronę San José.

– Jedźcie do szpitala – mówią carabineros, ale Susana i jej siostra najpierw pędzą z powrotem do swojej dzielnicy, żeby powiedzieć o wszystkim Marcie, żonie Yonniego.

Marta jest dużo drobniejszą, starszą, surowszą i poważniejszą kobietą niż Susana. Yonni od kilku lat krąży między ich domami. Susana poznała go w domu jego żony: wspomniała Marcie, że potrzebuje kogoś, kto zrobiłby jej parę mebli.

– Ten brzydki staruszek, z którym mieszkam, mój mąż, zrobił tę szafę – powiedziała Marta. Yonni wyszedł wtedy z pokoju, w którym „więziła” go żona, tak przynajmniej twierdzi Susana. Marta tłumaczy, że przez lata znosiła jego skoki w bok. Susana pomyślała sobie: „Facet wcale nie jest taki brzydki”. Z jego melancholijnego, samotnego uśmiechu przebijało zaproszenie mężczyzny z poranioną duszą, który chce ją przed tobą otworzyć, jeśli tylko znajdziesz czas, żeby pobyć z nim sam na sam.

– Przyprowadziłam go do siebie i od razu mi się spodobał – mówi Susana. – Dałam mu jeść, a potem trochę się kochaliśmy.

Mebli Yonni w końcu nigdy nie zrobił. Ta historia to lekki i komiczny prolog do tragedii tego uganiającego się za spódniczkami mężczyzny zasypanego w kopalni San José. Kiedy Marta dowiaduje się od kochanki swojego męża o wypadku, odpowiada dosyć beznamiętnym tonem:

– Na tym koniec waszych amorów. Teraz ja go przejmuję. Daj mi jego książeczkę małżeńską.

Książeczka małżeńska, *Libreta del matrimonio,* to rodzaj podpisywanego przez urzędnika udzielającego cywilnego ślubu paszportu wykorzystywanego w różnych sytuacjach urzędowych, między innymi w celu uzyskania dostępu do tych miejsc, gdzie ma prawo wchodzić tylko małżonek danej osoby (na przykład do sali szpitalnej albo do kostnicy). Yonni trzymał ten dokument w domu Susany.

Susana posłusznie zabiera książeczkę małżeńską swojego kochanka i razem z jego żoną jedzie do szpitala.

Carmen Berrios jest w Copiapó, jedzie autobusem, kierowca puszcza przez radio szybką meksykańską muzykę, zmuszając wszystkich pasażerów do słuchania. Carmen spędziła dzień ze swoim ojcem i wraca do domu, żeby na wpół do dziesiątej ugotować kolację dla swojego męża Luisa Urzúy i ich dzieci. „Wiadomość z ostatniej chwili!”, mówił prezenter radiowy głosem, który odruchowo budzi podekscytowanie, wywołuje oczekiwanie na jakąś sensację. „Tragedia w kopalni San José! Zawał w kopalni!”. Prezenter podaje tylko kilka podstawowych informacji, po czym wraca meksykańska muzyka: zestawienie wiadomości o prawdopodobnej śmierci męża z tą przaśną melodią jest dla Carmen czymś dziwnym, okrutnym i głęboko zapadającym w pamięć.

– Co on powiedział, panie kierowco? – pyta.

Szczerze mówiąc, Carmen nie do końca wie, gdzie pracuje Luis. Kilka miesięcy wcześniej zmienił pracę, a ona nigdy nie była w jego nowej

kopalni i nie ma stuprocentowej pewności, czy pamięta jej nazwę. Ta mała wątpliwość na chwilę staje się dla niej źródłem nadziei.

– Mógłby pan przestawić na inną stację? – prosi kierowcę. – Może podadzą jeszcze jakieś informacje…

– Na razie nic więcej nie wiedzą – odpowiada kierowca. – To jest wiadomość z ostatniej chwili. Może później jeszcze coś powiedzą.

Carmen wraca do domu i słyszy w radiu kolejne informacje: wśród górników są ranni i zabici. Teraz nie ma już najmniejszych wątpliwości, że chodzi o kopalnię, w której pracuje Luis.

– Przeżywaliśmy istny koszmar, ponieważ nie wiedzieliśmy, czy to wszystko prawda – powie później Carmen.

Wskazówka zegara w salonie mija wpół do dziesiątej, ale Luis nie wraca do domu. Ich dzieci, studiujący na uniwersytecie syn i córka, uczą się w swoich pokojach i nie mają świadomości, że kolacja się opóźnia. O wpół do jedenastej Carmen woła oboje dzieci do salonu i mówi:

– Musimy zorganizować rodzinne spotkanie. W radiu podają, że w kopalni, w której pracuje wasz ojciec, był wypadek.

Włącza radio. Słychać w nim informacje o rannych górnikach przewożonych do szpitala San José del Carmen w Copiapó, ale Carmen uznaje, że musi pojechać do kopalni, aby uzyskać potwierdzenie, że w chwili zawału Luis był pod ziemią. Przyjaciółka jej córki zawozi ją swoim pikapem, posługując się GPS-em, ponieważ nigdy wcześniej tam nie była i nie zna drogi.

Carmen Berrios jedzie przez księżycowy nocny krajobraz okryty cieniami okrągłych, skalistych gór i przypomina sobie swój niedawny sen, w którym Luis został uwięziony pod ziemią: uratowano go i wyjechał na powierzchnię autobusem. Skręcają z głównej drogi na małą dróżkę prowadzącą do kopalni, w kierunku nakrapianej coraz jaśniejszymi

światłami góry. O wpół do jedenastej zajeżdżają pod budkę strażnika koło bramy i Carmen wysiada na suche, mroźne powietrze.

Mónica Ávalos, żona sztygara Florencia Ávalosa, szyje w swoim domu w średnio zamożnej dzielnicy Copiapó. Postanowiła skrócić sweter swojego niespełna szesnastoletniego syna, a jednocześnie gotuje zupę dla Florencia. Jej mąż jest wielkim miłośnikiem zup i Mónica robi dla niego gęsty wywar na siekanej wołowinie, taki, jak lubi. Zapach potrawy wypełnia salon połączony z niewielką jadalnią, w której Mónica, Florencio i ich dwaj synowie każdego wieczoru zasiadają do kolacji. Mónica nie ogląda telewizji ani nie słucha radia, ponieważ lubi te chwile, kiedy w domu panuje cisza, a synowie są w swoich pokojach. Towarzystwa dotrzymuje jej w tym momencie duży zegar w salonie, którego wskazówka niedługo wyznaczy codzienną porę powrotu Florencia do domu i podania przez Mónicę kolacji: zgodnie z południowoamerykańskim zwyczajem wpół do dziesiątej.

Dzwoni telefon i w słuchawce odzywa się głos siostry Móniki.

– Słuchaj, nie chcę cię martwić, ale w kopalni był zawał. Bardzo duży. W kopalni, w której pracuje Florencio. W San José. Czy Florencio wrócił już do domu?

– Nie, ale będzie lada chwila.

Po tym telefonie zbliża się wpół do dziesiątej i mijają długie, długie minuty, a krzesło Florencia w jadalni nadal stoi puste. Nagle Mónica nie potrafi sobie nawet przypomnieć nazwy kopalni, w której pracuje jej mąż. Czy to na pewno było San José? Mónice wydaje się, że Florencio wspominał o kopalni nazwanej od innego świętego: San Antonio. „Antoni, nie Józef”, myśli. Chodzi w górę i w dół po schodach w jakimś maniakalnym transie i patrzy, jak wskazówka zegara oddala się od wpół do dziesiątej. Jej ośmioletni syn, który ogląda telewizję w swoim pokoju

i często rozmawia z ojcem o jego pracy, więc doskonale zna nazwę kopalni, nagle wbiega do salonu i krzyczy:

– Mamusiu, tata nie żyje! Tata nie żyje!

– Nieprawda – odpowiada mama. – Skąd to wiesz?

– Nie kłam! – wrzeszczy chłopiec. – Mówili w wiadomościach!

Na górze, przed odbiornikiem telewizyjnym młodszego syna, Mónica mdleje. Starszy syn César Alexis zwany Ale przychodzi ją ocucić i uspokoić, i niespodziewanie wciela się w rolę swego ojca. Ale ma piętnaście lat, czyli tyle samo, ile mieli Florencio i Mónica, kiedy go spłodzili. Nagle staje się spokojny i silny, tak jakby jakimś sposobem wstąpił w niego duch Florencia.

– *Cálmate* – mówi do swojej matki. – *Cálmate*.

Postanawiają pójść do Pabla Ramireza, ponieważ on pracuje w tej samej kopalni i na pewno nie będzie przed nimi ukrywał prawdy, jeżeli ją zna. Kiedy Mónica i jej dwaj synowie przychodzą pod dom Pabla i pukają do drzwi, nie wiedzą, że Pablo w tym momencie wchodzi do zawalonej kopalni, żeby szukać Florencia i pozostałych trzydziestu dwóch górników. Przez dłuższą chwilę nikt im nie otwiera, aż w końcu do drzwi podchodzi żona Ramireza i mówi:

– Pabla nie ma. Pojechał do kopalni, bo był wypadek.

Mónica dzwoni do innego znajomego Florencia i razem jadą do kopalni, ale za miastem gubią drogę. Kiedy w końcu docierają na miejsce, Mónica zauważa, jak strasznie jest tam pusto. Widzi mężczyzn w kaskach i mundurach, którzy kręcą się bez celu przed wejściem do kopalni. Ma wrażenie, że jest tam jedyną kobietą.

W Talcahuano Carola Bustos, która razem ze swoim mężem przeżyła trzęsienie ziemi i tsunami, uznaje, że nie potrafi powiedzieć dwójce swoich małych dzieci, co się stało z ich ojcem. Usłyszą, że głos jej się łamie,

i zobaczą, jak płacze, co będzie dla nich bolesnym przeżyciem. Żeby im tego oszczędzić, zostawia ich pod opieką swoich rodziców, u których znajdą fizyczne i emocjonalne bezpieczeństwo, i bez pożegnania wsiada w samolot lecący na północ. Zadanie wyjaśnienia swojej nieobecności dzieciom zostawia rodzicom:

– Mamusia pojechała do Santiago szukać pracy, ale niedługo wróci.

Siedemnaście godzin po zawale dzwoni telefon w domu Maria Perriego Sepúlvedy w Santiago. Kilka minut po siódmej Elvira, na którą znajomi mówią Cati, odbiera telefon od przyjaciółki.

– Cati, w kopalni był wypadek i zdaje się, że Mario jest pod ziemią – mówi przyjaciółka.

W pierwszej chwili wygląda to na jakiś żart.

– Nie – mówi Elvira. Wydaje się niemożliwe, żeby znajoma z Santiago wiedziała, co się dzieje z Mariem setki kilometrów na północ stamtąd.

– Nie robię cię w konia – mówi przyjaciółka. – *No te estoy huevando*. Włącz kanał siódmy.

Elvira włącza telewizor i widzi relację z Copiapó. Po kilku chwilach na ekranie pojawia się Mario, gładko ogolony i niezbyt radosny czterdziestoletni mężczyzna, który czerwonymi od błysku flesza oczami patrzy do kamery ze zdjęcia na identyfikatorze. Na dole ekranu pojawia się podpis: MARIO SEPÚLVEDA ESPINACE. Dziennikarz podaje trochę bardziej szczegółowe informacje. Zawał miał miejsce wczoraj po południu, górnicy są zasypani kilkaset metrów pod ziemią i nie ma z nimi żadnej łączności. Elvira uświadamia sobie grozę sytuacji, wyobraża sobie, przez co musi przechodzić jej mąż, i pyta samą siebie: „Jak ten wariat przeżyje w takiej ciasnocie? On się musi stale ruszać. Nie wytrzyma tego”.

Jeżeli chodzi o sam wypadek, nie jest zaskoczona: Mario w gruncie rzeczy go przewidział. Wychodząc do pracy, często jej przypominał

o odszkodowaniu i rencie, do których byłaby uprawniona, gdyby coś mu się stało w kopalni. Tak często i z taką złością mówił o tym, że San José znajduje się na krawędzi katastrofy, że jego zmartwienia wtargnęły do snów ich osiemnastoletniej córki Scarlette. Kilka miesięcy wcześniej Scarlette miała koszmar senny, w którym się dowiedziała, że jej ojciec zginął w kopalni. Zbudziła się z wrzaskiem: „Ojciec nie żyje!”, i nie dało się jej przekonać, że to był tylko sen. Płakała i dygotała, aż w końcu matka zabrała ją na pogotowie. Po zakończeniu zmiany Mario zadzwonił do niej i powiedział:

– Scarlette, to ja, twój ojciec! Żyję! Nic mi nie jest! Nic mi się nie stało. Właśnie wyszedłem z pracy…

Teraz, kiedy Mario jest zasypany pod ziemią, Elvira nie umie oprzeć się myśli, że sen Scarlette był proroctwem, które wszyscy zignorowali. „Jak ja wytłumaczę naszemu synowi, że jego ojciec jest uwięziony pod ziemią i nic nie da się zrobić?”, pyta siebie w myślach. Francisco ma trzynaście lat, ale od zawsze był niski jak na swój wiek. Urodził się w szóstym miesiącu ciąży, ważył zaledwie jeden i jedną dziesiątą kilograma i pierwsze sześćdziesiąt dziewięć dni życia spędził w inkubatorze. Więź między nim a ojcem jest bardzo silna, wytworzyła się w ciągu tych dziesięciu tygodni, kiedy bezradny Mario musiał znosić widok swojego chłopczyka pod szkłem, z nieprawdopodobnie małymi rączkami i nóżkami, zamkniętymi oczami, pod kroplówką, zażarcie walczącego o życie zaciśniętymi piąstkami wielkości pączków róż. Mario wypełnia dni życia chłopca taką ilością miłości, jaką potrafi w sobie znaleźć. Stał się dla niego osobistym motywatorem, komikiem i kaznodzieją, zabiera go na różne eskapady, opowiada mu o niezwykłościach i osobliwościach maszyn elektrycznych, o tym, że hodowla koni i psów wymaga rozsądku i wrażliwości, a także o wiejskich korzeniach rodziny Sepúlvedów wywodzącej się od *huasos*,

chilijskich kowbojów, którzy jeździli konno w ponchach. Elvira często ma okazję patrzeć, jak jej mąż i syn jeżdżą razem konno, kopią piłkę albo siedzą przed telewizorem i zahipnotyzowani po raz kolejny oglądają film o ojcostwie, lojalności i wojnie: *Waleczne serce*, ulubiony film Maria. Mario jest wielkim fanem Mela Gibsona.

– Bo ja i mój syn nie jesteśmy wysocy, tak jak Mel Gibson – mawia.

Dzieło, za które Gibson dostał Oscara, po hiszpańsku nosi tytuł *Corazón valiente*. „Twoje serce jest wolne – mówią w filmie. – Miej odwagę pójść za jego głosem”.

Mario powiedział swojemu synowi: „Jestem twoim *Corazón valiente*”, a teraz chilijski górnik „waleczne serce” pojawia się w telewizji. Najpierw w postaci zdjęcia z identyfikatora, a potem, ku wielkiemu zaskoczeniu Elviry, na wideo, w którym mówi do kamery, śmieje się, jest Perrim.

– Jedyne materiały filmowe, którymi dysponujemy, to filmy nagrane przez Maria Sepúlvedę – mówią w telewizji. Mario uwielbia filmować różne rzeczy i na ekranie teraz widać, jak opisuje prycze w hotelu robotniczym, w którym nocuje ze swoimi kolegami spoza miasta podczas siedmiu dni spędzanych w Copiapó.

Elvira jedzie na lotnisko, żeby polecieć do miasta, w którym nigdy wcześniej nie była. Po południu przelatuje nad południowym krańcem pustyni Atakama ze swoim zapłakanym synem, który nie potrafi przestać mówić, jak bardzo brakuje mu ojca, a także z córką, która znalazła się kiedyś na pogotowiu, ponieważ uwierzyła w sen, który wydawał się obłąkany, ale teraz nabrał realnych kształtów w świecie jawy, w obrazach i słowach transmitowanych i powtarzanych przez wszystkie stacje telewizyjne i radiowe wokół Elviry, która wysiadła z samolotu i spowija ją światło pustynnej zimy: „Mario Sepúlveda Espinace, ojciec dwójki dzieci, prawdopodobnie zginął w kopalni San José”.

ROZDZIAŁ 4

„JESTEM WIECZNIE GŁODNY”

Uwięzieni mężczyźni w końcu odwracają się plecami do skalnej kurtyny, która odgradza ich od powierzchni. Dzielą się na dwie grupy. Pierwsza, mniej liczna, postanawia poszukać przejścia na powierzchnię w labiryncie przecinających się chodników i wyrobisk. Jest ich ośmiu, ruszają w stronę jednego z wydrążonych w skale okrągłych szybów łączących różne poziomy Rampy. Główną funkcją szybów jest wentylacja, ale powinny się tam znajdować również drabiny, żeby można było przechodzić na inne poziomy. Teoretycznie jest możliwe pokonanie około dziesięciu takich odcinków i wydostanie się z zawalonej części kopalni, ale w praktyce tylko w kilku szybach zamontowano drabiny, dlatego *los niños* nie mają zbyt dużej nadziei, że uda im się wydostać na górę. Mimo to wyruszają do najbliższego szybu, który znajduje się niedaleko od nich, na poziomie sto osiemdziesiąt.

Druga, znacznie liczniejsza grupa składająca się z dwudziestu kilku górników wraca do Schronu, żeby tam czekać. Schodzą w stronę furgonetki osobowej. Kiedy się rozdzielają, Florencio Ávalos, sztygar i zastępca szefa zmiany, bierze Yonniego Barriosa na stronę.

– Zaopiekuj się tam, w Schronie, szafką z prowiantem – mówi mu. – Na razie nie pozwól *los niños* go jeść, bo możemy tutaj tkwić przez wiele

dni.

Florencio mówi ściszonym głosem, bo nie chce siać paniki. Wybiera Yonniego jako najstarszego i najbardziej doświadczonego w drugiej grupie, a także dlatego, że Barrios jest człowiekiem, który posłusznie wykona każde polecenie.

– Yonni, ufam ci i chcę, żebyś się zaopiekował tą szafką. Proszę cię, nie pozwól nikomu jej otwierać, dopóki nie wrócimy.

Carlos Mamani, emigrant z Boliwii, dołącza do grupy maszerujących mężczyzn i zdaje sobie sprawę, jak bardzo by mu się przydała lampa, którą zostawił w szafce na powierzchni. Jego zwierzchnik, który sprawdzał, jak Carlos obsługuje ładowarkę Volvo L120, powiedział, że to nic pilnego, że weźmie lampę podczas przerwy obiadowej. Teraz Mamani będzie musiał przezwyciężyć swój wrodzony strach przed ciemnością, ponieważ bez lampy będzie mu ona towarzyszyć przez cały czas. Schodzący na dół mężczyźni rozluźniają szyki i Carlos znajduje się w strefie mroku, kroczy niepewnie między ciemnymi kształtami porozrzucanych na szosie głazów, podnosi wzrok, żeby móc się kierować stożkami światła, które dobywa się z kasków pozostałych górników. W końcu docierają do furgonetki osobowej, Carlos wskakuje do tyłu i zjeżdżają do Schronu.

Po przybyciu na miejsce i szybkim zbadaniu okolicznych chodników górnicy zauważają, że wszystkie połączenia z powierzchnią zostały zerwane: elektryczność, łączność, dostawy wody i sprężonego powietrza. Jest to bardzo zły znak, ale wśród zasypanych – szczególnie tych z mniejszym doświadczeniem w górnictwie głębinowym – nadal są tacy, którzy sądzą, że zostaną uratowani w ciągu doby, a może nawet kilku godzin. Te pierwsze godziny powoli mijają urozmaicane burczeniem pustych żołądków (górnicy nie zdążyli przecież zjeść obiadu) i nieustannym grzmotem kamieni, które spadają gdzieś w czarnych przestrzeniach poza

zasięgiem słabego, ciepłego światła czołówek, które wielu górników teraz wyłącza, żeby oszczędzać baterie. Kiedy jesteś głodny, czekanie na jedzenie jest męką, zwłaszcza jeżeli siedzisz w pomieszczeniu z szafką pełną jedzenia, zapasem kalorii pilnowanym przez dosyć strachliwego górnika w średnim wieku. Yonni Barrios, mężczyzna, który nie umie się postawić żadnej z dwóch kobiet w swoim życiu, teraz ma za zadanie powstrzymać głodnych mężczyzn od zjedzenia na obiad awaryjnego prowiantu.

Nowa ekspedycja poszukująca drogi na powierzchnię zaczyna się od tego, że jeden z górników podjeżdża wyposażonym w długi wysięgnik i podest podnośnikiem jumbo pod wylot szybu. Sprzęt ten jest zazwyczaj używany do wzmacniania stropów, a także do wiercenia w skale otworów strzałowych. Mario Sepúlveda wchodzi na podest i zostaje podniesiony pod otwór w stropie. W jego ślady idzie Raúl Bustos, mechanik z portowego miasta Talcahuano. Szef zmiany Luis Urzúa uważa, że wspinanie się szybem jest niebezpieczne i bezużyteczne, dlatego bez większego przekonania próbuje odwieść kolegów od tego pomysłu.

– Wchodzenie do tego szybu nie mogło się udać. Ci ludzie w ogóle nie myśleli o bezpieczeństwie. Co ciekawe, ci, którzy poszli pierwsi, nie byli prawdziwymi górnikami – powie później Luis, mając na myśli Sepúlvedę i Bustosa, z których żaden nie pochodził z rodziny górniczej.

Urzúa szybko jednak traci autorytet wśród górników, którzy nie chcą biernie czekać na ratunek. Sepúlveda wsuwa głowę do otworu o średnicy dwóch metrów i zaskoczony dostrzega tam drabinę zrobioną z wpuszczonych w skałę odcinków zbrojeniowego pręta. Zaczyna się po niej wspinać, licząc na to, że znajdzie drogę do wyjścia. Po paru minutach zdaje sobie sprawę, że jest za ciężki na takie eskapady, ale idzie dalej. Do następnego poziomu jest około trzydziestu metrów, a kąt nachylenia otworu rośnie. Smak kurzu i spalin powoduje, że trudno się oddycha. Za Mariem

i Raúlem idzie dwóch innych górników – Florencio Ávalos i Carlos Barrios, dwudziestosiedmiolatek, którego dziewczyna jeszcze mu nie powiedziała, że nosi w brzuchu jego dziecko. Ściany są śliskie od wilgoci, a czterech górników szybko zaczyna zalewać pot. W połowie długości szybu jeden z metalowych szczebli się odłamuje, a kiedy Sepúlveda go chwyta, pręt zbrojeniowy uderza go w przednie zęby, zalewając mu usta krwią. Mario kręci głową z bólu, ale wspina się dalej.

Raúl Bustos, który słyszy, że Sepúlveda ciężko oddycha, wspina się za nim do momentu, gdy obluzowuje spory kawał skały – czuje, że kamień się rusza, i przyciska go ramieniem do ściany szybu, żeby nie spadł.

– Uciekajcie na dół! Uciekajcie na dół! – krzyczy do dwóch mężczyzn poniżej. Napiera na kamień rękami, stopami i głową, kiedy Ávalos i Barrios czmychają na dno szybu. Kiedy są już bezpieczni, Raúl pozwala głazowi spaść: po drodze kamień kilka razy uderza z hukiem o ściany szybu i ląduje na Rampie, nie robiąc nikomu krzywdy.

Sepúlveda dociera na górę szybu, świeci swoją lampą w ciemności i widzi, że leży tutaj więcej głazów niż na poprzednim poziomie Rampy. Mario wstaje i kiedy Raúl w końcu dociera do końca szybu, zaczynają obaj iść w górę Rampy, mając nadzieję, że gdy pokonają kolejną pętlę spirali, droga na górę okaże się otwarta. Tymczasem snopy świateł ich lamp czołowych natrafiają na błyszczącą, gładką powierzchnię: diorytową kurtynę identyczną jak ta, która blokuje Rampę poziom niżej. Mario czuje, że opuszcza go nadzieja i zostaje tylko ostry, zimny obraz sytuacji: jest uwięziony pod ziemią, nagle i nieoczekiwanie bliski śmierci, ale nadal ma władzę nad swoim losem.

– W tym momencie powitałem śmierć w swojej głowie i uznałem, że mogę z nią żyć – powie później.

Schodzą na dół, mijają wylot szybu, którym dopiero co się wspięli, pokonują kolejną pętlę spirali i widzą tę samą szarą „gilotynę”, która blokuje drogę. Szukają kolejnego szybu, który by ich zaprowadził na wyższy poziom, ale po znalezieniu go widzą, że wewnątrz nie ma drabiny, tylko luźno zwisający kabel.

– Tędy nie da rady – mówi Sepúlveda do Bustosa. – Co powiemy *los niños*?

– Jest ciężko, jednak trzeba im powiedzieć prawdę – odpowiada Raúl.

Na dnie pierwszego szybu Sepúlveda i Bustos przekazują złą wiadomość czekającej tam na nich niewielkiej grupie kolegów: Rampa jest zablokowana również na innych poziomach. Z kopalni nie ma wyjścia.

Słysząc to, wszyscy myślą: „Co teraz?”. Patrzą na głównodowodzącego Luisa Urzúę. Szef zmiany nic nie mówi. Normalnie jest najbardziej wyluzowanym i optymistycznym z szefów, ale teraz wygląda na zgaszonego i zdruzgotanego. Źrenice jego zielonych oczu poruszają się nerwowo, uciekają przed wzrokiem podwładnych, którzy czują, że Urzúa wolałby nie być szefem zmiany, że najchętniej roztopiłby się w tle i stał się jednym ze zwykłych górników. Wielu z nich, zwłaszcza starszych, doszło do przekonania, że w pierwszych godzinach po wypadku „szef zmiany zniknął”. Bulwersuje ich to i uważają, że górnicza hierarchia ma jakiś cel, szczególnie w sytuacjach kryzysowych. Zasypana kopalnia jest jak statek podczas sztormu: kapitan musi przejąć stery. Tymczasem kilku górników twierdzi, że Urzúa oddzielił się od grupy, wsiadł do swojego pikapa i położył się na przednim siedzeniu.

Urzúa z wykształcenia jest topografem, dzięki temu nosi w głowie mapę kopalni, i wie, że nic się nie da zrobić.

– Mój problem jako *jefe del turno* polegał na tym, że zdawałem sobie sprawę, że mamy przesrane – powie później. – Florencio i ja byliśmy o tym

przekonani, ale nie mogliśmy nikomu powiedzieć. Mieliśmy całkowicie związane ręce. A w takiej sytuacji człowiek zaczyna myśleć o różnych rzeczach, które są częścią górniczych realiów.

Górnicze realia są takie, że czasem górnicy zostają żywcem pogrzebani i w końcu umierają z głodu, szanse na to zaś, że ich ciała zostaną kiedykolwiek znalezione, są niewielkie. Chilijskie realia górnicze są jeszcze okrutniejsze: jeżeli ratownicy nie znajdą zasypanych w ciągu tygodnia, rezygnują z dalszych działań. Urzúa o tym wie, ale wie również, że gdyby podzielił się tą smutną prawdą z kolegami, zasiałby wśród nich panikę. Najważniejsza lekcja, którą wyniósł z niedawno odbytego kursu „Reagowanie w krytycznych sytuacjach górniczych", była następująca: należy zachować spokój. Jedyne, co można zrobić, to czekać – najprawdopodobniej na jakąś próbę dowiercenia się do nich od góry, co w gruncie rzeczy stanowiło ich jedyną nadzieję. Ale jak można zmotywować ludzi do czekania, do bezczynności? Nie można. Tak to w tym momencie widzi Urzúa. Wykonał w głowie obliczenia i uświadomił sobie, że dotarcie do górników od góry wymagałoby dokonania wiertniczego osiągnięcia niespotykanego dotąd w dziejach górnictwa. Luis chciałby powiedzieć kolegom coś, co dodałoby im nadziei, ale nie może, ponieważ nie chce kłamać. Tak więc milczy. Skoro jego zadaniem jest bezpieczne wydostanie ludzi na powierzchnię, to tak naprawdę może zrobić tylko jedno: powstrzymywać ich od różnych głupich i pochopnych działań, takich jak próba wspinania się po naszpikowanej obluzowanymi głazami ścianie wyrobiska Pieczary. Lepszą opcją jest czekanie.

– Po prostu zachowaj spokój – powtarza sobie, bardzo się starając nie okazywać wobec podwładnych rozpaczy, która go ogarnęła.

W spokojnej chwili, kiedy będą już czekali na ratunek – który do nich dotrze albo nie dotrze – Sepúlveda powie szefowi zmiany, jak bardzo

podziwia jego opanowanie w tej sytuacji.

– Luis Urzúa ma problemy z komunikowaniem się, nie umie wyrażać emocji – powie później Sepúlveda. – Ale jest bardzo inteligentny i mądry.

Urzúa postanowił, że kiedy dotrze do Schronu i zgromadzi wokół siebie wszystkich członków porannej szychty A, ogłosi, że nie jest już ich szefem, że jadą teraz na tym samym wózku i powinni podejmować decyzje wspólnie.

Sepúlveda zupełnie inaczej reaguje na ponurą sytuację, w której znaleźli się górnicy. Swoją postawę podsumowuje później wulgarnym chilijskim zwrotem *tomar la hueva*, który oznacza „chwytanie [byka] za jaja”. Jego dotychczasowe życie było nieustanną walką o przetrwanie i w pewnym sensie Mario czuje się najlepiej właśnie w chwilach, kiedy musi walczyć o życie.

Matka Maria zmarła przy jego porodzie i on uważa, że urodził się w boju. Dorastał w mieście Parral na południu Chile (miejscu urodzenia poety Pabla Nerudy), z dziesięciorgiem braci i sióstr, jako syn chłopa, który pokiereszował psychikę synów swoim pijaństwem i złym traktowaniem, przy czym znaczną część swojego gniewu kierował na „hiperkinetycznego”, jak on sam się określa, Maria:

– Kiedy miałem dwanaście lat, byłem taki hiper, że ludzie się mnie bali. Żaden z krewnych nie chciał się mną zaopiekować.

Dzisiaj u takiego chłopca zdiagnozowano by zapewne ADHD i wypisano lek, który zatrzymałby rozpierającą go energię. Tymczasem ojciec Maria próbował wybić z niego tę energię za pomocą pasa. Przeciwwagą dla tych regularnych lań była spokojna i dostojna obecność dziadka Maria, *huaso*, który wpajał mu chilijski etos pracy, a także szacunek dla tradycji i uczciwości. W wieku trzynastu lat Mario zaczął pracować w Parral i okolicy, a jako dziewiętnastolatek wyjechał do

Santiago. Młodszych braci – synów jego macochy – zostawił bez ochrony przed wściekłością ojca.

– Wrócę do was – powiedział José, Davidowi, Pablowi i Fabiánowi.

I dotrzymał obietnicy. Znalazł pracę *barrendero*, zamiatacza, w stołecznej firmie i zamieszkał w *barrio*, sąsiedztwie, w którym dał się poznać jako zuchwały uliczny pięściarz, a jego agresywność szybko ustąpiła miejsca uroczej oficjalności prowincjusza. W ciągu dnia zamiatał podłogi, a wieczorami wkładał marynarki i dzwony inspirowany postacią odgrywaną przez Johna Travoltę w filmie *Gorączka sobotniej nocy*. Zakochał się w młodej kobiecie, która miała na imię Elvira i wolała glamrockowy styl wczesnej Madonny i Sheili E. Elvira pamięta młodego Maria jako człowieka o zmiennych nastrojach, szybko wpadającego w gniew, ale również szybko wybaczającego. Był także sentymentalny i otwarcie mówił o swoich uczuciach, co jest rzadką cechą u mężczyzn gorącej krwi. Jednym słowem, charakteryzowała go swoista nieokrzesana szlachetność. Istnieje pewne chilijskie określenie, które dobrze opisuje jego sposób życia, a którym Mario często się posługuje: *tirar para arriba*, co dosłownie znaczy „rzucać do góry”, ale najczęściej jest tłumaczone jako „przezwyciężać przeciwności”. Nieustannie pnąc się w górę, Mario uzupełniał swoje CV o nowe kwalifikacje, między innymi operatora ciężkiego sprzętu, i zawsze zapewniał utrzymanie Elvirze i dwójce dzieci, nawet jeżeli oznaczało to konieczność wyjazdu na drugi koniec Chile w poszukiwaniu pracy: z pustyni Atakama na północy do położonego na południu portu Puerto Montt, bramy do chilijskiej Patagonii i Cieśniny Magellana.

Dzięki swoim krótko ostrzyżonym włosom Mario zyskał w swojej dzielnicy przydomek Kiwi, ale te same włosy, spod których spozierają jego piwne oczy, nadały mu groźny wygląd awanturnika. Dla jego kolegów

górników z San José często wyglądał jak opętany – nawet w zwykły dzień pracy. Teraz, mimo niskiej pozycji w górniczej hierarchii, opętany Perri próbuje przejąć kontrolę nad swoim losem i otaczającymi go ludźmi za pomocą swojego optymizmu, zdartego głosu, instynktu samozachowawczego bezpańskiego psa i lojalności wobec bliskich.

– *Yo lo único que hago es vivir* – mówi. – Jedyne, co robię, to żyję.

Wraz z innymi członkami nieudanej ekspedycji poszukującej drogi do wyjścia wraca do Schronu. Nikt z nich nie ma pojęcia, że rozgrywa się tam dramat. Pora zakończenia szychty A już dawno minęła i niektórzy z dwudziestu pięciu górników są bardzo głodni.

– Musimy się do niej włamać! – woła jeden z nich. – *¡Tenemos hambre!* Jesteśmy głodni!

W szafie pancernej, wokół której się zebrali, powinien być prowiant wystarczający do wyżywienia dwudziestu pięciu osób przez dwie doby. Wielu górników nie jadło śniadania, żeby ograniczyć ryzyko wymiotów na skutek pracy w wysokiej temperaturze i wypełnionym pyłem wilgotnym powietrzu. Mniej więcej o tej porze normalnie są już w domu i siedzą przy stole, a ich żony, kochanki i matki przynoszą z kuchni jedzenie. Kilku z nich mówi, że powinni zaczekać na powrót szefa zmiany i innych. Yonni Barrios swoim cichym, łagodnym głosem przedstawia inny argument:

– Musimy zaczekać, bo nie wiemy, jak długo będziemy na dole.

Niektórzy górnicy zdjęli kombinezony, bo zrobiło im się za gorąco. Tak roznegliżowani i zlani potem zaczynają się przyglądać zamkniętej na cztery spusty szafce.

Pozbawiony jakiejkolwiek agresji Yonni widzi, że powstrzymanie tych wygłodniałych ludzi będzie niemożliwe.

– Było ich po prostu za dużo – powie później.

Żaden z kolegów nie przypomina sobie jednak, żeby Yonni podejmował jakieś próby powstrzymania Víctora Zamory i innego górnika, kiedy wzięli do ręki śrubokręty i zaczęli podważać zawiasy szafki i zrywać trzy owinięte wokół niej aluminiowe taśmy, które pełniły funkcję swoistych pasów cnoty.

Wrażenie najbardziej zdeterminowanego sprawia Zamora: uderzenie w usta i utrata zębów dodatkowo zepsuły mu nastrój.

– *¡Siempre ando con hambre!* Jestem wiecznie głodny! – krzyczy, próbując otworzyć szafkę.

To, że na czele zamachu na prowiant stoi właśnie Víctor, z wielu powodów nie budzi zaskoczenia. Jest on wiecznym outsiderem, co sygnalizują między innymi tatuaże na jego przedramionach. Jeden z nich to portret Ernesta Che Guevary, wojowniczego świętego latynoamerykańskiej biedoty, inny przedstawia słowo „Arica". Zamora urodził się i wychował w tym mieście, które Chile zabrało Peru podczas dziewiętnastowiecznej wojny pacyficznej i które cechuje klimat określany przez niektórych jako inkaski. W niektórych materiałach medialnych Víctor został błędnie określony jako Peruwiańczyk. Jeden z górników, który go nie lubi i mu nie ufa, lekceważąco woła na niego „*el peruanito*", mały Peruwiańczyk, chociaż wie, że Zamora w takim samym stopniu jest Chilijczykiem jak on sam.

Ojciec Zamory zmarł, kiedy chłopiec miał osiem miesięcy, a matka go porzuciła, „bo wolała swojego nowego kochanka". Víctora wychowywała siostra matki, ale kiedy miał dziewięć lat, wysłała go do schroniska dla dzieci ulicy w Arica, gdzie mieszkał z przerwami do szesnastego roku życia.

– Od małego chciałem mieć rodzinę, ale nigdy mi się to nie udało. Wszystko było w życiu dla innych, ja mogłem się załapać tylko na resztki, mieszkać na ulicy, spać pod mostem, umrzeć z głodu.

Temu ciężkiemu i samotnemu dzieciństwu Víctor zawdzięczał swój wielki życiowy spryt, a także świadomość potęgi miłości. Własnymi siłami wyszedł z biedy i został pewnym siebie dorosłym człowiekiem, którego poczucie wartości powoli wzrastało dzięki temu, że stopniowo wspinał się po szczeblach kariery w dziedzinie dostępnych mu prac, niewymagających kwalifikacji (najpierw zbierał na słońcu winogrona, a potem dźwigał belki na placach budowy), a także dlatego, że wywalczył sobie trwałe miejsce w sercu Jessiki Segovii, matki jego syna Artura. Jessicę poznał na ulicznej fieście, kiedy był wędrującym po świecie młodym człowiekiem, *gitiando*, żyjącym jak cygan. Víctor zajmuje się umacnianiem chodników, wbija stalowe kotwice w kamienne ściany. Praca ta służy mu, ponieważ jest dostatecznie męcząca, aby trochę poskromić tkwiącego w nim lwa, dzięki czemu po powrocie z kopalni rzadziej traci cierpliwość do Jessiki.

Jego dom znajduje się tuż pod Copiapó, w Tierra Amarilla. Są w nim niskie sufity, lekko popękane różowe ściany oraz wciśnięte do małej jadalni-salonu kanapa i stół. Víctor często podnosi głos i wypełnia to małe pomieszczenie brzydkimi słowami, które mogą przyjść do głowy mężczyźnie traktującemu rodzinę i związane z nią obowiązki jak pułapkę, a nie wartość. Jest człowiekiem wybuchowym i nienawidzi się za to. Kłóci się również ze swoim bratem, który często rani Víctora najbardziej dotkliwymi słowami, jakie według niego istnieją na tym świecie:

– Nie jesteś moim prawdziwym bratem, a moja matka nie jest twoją matką.

Ma absolutną rację, ponieważ „matka” Víctora tak naprawdę jest jego ciotką, a jego „brat” tak naprawdę jest jego kuzynem. Obdarzony poetycką wrażliwością Víctor opisuje swoją osobowość za pomocą kilku starannie dobranych słów: określa ją jako *polvorilla*, wybuchową jak proch

strzelniczy i podatną na *descontroles*, utratę kontroli – często bowiem traci panowanie nad sobą i swoimi emocjami.

– Bo rodzina to nie same szczęśliwe chwile – mawia.

Víctor Zamora kocha swoją górniczą rodzinę tak samo jak tę prawdziwą, ale w tym momencie, kiedy próbuje otworzyć szafę z awaryjnym prowiantem, nie myśli o tym, że jego poczynania mogą zaszkodzić jego podziemnym braciom. Kiedy się okazuje, że śrubokręt nie wystarczy, robi coś, na co mógłby wpaść w czasach, kiedy jako nastolatek próbował przeżyć na ulicach Arica: przynosi przecinak do metalu (to samo narzędzie, za którego pomocą tnie pręt zbrojeniowy dla swojej ekipy remontowej) i rozcina opasujące szafkę metalowe taśmy.

Zabiera się do przecinania kłódki, ale podchodzi do niego kierowca Franklin Lobos i mówi:

– Zaczekaj, mam klucz.

Lobos jest jednym z najwyższych i najsilniej zbudowanych górników znajdujących się w tej chwili pod ziemią. Swój pokaźny wzrost, którym kiedyś budził postrach na piłkarskim boisku, czasami wykorzystuje do postawienia na swoim. W takich momentach nagle zrzuca z siebie skórę niewadzącego nikomu człowieka, żeby wyrazić jakąś frustrację albo zaprotestować przeciwko panującemu w kopalni bałaganowi. Teraz Lobos uznaje jednak, że nie ma innego wyjścia, jak tylko skapitulować przed głodnymi kolegami.

– Nie chciałem się bić z całą ich bandą. Byliśmy w takim stanie, że walka nie miałaby żadnego sensu – powie później.

Ta sama myśl miała się często pojawiać w głowach innych górników, kiedy rodziły się między nimi konflikty i nieporozumienia: mam ochotę walnąć tego *huevón*, kretyna, ale nie chcę opiekować się pod ziemią górnikiem ze złamaną szczęką albo krwawiącą raną.

Lobos otwiera szafkę i oczom zbuntowanych górników ukazuje się główny obiekt ich pożądania: ciastka, które nazywają się Cartoons, tak naprawdę są to słodycze dla dzieci, markizy z kremem czekoladowym i cytrynowym, które dają się łatwo przełamać na pół – w sumie kilkadziesiąt opakowań.

– Nie wydawało się, że jest tego aż tak dużo – wspomina później Zamora. W świecie na powierzchni jedno opakowanie tych ciastek można kupić za sto chilijskich peso, czyli mniej niż ćwierć dolara. W każdym opakowaniu są cztery ciastka. Zamora zaczyna je rozdawać, lecz wielu górników nie chce brać.

Víctor powie później, że nie zastanawiał się nad tym, co robił:

– Po prostu byłem głodny. Przyszedł czas coś zjeść. Nie przywiązywałem do tego zbyt wielkiej wagi.

Otwierają też kilka kartonów z mlekiem. Prowiantem raczy się około dziesięciu z dwudziestu kilku przebywających w Schronie górników, każdy z nich bierze co najmniej jedno opakowanie ciastek i wypijają na spółkę dwa litry mleka.

– To byli ci z północy – mówi później jeden z południowców. – Myśleli tylko o ratowaniu własnej skóry. Nowicjusze. Chcieli zjeść wszystko od razu. Nie pomyśleli, że możemy być uwięzieni tak długo.

Jeden z górników wspominał później, że słuchał, jak złodzieje prowiantu jedzą w ciemnościach, siedząc w kącie Schronu przy wyłączonych lampach, tak jakby wstydzili się swojego głodu, ale trzask plastiku i mlaskanie wypełniały całe pomieszczenie, więc odgłosy ucztowania słyszeli również górnicy, którzy nie jedli.

Kiedy Luis Urzúa i inni członkowie nieudanej ekspedycji zjawiają się w Schronie, ich oczom ukazuje się chaotyczna scena. Widzą otwartą szafkę

i leżące obok niej przecięte aluminiowe taśmy. Zbierają z podłogi opakowania po ciastkach i doliczają się dziesięciu.

– Na tym, co właśnie zjedliście, mogliśmy tutaj przeżyć trzy dni – mówi Florencio Ávalos. – No dobra, niech ci, co zjedli, przynajmniej coś z tego mają… Niech im to dobrze służy.

Nastrój nagle się zmienia, kiedy członkowie ekspedycji ujawniają prawdę, którą poznali w wyższych partiach kopalni: są uwięzieni, nie ma drogi ucieczki ani łatwego sposobu na dotarcie ratowników. Mówią to poważnym, skupionym i przejętym tonem, który zaskakuje wielu górników w Schronie.

– Co wy robicie? – pyta Mario Sepúlveda pełnym pretensji, paternalistycznym tonem, którego mógłby użyć wobec jednego ze swoich psów. – Nie zdajecie sobie sprawy, że możemy tutaj tkwić przez wiele dni albo tygodni?

Na początku nikt się nie przyznaje do przestępstwa uszczuplenia zapasów. Zresztą żaden z członków nieudanej ekspedycji nie żąda ujawnienia winowajców, ponieważ w tej chwili w Schronie panuje spore zamieszanie. Kilka osób dopiero znacznie później dowie się o splądrowaniu szafki z prowiantem. Sprawa ta przez jakiś czas będzie leżała na sumieniu winnych górników. Víctor Zamora, dla wielu główny sprawca, spogląda na twarze kolegów i współbiesiadników i po raz pierwszy uświadamia sobie wagę tego, co się stało z zapieczętowaną szafką w tym wykładanym białymi płytkami pomieszczeniu. Nie odzywa się i długo nie powie ani słowa o tym, co zrobił.

Mario Sepúlveda i Raúl Bustos zaczynają relacjonować swoją wspinaczkę na górę. Sepúlveda klęka i rysuje na ziemi układ zatarasowanej Rampy i szybu z drabiną. Używa wobec kolegów pieszczotliwego, często stosowanego między mężczyznami słowa: *chiquillos*, dzieci.

– Tak więc, *chiquillos*, nawet jeżeli spojrzymy na to superoptymistycznie, to w najbardziej delikatnych słowach trzeba stwierdzić, że siedzimy po uszy w gównie. Jedyne, co możemy zrobić, to być silni, superzdyscyplinowani i solidarni.

Po tym *exposé* Sepúlvedy zapada cisza, którą przerywa Luis Urzúa, wygłaszając swoje oświadczenie:

– Zważywszy na okoliczności, wszyscy jesteśmy teraz równi. Zdejmuję biały kask. Nie ma szefów i pracowników.

Zrzuca z siebie odpowiedzialność szefa zmiany, *jefe del turno*. Kilka minut wcześniej, podczas marszu od szybu wentylacyjnego do Schronu, Urzúa zapowiedział innym członkom ekspedycji, że to zrobi, i dotrzymał słowa, chociaż inni próbowali go odwieść od tej decyzji.

– Musimy wspólnie postanowić, co zrobimy – mówi Urzúa. Chce im w ten sposób powiedzieć, że powinni być solidarni, „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”, ale niektórzy odbierają jego krótką przemowę i egalitaryzm jako wyraz słabości w obliczu wyzwania: mają poczucie, że człowiek, który powinien wziąć sprawy w swoje ręce, nie stanął na wysokości zadania.

– Luis Urzúa czasami mówi różne rzeczy bez ich uprzedniego przemyślenia – oceni później Raúl Bustos.

Bustos ma poczucie, że w tej podziemnej pieczarze tli się tłumiona anarchia. Pięć miesięcy wcześniej był świadkiem, jak anarchia zapanowała w jego rodzinnym mieście Talcahuano po przejściu tsunami i trzęsieniu ziemi, a on sam o mało nie został pobity pod okradaną apteką. Podobnie jak klęski żywiołowe zawał może doprowadzić do rozpadu codziennego porządku i zakwestionowania kopalnianej hierarchii. Bustos obawia się, że najsilniejsi i najbardziej zdesperowani zaczną wykorzystywać słabszych, a w podziemnych korytarzach zapanuje logika ulicy. „W końcu jest wśród

nich kilku ludzi, którzy mają za sobą odsiadki za bójki w barach i tego typu sprawy, każdy z tych mężczyzn jest potencjalnym samcem alfa”, myśli sobie.

– W każdej chwili mogli się zwrócić przeciwko Urzúi, gdybyśmy go nie poparli – wytłumaczy później.

Urzúa wygłasza swoją przemowę, po której tworzy się swego rodzaju próżnia. Próbują ją wypełnić inni członkowie ekspedycji szukający drogi ucieczki: Mario Sepúlveda, sztygar Florencio Ávalos i Juan Carlos Aguilar, nadzorca mechaników zatrudnionych w firmie zewnętrznej.

– *Jefe del turno* ma rację – mówią. – Musimy trzymać się razem.

Z głosu Aguilara przebija autorytet i wiedza.

– Sytuacja nie jest dobra – podkreśla – ale możemy się przygotować na różne rzeczy.

Po pierwsze, muszą zadbać o wodę, ponieważ ta woda, dzięki której mogły funkcjonować maszyny i cała kopalnia, teraz im pozwoli utrzymać się przy życiu. Oczywiście muszą również reglamentować żywność, każdego dnia zjadać najmniej, jak to tylko możliwe, żeby prowiantu wystarczyło jak najdłużej. Pozostaje tylko ustalić, jak to konkretnie zrobić. Pod kierunkiem Sepúlvedy robią inwentaryzację tego, co jest (i było) w szafce z awaryjnym prowiantem: jedna puszka łososia, jedna puszka brzoskwiń, jedna puszka zielonego groszku, osiemnaście puszek tuńczyka, dwadzieścia cztery litry skondensowanego mleka (osiem się zepsuło), dziewięćdziesiąt trzy paczki ciastek (około piętnastu zostało zjedzonych) i trochę lekarstw z przekroczonym terminem przydatności. Nie bardzo wiadomo po co, ale jest także dwieście czterdzieści plastikowych łyżek i widelców, natomiast wody zostało tylko dziesięć butelek, co jeszcze bardziej uwydatnia bezmyślność górników. Nie umrą jednak z pragnienia, ponieważ w dużym zbiorniku w pobliżu jest woda użytkowa stosowana do

chłodzenia maszyn i chociaż zapewne przedostało się do niej trochę oleju, prawdopodobnie nadaje się do spożycia. Trzeba rozdzielić ciastka i puszki z tuńczykiem: jeżeli każdy będzie zjadał dwa herbatniki i łyżkę tuńczyka dziennie, zapasów starczy na mniej więcej tydzień. Wkładają prowiant z powrotem do szafki i zamykają ją na kłódkę. Urzúa daje klucz na przechowanie Sepúlvedzie.

Jednak ilu ich dokładnie jest? Urzúa znowu liczy i porównuje wynik z listą obecności, którą ma w głowie.

– Trzydzieści jeden, trzydzieści dwa, trzydzieści trzy… Jest nas trzydziestu trzech – oświadcza.

– Trzydziestu trzech?! – krzyczy Sepúlveda. – To wiek Chrystusa! *¡La edad de Cristo!* Kurdę!

Zwrot ten powtarza kilku innych mężczyzn, między innymi Aguilar i Lobos. „*¡La edad de Cristo!*”, krzyczą. Nawet dla ludzi nieszczególnie religijnych, zwłaszcza dla tych, którzy osiągnęli lub przekroczyli ten wiek, liczba ta ma jakieś niesamowite znaczenie. Trzydzieści trzy, wiek ukrzyżowanego proroka. Ta liczba i imię wiszą przez chwilę między nimi, ten zbieg okoliczności jest zarazem trywialny i przerażający. Powinno ich być szesnastu albo siedemnastu, ale dochodzą wszyscy ci, którzy wyrabiają nadgodziny albo odrabiają nieobecności. Jest ich dwa razy więcej, niż powinno, tak wielu, że żaden nie zna wszystkich pozostałych. Trzydziestu trzech. Jak to możliwe?

Sepúlveda w końcu się odzywa, ponieważ w oczach ludzi wokół siebie widzi zamęt i strach:

– *Somos treinta y tres*. Jest nas trzydziestu trzech. To musi coś znaczyć. Na zewnątrz czeka na nas jakaś ważna misja.

Mówi to z gniewem ulicznego wojownika, którym kiedyś był, i z przekonaniem ojca, którym się stanie, z gniewem człowieka, który

widział kamienną ścianę i opróżnioną do połowy szafkę z prowiantem i który nie chce uwierzyć, że osiągnął kres swej życiowej podróży.

Jedna grupa wraca pod skałę na poziomie sto dziewięćdziesiąt, żeby przez znajdujące się tam szyby i wyrobiska nasłuchiwać za ratownikami, a potem zaczynają krzyczeć, żeby poinformować ludzi na powierzchni, że pod ziemią przeżyli górnicy. Są tak bardzo zajęci przesuwaniem skał, zapalaniem ognisk i innymi rzeczami, że przez parę dni nie mogą spać. Ale większość spośród trzydziestu trzech uwięzionych górników pozostaje w Schronie lub w jego pobliżu. Niektórzy boją się wyjść z tego pomieszczenia i przez kilka dni rzeczywiście w nim zostają, bo nie mogą zapomnieć, jak uciekali przed śmiercią wewnątrz zapadającej się, eksplodującej góry. Śpiąc za stalowymi drzwiami Schronu albo niedaleko nich, mogą przynajmniej udawać, że są w bezpiecznym miejscu.

– Pamiętacie tych meksykańskich górników żywcem pogrzebanych pod ziemią? – pyta jeden z mężczyzn. – Nad wejściem do tamtej kopalni powiesili tablicę z napisem: „Nie żyją, to jest ich grób”. Nawet im się nie chciało wydobywać ciał na powierzchnię.

– Nie kracz! – woła inny górnik. – Wszystkie rodziny są teraz na górze. Dopilnują, żeby nas znaleźli.

Ktoś mówi, że ratownicy mogą wykuć nową rampę, żeby do nich dotrzeć, może nawet z drugiej kopalni – San Antonio.

– Ale wydrążenie tej Rampy zajęło dziesięć lat – mówi Yonni Barrios, który już tak długo pracuje w San José. – Gdyby w ten sposób chcieli do nas dotrzeć, też by im to zajęło dziesięć lat.

– Może dałoby się wydostać po ścianie Pieczary – sugeruje inny górnik.

– Nie, to byłoby samobójstwo. To tak, jakby wspinać się po pionowej ścianie z luźnych głazów – protestuje kilku innych. – Albo spadniemy, albo zmiażdży nas głaz.

Jeden ze starszych górników mówi, że ratownicy mogą dotrzeć tylko w jeden sposób: muszą wydrążyć szyb. Mogą się dowiercić w ciągu kilku dni, spuścić jedzenie i wymyślić jakiś plan ratunkowy.

– No, może do nas dotrą za parę dni? – pyta ktoś z nadzieją.

– Nie – odpowiada inny górnik. – Widziałeś na górze wiertnicę, kiedy przyjechaliśmy rano do pracy? Trzeba ją sprowadzić z innej kopalni. Potem muszą zbudować dla niej podest. Minie co najmniej kilka dni, zanim zaczną.

Jest po dziesiątej wieczorem, kiedy ludzie zaczynają się rozchodzić po całym Schronie, żeby znaleźć miejsce do siedzenia albo leżenia. W tym momencie nie ma tam nic innego do roboty. Kilku robi sobie legowisko z tekturowych pudeł, w których kiedyś przechowywano środki wybuchowe, albo z otuliny rur, którymi pompowano świeże powietrze z powierzchni. W normalny dzień leżeliby w hotelu robotniczym w Copiapó – rozgrzani winem, piwem albo czymś mocniejszym – bądź też przysypiali w domach z żonami, kochankami i dziećmi. O tej porze, po dwunastu godzinach na nogach, pod ziemią, ich organizmy z reguły odmawiają posłuszeństwa, ulegają działaniu grawitacji, ogarnia ich senność. Dzisiaj jednak mogą odpocząć tylko na białej podłodze Schronu albo na piaszczystej powierzchni Rampy, wymieniając spojrzenia z innymi górnikami, wykończonymi, zdezorientowanymi, zagubionymi jak dzieci. Dziesięć lat na wydrążenie nowej rampy. Kilka dni, żeby usłyszeć odgłos wiercenia. Albo tylko cisza spowijająca ludzi, o których zapomniał świat, a skała tarasująca Rampę będzie płytą zamykającą ich grób. Kiedy nie zostaje już nic więcej do powiedzenia, szeroko otwierają oczy w ciemnościach i myślą o tym, jakie to okrutne i niesprawiedliwe, że się tutaj znaleźli, pośród tych innych spoconych, śmierdzących, wystraszonych mężczyzn.

Pospieszny rytm ich dnia pracy nadawał życiu jakiś porządek: o ósmej rano pod ziemię, o ósmej wieczorem z powrotem na powierzchnię, następnego dnia znowu do wnętrza góry przechowującej miedziany i złoty skarb, którego mikroskopijną część mogli zachować dla siebie w formie wypłaty. A teraz mogą tylko siedzieć bez ruchu, słuchać dochodzącego z rzadka do ich uszu dudnienia spadającej skały i zastanawiać się, czy do końca ich ziemskiej egzystencji już nic innego się nie wydarzy. Być może wszystkie przyjemności pracowitego, prostego życia pod Słońcem, Księżycem i Krzyżem Południa na nocnym niebie bezpowrotnie minęły. Tak wiele wspomnień pozostawionych w świecie ludzi niepogrzebanych: wrzucanie zerwanych winogron do skrzynek, wyszukiwanie wzrokiem ładnej nowej twarzy na spotkaniu rodzinnym, upijanie się z przyjaciółmi, chodzenie do barów w Copiapó, w których czekały na nich zawieszone pod sufitem lustrzane kule. Odbieranie czeku z wypłatą i powrót do domu o dziewiątej wieczorem, głosy małolatów zgromadzonych pod latarniami w położonych na pagórkach dzielnicach Copiapó, w zabarwionym na bursztynowo i szmaragdowo świetle. Świat zewnętrzny osunął się w czas przeszły, ponieważ teraz żyją w czasie teraźniejszym, w czasie wiecznej ciemności. Przeszłość to rodzinne patio, na którym mężczyźni spotykali się ze sobą, żeby podyskutować o tym, która drużyna piłkarska wygra ligowe rozgrywki, i omówić inne ważne, a zarazem rozrywkowe męskie tematy. Przeszłość to wychodzące na ogródki otwarte okna, grille i popękana skórka pieczonej kiełbaski. Przeszłość to sylwetki żon i kochanek w ciąży, poruszających się po salonach i kuchniach, tajemnica kobiecości ukryta w brzuchach pęczniejących od ich dzieci.

Dwóch górników czeka na narodziny dziecka. Ariel Ticona, dziarski dwudziestodziewięciolatek, ma już dwójkę potomstwa z tą samą dziewczyną. Richard Villarroel to wysoki mechanik, którego będąca

w ciąży *polola*, dziewczyna, ma na imię Dana i Richard mieszka z nią w Ovalle, kilka godzin jazdy na południe od Copiapó. Miejscowość ta jest uważana za Eden, położony pośród suchych, jałowych wzgórz raj pełen palm i strumieni. Dzisiaj jego dziewczyna jest w tej oazie brzemienną Ewą, podczas gdy on, jej Adam, utkwił w tej dziurze i płaci za ich niedawne bezeceństwa. Richard pamięta jej wydęty brzuch i pływające w środku dziecko, pamięta te pierwsze słabe kopnięcia, które poczuł, kiedy Dana przyłożyła jego dłoń do twardej skorupy swojej skóry. Ojciec Richarda, rybak, zmarł, kiedy chłopiec miał pięć lat – utonął w jeziorze w chilijskiej Patagonii, na całe życie zostawiając syna z chaosem w myślach. Jego owdowiała matka często się przeprowadzała, a jako nastolatek Richard zbuntował się przeciwko niej, co na krótki czas zaprowadziło go do więzienia, ponieważ był zły na niesprawiedliwy świat, który prawie całkiem pozbawił go wspomnień o ojcu. Było tak, jakby życie ojca zabrał piorun, i takie samo wrażenie będzie miał syn Richarda, jeżeli jego ojciec tutaj umrze. To dzieło przypadku, absurdalny figiel losu, ponieważ Richarda w ogóle nie powinno być pod ziemią. Zgłosił się do pracy naziemnej i ma świadomość, że kiedy matka zobaczy jego nazwisko na liście zaginionych, będzie zdezorientowana, ponieważ nie wie o tym, że jej syn pracuje pod ziemią. Zawisła nad nim myśl, że wkrótce zostawi swojemu synowi w spadku brak ojca, brak, którego sam zaznał – takie samo życie wypełnione tłumionym w sobie cierpieniem.

To jest właśnie najbardziej okrutne tego piątego sierpnia, w dniu, którego ostatnie minuty mijają w Schronie przy akompaniamencie odgłosów wiercących się na swoich zaimprowizowanych legowiskach mężczyzn: świadomość, że na zawsze porzucą ludzi, którzy ich kochają i nienawidzą, dla których są żywicielami i źródłem rozmaitych frustracji. Nie będzie ich, żeby się opiekować bliskimi i utrzymywać ich, dać się

nakarmić, wygadać, wysłuchać skarg teściowych czy przyjąć na siebie gniew nastoletnich dzieci. Nie będzie górników na uroczystości dla *la guagua*, nowo narodzonego dziecka, albo na cmentarzu, żeby położyć słoneczniki i aksamitki na grobach tych, którzy ich wychowywali na kogoś innego niż górników, na kogoś innego niż ludzie, którzy umrą taką śmiercią.

Omar Reygadas, operator ładowarki, który był na samym dole kopalni, kiedy się zawaliła, kilka dni wcześniej odwiedził cmentarz w Copiapó. Przez sklepioną bramę wszedł do tej nekropolii pełnej chylących się krzyży i sypiących nagrobków, z pobliskimi ciemnobrązowymi górami w tle. Jest wdowcem i w ciągu tego wolnego od pracy tygodnia poszedł na grób zmarłej żony, matki swoich dzieci, kobiety, którą porzucił. Poszedł też na sąsiedni grób dorosłego syna, który zginął w wypadku. Odwiedził również trawniki w parku El Pretil, gdzie pod drzewami pieprzowymi i eukaliptusami odbył się piknik na cześć jego siedmioletniego wnuka Nicolása.

– Były tam wszystkie moje dzieci, wnuki i prawnuki – mówi Omar.

Pojechał też do swoich braci do Vallenar, ich położonego godzinę drogi na południe od Copiapó rodzinnego miasta. A wszystko to podczas kilku dni odpoczynku, być może ostatnich w jego życiu. Kiedy Omar, który jest takim w wieku, że człowiek ma już skłonność do sentymentalizmu, przypomina sobie to wszystko, odnosi wrażenie, iż przebieg owych wydarzeń został ustalony z góry: dano mu szansę na pożegnanie się ze wszystkimi przed opuszczeniem tego świata. Jest to myśl zarazem pocieszająca i druzgocąca, ponieważ nakazuje pogodzić się z tym, że to już naprawdę koniec.

„Boże, jeżeli zamierzasz mnie teraz zabrać – myśli – to niech przynajmniej znajdą kiedyś moje ciało”. Zaczyna płakać.

– Nie wstydzę się przyznać, że dużo wtedy płakałem, bo wydawało mi się, że już nigdy nie zobaczę rodziny, i myślałem o cierpieniu tych wszystkich ludzi na zewnątrz – wyzna później.

Nie chce, żeby koledzy górnicy w Schronie widzieli, że jest załamany, dlatego wychodzi i oddala się od nich chodnikiem, naruszając kodeks górniczy, który mówi, że pod ziemią nie wolno nigdzie iść w pojedynkę. Ani bezpieczeństwo, ani przepisy nie mają już znaczenia. Omar idzie w dół, przyświecając sobie czołową lampą, i dociera do ładowarki, takiej jak ta, którą obsługiwał. Siada w kabinie, gdzie można spokojnie pomyśleć, ale po kilku minutach przypomina sobie moment katastrofy. Spadły całe tony skały, a przecież „nikomu nic się nie stało, nikt nie został nawet zadraśnięty”. To prawda, że trzydziestu trzech ludzi jest zasypanych pod ziemią, dręczą ich lęki i wspomnienia, ale żyją. Omar uświadamia sobie, że ten nieprawdopodobny fakt, iż przeżyli, również sugeruje boską interwencję. To, że przeżyli w tej jamie, wskazuje na istnienie wyższej siły, która ma dla tych wszystkich ludzi jakieś zadanie. Postanawia wrócić do Schronu, zwalczyć swoje lęki i być silny, a nie słaby. Myśli, że jeżeli uda mu się przekazać trochę tej siły innym górnikom, wyniknie z tego coś dobrego. A jeżeli wszystko to jest częścią planu Stwórcy, to może jego modlitwy, myśli i pragnienia dotrą na powierzchnię i wzmocnią ludzi, którzy go kochają. Oni na pewno cierpią, zadają sobie pytanie, czy Omar i trzydziestu dwóch innych górników nadal żyją.

ROZDZIAŁ 5

CZERWONY ALARM!

Darío Segovia, górnik, który pożegnał swoją dziewczynę długim, milczącym uściskiem, niewiele się odzywał w czasie tych nocnych godzin spędzonych w Schronie. Jego szorstkie policzki są głęboko pobrużdżone i Darío pozwala swojej ekspresyjnej twarzy mówić w jego imieniu: „Jestem zdeterminowany”, albo nadaje swoim statecznym zazwyczaj brwiom wyraz niemego zatroskania. Podczas pierwszej doby spędzonej w podziemnej pułapce jego zmarszczone czoło mówi jednoznacznie: „Jestem zagubiony i boję się”. Zawsze był człowiekiem małomównym, o czym może zaświadczyć jego starsza siostra María. Kiedy była dzieckiem, przez wiele lat opiekowała się swoim braciszkiem i czwórką pozostałego rodzeństwa i podobnie jak reszta rodziny Segoviów zwraca się do niego jego drugim imieniem – Arturo. Jako nastolatek Darío pracował w kopalni, nosił kamienie w zawieszonym na szyi skórzanym worze nazywanym *capacho*, koszyk. Jego rodzina śmiała się z zapału, z jakim traktował swoją pracę pociągowego zwierzęcia, i nadała mu przydomek Capacho.

Dorastając na pustyni Atakama, Darío odzywał się niewiele, natomiast María ciągle gadała. Chroniła młodszego brata i resztę rodzeństwa przed uciążliwościami życia z rodzicami, którzy często zostawiali ich własnemu losowi. Dzisiaj wszyscy są ludźmi w zaawansowanym wieku, zbliżają się

do pięćdziesiątki albo właśnie ją minęli. María, niska, krępa i ogorzała od wielu lat pracy pod gołym niebem, przejmuje dowodzenie w momentach kryzysu. Tak samo będzie dzisiaj, chociaż kobieta znajduje się po drugiej stronie pustyni, około pięciuset kilometrów od Copiapó. Przebywa w ratuszu portowego miasta Antofagasta z tego samego powodu, dla którego Darío jest w kopalni – chce odnieść jedno z tych małych zwycięstw, które nadają jej istnieniu wartość. Odkąd pamięta, jej życie wyglądało właśnie tak. Kiedy miała dziewięć lat i opiekowała się sześcioletnim wówczas Daríem, mieszkali w pustynnym mieście San Félix, w domu zbudowanym w parowie z rzecznych kamieni, drutu i drewnianych wiórów. Parów nazywał się La Quebrada de los Corrales, ponieważ w pobliżu znajdowały się zagrody dla zwierząt hodowlanych. Pewnego dnia z wiecznie suchego nieba zaczęły padać krople deszczu, bębniąc o foliową płachtę, która pełniła funkcję dachu ich domu, a później strużki wody zaczęły wić się po podłodze w miejscach, w których domownicy spali i jedli. Wezbrane wody przewróciły kamienne ściany domu i porwały dobytek. Gdy miała czternaście lat, zaszła w ciążę i dzisiaj, w młodym wieku pięćdziesięciu dwóch lat, María jest szczęśliwą prababcią. Jednak wspomnienia o życiu w nędzy, mieszkaniu w domu, który po umiarkowanie silnej burzy mogła porwać woda, powodują, że często niemiłosiernie czepia się każdego, kto wejdzie jej w drogę.

María od lat nagabuje urząd miasta Antofagasta o rozmaite pozwolenia niezbędne do sprzedaży lodów i *empanadas* (rogalików najczęściej nadziewanych mięsnym farszem z warzywami lub serem) na ulicy i na plaży, z wózków dziecięcych i innych. Jeżeli ktoś nie ma wszystkich wymaganych pozwoleń, mogą go zwinąć carabineros. María wie, jak to jest zostać osadzonym w więzieniu za przestępstwo polegające na sprzedaży ciepłych przekąsek. Stoi w kolejce, żeby przedłużyć pozwolenie

na sprzedaż słodyczy, kiedy dzwoni jej telefon komórkowy i odzywa się w nim żona jej brata Patricia.

– Cześć, María, czy Patricio do ciebie dzwonił?

– Nie.

– Nie wiesz, co się stało z Arturo? – pyta jej szwagierka, posługując się drugim imieniem Daría.

– Nie.

– Lepiej zadzwoń do Patricia.

Kilka chwil później Patricio przekazuje jej tragiczną wiadomość: w San José był wypadek i Darío Arturo jest zasypany.

María rozłącza się i uznaje, że musi dowiedzieć się czegoś więcej. Na szczęście w urzędzie miasta są komputery, gdzie każdy może skorzystać z internetu. Znajduje informacje o wypadku, a później nazwisko Daría na liście zasypanych górników, i wreszcie, co jest dla niej najbardziej niepokojące, widzi jego zdjęcie na ekranie. Darío pracował w kopalniach od młodych lat i patrząc w tej chwili na jego twarz, María myśli sobie, że skoro nie udało mu się uciec, wypadek musiał być bardzo poważny.

Po krótkim czasie wychodzi z ratusza w Antofagaście i zmierza na dworzec autobusowy, żeby wyruszyć w długą podróż na południe. Przejazd przez pustynię Atakama trwa kilka godzin. O czwartej rano przyjeżdża do Copiapó. Pierwsze kroki kieruje do szpitala, gdzie żony, dzieci i kochanki górników czekają na informacje, lecz żadnych informacji oczywiście nie ma. María postanawia, że pojedzie do kopalni, żeby być możliwie najbliżej brata, ale jeden z pracowników szpitala mówi:

– Nikogo nie wpuszczają na teren kopalni. Musi pani zaczekać tutaj.

Wszyscy powtarzają:

– Musi pani zaczekać tutaj… Musi pani zaczekać tutaj… – ale zwiększa to tylko determinację Maríi, żeby być jak najbliżej brata. Dzwoni do syna

Estebána, który mieszka w Copiapó.

– Oczywiście, że cię zawiozę, *mami* – mówi Estebán.

Najpierw jednak zabiera ją do swojego domu, żeby dać jej gruby płaszcz i koce.

– Tam potrafi być bardzo zimno, *mami* – tłumaczy jej syn.

María bierze również termos z kawą i kanapki, bo wie, że będzie musiała czekać, że szykuje się kolejna próba jej cierpliwości. W dotychczasowym życiu nauczyła się jednego: musi bronić swojego człowieczeństwa za pomocą cierpliwości i determinacji, musi sprawić, żeby jej głos był słyszany przez tych, którzy uważają ją za kogoś gorszego ze względu na to, że chodzi w znoszonym ubraniu, ma zrogowaciałą skórę na dłoniach i ogorzałą twarz.

Założywszy na siebie ciepłe ubranie, przyjeżdża z synem do kopalni San José koło północy, prawie trzydzieści sześć godzin po wypadku. Widzi rodziny górników przy ogniskach, przechadzające się po suchej, pylistej ziemi albo siedzące na stertach kamieni rozmiarów i kształtów bochenków chleba, widzi, jak z wyrazem głębokiego zmartwienia na twarzach wpatrują się w płomienie, z rękami w kieszeniach stoją pod stożkami nikłego światła, które pochłania bezkresna czerń pustynnej nocy. Kopalnia jest scenerią zbiorowej tragedii, tragedii straty, która rozprzestrzenia się po okolicy jak infekcja.

– *Un panorama horrible*, okropny widok – powie później María. – Do dzisiaj to czuję, tę zgryzotę, mdłości, to zmartwienie, że mój brat jest tak blisko, a jednocześnie tak daleko w tych strasznych głębinach.

Na miejscu są wozy strażackie i kilku policjantów, ale żadna akcja ratownicza jeszcze się nie zaczęła. María znajduje majora carabineros, który jest bardzo uprzejmy i odnosi się do niej z szacunkiem, jednak nie ma jej do przekazania zbyt wielu informacji. Wszyscy czekają, aż sformuje się

ekipa ratownicza i wejdzie do kopalni. Ratownicy już przyjechali albo dopiero jadą z innych kopalni, ponieważ Spółka Górnicza San Esteban nie ma własnego zespołu ratowniczego. Kilkudziesięciu mężczyzn w kaskach kręci się przed wejściem i zgromadzone wokół rodziny mogą tylko czekać, czekać, czekać. Mijają kolejne minuty, a oni są jakby w żałobie, ponieważ niewypowiedziana myśl, że górnicy już nie żyją albo właśnie umierają, wisi między nimi wszystkimi – ta możliwość, którą przez całe życie uczyli się negować, nagle się pojawiła, jest bardzo realna w tym wylocie Rampy, do którego boją się wejść najbardziej doświadczeni ratownicy górniczy.

Darío Segovia jest w Schronie na dole i bardzo mało się odzywa. Na powierzchni, w tę zimną noc, jego starsza siostra María czuje, że on żyje, tak samo, jak czuła to w czasach dzieciństwa w San Félix, w domu porwanym przez ulewę. María niedługo zacznie mówić, podzieli się ze wszystkimi swoim przekonaniem, że Darío Arturo Capacho Segovia i pozostałych trzydziestu dwóch górników wciąż żyją i potrzebują swoich rodzin, żeby o nich walczyły.

José Vega jest sprawnym, żylastym siedemdziesięciolatkiem z opaloną na brązowo skórą i kręconymi bokobrodami. Zaczął pracować w górnictwie jako nastolatek. Z kopalniami związało życie czterech jego synów, ale przed dniem wypadku trzech chłopców na szczęście rzuciło tę niebezpieczną pracę, tylko jeden, Alex, nadal pracował pod ziemią.

– Uratujemy go – mówi José do swojego dorosłego syna Jonathana. – Bierzmy sprzęt i przygotujmy się do zejścia.

José gromadzi ekwipunek, który mu pozostał z czasów, gdy pracował w kopalni: kompas, odbiornik GPS, głębokościomierz, aparat tlenowy. Dwóch jego synów będzie mu towarzyszyć w poszukiwaniach brata, co oznacza, że trzech członków rodziny Vegów, którzy odeszli z górnictwa, wróci do kopalni, żeby ratować tego jednego, który był bardzo uparty

i nazbyt potrzebował pieniędzy, żeby rzucić tę pracę. Kiedy przyjeżdżają do San José, zastają tam policjantów, strażaków i ratowników z wielu innych kopalń. Ratownicy będą wchodzić do środka sześcioosobowymi grupami. Nagle jednak ktoś oświadcza:

– Krewnych górników nie wpuszczamy.

Kiedy przychodzi jego kolej na wpisanie się na listę, José podaje fałszywe nazwisko. Słyszą, że przyjdzie na nich pora za kilka godzin, a ponieważ Jonathan wygląda na bardzo zmęczonego, ojciec mówi mu, żeby pojechał do domu i się zdrzemnął:

– Poślemy po ciebie, kiedy przyjdzie nasz czas.

W piątek o czwartej po południu José otrzymuje informację, że zaraz będzie wchodził do kopalni, nie dzwoni do domu Jonathana, żeby kazać go obudzić.

– W kopalni był mój jeden syn – powie później. – Teraz jeszcze wchodziło do środka trzech kolejnych Vegów. To by było za dużo członków mojej rodziny w tej pieczarze.

Inne ekipy ratownicze wyłaniają się ze zmartwionymi minami. José rozmawia z grupą, która przyjechała z kopalni Michilla – położonej pięćset kilometrów na północ, w pobliżu Antofagasty. Kiedy opisują sytuację w kopalni, ich oczy napełniają się łzami.

– Góra wciąż żyje – mówią. – Obrywają się kawałki skały, w podłodze i stropie Rampy są wielkie szpary.

Szef ekipy ratowniczej z Michilla deklaruje:

– Nikt więcej nie powinien tam wchodzić!

Na zewnątrz panuje jednak chaos, można odnieść wrażenie, że akcją ratowniczą nikt nie kieruje. Członkowie ekipy nie próbują powstrzymać następnej grupy, w której jest ojciec Alexa Vegi.

Niedługo po przejściu przez wylot Rampy, który oddziela popołudniowe słońce od ciemności, José zaczyna sobie uświadamiać, w co się pakuje.

– Szczerze mówiąc, to było bardzo, bardzo przerażające – opowiada po czasie.

Zbliżają się do zablokowanego odcinka Rampy, do którego dzień wcześniej dotarli Carlos Pinilla i Pablo Ramirez: dudniąca góra zasypała prowadzącą tam szosę kamieniami. José rozmawia z innym członkiem ekipy ratowniczej, krewnym górnika Jorgego Galleguillosa, i uzgadniają, że poszukają najbliższego szybu, a kiedy go znajdują, pewien młody, szczupły górnik zgadza się do niego zejść. Spuszczają go na linach, a potem wciągają na górę, a on informuje, że jest prześwit na sam dół, szyb prowadzi do kolejnego szybu wentylacyjnego i być może do chodnika, którym da się dotrzeć do górników. José mówi jednak, że nie mają pozwolenia na zejście niżej. Wracają na górę i przekazują uzyskane informacje zespołowi zawodowych ratowników, którzy przygotowują się do wejścia do kopalni.

W sobotę o drugiej w nocy zjawia się minister górnictwa Laurence Golborne. On również widzi siedzące przy ogniskach rodziny górników, ich twarze, na których malują się zagubienie i troska. Jest ubrany w garnitur, który miał na sobie podczas oficjalnej wizyty w Ekwadorze. Otacza go kilku członków rodzin powtarzających zasłyszane pogłoski:

– Oni już nie żyją, prawda?

Kiedy jesteś urzędnikiem państwowym w Chile czy jakimkolwiek innym kraju latynoamerykańskim, ludzie uważają, że dezinformację i manipulację masz we krwi, że obejmując urząd, w jakimś sensie wyrzekłeś się człowieczeństwa i moralności. Im ktoś jest biedniejszy, tym bardziej w ten właśnie sposób myśli o swoich władzach.

– Niech nam pan powie prawdę, *señor ministro*!

Prawda jest taka, że wszyscy dysponują tylko wyrywkowymi i nieprecyzyjnymi informacjami. Minister od jednej osoby dowiedział się na przykład, że uwięzionych pod ziemią pracowników kopalni jest trzydziestu siedmiu, a od innej, że trzydziestu czterech. Golborne otrzymał również nieprawdziwą informację, że wśród zasypanych górników jest kilku nielegalnych emigrantów z Peru, a może z Boliwii.

Dotychczasowa kariera zawodowa Golborne'a tylko w niewielkim stopniu przygotowała go na tę chwilę. Jest zamożnym prezesem i właścicielem kilku firm, ma tytuł magistra inżynierii lądowej i licencjat z chemii i nigdy wcześniej nie pełnił żadnej państwowej funkcji. Po objęciu urzędu był lepiej obeznany z tajnikami wykwintnej południowoamerykańskiej kuchni (jest właścicielem restauracji w snobistycznej dzielnicy Santiago de Chile) niż z zawiłościami przemysłu górniczego (jego górnicze doświadczenie ogranicza się do krótkiego okresu pracy w charakterze księgowego w jednej z kopalń przed dwudziestu laty). Do San José przybył długą, okrężną drogą: przerwawszy wizytę państwową w Ekwadorze u boku prezydenta Sebastiána Piñery, samolotem linii komercyjnych poleciał z powrotem do Santiago, a następnie samolotem wojskowym do Copiapó. Golborne należy do kręgu przedsiębiorców, polityków i myślicieli, którzy przejęli władzę po dwóch dekadach rządów centrolewicy i jego biznesowy strój nie jest jedyną rzeczą, jaka wyróżnia go z tłumu. Jest najwyższym urzędnikiem konserwatywnego rządu w regionie, który w ogromnej większości głosował na lewicę, i jego obecność w kopalni jest czymś niezwykłym, ponieważ rząd Chile nigdy nie angażuje się w akcje podejmowane w związku z wypadkami górniczymi – działaniami ratowniczymi tradycyjnie kierują same spółki.

– Postawa ludzi wobec mnie była mniej więcej taka, że przynajmniej raczyłem przyjechać. Nie okazywali jawnej wrogości, ale nie byli mi szczególnie przychylni – relacjonuje później Golborne.

Patrzy, jak ratownicy gromadzą się w pobliżu wejścia do kopalni – są z Punta del Cobre, Escondida i innych kopalń. Tuż po północy przechodzą pod poszarpanymi szarymi zębami wejścia i znikają w środku.

Zespół ratowniczy składa się z carabineros i miejscowej drużyny ratownictwa górniczego pod kierunkiem Pedra Riverosa, górnika z farbowanymi na blond, spiętymi w koński ogon włosami, który ma wiele lat doświadczenia w ratownictwie górniczym. Po pracy Riveros jest transwestytą – fakt ten jest powszechnie znany w maczystowskim lokalnym środowisku górniczym, ale Pedro mimo to jest szanowany za swoją niepodważalnie męską odwagę, którą wykazuje się w pracy ratownika. W zespole jest jeden pracownik kopalni San José, Pablo Ramirez, szef nocnej zmiany i przyjaciel Florencia Ávalosa. Pokonują dystans czterech i pół kilometra dzielący ich od płaskiej granitowej ściany, która blokuje Rampę, a potem przygotowują sprzęt potrzebny do zejścia do głębszych partii kopalni, z nadzieją, że dotrą do położonego dwieście osiemdziesiąt pięć metrów niżej Schronu. Mają ze sobą liny, windy, bloczki, a także deski, z których budują podest nad wlotem do jednego z szybów o średnicy dwóch i głębokości trzydziestu metrów.

Riveros, Ramirez i pięciu innych ratowników opuszczają się z miejsca, w którym Rampa jest zablokowana na poziomie trzysta dwadzieścia, na poziom dwieście dziewięćdziesiąt pięć. Dla Riverosa, który nigdy wcześniej nie był w tej kopalni, sytuacja robi się coraz bardziej dantejska: temperatura się podnosi, na Rampie jest coraz więcej kamieni, a w strukturze skały pojawiają się szczeliny. Na każdym kolejnym poziomie ratownicy widzą tę samą blokującą Rampę masę i zatrzymują się, żeby

krzyknąć w głąb tunelu, w kierunku uwięzionych mężczyzn, posługując się typowymi obelgami, za pomocą których zazwyczaj zwracają się do siebie:

– *¡Viejos culiados! ¿Dónde estan?* Gdzie jesteście, starzy popaprańcy?

Na każdym kolejnym poziomie zwiększa się poczucie zagrożenia. Są jak wyprawa himalajska à rebours, „zdobywają” wnętrze góry, a nie szczyt, powietrze zaś robi się coraz gęstsze i cieplejsze zamiast rzadsze i zimniejsze. Na poziomie dwieście dziewięćdziesiąt pięć zakładają coś w rodzaju bazy. Przygotowują tam liny do zejścia do następnego szybu, który prowadzi na poziom dwieście sześćdziesiąt osiem.

Pierwszy idzie Ramirez i po kilku metrach zaczyna zauważać coś niepokojącego: w ścianach szybu są pęknięcia. Ściskane ciężarem megabloku wielkości drapacza chmur, który spadł z wnętrza góry, ściany wydrążonej w skale rury się rozpadają. Ramirez znowu krzyczy w kierunku uwięzionych gdzieś mężczyzn i nasłuchuje odpowiedzi, ta jednak nie nadchodzi. Kiedy jest blisko dna szybu, na poziomie dwieście sześćdziesiąt osiem, widzi stertę skalnych odłamków i wiszącą kamienną ścianę, która sprawia wrażenie, jakby w każdej chwili mogła się oberwać i całkowicie zamknąć wylot szybu.

– Komuś, kto by tamtędy próbował przejść – mówi później – groziłoby utknięcie po drugiej stronie, gdyby ściana się osypała.

„Nie da rady, nie możemy tędy iść – przebiega mu przez głowę. – To się zaraz zawali”. I nagle czuje się przegrany. Myśli o Mariu Gómezie, kierowcy ciężarówki, i o mechanikach. Tak jak Pinilla jest pewien, że zostali zmiażdżeni, ponieważ katastrofa nastąpiła w porze obiadowej i przejeżdżali Rampą w pobliżu tego miejsca. Ale reszta zapewne przeżyła, przypuszcza Ramirez, ponieważ w San José ekipa od wykonywania umocnień chodników i operatorzy jumbo zawsze robili sobie przerwę obiadową wcześniej albo później.

– Takie jest górnictwo. Zawsze znajdzie się sposób na oszukanie losu – powtarza później. – To jest właśnie piękne w życiu górnika: wciąż zdarzają się rzeczy nadprzyrodzone.

Ramirez słyszy wokół siebie upiorne, tajemnicze dudnienie, odgłos obrywania się skały, które dochodzi z niemożliwej do określania odległości. Krzyczy do Riverosa:

– *¡Sácame, huevón, esto se fue a la cresta!* Wyciągaj mnie, kretynie! Ten szyb kończy się w dupie!

Riveros i inni ratownicy na górze również słyszą dobiegające z otaczających ich skał grzmot i dudnienie. Ogromny kawał skały spada z dużej wysokości i przecina kabel, który umożliwiał komunikację z powierzchnią. Brzmi to jak odgłos bliskiego wybuchu bomby. Riveros wrzeszczy:

– Czerwony alarm! Czerwony alarm!

Wraz z innymi ratownikami wyciąga Ramireza, ale ściana szybu zaczyna się kruszyć i spadające kamienie szarpią liny, którymi obwiązani są ratownicy. Przez chwilę można odnieść wrażenie, że góra próbuje ich wessać, ponieważ spadające odłamki wciągają ich do szybu z taką siłą, że Riveros traci równowagę. Ratownicy usiłują go wydźwignąć, a jednocześnie bronią się przed tym, żeby sami nie zostali ściągnięci na dół. Kiedy w wylocie szybu pojawia się głowa Ramireza, chwytają go pod ramiona i podnoszą, a inny ratownik wyjmuje z buta nóż i przecina wszystkie liny. Dopiero wtedy są bezpieczni.

Ratownicy ruszają w drogę powrotną na górę. Pedro Riveros zauważa, że Ramirez wygląda na głęboko zmartwionego. „To już koniec”, myśli Riveros. O trzeciej po południu Riveros i Ramirez docierają na górę i wychodzą na słońce Atakamy. Wiadomość o kolejnym zawale w kopalni

dotarła już do zgromadzonych na zewnątrz ratowników, włącznie z José Vegą, ojcem Alexa.

– To są miliony ton skały, niemożliwe, żeby przeżyli – mówi jeden z ratowników.

– Po tych słowach zapadła kompletna cisza – wspomina później José.

Golborne też czeka na ekipę ratowniczą. Od razu zwraca uwagę na ich przegrane miny, czerwone oczy i warstwę szarego i czarnego pyłu okrywającego ich twarze, tak jakby we wnętrzu góry walczyli z jakąś mieszkającą tam bestią.

– *Esto se acabó.* To już skończone – mówi Pedro Riveros tonem wyrażającym pogodzenie się z nieuchronnością losu. Riveros i inni zwykli ratownicy nie mogą już nic zrobić i na Golborne'a spada zadanie poinformowania o tym czekających rodzin górników.

Jako najwyższy rangą z obecnych na miejscu państwowych urzędników Golborne przyjął na siebie dziwną rolę rzecznika spółki, mimo że nie pełni w niej żadnej funkcji (z formalnego punktu widzenia bezprawnie wszedł na teren prywatny). Ale właściciele kopalni nie rozmawiają z mediami ani z rodzinami górników, które zwracają się ku przystojnemu, wykształconemu politykowi. Od dwóch godzin czekały na informacje od niego i minister podchodzi teraz do zaparkowanej w pobliżu głównej bramy karetki pogotowia. Usadawia się na siedzeniu i przemawia do zgromadzonych przez megafon, kamery telewizyjne transmitują na żywo jego wypowiedź na cały kraj.

– Wiadomości są niepomyślne – zaczyna. – Ratownicy próbowali dotrzeć na poziom dwieście trzydzieści osiem, ale nastąpiło kolejne oberwanie skały. Doszło do następnego zawału i ekipa ratownicza musiała uciekać.

Słysząc tę informację, wielu członków rodzin uwięzionych pod ziemią górników wydaje z siebie zduszone jęki.

– Próbujemy znaleźć inne sposoby, opracować inne mechanizmy dotarcia do nich – mówi Golborne, ale po wypowiedzeniu tych słów spogląda na Carolinę Lobos, dorosłą córkę Franklina Lobosa, byłej gwiazdy piłki nożnej. Carolina ma zrozpaczoną, bezradną minę i oczy pełne łez. Wydaje się zaskakujące, że dwoje oczu potrafi pomieścić tyle łez (tak Golborne zapamięta tę chwilę). Na jej widok minister przerywa i odwraca wzrok od zgromadzonych. Czuje „supeł w gardle”, ale zdobywa się jeszcze na wypowiedzenie kilku słów:

– Będziemy się starali informować was na bieżąco… – deklaruje, ale znowu musi przerwać, ponieważ to go po prostu przerasta: powiedzieć tak wielu dobrym ludziom, tak wielu córkom i żonom, że ich mężczyźni są uwięzieni i on nie wie, czy i w jaki sposób jest w stanie ich uratować.

– Musimy też myśleć o życiu ratowników – mówi i dodaje jeszcze kilka słów. Po chwili ponownie czuje, że narastają w nim emocje, odwraca się od zgromadzonych, odkłada mikrofon i kapituluje.

– Jak państwo widzicie, minister się załamał, jest wyraźnie roztrzęsiony – mówi ponurym tonem spiker Televisión Nacional de Chile (TVN). Szok i żałoba rozlewają się na cały kraj – ministrowie nie ronią łez w telewizji, zatem widok płaczącego Golborne’a powoduje, że dla milionów widzów sprawa staje się jeszcze bardziej realna i wyjątkowa. Musi się dziać coś bardzo tragicznego, bardzo przejmującego, że ten dygnitarz tak płacze.

Golborne wchodzi w tłum reporterów. Zadają mu pytania, a on udziela ogólnikowych odpowiedzi o wypróbowywaniu różnych „opcji” i „technik”. Podczas jego wypowiedzi mikrofony wychwytują bardzo głośny płacz jednej lub kilku kobiet.

– Szybkie rozwiązanie, czyli zejście przez szyb, nie wchodzi w grę – mówi, a raczej mruczy pod nosem Golborne.

Jakiś mężczyzna krzyczy:

– Panie ministrze, widzimy to na pana twarzy. Niech nam pan powie prawdę! Potraficie ich wydostać? My tutaj nic nie wiemy! Czekamy od pięćdziesięciu godzin. Od pięćdziesięciu godzin!

– Nadzieje muszą być realistyczne – odpowiada Golborne. – Nie ma miejsca na nieuzasadniony optymizm.

Słysząc te słowa, górnik i krewny innego górnika z Cerro Negro woła:

– Dawid stawił czoło Goliatowi! I użył takiej broni, jaką miał!

– Nie może się pan w ten sposób załamywać – mówi do Golborne’a jakaś kobieta. – Jest pan ministrem, reprezentuje pan tutaj władzę i musi pan pokazać, że panuje nad sytuacją!

Do tego momentu swojej kariery Golborne był absolwentem uniwersytetów Stanforda i Northwestern ze znakomitym korporacyjnym CV, nigdy natomiast nie myślał o sobie jako człowieku z ludu. Nigdy nie musiał zajmować się problemami biedoty i nigdy nie zaznał tego, jak to jest służyć ludziom, którzy oczekują od niego, żeby był silny, a jednocześnie traktują go z głęboką nieufnością.

María Segovia tak zapamiętała to, co działo się w ciągu kolejnych minut i godzin: razem z innymi rodzinami górników patrzy w słabnącym świetle popołudniowego słońca, jak członkowie ekip ratowniczych odchodzą, trzymając kaski pod pachami, a wozy strażackie odjeżdżają. Podobnie jak większość członków górniczych rodzin wokół niej czuje się rzucona na pastwę losu. Płaczą, ona też, ale w końcu przestaje i myśli: „Na nic zdadzą się łzy”. Znajduje młodego reportera z CNN Chile i mówi:

– Tak nie może być.

Opowiada, że widziała, jak ratownicy odchodzą, i mówi o swoim oburzeniu i cierpieniu.

– Ci zasypani to nie są psy. To są ludzie i dlatego potrzebujemy pomocy. Trzeba ich ratować. Zadzwońcie do prezydenta, zadzwońcie do innych krajów, sprowadźcie pomoc, żeby ich wydobyć.

W nadchodzących dniach María Segovia i inne kobiety, które przyjechały do kopalni San José, często będą odczuwały potrzebę zabrania głosu i wyrażenia swojego protestu. Policja każe im odejść z miejsca w pobliżu wejścia do kopalni i spycha je na dół, za główną bramę.

– Wycofałyśmy się jak psy z podkulonymi ogonami – wspomina jedna z nich.

Kiedy nie udaje się uzyskać żadnych informacji, María i pozostali członkowie rodzin górników wracają pod bramę i zaczynają hałasować garnkami i patelniami. Innego sposobu nie ma. Jeżeli będzie trzeba, to zablokują bramę i wejście do kopalni – i rzeczywiście nieraz tak robią. Każdy tego rodzaju zaimprowizowany protest oznacza konfrontację z policjantami, którzy mają za zadanie nie wpuszczać ich na teren kopalni.

– Chcemy informacji! – krzyczą kobiety. – Zejdźcie do nas i powiedzcie, co się dzieje!

Trochę później przychodzi urzędnik państwowy i zaczyna z nimi rozmawiać. Carmen Berrios, żona Luisa Urzúy, widzi przechodzącego obok Alejandra Bohna, jednego z właścicieli kopalni, i woła:

– Nie macie sekretarki, która by do nas zadzwoniła i powiadomiła nas o wypadku?! Musiałam się o tym dowiedzieć z radia w autobusie?

Bohn mruczy coś pod nosem i idzie dalej.

María Segovia szybko zdaje sobie sprawę, w jaki sposób może najlepiej pomóc bratu: po prostu zostać pod bramą kopalni.

– Musimy tutaj zamieszkać – mówi do innych kobiet, matek, kochanek i córek uwięzionych pod ziemią górników. – Musimy tutaj zostać aż do końca, *hasta las últimas consequencias.*

María rozbija namiot obok najbliższej bramy, a miasteczko namiotowe, które zaczyna się wokół niej rozrastać, szybko zyskuje sobie nazwę Campo Esperanza, Obóz Nadziei, i niebawem zaczyna przyciągać członków organizacji charytatywnych i ludzi dobrej woli z całego Chile i z zagranicy. Ludzie przybywają w ten księżycowy krajobraz z darami dla rodzin górników: drewnem na ogniska, płachtami brezentu, żywnością. Lokalne władze z Copiapó przywożą namioty. Powstaje niewielka kaplica. Z czasem władze zorganizują nawet szkołę dla dzieci, które będą mieszkały w obozowisku ze swoimi rodzicami.

María Segovia nie jest jedyną osobą, która postanowiła wziąć sprawy we własne ręce, nie jest jedyną, która zdecydowała się zamieszkać w pobliżu kopalni San José, ale jej namiot stoi najbliżej bramy, i to ona najczęściej odpowiada na pytania. Przyjeżdża ciężarówka z drewnem na ognisko i kierowca pyta:

– Gdzie mamy to zrzucić?

– Tam – odpowiada María. – Musimy dopilnować, żeby starczyło dla wszystkich.

Urzędnicy państwowi, którzy schodzą na dół, żeby porozmawiać z rodzinami górników, bardzo często najpierw natrafiają na Marię i są poruszeni jej determinacją, miłością do brata, niezłomną obroną godności i człowieczeństwa uwięzionych pod ziemią ludzi. Ta kobieta, która sprzedaje lody, słodycze i *empanadas* z wózka na plaży, wkrótce będzie na ty z wieloma najbardziej wpływowymi ludźmi w Chile.

– Nie zapomnijcie o moim bracie, nie pozwólcie tym mężczyznom umrzeć – zwraca się do nich.

María tak dużo mówi, że skupiona wokół niej grupa krewnych i ratowników w końcu nadaje jej przydomek La Alcaldesa (kobieta alkad, lokalny urzędnik administracyjno-sądowy). María Segovia zostaje „burmistrzem” Obozu Nadziei.

Jednak to dopiero początek. W pierwszych dniach po katastrofie, po tym, jak rodziny trzydziestu trzech zasypanych górników zaczęły tłuc w garnki i patelnie, po tym, jak ich członkowie doprowadzili ministra górnictwa do płaczu, ma miejsce coś bardzo ważnego. María Segovia i inni członkowie rodzin stoją przed swoim miasteczkiem w wejściu do kopalni San José i widzą, że zbliża się do nich jakiś dziwny pojazd.

ROZDZIAŁ 6

„ZGRZESZYLIŚMY”

Sześćset metrów poniżej ognisk Campo Esperanza, w zasypanej kopalni, koło Schronu, Víctor Zamora i kilku jego kolegów wychodzą na Rampę i zaczynają szukać wybitych zębów Víctora. Snopy światła ich lamp czołowych omiatają żwirowaty grunt. Górników otacza całkowita i – nie ma co ukrywać – przerażająca ciemność kopalni. Zaczynają myśleć o tym, że baterie w lampach w końcu się wyczerpią: na początku zmiany zawsze są całkowicie naładowane, ale kilku górników już zaczyna zauważać, że światło słabnie. Włączywszy swoje źródła cennego światła, przez krótki czas szukają perłowych zębów Víctora, przekonani, że łatwo je zauważą, ponieważ światło się od nich odbije. Jednak nie znajdują ich.

Na trochę wyższym poziomie kopalni Luis Urzúa, Florencio Ávalos, mechanicy Juan Carlos Aguilar, Raúl Bustos i inni jadą pikapem szefa zmiany czarnymi tunelami do góry, żeby jeszcze raz przyjrzeć się skalnej ścianie, która tarasuje drogę. Nasłuchują sygnałów, że ratownicy są blisko albo zmierzają w ich stronę. Ciemności potęgują każdy dźwięk i wzmacniają wrażenia zmysłowe: nikła cyrkulacja powietrza w kopalni jest przez górników odczuwana mocniej niż powiew porywistego wiatru, a oddech siedzącego obok kolegi brzmi jak odgłos wydawany przez

niewidoczne zwierzę albo przejeżdżający samochód. Nie słyszą jednak niczego, co zwiastowałoby zbliżanie się ratowników.

Urzúa zrezygnował z symbolizowanej przez biały kask funkcji przywódczej, ale nadal wysuwa sugestie i reaguje na pomysły innych górników, którzy próbują jakoś zorganizować życie pod ziemią i czymś je wypełnić. Juan Carlos Aguilar, Mario Sepúlveda, Alex Vega, Raúl Bustos i Florencio Ávalos – wszyscy chcą mieć coś więcej do roboty, niż tylko czekać. Padają różne pomysły, górnicy debatują, Urzúa i Ávalos dzielą się z resztą swoją wiedzą na temat kopalni i w końcu zwierzchnicy wespół z podwładnymi podejmują decyzję, która wydaje się najbardziej sensowna: w normalnym trybie pracy wygląda to inaczej, ale skoro nie ma jednego decydenta, taka metoda wydaje się najlepiej zdawać egzamin. Pod wylotem szybu, do którego wspięli się Mario i Raúl, żeby poszukać drogi wyjścia, podpalają niewielką oponę od koła taczki i nasiąknięty olejem filtr powietrza jednej z maszyn, licząc na to, że dym dotrze na powierzchnię, sygnalizując, że na dole są żywi ludzie. Jednak opary gromadzą się wokół nich, tworząc bezużyteczny obłok na Rampie. W pewnych porach, z niezrozumiałego dla nikogo powodu, w warsztacie koło Pieczary daje się odczuć lekki podmuch powietrza, więc pomysł z sygnalizacją dymną realizują ponownie w momencie, kiedy powietrze unosi się do góry, ale dym przemieszcza się powoli. Górnicy patrzą, jak znika w szybie poza zasięgiem ich lamp, i nie mają nadziei, że dotrze na samą górę. Potem wsuwają lont do jednej z gumowych rur wewnątrz szybu i podpalają go. Tymi rurami biegną kable telefoniczne, elektryczne przewody i sprężone powietrze. Teoretycznie kwaśny dym płonącego lontu powinien dotrzeć na powierzchnię. Każdy górnik, który poczuje ten zapach, natychmiast go rozpozna i będzie wiedział, że jest to komunikat od zasypanych. Oczywiście było więcej niż pewne, że podczas katastrofy rura została

w jakimś miejscu przecięta, ale górnicy mimo to postanawiają spróbować. Dym nie wychodzi na zewnątrz, tylko przemieszcza się do góry, nie sposób jednak stwierdzić, jak wysoko dolatuje. Wchodzą do jednego z zasypanych skalnymi odłamkami chodników, ponieważ niektórzy z nich uważają, że jeżeli uda im się tamtędy przedrzeć, to mogą dotrzeć do innego, prowadzącego do góry przekopu. Mario zaczyna usuwać kamienie za pomocą ładowarki czołowej, ale jest to syzyfowa praca, bowiem wielka hałda osypuje się w dół.

– Praktycznie zepsułem tę ładowarkę – wspomina Mario.

Zastanawiają się nad zrobieniem drabiny z gumowych węży i kawałków zbrojeniowego pręta, żeby wspiąć się po niej przez szyb wentylacyjny. Dochodzą jednak do wniosku, że nie utrzymałaby ona ciężaru dorosłego mężczyzny, a poza tym mają tylko jedną piłę i trwałoby całe wieki, zanim wykonaliby wystarczającą liczbę prętów. Później podjeżdżają podnośnikiem pod blokującą Rampę skalną „gilotynę” i zaczynają trąbić klaksonem, a także uderzać wysięgnikiem o kamienną płytę. Przestają, gaszą lampy i ponownie nasłuchują, czy z otaczających ich ciemności dojdzie jakaś odpowiedź: trąbnięcie, brzdęk, może stukanie. Nic jednak nie słyszą, jest tylko skała blokująca drogę do wejścia, do której przyciskają uszy.

Próby te podejmuje kilkunastu górników, a reszta siedzi w Schronie.

– O ile mi wiadomo, nie kłócili się ze sobą i nikt nikogo nie zaczepiał – mówi później Urzúa.

Jednak ludzie podzielili się już na tych aktywnych i tych, którzy ograniczali się do czekania. Aktywni zrobiliby wszystko, żeby nie poddać się poczuciu, że są uwięzieni i martwi. Ich zdaniem czekający bali się i nie wychodzili ze Schronu, bo paraliżowało ich wspomnienie ucieczki przed śmiercią wewnątrz walącej się wokół nich góry.

W Schronie nie jest jednak bezpieczniej niż na zewnątrz, są w nim stalowe drzwi i rodzaj stalowej siatki, która ma za zadanie uchronić górników przed zmiażdżeniem, gdyby reszta górotworu się zapadła. Schron znajduje się we wnętrzu tej samej góry co Rampa i reszta zasypanej kopalni, ale na jego drzwiach wisi niebiesko-biała tabliczka z napisem: EL REFUGIO DE EMERGENCIA (schron bezpieczeństwa). Jest tam szafka z pozostałymi zapasami żywności, wisząca na ścianie apteczka i wyrwane z jakiegoś czasopisma zdjęcie nagiej kobiety. Przez pierwszych kilka godzin po wypadku w Schronie panuje taki porządek, jaki Franklin Lobos zostawił przed inspekcją swojego szefa Carlosa Pinilli. *Los niños* przestrzegają wypisanych na niebieskich tabliczkach nakazów, które mówią, żeby wyrzucali śmieci do koszy. Niewielki cyfrowy termometr wskazuje prawie trzydzieści stopni Celsjusza.

Następnego dnia w południe, kiedy Mario Sepúlveda wydaje codzienny posiłek, jest obecnych trzydziestu trzech górników. Ustawia w rzędzie trzydzieści trzy plastikowe kubki i do każdego z nich nakłada jedną łyżkę konserwy rybnej i dolewa trochę wody, uzyskując w ten sposób coś w rodzaju rosołu. Potem rozdaje po dwa ciastka.

– Smacznego – mówi. – Pychota. Niech wam to wystarczy na długo.

Kilku górników ustawia się w kolejce. Spożywany posiłek prawdopodobnie zawiera około trzystu kalorii i muszą na tym dociągnąć do południa następnego dnia.

Podczas tych pierwszych dni uwięzienia pod ziemią kopalnia dudni kilka razy, jakby znowu miała tąpnąć, dlatego niektórzy górnicy postanawiają nocować w Schronie albo tuż obok niego.

– Najpierw spałem na zewnątrz, ale zawsze miałem jedno oko otwarte i kiedy góra zaczynała hałasować, uciekałem do środka – opowiada później Lobos.

Skutek jest taki, że po jakimś czasie dwudziestu wyciągniętych na ziemi mężczyzn budzi się w pomieszczeniu rozmiarów dużego amerykańskiego salonu. Kilku z nich bierze ustawione pod ścianą plastikowe nosze i wykorzystuje jako łóżka, inni rozkładają na podłodze tekturę, a kartonowych pudeł używają w charakterze nocnych szafek. Lobos zawsze miał kłopoty z utrzymaniem porządku w Schronie, ponieważ górnicy przychodzili tam odpocząć i kładli się na pokrytych sadzą ubraniach. Teraz pocą się przez cały dzień i ich wilgotne ciała brudzą białe płytki podłogi szarym pyłem i czarną sadzą, która przykleja się do ich skóry. Schron zaczyna się wypełniać zapachem spoconych, niemytych, męskich ciał.

– Nie mogliśmy sobie pozwolić na marnowanie wody na mycie genitaliów – tłumaczy później jeden z górników.

W Schronie nie ma już żadnej wentylacji, dlatego nieprzyjemny zapach zaczyna potęgować się i gęstnieć, i powietrze w pomieszczeniu zamienia się w koktajl fizjologicznych woni.

– Zdarzało mi się wcześniej czuć zapach trupów, ale tam po jakimś czasie było gorzej – powie jeden z górników.

Ludzie, którzy się pocą, są strasznie spragnieni. Kilka litrów butelkowanej wody, którą znaleźli w szafce z prowiantem, wypili w ciągu jednego dnia. Teraz więc muszą używać wody magazynowanej w kopalni do chłodzenia maszyn górniczych, która przypłynęła z powierzchni rurami prowadzącymi do podziemnych zbiorników, które częściowo znajdują się na samym dnie kopalni. Drugiego dnia po wypadku kilku górników odkręca jeden z kurków, żeby się umyć, ale woda jest zbyt cenna, żeby ją do tego wykorzystywać – w celu ograniczenia jej zużycia Juan Carlos Aguilar rozkazuje Juanowi Illanesowi przeciąć i zaślepić wąż prowadzący ze zbiornika na wyższym poziomie, dzięki czemu nikt z przebywających na niższym poziomie nie będzie mógł się myć.

Teraz górnicy napełniają plastikowe beczki wodą z tego zbiornika. Mario Sepúlveda dzieli ich na trzyosobowe zespoły, które co dwa dni podjeżdżają pod zbiornik i leją wodę do sześćdziesięciolitrowych beczek. Rozlewają ją do plastikowych butelek, patrzą na brudny płyn i zadają sobie pytanie, jakim cudem miałby ich utrzymać przy życiu. Przed wypadkiem górnicy myli w tej wodzie rękawice robocze, a impulsywny, zwariowany Sepúlveda wskakiwał do zbiorników, żeby się wykąpać, i kilku górników uświadamia sobie z obrzydzeniem i rozbawieniem, że wszyscy piją tę samą wodę, w której kąpał się Mario. Kiedy oświetlają wodę w butelce słabnącym światłem lampy, widzą cienką, czarno-pomarańczową błonę i niewielkie krople oleju silnikowego. Według jednego z górników ta ciecz smakuje jak woda ze stawu, do którego nasrały kaczki. Jednak kilka łyków skutecznie gasi pragnienie i w jakimś stopniu tłumi głód.

Głód jest najgorszy przez pierwszych kilka dni. Osacza ich podstępnie. Nagle się okazuje, że nie mogą nawet iść do ubikacji, żeby się załatwić, mimo że ich ciała najwyraźniej się domagają, żeby spróbowali – wielu z nich ma wrażenie, że jakiś tłok ściska pustkę w ich żołądku. Franklin Lobos był kiedyś zawodowym sportowcem, wyczulonym na stan swojego organizmu, i być może dlatego, siedząc w Schronie, zaczyna oceniać stan zdrowia górników. Mario Gómez, pozbawiony dwóch palców kierowca ciężarówki, ewidentnie ma się najgorzej. Jest chory na pylicę i ciągle kaszle: kiedy się słyszy ten kaszel, słychać w nim historię górnictwa, jakby był on czymś przekazywanym w górniczych rodzinach z pokolenia na pokolenie. „Jak ten *viejo*, staruszek, przeżyje? – zastanawia się Lobos. – To niemożliwe, żeby przeżył”. José Ojeda jest cukrzykiem: czy dwa ciastka dziennie wystarczą, żeby uchronić przed atakiem hipoglikemii? Po kilku dniach Víctor Segovia dostaje wysypki na całym ciele. To skutek panującego pod ziemią gorąca, nerwów czy jednego i drugiego? Jimmy

Sánchez, najmłodszy z górników, zachowuje się jak starzec: w ogóle nie wstaje, jest pogrążony w emocjonalnym i fizycznym letargu, który szybko udziela się innym.

Żeby uchronić się przed rozpaczą, trzeba rozmawiać, żartować, opowiadać historie, wyobrażać sobie, że nadchodzą ratownicy. Yonni Barrios wypełnia ciszę, wyjaśniając strukturę kopalni młodszym, mniej doświadczonym kolegom, między innymi Mamaniemu i Sánchezowi, rysuje jej schemat na kartce papieru.

– Patrzcie, jesteśmy na poziomie dziewięćdziesiąt, możemy podejść na sto dziewięćdziesiąt, stamtąd jest przejście na dwieście trzydzieści, potem na trzysta, a jeszcze dalej na czterysta.

– Jesteśmy wolni! – woła radośnie Víctor Zamora, dawny „cygan” z Arica. – Możemy stąd po prostu wyjść!

Jego szeroką, dziecinną twarz rozjaśnia wariacki uśmiech komika ujęty w ramy pozlepianych, pofalowanych włosów. Nabija się z Yonniego, który jednak nie zdaje sobie z tego sprawy.

Víctor, który był prowodyrem włamania do szafki z zapasami podczas pierwszej nocy, teraz należy do najspokojniejszych i najbardziej opanowanych górników.

– Wydostaniemy się stąd – powtarza kolegom. – Nie martwcie się, idą po nas.

W zwykły dzień pracy członkowie szychty A bez przerwy się ze sobą droczyli i teraz, nabijając się z Yonniego, Víctor próbuje rozładować atmosferę.

– Jesteśmy uratowani! – woła, szczerząc w uśmiechu wielkie zęby. – Możemy się wspiąć na poziom czterysta i po prostu stąd wyjść!

– No, nie całkiem – odpowiada Yonni. – Na poziomie czterysta skała jest gładka jak szyba i nie ma się czego chwycić. Wyżej nie da się wspiąć.

Víctor patrzy na niego z udawanym zaskoczeniem:

– Jesteś *huevón*? Wespniemy się na poziom czterysta, żeby tam umrzeć?

Potem wybucha śmiechem, którym zaraża Maria Sepúlvedę. Mario powtarza po nim: „*¿Eres huevón?*”, i też się śmieje, a po chwili wszyscy rechoczą z Yonniego.

Yonniemu Barriosowi, mężczyźnie, w którego życiu są dwie ostre kobiety, nie przeszkadza, że jego bracia górnicy z niego kpią. Ich śmiech go cieszy, ponieważ w nocy, kiedy śpią albo próbują spać, wyglądają na smutnych i zagubionych. Yonni widzi, jak jednemu z kolegów drży ręka, a inny cały się trzęsie. Wie trochę o życiu tych mężczyzn i nie ma wątpliwości, że są to objawy odstawienne. Głód nikotynowy na razie udaje się zaspokoić, ponieważ wygrzebują ze śmieci pety, suszą tytoń i robią sobie skręty, ale nie da się w ten sposób zdobyć alkoholu, który mogliby wypić i uspokoić nerwy. To takie bolesne patrzeć, jak silni mężczyźni stają się bezbronni na skutek braku codziennego, sfermentowanego lub destylowanego lekarstwa. Objawy obejmują również rozdrażnienie i przygnębienie, ale dotyczy to nie tylko alkoholików pozbawionych zwykłej dawki trunku. Rozdrażnienie górników w większości skupia się na Luisie Urzúi, którego akurat nie ma w pobliżu, więc nie słyszy, jak podwładni się na niego skarżą.

– On jest nic niewart – mówią. – To przez niego tutaj siedzimy!

Kilku górników ma schowane dodatkowe ciasteczka po obrabowaniu szafki z zapasami. Od czasu do czasu wymykają się na bok, żeby zjeść jedno z nich. Tylko nieliczni znają ich tajemnicę. Pierwszego dnia po katastrofie, kiedy Mario Sepúlveda zrobił inwentaryzację pozostałej żywności, Ariel Ticona wyjął z kosza zepsute mleko w kartonach. Było skwaśniałe, ale wszystko wypił i się nie pochorował. Teraz żartuje:

– Dzięki temu mleku pociągnę dłużej od was wszystkich.

W Schronie jest mnóstwo czasu na żartowanie, lecz także na samotną refleksję. „*La impotencia es muy grande,* jest wielkie poczucie bezsilności – pisze Víctor Segovia w dzienniku, który zaczął prowadzić. – Nie wiemy, czy próbują nas ratować i co się dzieje na zewnątrz, bo nie słyszymy tutaj żadnych maszyn ani niczego innego”. Víctor jest operatorem podnośnika jumbo i pochodzi ze starej rodziny z Copiapó. Przez czterdzieści osiem lat swojego dotychczasowego życia nigdy nie wyjechał poza region Atakamy – granice oddalonego o czterdzieści pięć minut jazdy od kopalni miasta Caldera wyznaczają kres znanego mu świata. W piątej klasie wyrzucili go ze szkoły za bójki, ale całkiem dobrze umie pisać. Dziennik zaczyna od zwrócenia się do swoich pięciu córek, co sugeruje, że traktuje te słowa jak komunikat, który być może do nich dotrze, kiedy otaczające go kamienne ściany staną się jego grobem. Przed piątym sierpnia, gdy kopalnia San José jeszcze normalnie funkcjonowała, przyniósł ze sobą długopis i papier milimetrowy, żeby spisywać odczyty wskaźników podnośnika, a także kopiować formularze, które musi wypełniać w związku z obsługą maszyny. Teraz wykorzystuje te materiały do tworzenia kroniki tego, co się dzieje z nim i innymi członkami szychty A. Przystępuje do spisywania relacji, która zaczyna się dzień przed katastrofą, kiedy to Víctor spędził całe popołudnie i wieczór na piciu wraz ze swoim kuzynem Pablem Rojasem, pseudonim Kot, teraz również uwięzionym w kopalni. Opłakiwali śmierć ojca Pabla i wspominali piłkarskie mecze rozgrywane przez nich w dzieciństwie w korycie rzeki Copiapó, którym wtedy jeszcze płynęło trochę wody. Víctor solidnie się upił, a kiedy, zataczając się, wracał do domu, wstąpił po drodze do baru szybkiej obsługi, żeby zjeść cztery hot dogi. Sądził, że będzie miał zbyt dużego kaca, żeby następnego dnia rano pojechać do kopalni. Postanowił nawet nie nastawiać budzika, ale

z jakiegoś powodu obudził się dokładnie o tej godzinie co zawsze i w bardzo dobrej formie.

Następnie Víctor notuje w dzienniku, że tuż po tym, jak o wpół do dwunastej w kopalni rozległ się głośny huk tąpnięcia, dyrektor Carlos Pinilla przejechał swoim pikapem obok grupy górników i zignorował ich pełne niepokoju pytania o to, czy na dole jest bezpiecznie. Dalej opisuje horror samego zawału, kiedy miał wrażenie, że ściany Rampy chcą go zmiażdżyć. Podpisuje się pod swoim pierwszym wpisem do pamiętnika i próbuje zasnąć, ale kamienne ściany i strop dygoczą od dźwięku odległych grzmotów: każdy wstrząs może stanowić preludium do następnego zawału czy nawet do ostatecznej katastrofy, która pochłonie Schron, jego stalowe drzwi i siatkę osłaniającą zgromadzonych w jego wnętrzu górników.

Trzeciego dnia Víctor zaczyna pisanie o wpół do czwartej, wymieniając imiona swoich córek: „Dziewczynki, niestety, los pozwolił mi być z wami tylko do czwartego sierpnia… Jestem słaby i bardzo głodny… Wiem, że zwariuję”.

Kiedy w kopalni panuje cisza, niektórzy górnicy przytykają ucho do skalnej ściany, ponieważ po tych wszystkich rozmowach o sprowadzanych z innych kopalń wiertnicach nasłuchiwanie odgłosów wydawanych przez ratowników staje się obsesją uwięzionych.

– Słyszysz? – pyta któryś.

– Chyba coś słyszę! Ty też?

Víctor Zamora mówi, że tak, że słyszy.

– Kłamałem – powie później. – Nic nie słyszałem.

Czuł się jednak odpowiedzialny za podtrzymywanie kolegów na duchu, dlatego powtarzał:

– Bardzo słabo, ale tak, chyba słyszę. Idą po nas.

Yonni Barrios również przykłada ucho do skały.

– To było jak słuchanie szumu morza w muszli – powie później. – Nic nie słyszysz, a zarazem słyszysz wszystko, można sobie wyobrazić, że w tej muszli faluje ocean. A potem odsuwasz ją i zdajesz sobie sprawę, że to wszystko było złudzeniem.

Zasypani ludzie zaczynają już dzielić się na obozy. Jeden z mechaników, którzy nocują na poziomie sto pięć, nazywa defetystów ze Schronu „klanem”. Mario Sepúlveda należy do nielicznych górników, którzy pośredniczą między tymi dwiema grupami. Cały czas jest czymś zajęty, ciągle gada tym swoim optymistycznym, piskliwym głosem. Jego obficie okraszone wulgaryzmami monologi podnoszą na duchu Carlosa Mamaniego, Jimmy’ego Sáncheza, Edisona Peñę i wielu innych przebywających w Schronie. Mario przeżywa jednak potężne wahania nastroju: w jednej chwili jest dowcipny i zaraża kolegów swoim optymizmem, a w następnej wpada we wściekłość i szuka zwady albo cichnie i pogrąża się w posępnych rozmyślaniach. Yonni Barrios, który siedzi koło Schronu, widzi, że Sepúlveda zaczyna popadać w rodzaj maniakalnej, gniewnej beznadziei. Chodzi tam i z powrotem.

– Zawsze był trochę niespokojny. Patrzyłem, jak chodzi po Rampie, kiedy nagle stanął i wrzasnął: *„¡Yo quiero orar!*”. Chcę się pomodlić! – opowie później Barrios.

Mężczyźni, którzy leżą i siedzą wokół niego, są zaskoczeni. „Chcę się pomodlić!”. Kilku górników patrzy na niego jak na opętanego ulicznego jasnowidza.

– Jestem zły! – krzyczy Sepúlveda. – Czuję się *impotente*, bezsilny!

Ludzie są zlani potem i niektórzy zdjęli koszule, ale Sepúlveda, człowiek mający serce psa, wygląda na najbardziej spoconego, brudnego i zdesperowanego. Jeden z górników powie później, że Mario wyglądał

w tamtym momencie jak komandos z namalowanym na ciele kamuflażem do walki w dżungli. Sepúlveda pada na kolana.

– Ci, którzy się chcą pomodlić, niech tutaj przyjdą – mówi.

Yonni patrzy na niego i myśli: „Nie wydostaniemy się stąd. Perri o tym wie i chce się pogodzić z Bogiem. Uważa, że musimy porozmawiać z Bogiem i poprosić go o odpuszczenie grzechów”.

Sepúlveda wspomina później:

– Byłem zły na właścicieli kopalni, ponieważ to oni byli odpowiedzialni za nasze bezpieczeństwo. Byłem zły, bo to było niesprawiedliwe. Nie dość, że miałem ciężkie życie, to jeszcze teraz coś takiego.

Był przekonany, że się powoli udusi albo umrze z głodu sześćset metrów pod ziemią, w pustynnym zakątku Chile, daleko od domu, że na zawsze zniknie z życia ludzi, którzy go najbardziej potrzebują.

Prawda jest taka, że myślał o modlitwie kilka godzin wcześniej, podczas rozmowy z José Henríquezem, wysokim, łysiejącym mężczyzną z południa, pobożnym ewangelikiem. Mario jest świadkiem Jehowy, czyli obaj należą do niekatolickiej mniejszości w kopalni. Przed zawałem rozmawiali o religii, ponieważ Mario miał wrażenie, że kiedy stał w miejscu, w którym zginął inżynier Manuel Villagrán, przez jego ciało przeszedł duch. Po wypadku, kiedy stało się oczywiste, że są uwięzieni, Henríquez szepnął mu do ucha:

– Tylko Bóg pomoże nam stąd wyjść.

Teraz Mario wygłosił swoje gniewne wezwanie do modlitwy. Zaskoczeni i rozbawieni górnicy w Schronie i w pobliżu nadal wpatrują się w niego wytrzeszczonymi oczami, kiedy mówi do Joségo:

– Don José, wiemy, że jest pan chrześcijaninem, i chcielibyśmy, żeby pan prowadził modlitwę. Zgodzi się pan?

Od tej chwili inni górnicy będą nazywali Henríqueza Pastorem, ponieważ kiedy zaczyna mówić, jest oczywiste, że umie mówić o Bogu i do Boga.

Henríquez ma pięćdziesiąt cztery lata i zaczął pracować w górnictwie w latach siedemdziesiątych. Przeżył pięć wypadków górniczych, w tym dwa, w których zginęła większość jego kolegów ze zmiany. W jednym z nich, na południu Chile, ściany pozornie niewzruszonej pradawnej skały samoczynnie eksplodowały, a w drugim tlenek węgla, ten cichy zabójca, pozbawił go przytomności i o mało nie położył kresu jego życiu. Ów dowód na to, że jest człowiekiem śmiertelnym i bezsilnym wobec wyroków losu i geologii, popchnął go głębiej w ramiona chrześcijańskiej wiary. Henríquez jest lojalnym członkiem swojego Kościoła w położonym na południu Chile mieście Talca.

– My się modlimy w pewien szczególny sposób – mówi Henríquez. – Jeżeli chcecie się modlić tak jak my, to dobrze, jeśli nie, to znajdźcie sobie kogoś innego.

– Don José, zróbmy to tak, jak pan to robi – mówi Sepúlveda.

Henríquez klęka i prosi innych, żeby zrobili to samo, bo kiedy się modlisz, musisz się ukorzyć przed Stwórcą.

– Nie jesteśmy najlepszymi ludźmi, ale zlituj się nad nami, Panie – zaczyna.

To stwierdzenie jest dla kilku jak uderzenie obuchem w głowę. „Nie jesteśmy najlepszymi ludźmi”. Víctor Segovia wie, że za dużo pije. Víctor Zamora zbyt łatwo wpada w gniew. Pedro Cortez myśli o tym, że jest kiepskim ojcem dla swojej córeczki: porzucił jej matkę i w ogóle nie widuje się z dziewczynką, chociaż wie, że zostawi to trwały ślad na jej psychice.

– Jezu Chryste, Panie nasz, dopuść nas do świętego tronu Twojej łaski – mówi Henríquez. – Wejrzyj na tę trudną chwilę w naszym życiu. Jesteśmy

grzesznikami i potrzebujemy Cię.

Prawie wszyscy górnicy, którzy są teraz w Schronie albo obok niego, klęczą z pobożnymi minami i wydają się mali wobec Boga, a także wobec Henríqueza, który jest wysokim mężczyzną zarówno na tle ogółu Chilijczyków, jak i swoich kolegów górników. Jest człowiekiem religijnym i nagle, w tym grobie, jego żarliwość, która w codziennej pracy drażniła wielu górników z szychty A, okazuje się tym, co jest im najbardziej potrzebne.

– Uczyń nas silniejszymi i dopomóż nam w godzinie próby – mówi Henríquez. – Bez Twojej pomocy nie możemy nic zrobić. Potrzebujemy Cię, żebyś się nami zaopiekował. Prosimy Cię, Panie, weź nas pod swoją ochronę.

Mężczyźni klęczą i modlą się po cichu.

Sepúlveda odmawia w myślach chaotyczną wersję modlitwy *Ojcze nasz*.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie… Panie Jezu Chryste, któryś jest synem naszego Ojca Stworzyciela, dziękuję Ci za wszystkie błogosławieństwa, za życie, za zdrowie… Proszę Cię dzisiaj, żebyś chronił nasze rodziny, ponieważ nie wiedzą, co się tutaj dzieje. Daj nam dużo siły, *fuerza*, i hartu ducha, *fortaleza*, abyśmy wytrzymali, ponieważ musimy się stąd wydostać.

Myśli o ciasteczkach, które są dla nich głównym pożywieniem, i mówi:

– Nie wiem jak, ale znajdź sposób na nakarmienie nas.

Sepúlveda widzi wokół siebie pokrytych sadzą, spoconych i nieogolonych członków szychty A, ludzi różnych wyznań, którzy przybrali pozy wyrażające pokutę i rozpacz, część ma oczy zamknięte, część otwarte, modlą się, szepczą, żegnają znakiem krzyża. Jedni nadal mają na sobie kombinezony, inni je zdjęli, jedni płaczą, a inni mają

zdezorientowane miny, jakby nie byli w stanie do końca uwierzyć, że klęczą w tej pieczarze i błagają Boga, by ich uratował.

Pastor mówi, że wszyscy są poddawani próbie, ponieważ żyją w grzechu. Dlatego muszą paść na kolana, muszą dosłownie rzucić się na ziemię, *tirarnos al piso*, i ukorzyć się przed Bogiem.

– Musimy sobie uświadomić, że jesteśmy niczym – podkreśla.

W świecie na powierzchni, kiedy wracali z kopalni, wchodzili do swoich domów i brali prysznic, byli książętami, królami, rozpieszczanymi synami, dobrze karmionymi ojcami, Romeami. Żyli w przekonaniu, że prywatne światy ich domów i rodzin funkcjonują dzięki ich znojowi i trudom i że jako ludzie pracy i żywiciele rodziny mają wszelkie prawo oczekiwać, że świat będzie się obracał wokół nich i ich potrzeb. Teraz zwaliła się na nich góra i uwięził ich blok skały, którego nieskazitelność i gładkość niektórym kojarzy się z Sądem Bożym.

– Zgrzeszyliśmy – mówi Pastor, a potem górnicy zaczynają się spowiadać ze swoich grzechów.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie, przebacz mi, że krzyczałem na żonę i dzieci – mówi jeden z nich.

– Przebacz mi, że bezcześciłem świątynię mojego ciała narkotykami – mówi inny.

Kiedy dorastasz w Chile, tak każą ci się modlić, zwracać się do Boga w pierwszej osobie. Górnicy proszą o przebaczenie za chwile, kiedy zdradzali kochające ich kobiety, za zazdrość i niepohamowane pragnienia. Proszą Boga, żeby pokierował ratowników do małego pomieszczenia i korytarza, gdzie czekają, gotowi przyjąć zbawienie i zacząć nowe życie jako lepsi ludzie.

Modlitwa staje się codziennym rytuałem. Każdego dnia przed jedzeniem, koło południa, gromadzą się, by wysłuchać krótkiego kazania

Henríqueza, a potem również innych, na przykład Osmána Arai, który po przeżyciu burzliwej młodości stał się ewangelikiem. Modlitwa i posiłek to jedyny moment dnia, kiedy trzydziestu trzech górników przebywa razem. Po jakimś czasie po modlitwie zaczynają się odbywać sesje samokrytyki: górnicy przepraszają się nawzajem za mniejsze i większe uchybienia. Przepraszam, że podniosłem na ciebie głos. Przepraszam, że nie pomogłem ci w noszeniu wody. Z każdym dniem coraz mniej lamp czołowych oświetla ich modlitwę i przeprosiny, a lampy, które wciąż świecą, świecą coraz słabiej. To przerażające: każda modlitwa wciąga ich trochę głębiej w ciemności, które mogą się okazać ostateczne i bezkresne. Po kilku dniach Juan Illanes wyjmuje z reflektora jednego z pojazdów żarówkę wielkości spinacza i za pomocą kabla telefonicznego podłącza ją do akumulatora wymontowanego z jednej z dziewiętnastu maszyn, które razem z nimi tkwią uwięzione pod ziemią. Od tej pory modlących się górników spowija nikłe szare światło. Yonni Barrios odnosi wrażenie, że w tym świetle wszyscy są trochę wyżsi. Wie, że to złudzenie wywołane grą światła i cienia, ale dostrzega coś magicznego w tym, jak wyglądają w świetle tej małej żarówki, słuchając na stojąco lub na kolanach Słowa Bożego.

Kiedy Víctor Segovia znowu zaczyna pisać, wyjawia, że podczas prowadzonej przez Henríqueza modlitwy płakał. Zwraca się do swoich córek: „Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jaki ból wam sprawiam – pisze. – Oddałbym wszystko, żeby móc go uśmierzyć, ale nie mam takiej możliwości”. Przyswoił sobie zawartą w kazaniu Pastora myśl o własnej małości w obliczu góry i Sądu Bożego. Przez cały dzień snuje refleksje na temat swojego życia: „Teraz rozumiem, jakie to było złe, że tak dużo piłem”, i jest coraz bliżej pogodzenia się z myślą, że umrze w kopalni San José. „Nigdy w życiu nie sądziłem, że umrę w ten sposób”, pisze. Zaledwie kilka dni wcześniej siedział w domu, otoczony wszystkim tym, co

wprawiało go w dobry nastrój: muzyką i kolegami z kopalni, którzy przyszli do niego na imprezę. „Może na to zasłużyłem, ale to bardzo okrutne”. Zaczyna się żegnać z córkami, rodzicami, wnukami, obiecuje im: „Kocham was i będę się wami opiekował, gdziekolwiek się znajdę”. Kilka godzin później dopisuje: „Mam wyrzuty sumienia, że sprawiam wam taki ból. Nie powinienem pracować w tej kopalni, odkąd się dowiedziałem, w jakim jest stanie”. Zaczyna udzielać swojej córce Maritzie instrukcji, jak ma pozałatwiać różne sprawy, i prosi ją, żeby pomogła jego matce w uregulowaniu długów, które po nim zostaną. Może ktoś znajdzie ich ciała i zaniesie ten list Maritzie – Víctor przynajmniej w jakimś niewielkim stopniu pomógłby zza grobu swoim córkom i matce.

Ktoś mówi, że podgrzane jedzenie ma więcej kalorii i jest bardziej pożywne. Trzeciego dnia po wypadku górnicy postanawiają ugotować zupę i urządzić sobie w kopalni piknik w pobliżu miejsca, w którym pracowali mechanicy, gdzie jest niewielka cyrkulacja powietrza. Udaje się nakłonić wszystkich do opuszczenia Schronu i podejścia do góry na poziom sto trzydzieści pięć.

Pośrodku sterty szarych kamieni rozpalają ognisko wielkości złożonych w miseczkę dłoni. Zdejmują osłonę filtra powietrza jednej z wielkich maszyn i wykorzystują jako garnek. José Henríquez ma w kieszeni telefon komórkowy i uświadamia sobie, że może zarejestrować to wydarzenie, ale nie umie włączyć kamery, więc daje telefon Claudiowi Acuñi. Mario Sepúlveda wciela się w rolę narratora, mówi do Acuñi i do kamery głosem, z którego przebija przekonanie, że ratownicy kiedyś znajdą to nagranie.

– Tuńczyk z groszkiem – komunikuje. – Osiem litrów wody, jedna puszka tuńczyka, trochę groszku. Tutaj mamy malutkie ognisko. Damy więc radę przeżyć!

Wokół Sepúlvedy poruszają się ludzie w żółtych i czerwonych kaskach na głowach, większość bez koszul, kilku siedzi na stercie kamieni koło ogniska, roztańczonej kuli pomarańczowego światła blisko środka czarnego kadru filmiku. Momentami Acuña kieruje obiektyw kamery w stronę reflektora jednej z maszyn, ale urządzenie rejestruje przede wszystkim czarną przestrzeń wypełnioną głosem Sepúlvedy.

– Pokażemy, że jesteśmy Chilijczykami z krwi kości. Dzisiaj zjemy pyszną zupę – mówi.

Acuña wyłącza kamerę, żeby zaoszczędzić baterię w telefonie, a kilka minut później uruchamia ją ponownie, żeby zarejestrować, jak Sepúlveda nakłada kolegom ugotowaną zupę, używając do tego metalowego kubka, który pobrzękuje o dno zrobionego z filtra powietrza garnka. Nalewa do plastikowych kubków, w których widać, że woda jest mętna.

– Wszyscy dostali? – pyta Sepúlveda. – Jeśli ktoś chce, jest jeszcze trochę.

Szoruje kubkiem o dno filtra powietrza i zaczyna mówić do swojego syna, tak jakby Francisco oglądał nagranie.

– Francisco, kiedy Bóg każe ci być wojownikiem, to znaczy, że musisz mieć jaja, *está hueva*.

Wyobraża sobie, że syn go ogląda, niemającego zamiaru kapitulować wojownika karmiącego innych wojowników.

– Widzisz, Francisco, wojownikiem jest nie tylko ktoś, kto zabija smoki. Albo Anglik[6], taki jak Mel Gibson w naszym ulubionym filmie *Waleczne serce*. Wojownikiem może też być mężczyzna, który rozbiera na części silnik, żeby ugotować zupę, a potem podaje ją swoim braciom, podtrzymując ich na duchu wznoszącą intonacją głosu.

Acuña przerywa nagrywanie, żeby móc pomodlić się razem z innymi, kiedy Henríquez błogosławi posiłek. Gdy zgromadzeni wokół Pastora

mężczyźni pochylają głowy, ten dziękuje Bogu za jedzenie, które za chwilę będą spożywali. Potem siadają na stercie kamieni i zaczynają pić zupę połyskującą olejem, który może pochodzić z puszki z tuńczykiem, ale również z mętnej wody użytkowej, na której Sepúlveda ugotował posiłek. Kiedy tak siedzą w przyjemnej i wesołej atmosferze, kilku górników wspomina ostatni duży wspólny posiłek w domu Víctora Segovii, który dwa tygodnie wcześniej, w środę po południu, po zakończeniu tygodniowej zmiany zaprosił większość członków szychty A na kolację, zanim koledzy z południa wsiedli do nocnych autobusów do Santiago.

Víctor Segovia mieszka w dzielnicy, gdzie ulice noszą nazwy minerałów. Jego dom stoi przy ulicy Chalkopirytu. Większość mięsa przywiózł Alex Vega, w wielkim garnku, który w Chile nazywa się *fondo*. Głównym daniem miało być *cocimiento*: kurczak, wieprzowina, ryba i ziemniaki w mundurkach na liściach kapusty. Dusi się to wszystko w wodzie, a pod koniec dolewa trochę wina. Postawili garnek na gazie, a potem zaczęli pić piwo Cristal i wino, z wyjątkiem Sepúlvedy, który jako świadek Jehowy jest abstynentem, w związku z czym zgodził się popilnować garnka. Trochę już wstawiony Edison Peña wziął do ręki mikrofon – Víctor Segovia jest muzykiem i po jego domu wala się mnóstwo sprzętu muzycznego – i zaczął swoją angielszczyzną z ciężkim chilijskim akcentem śpiewać piosenki Elvisa, między innymi *Blue Suede Shoes*.

– To jest muzyka dla starców – powiedział Pedro Cortez i poparło go kilku innych młodszych kolegów, drocząc się z Edisonem, bo żyli w świecie reggaetonu i cumbii, dlatego ta stara muzyka z południa USA brzmiała dla nich jak coś, czego mogli słuchać ich rodzice.

– Tak, super się wszyscy bawiliśmy w domu Víctora Segovii – wspominają górnicy.

Ale impreza się skończyła niedługo po tym, jak koło wpół do piątej zadzwonił telefon Pabla Rojasa pseudonim Kot. Sepúlveda właśnie mówił, że *cocimiento* jest gotowe, i w domu unosił się zapach duszonego mięsa, a chłopcy byli przyjemnie rozgrzani winem i piwem. Pablo Rojas i Víctor Segovia są kuzynami i osoba, która zadzwoniła do Pabla, powiedziała, że jego ojciec właśnie zmarł. Wiadomość ta nie była zaskoczeniem, ponieważ starszy Rojas, który przez całe życie pracował jako górnik, po przejściu na emeryturę popadł w ciężki alkoholizm. Widywano go często na rynku w Copiapó, jak po kilku dniach nieustannego picia żebrał o pieniądze, żeby móc sobie kupić jeszcze trochę alkoholu. José Rojas od kilku lat powoli się zabijał i teraz stało się to, co stać się musiało. Mimo to Pablo ciężko przeżył tę wiadomość. Nie rozpłakał się, ale jego kuzyn Víctor widział, że jest kompletnie rozbity, i zaproponował mu, by nie przejmował się imprezą i jedzeniem, tylko pojechał do szpitala zobaczyć zmarłego ojca.

Po wyjściu Pabla nikt nie miał nastroju na kontynuowanie spotkania i wszyscy dosyć szybko się rozeszli. Kiedy przybył spóźniony Urzúa, ostatni goście właśnie wychodzili. On też nie miał ochoty nic jeść i wielki garnek *cocimiento* pozostał nietknięty.

– Tyle jedzenia! Zostawiliśmy je w kuchni i rozeszliśmy się do domów! – woła teraz Pedro Cortez, kiedy siedzą wokół sterty kamieni na poziomie sto trzydzieści pięć. Świeżo ugotowane w białym winie, w wielkim *fondo*, wieprzowina, ryba i kurczak! A teraz wypijają po kubku zupy ugotowanej w filtrze powietrza ciężarówki na jednej puszce tuńczyka i ośmiu litrach wody po kąpieli Maria Sepúlvedy, bez soli, z puszką zielonego groszku i odrobiną oleju silnikowego do smaku – a wszystko to rozdzielone między trzydziestu trzech mężczyzn!

To ciekawe, co się może stać z górnikiem w ciągu zaledwie dwóch tygodni: skończył się tydzień ciężkiej pracy przy wydobywaniu z ziemi

złota i miedzi i dobrze sobie żyli, przygotowywali duże górnicze porcje jedzenia, pili piwo i wino (*cocimiento* w końcu nie zjedli, ale to już inna sprawa), niektórzy stracili ojca i wuja, który zapił się na śmierć, kiedy nie mógł już dłużej pracować jako górnik, a potem wrócili do pracy, zostali uwięzieni w kopalni, ugotowali zupę na wodzie przeznaczonej dla maszyn, pobłogosławili ją jako pożywienie i podzielili się nią ze swoimi braćmi. Jeżeli zdołają się stąd wydostać, opowiedzą to wszystko ludziom, których kochają, opowiedzą tę historię o jedzeniu, rodzinie i przyjaźni. Jest to opowieść o dwóch posiłkach – jednym spożywanym nad ziemią, z ładnymi talerzami i mnóstwem strawy, która w końcu nie została zjedzona, i drugim, pod ziemią, złożonym z bardzo niewielkiej ilości jedzenia, które zostało dokładnie wylizane z plastikowych kubków.

Po posiłku kilku górników mówi podnieconymi głosami, że słyszą odgłosy wiercenia.

– Czuję jakieś wibracje – odzywa się ktoś. – Coś słyszę.

Wszyscy milkną, żeby sprawdzić, czy też słyszą.

– Kłamiesz, ja nic nie czuję – odpowiada ktoś.

Zaczyna się dyskusja i w końcu górnik, któremu się wydawało, że czuje wibracje, przyznaje, że szybko zanikły albo nawet były wytworem jego wyobraźni. Víctor Segovia rzuca się na ciepłą ziemię Rampy koło Schronu i zaczyna pisać dziennik, żeby zwalczyć ogarniającą go depresję. „Na dole nie ma dnia, tylko ciemności i tąpnięcia”. Opisuje, jak mężczyźni wokół niego śpią, niektórzy używają plastikowych butelek po napojach jako poduszki. Víctor i kilku innych czują, że ogarnia ich jakiś potworny, jak pisze, „obłęd”. Jest to ich czwarty dzień pod ziemią. Víctor rysuje diagram z dwudziestoma kilkoma postaciami z kresek wokół drzwi w skale oznaczonych jako „Refugio”. Ten prymitywny rysunek kojarzy mu się z makabrycznym policyjnym szkicem jakiegoś miejsca zbrodni. Znowu

wypisuje imiona swoich pięciu córek, swojej matki i ojca, a także własne, a potem otacza je serduszkiem. „Nie płaczcie po mnie – pisze. – Przeżyliśmy razem tyle przyjemnych chwil, z tymi wszystkimi *azados*, grillami, i gotowaniem *cocimiento”*.

Podczas następnej południowej modlitwy Pastor próbuje dodać im otuchy i Víctor zapisuje jego słowa.

– Bycie zasypanym w San José to próba, której poddał nas Bóg, żebyśmy się zastanowili nad wszystkimi złymi rzeczami, które zrobiliśmy w naszym życiu – mówi Pastor. – Jeżeli się stąd wydostaniemy, będzie tak, jakbyśmy narodzili się na nowo.

Piętnaście po czwartej po południu znowu im się wydaje, że słyszą odgłosy wiercenia. Dwóch górników bardzo się tym ekscytuje i zaczyna krzyczeć, ale w ciągu godziny dźwięk zanika. Víctor z powodu gorąca i stresu jest cały podekscytowany. Ale po chwili podniecenie związane z odgłosami drążenia opada i Víctor przygląda się górnikom, którzy nagle ucichli. „Wyglądamy jak jaskiniowcy, cali w sadzy i wycieńczeni, co po większości z nas bardzo wyraźnie widać”, zapisuje.

Wreszcie, ósmego sierpnia, piętnaście po siódmej, siedemdziesiąt osiem godzin po katastrofie, Víctor rejestruje dźwięk czegoś, co się obraca, wierci i łomocze w skałę. W ciągu trzech godzin dźwięk staje się coraz głośniejszy. O dziesiątej wieczorem Yonni Barrios również jest skłonny uwierzyć, że dźwięk jest prawdziwy. Nie ma wątpliwości, że przez sześćset metrów skały dochodzi do nich odgłos wiertnicy. Omar Reygadas mówi, że świder jest widiowy – diamentowy nie robi tyle hałasu. Wkrótce mają wrażenie, że odgłos dochodzi ze wszystkich stron, z każdej ściany. Wciąż robi się coraz głośniejszy, górnicy, którzy pracują takimi narzędziami, fizycznie odczuwają skoki ciśnienia. Ra-ta-ta! Zgrzyt, zgrzyt! To jest wiertnica na sprężone powietrze, zagłębia się w skałę i przybliża do nich,

o czym świadczy fakt, że z każdą mijającą godziną dźwięk jest coraz głośniejszy.

– Słyszycie to, *huevones*? – krzyczy Mario Sepúlveda. – Słyszycie? Co za piękny hałas!

Ktoś idzie po nich z góry.

– Wiertnice potrafią wydrążyć sto metrów dziennie – mówi któryś z górników.

Inny zaczyna wykonywać obliczenia. Dotrą do nich najwcześniej w piątek albo sobotę, co oznacza pięć lub sześć dni bez posiłku z prawdziwego zdarzenia.

Kiedy górnicy jedzą swoją codzienną porcję ciasteczek, niektórzy przed połknięciem długo trzymają je w ustach, dzięki czemu mają poczucie, jakby zjadali całą paczkę, a nie tylko dwie sztuki. Kilka dni głodu może człowieka skłonić do różnych rzeczy, których w innych okolicznościach prawdopodobnie by nie zrobił, co tłumaczy, dlaczego pewnego dnia z apteczki na ścianie Schronu zniknął roztwór soli fizjologicznej.

– Nie ma soli fizjologicznej, *los niños* – mówi ktoś na codziennym spotkaniu. – Ten, kto ją wziął, niech się ujawni i odda, a jeśli już ją wypił, to niech się przyzna.

Nikt się nie zgłasza, mimo że kilku górników wie, kto dopuścił się tej kradzieży: Samuel CD Ávalos, handlarz pirackimi płytami.

– Nie przyznałem się – powie później, śmiejąc się pod nosem. – To było jedno z wariactw, których dopuszczałem się w nocy.

W tajemnicy popijał sól fizjologiczną i skonsumował już około połowy plastikowego woreczka. Miała słony smak.

– Skoro nikt nie wie, gdzie jest sól, musimy ją znaleźć – mówi ktoś. – Niech wszyscy zaczną jej szukać.

Górnicy szukają albo udają, że szukają cennego woreczka z roztworem soli fizjologicznej, włącznie z Samuelem, który nagle woła z nutką ironii w głosie:

– Jest, znalazłem!

Od tej pory Mario Sepúlveda wlewa po kilka kropli wody z woreczka do plastikowych kubków z codzienną porcją zupy z tuńczyka, a czasami nieświadomie dodaje również do wody inny słony składnik. Kilku górników zauważa, że kiedy Mario nalewa do kubków wodę i kilka kropli mleka albo wsypuje groszek, do niektórych skapuje pot z jego czoła. Mario mówi kolegom, jaka pyszna będzie zupa, i jest za bardzo podekscytowany albo zaabsorbowany, żeby to zauważyć. Górnicy jedzą zupę przygotowaną nie tylko na wodzie z kąpieli Maria Sepúlvedy, ale również na jego pocie.

---

6 William Wallace (1270-1305) – w rzeczywistości Szkot, grany przez Mela Gibsona w filmie *Braveheart. Waleczne serce*, przywódca szkockiego powstania przeciwko Anglikom, którzy go zgładzili.

ROZDZIAŁ 7

BŁOGOSŁAWIONAŚ MIĘDZY NIEWIASTAMI

Wiertniczy Eduardo Hurtado dociera do kopalni San José w niedzielę o dziewiątej rano, po pokonaniu trasy liczącej siedemset kilometrów, co zajęło mu całą noc. W sobotę wieczorem wezwał go szef ze spółki wiertniczej Terraservice, w której pracuje, kilka godzin po płaczliwym oświadczeniu ministra Golborne'a, że „tradycyjnych metod ratowniczych" nie da się już zastosować. Dwie godziny później przyjeżdża maszyna, której użyje Hurtado: wyprodukowany w pensylwańskiej miejscowości West Chester schramm T685WS. Jest to wiertnica samojezdna, pojazd długości cysterny, wyposażony w wysięgnik, który steruje hydraulicznym świdrem. W zwykły dzień pracy Hurtado i jego koledzy pod kierunkiem geologa albo topografa drążą w ziemi otwory poszukiwawcze.

– Wywierciłem mnóstwo głębokich dziur, ale zawsze było to poszukiwanie minerałów – mówi wiertniczy. – Nigdy wcześniej nie próbowałem dowiercić się do górników.

Wchodzi do białego biura kopalni i zastaje tam Alejandra Bohna, jednego z jej właścicieli, który wygląda na wykończonego i przegranego, ale menedżer Pedro Simunovic jest dużo bardziej energiczny i pomocny. Hurtado potrzebuje topografa, który mu powie, gdzie ma wiercić, ale na razie nikogo takiego nie ma pod ręką.

– W kopalni był bałagan i panowała anarchia – opowiada później. – Nikt nie panował nad sytuacją.

Hurtado w końcu znajduje topografa i jakieś plany kopalni. Oczywiście najszybszą metodą dającą największą pewność sukcesu jest wiercenie pionowo w dół z miejsca położonego na powierzchni dokładnie nad punktem, do którego chcą dotrzeć, w tym przypadku – nad jednym z chodników w pobliżu Schronu. Określenie tego idealnego miejsca do wiercenia wymaga, żeby wspięli się po nagiej skale i zaznaczyli na niej kwadrat, który potem trzeba spłaszczyć buldożerem, aby stworzyć podest, na którym stanie wiertnica. Już prawie skończyli, kiedy geolog, który dokonywał inspekcji tego obszaru, każe im przerwać: znalazł kilka poważnych pęknięć górotworu. Stali nad wytworzoną przez zawał próżnią.

– To wszystko w każdej chwili mogło się zapaść – mówi geolog.

Znajdują inne miejsce, z którego będą musieli wiercić pod skosem, i w poniedziałek późnym popołudniem są gotowi do działania. Hurtado odczuwa potrzebę wygłoszenia małej przemowy, przypomina swojej ośmioosobowej ekipie, jak ważne jest zadanie, które mają do wykonania. Dodaje, że może każdy powinien się pomodlić za dziurę, którą zaraz zaczną wiercić.

– Zawierzmy wszyscy temu Chudzielcowi – mówi Hurtado, mając oczywiście na myśli Chudzielca na krzyżu. Pochylają głowy i jeden z członków ekipy wiertniczej mówi:

– Szefie, weźmy się za ręce.

Ośmiu robotników w kaskach staje w kole, a potem operator Nelson Flores kładzie na wiertnicy różaniec. Po chwili kompresor i obrotowa głowica zaczynają buczeć i zgrzytać, wysięgnik jest pochylony pod kątem siedemdziesięciu ośmiu stopni i wymierzony w cel położony pod sześćsetmetrową warstwą diorytu.

– Wiedzieliśmy, że przy takim kącie ciężko będzie trafić – mówi później Hurtado. – Nie da się dokładnie kontrolować odchylenia.

Wiercąc szyb, ekipa z Terraservice wsuwa do wykrawanej w górze dziury kolejne odcinki stalowej rury o malejącej średnicy. W miejscach, w których rura będzie przebiegała przez pustą przestrzeń, wygnie się pod wpływem grawitacji, tak jak wygina się seria połączonych ze sobą plastikowych rurek. Jeżeli trafią w Schron, to za pomocą *chanfle*, jak to nazywają hiszpańskojęzyczni kibice futbolu, czyli podkręcenia piłki w stylu Beckhama. Odchylenie może wynieść aż pięć procent, co oznacza, że kiedy świder dotrze do poziomu, gdzie znajdują się zasypani mężczyźni, może przebić się o trzydzieści metrów od celu, a chodnik, w który próbują trafić, ma niecałe dziesięć metrów szerokości.

Drążąca i łomocząca głowica wiertnicza nieustannie wyrzuca chmurę pyłu, a chłodząca świder woda leje się na ziemię. Huk i pył wypełniają zimną noc, a na zbocza góry spływa mgła. W okolicy pracują również inne ekipy wiertnicze: niedziela powoli przechodzi w poniedziałek, ale działań ratowniczych wciąż nikt nie koordynuje.

Kiedy Cristián Barra przyjeżdża w poniedziałek do kopalni, widoczny tam bałagan bardzo go niepokoi, ponieważ jego zadaniem jest zapobiec chaosowi. Barra zjawił się tutaj na polecenie prezydenta Sebastiána Piñery. Należy do tych surowych, nieprzejednanych ludzi, którzy pozostając za kulisami wydarzeń, dążą do tego, żeby najlepiej rozwinięte latynoamerykańskie demokracje działały sprawnie, według zasady: „Ma być zrobione, a jak nie, to wypieprzać”. Pracuje w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, tradycyjnie najbardziej wpływowym resorcie w każdym latynoamerykańskim kraju, zarządza chilijską policją i aparatem bezpieczeństwa. Barra szuka właścicieli kopalni – Alejandra Bohna i Marcela Kemeny’ego. Znajduje ich w niewielkim biurze z maleńkim

oknem wychodzącym na jałowy odcinek pustynnego łańcucha górskiego, który należy do tych dwóch mocno zaspanych mężczyzn w średnim wieku, w oksfordzkich koszulach, białych kaskach i z zestresowanymi minami. Wszystkim powtarzają, że myśleli, iż w kopalni jest bezpiecznie. Kemeny mówi, że kilka miesięcy wcześniej wszedł do niej ze swoimi dwoma synami – dziewięciolatkiem i piętnastolatkiem.

Poprzedniego dnia wieczorem Kemeny i menedżer Pedro Simunovic mieli krótką i pełną napięcia konfrontację z rodzinami zasypanych górników. Ci wściekli ludzie zorganizowali protest, aby zmusić właścicieli do „ujawnienia swoich prawdziwych twarzy". Pośród przepychanek, którym nie udało się zapobiec wyznaczonym do ochrony właścicieli policjantom, Kemeny i Simunovic weszli do postawionego przez lokalny samorząd namiotu konferencyjnego. Simunovicia obrzucono gradem wyzwisk i zdołał wypowiedzieć tylko kilka słów, a Kemeny stał za jego plecami i się nie odzywał, dlatego większość członków rodzin górników nawet nie zauważyła jego obecności.

Działania ratunkowe odbywały się bez udziału właścicieli.

– Nie byli psychicznie ani emocjonalnie gotowi do podejmowania żadnych decyzji albo zaplanowania następnych kroków – mówi później Barra.

Przewidziawszy taką sytuację, Barra przyjechał zaopatrzony w dokument wprowadzający stan wyjątkowy, sporządzony przez ministra spraw wewnętrznych na polecenie prezydenta podczas spotkania w pałacu prezydenckim La Moneda, które odbyło się kilka godzin wcześniej. Barra jest prawą ręką Piñery. Znają się od ponad dwudziestu lat, od pierwszych dni istnienia partii Odnowa Narodowa. Teraz Barra przyjechał przejąć kontrolę nad sytuacją w kopalni. Na początek każe policji zbudować

barierki, które uniemożliwią ojcom, braciom i synom zasypanych górników podejmowanie kolejnych desperackich prób ich ratowania.

Wprowadza również regulamin, który mówi, kto może wejść na teren kopalni i na podstawie jakiego dokumentu albo identyfikatora. Jest szpicą armii urzędników federalnych, którzy zmierzają do San José w celu uratowania nie tylko trzydziestu trzech mężczyzn uwięzionych na dole, ale w pewnym sensie również ministra górnictwa. Podobnie jak wszyscy inni Chilijczycy członkowie rządu Piñery widzieli w telewizji, jak minister płakał, ponieważ nie potrafił odpowiedzieć rodzinom górników na pytanie, w jaki sposób wydostanie ich żywych z kopalni. Teraz rząd Piñery wziął na siebie obowiązek przygotowania planu ratowniczego mimo zastrzeżeń niektórych doradców prezydenta, że nie jest to politycznie korzystne: po co brać na siebie odpowiedzialność za życie trzydziestu trzech ludzi, którzy prawdopodobnie i tak są skazani na śmierć, skoro tradycja i prawo mówią, że nie wolno i nie trzeba się angażować?

Prezydent zatrzymał się na krótko w Copiapó podczas podróży powrotnej z Quito w Ekwadorze. Spotkał się z niewielką grupą członków rodzin górników i z kilkoma lokalnymi urzędnikami, między innymi z panią gubernator prowincji, mianowaną przez niego samego Ximeną Matas, i z dwójką konserwatywnych członków Kongresu. Nie spotkał się natomiast z obecnymi na miejscu lewicowymi legislatorami, na przykład z socjalistyczną senator i powieściopisarką Isabel Allende. Później, w Santiago, zwołał pierwsze spotkanie w pałacu prezydenckim i wyraził zgodę na to, żeby rząd przejął kontrolę nad działaniami ratowniczymi. Natychmiast zrodziło się pytanie, kto w Chile najlepiej zna się na ratownictwie górniczym. To musiał być ktoś z Codelco, państwowego holdingu miedziowego i największego na świecie producenta miedzi. Jeden z urzędników dzwoni do André Sougarreta, szefa El Teniente, największej

kopalni Codelco, która znajduje się w Rancagua na południe od Santiago. Sougarret jest inżynierem i dyrektorem tak wielkiej kopalni – pracuje w niej siedem tysięcy pracowników – że działania ratownicze są tam na porządku dziennym. Kiedy zaczyna gromadzić dwudziestopięcioosobowy zespół, telefon dzwoni po raz drugi i pada pytanie, jak szybko mógłby przyjechać do pałacu prezydenckiego.

Półtorej godziny później Sougarret po raz pierwszy w życiu wchodzi do La Moneda, chilijskiego odpowiednika Białego Domu, w dżinsach i z białym kaskiem pod pachą. Zostaje skierowany do jednego z gabinetów, gdzie czeka na spotkanie, do którego nigdy nie dochodzi. Dwie godziny później jakiś urzędnik mówi mu, żeby zszedł na poziom minus jeden.

– Nie miałem pojęcia, co się dzieje – powie później.

W końcu słyszy:

– Jedzie pan do Copiapó.

W kawalkadzie samochodów zmierza do bazy lotnictwa wojskowego obok międzynarodowego lotniska w Santiago. Po przybyciu na miejsce wsiada do samolotu razem z prezydentem Piñerą. Niedługo po starcie jeden z członków załogi podaje Sougarretowi obiad, a chwilę później prezydent i pierwsza dama wyłaniają się ze swojej salonki i siadają obok niego. Prezydent wyciąga notes i rysuje w nim schemat, który pokazuje, że on, prezydent kraju, dużo wie o kopalni San José, w której znajdują się zasypani górnicy. Mówi mniej więcej coś takiego:

– Tak wygląda sytuacja. Jeżeli damy panu do dyspozycji wszelkie możliwe środki, jakie jest prawdopodobieństwo, że wydostanie pan ich żywych?

Sougarret, podobnie jak inny inżynier, który siedzi obok niego, nie umie odpowiedzieć na to pytanie.

– Potem zapytał, czy znam jakieś inne metody ratownicze, które mogłyby się sprawdzić w tej sytuacji – powie później Sougarret. – Powiedzieliśmy mu, że zasadniczo nie da się przewidzieć, czy akcja ratownicza się uda, oraz że tak naprawdę negatywnych scenariuszy jest więcej niż pozytywnych.

Kiedy kilka minut po czwartej po południu prezydencki samolot ląduje w Copiapó, na zewnątrz jest bardzo zimno. Sougarret wsiada do furgonetki, która zawozi go wraz z prezydentem do kopalni, i na miejscu występują razem z ministrem Golborne'em na krótkiej konferencji prasowej, na której prezydent oznajmia, że rząd przywiózł najlepszego krajowego eksperta od ratownictwa górniczego, który stanie na czele akcji poszukiwawczej, błędnie przy tym wymawiając jego nazwisko. Ku wielkiej uldze Sougarreta udaje mu się uciec przed przedstawicielami prasy, którzy z pewnością by go zapytali, co dokładnie zamierza zrobić.

Jedną z pierwszych osób spotkanych przez Sougarreta w kopalni San José jest dyrektor generalny Carlos Pinilla.

– Pamięta mnie pan? – pyta Pinilla. – Spotkaliśmy się w pałacu prezydenckim.

Kilkadziesiąt lat wcześniej Sougarret był stażystą w kopalni, której szefował Pinilla. Teraz Pinilla i inni menedżerowie dzielą się z nim informacjami, które dają mu trochę nadziei. Dowiaduje się, że w kopalnianych zbiornikach jest prawdopodobnie kilkanaście tysięcy litrów wody, co oznacza, że jeżeli zasypani górnicy nadal żyją, nie umrą na skutek odwodnienia. San José istnieje od ponad stu lat, dlatego też jest tam wiele zapomnianych chodników, które umożliwiają cyrkulację powietrza. Kiedy Sougarret stoi na Rampie w pobliżu wejścia, czuje napływ powietrza do wnętrza góry: uwięzieni na dole ludzie raczej się nie uduszą. Wchodzi głębiej i stwierdza, że „wytrzymałość skały, w której wydrążono kopalnię,

jest bardzo wysoka”. Jest to zarazem uspokajające i alarmujące: twardy dioryt nie powinien się zawalić, a skoro tak się stało, musiały zostać naruszone podstawowe struktury górotworu. Przeszkoda blokująca drogę do górników musi być bardzo duża, co szybko potwierdzają geolodzy, którzy przyglądają się megablokowi wielkości drapacza chmur. Wydrążenie nowego tunelu wokół tej przeszkody zajęłoby rok.

Od personelu medycznego, który przybył do kopalni, Sougarret dowiaduje się, że zdrowy mężczyzna potrafi przeżyć bez jedzenia trzydzieści do czterdziestu dni. Jeżeli ktoś cierpi na chorobę płuc taką jak pylica (kiedy urzędnicy z wydziału zdrowia dostarczą dokumentację medyczną górników, ratownicy dowiedzą się, że jeden z zasypanych mężczyzn rzeczywiście cierpi na to schorzenie), ten okres może być nawet dwa razy krótszy, a człowiek ze złamaną kończyną i innymi poważnymi obrażeniami może nie przetrwać nawet tygodnia. Od wypadku minęły cztery dni. Trzeba wypróbować każdą możliwą strategię ratowniczą. Sougarret postanawia posłać jeden zespół do umocnienia chodników na dole, a drugi będzie próbował dotrzeć do górników przez kopalniane szyby. Wielu spośród kilkunastu ekspertów górniczych, którzy przyjechali do San José, żeby wspomóc ratowników swoją fachową wiedzą, uważa, że największą nadzieję powodzenia daje tradycyjna akcja ratownicza przez szyby i inne przekopy.

Akcja „nietradycyjna” polega na uruchomieniu dziewięciu wiertnic – można powiedzieć, że ratownicy strzelają z dziewięciu pistoletów do tej samej tarczy i mają nadzieję, że jedna z kul trafi w cel. Hurtado, podobnie jak inni wiertniczy, wie, że patrzy na niego całe Chile. Po trzech dniach robót drążony przez zespół z Terraservice otwór osiąga głębokość trzystu siedemdziesięciu metrów: zespół Hurtada przerywa pracę i wyciąga głowicę, żeby topograf za pomocą swoich instrumentów mógł sprawdzić

postępy wiercenia. Pomiary nie przynoszą dobrych wiadomości: otwór skręcił w złym kierunku. Ktoś pyta, czy można go naprostować.

– To niemożliwe – odpowiada Hurtado.

– To było tak, jakbyśmy wyruszyli w podróż do Caldery i wjechali na drogę do Vallenar – mówi później Hurtado, wymieniając dwa miasta położone na przeciwległych końcach Drogi Panamerykańskiej, która przebiega przez Copiapó.

Jeden z członków zespołu wiertniczego sprawia wrażenie szczególnie przygnębionego tą porażką: człowiek, który zaproponował na początku, żeby wzięli się za ręce podczas modlitwy.

– Mieliśmy ciężkie serca – mówi Hurtado. – To nie była zwykła dziura.

Zaczynają wiercić od nowa i geolog Sandra Jara co dwieście metrów sprawdza postępy pracy za pomocą urządzenia, które zespół Hurtada spuszcza do otworu o średnicy piętnastu centymetrów: w skład tego przyrządu wchodzi żyroskop, który wykorzystuje obrót Ziemi i pewne podstawowe zasady fizyki do ustalenia kierunku północnego. Wygląda na to, że drugi otwór, w odróżnieniu od pierwszego, skręca we właściwym kierunku. Po kolejnych sześciu całodobowych zmianach, pracując gorączkowo, ofiarnie, ale bez wielkiej wiary w sukces, ponieważ nawet jeżeli uda im się trafić w cel, prawdopodobieństwo, że zastaną tam kogoś żywego, jest niewielkie, docierają na głębokość czterystu metrów, potem pięciuset. Możliwość, że znajdą tylko ciała, jest na tyle realna, że Cristián Barra i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych opracowali szczegółową procedurę na wypadek, gdyby dowiercono się do właściwego chodnika: pod nadzorem Sougarreta do otworu zostanie wsunięta kamera, ale tylko on, minister górnictwa, i operator kamery będą patrzyli na monitor, ponieważ może się na nim ukazać makabryczny obraz martwego człowieka, kilku martwych ludzi czy nawet trzydziestu trzech martwych

mężczyzn. Jeżeli się okaże, że górnicy nie żyją, zadanie powiadomienia o tym rodzin spadnie wyłącznie na ministra.

Wiercenie trwa czwartą, piątą, szóstą dobę. Hurtado każdego wieczoru kończy pracę i jedzie do Copiapó, żeby tam przenocować. Pewnego dnia rano, w pobliżu zjazdu z drogi trzysta pięćdziesiąt jeden do kopalni, zauważa kobietę o kawowej skórze i indiańskich rysach twarzy. Wygląda na bardzo młodą i na widok nadjeżdżającego pikapa unosi kciuk: to krewna jednego z górników, która próbuje dostać się autostopem do Campo Esperanza. Eduardowi Hurtadzie nie wolno rozmawiać z rodzinami zaginionych – to kolejna z licznych zasad wprowadzonych przez Barrę i jego zespół – ale zatrzymuje się, żeby ją podwieźć. Dziewczyna przedstawia się jako Veronica Quispe, żona zasypanego w kopalni Boliwijczyka Carlosa Mamaniego. Wymieniają parę grzecznościowych uwag, po czym dziewczyna mówi, że w jej dzielnicy Copiapó wstrzymano ostatnio dostawy wody – ta niedogodność jest całkiem częsta na tego rodzaju dzikich koczowiskach, w których mieszkają boliwijscy emigranci i inni ubodzy ludzie. Hurtado wysadza ją pod bramą kopalni. W kolejnych dniach widzi ją jeszcze kilka razy, dziewczyna macha do niego, kiedy przejeżdża przez bramę: siedzi pod parasolem, w odróżnieniu od wielu innych kobiet nie ma namiotu. Po tym pierwszym spotkaniu Hurtado zaczyna się zastanawiać, czy rzeczywiście wierci otwór w kierunku męża Veroniki Quispe.

Tydzień po wypadku prezydent Sebastián Piñera informuje o zdymisjonowaniu szefa chilijskiego urzędu górniczego i dwóch innych wysokich urzędników tej instytucji za brak właściwego nadzoru nad kopalnią San José. Akcja ratownicza może być zagrożeniem dla wizerunku rządu Piñery, ale także wielką szansą. Doradcy prezydenta, którzy mają obowiązek przedstawiać szefowi przewidywane negatywne i pozytywne

skutki podejmowanych przez niego decyzji, zamawiają sondaż opinii publicznej dotyczący osób związanych z katastrofą i akcją ratowniczą. Jak to opisuje Carlos Vergara Ehrenberg w książce *Operación San Lorenzo*, Piñera i Golborne mieli bardzo dobre notowania, natomiast właściciele kopalni należeli wówczas do najbardziej nielubianych ludzi w Chile.

Bohn i Kemeny są w Santiago, ale dwunastego sierpnia wracają do Copiapó i udzielają wywiadów dwóm największym chilijskim gazetom. Nie biorą na siebie żadnej odpowiedzialności za wypadek i sugerują, że mogli się do niego przyczynić sami górnicy. Mają na sobie takie same czerwone kurtki jak urzędnicy państwowi na terenie kopalni, co z punktu widzenia rządu chilijskiego jest fatalne wizerunkowo.

– Ci idioci nas pogrążyli – mówi Barra, prawa ręka prezydenta. – Dlaczego musieli mieć na sobie te czerwone kurtki?

Kilka dni później Golborne popełnia znacznie poważniejsze *faux pas*: mówi telewizyjnemu dziennikarzowi, że jego zdaniem szansa na znalezienie żywych ludzi jest niewielka. Szybko wycofuje się z tego stwierdzenia, ale prawda jest taka, że – jak pisze Vergara Ehrenberg – rząd po cichu szykuje się na najgorsze: jeżeli górników nie uda się znaleźć, każe zapieczętować wejście do kopalni i przyzna jej status „miejsca sakralnego”, w którym już nigdy nie będzie można prowadzić wydobycia.

Kiedy San José nadal eksploatowano, kobietom kazano trzymać się z daleka od kopalni. Kobieta w kopalni przynosi pecha, ale teraz rosnąca grupa kochanek, córek, sióstr i żon uwięzionych pod ziemią górników okupuje wejście na teren Spółki Górniczej San Esteban. Widok, jak pierwsze promienie słońca rozpraszają mgłę i pozwalają obejrzeć te skalne pustkowia, otwiera oczy wielu kobietom, zwłaszcza takim jak Carola Bustos, które przyjechały tutaj z Santiago i innych miast na południu. W świetle dziennym od razu widać, jak bardzo oddalona od cywilizacji jest

ta kopalnia. Wąski pas dziurawego asfaltu, który prowadzi od głównej drogi do bramy frontowej, ma w sobie coś smutnego: jazda po nim kojarzy się z oglądaniem pierwszej sceny filmu o jakiejś apokaliptycznej krainie. Teraz widzą, jakie małe i zaniedbane są budynki kopalni, a wyświetlacze telefonów komórkowych potwierdzają, że mężowie i kochankowie kobiet nie kłamali, kiedy mówili, że nie ma tutaj zasięgu. Niektóre z nich są złe na swoich mężczyzn, że poszli do pracy w takim odległym, zapomnianym i ewidentnie niebezpiecznym miejscu, ponieważ teraz widzą, jak prymitywna jest ta kopalnia, że to zwykła dziura wydrążona w ziemi, a nie bezpieczny i dobrze zorganizowany zakład pracy, jaki sobie wyobrażały. Ich mężczyźni mówili, że nigdzie indziej nie dostaliby takich pieniędzy, ale teraz widać, jak niewielką część z przynoszonych przez kopalnię ogromnych zysków z powrotem w nią inwestowano. Ludzie, którzy tutaj pracowali, najzwyczajniej w świecie plądrowali tę górę. Spieszyli się, żeby wyrwać z niej jak najwięcej złota, zanim ten sam kamień, w którym drążyli, runie im na głowy. Niektóre z żon i kochanek są na siebie złe, że dały się oszukać, że dopiero teraz zrozumiały przemycane przez tych twardzieli, którzy spali z nimi w jednym łóżku, zawoalowane sugestie na temat stanu technicznego kopalni. No i sytuacja się powtarza: znowu mają na głowie całą rodzinę i dom, bo mężczyźni wszystko spaprali. Oczywiście głównymi winowajcami nie są ich mężowie i kochankowie, tylko właściciele kopalni. Obowiązkiem każdej kobiety jest walczyć o swojego mężczyznę, ponieważ jego dzieci, ich dzieci, potrzebują go z powrotem w domu, mimo jego pijaństwa, biegania wzrokiem za innymi kobietami czy *mal genio*, skłonności do humorów.

Zwłaszcza matki mają poczucie, że instynkt i emocje ciągną je w przeciwnych kierunkach. Kiedy Elvira Valdivia, żona Maria Sepúlvedy, przyjeżdża do Copiapó, natychmiast, razem z dwunastoletnim synem

Franciskiem i osiemnastoletnią córką Scarlette, udaje się do kopalni. Kiedy dołącza do zgromadzonych obok wejścia do kopalni płaczących żon i krzyczących matek, a ochroniarze i carabineros wrzeszczą na nie, żeby odeszły od bramy, zdaje sobie sprawę, że nie może tam spędzić nocy ze swoimi dziećmi. Scarlette, która wygląda bardziej jak dziewczyna niż jak kobieta, ponownie ogarnia strach i bezsilność, i Elvira prosi obecnego na miejscu lekarza, żeby wypisał jej receptę na środek nasenny. Zmusza również firmę do opłacenia pokoju w hotelu w centrum Copiapó. Nocując tam, Elvira zagłębia się w swoją kobiecą duszę i mobilizuje w sobie wszystkie siły, które będą jej potrzebne do ochrony dzieci przed samą myślą o śmierci i utracie ojca. Instynkt matki mówi jej, że musi wzbudzić w nich przekonanie, że jeszcze zobaczą ojca, ale, kiedy patrzy na skalistą górę, która go połknęła, nie jest to łatwe.

W pierwszych dniach przekonanie, że Mario jest inny od większości mężczyzn, pomaga jej wierzyć, że wyjdzie z kopalni żywy.

– Wiedziałam, że Mario nie pozwoli sobie na to, by umrzeć – mówi później Elvira. – On należy do ludzi, którzy zjedzą kogoś innego, jeżeli to będzie konieczne do przeżycia. Gdyby musiał jeść błoto, żeby przeżyć, toby jadł.

W ciągu pierwszych kilku dni Elvira jest pewna, że Mario żyje.

– Gdybym uważała, że nie ma żadnej nadziei, tobym wróciła do domu, bo potrafię zachować zimną krew w takich sytuacjach – powie po jakimś czasie.

Elvira martwi się jednak, że jej mąż nie zażywa lekarstwa, które wycisza jego emocje. Od dwóch dekad znosi nastroje człowieka z sercem psa i jego ciągłe zmiany dorywczych prac, które każą mu jeździć z jednego końca Chile na drugi. Lekcja płynąca z tych wszystkich lat jest taka, że Mario zawsze wraca, dźwiga się z bezrobocia albo z depresji i odnajduje

drogę powrotną do domu, żeby rozśmieszać Scarlette i być bohaterem Francisca. Każdego wieczoru w pokoju hotelowym Elvira modli się razem ze swoimi dziećmi.

Z kolei Mónica Ávalos zapuszcza korzenie przed bramą kopalni i przez kilka pierwszych dni i nocy prawie nie śpi. Jak sama później stwierdzi, rozsypuje się: doszło do tego, że nie pamięta, co się dzieje z jej ośmioletnim synem Byronem. W pewnym momencie uświadamia sobie, że nie ma go przy niej – przyjaciel jej męża Isaías mówi, że chłopcem opiekuje się jego żona.

– Nie martw się, chłopak jest z Nati. Nie ma żadnych ubrań, ale mu załatwią.

César Alexis, nastoletni syn Móniki, mówi jej, że musi pojechać do domu wykąpać się i wyspać, ona jednak się nie zgadza.

– Nie interesowało mnie kąpanie się, nie interesowało mnie jedzenie. Nie interesowało mnie nic. Nic. Ludzie mówili: „Mónica, musisz być silna”, ale ja nie potrafiłam – opowiada później.

Kobieta spędza pierwszą noc w pobliżu kopalni, przesypia kilka minut, siedząc na szarym kamieniu, a o drugiej w nocy znajduje drewnianą paletę i przez jakiś czas leży na niej skulona, wciąż ubrana w spodnie od dresu, które miała na sobie, gotując dla Florencia zupę, której on nie zjadł. Innej nocy nie śpi, stoi na zboczu góry pod gwiazdami, siada na jednym z kamiennych bloków w kształcie cegły, zamyka oczy i nagle przysypia, a kiedy ponownie je otwiera, okazuje się, że jest w zupełnie innym miejscu. Lunatykuje po zboczu góry, w której uwięziony jest jej mąż – somnambuliczka, którą podświadomość ciągnie krok po kroku po piaszczystym gruncie.

Tymczasem jej syn César próbuje naśladować swojego ojca, chce być odważny i odpowiedzialny. Codziennie chodzi do szkoły, a potem

przyjeżdża do kopalni. Jest w trzeciej klasie szkoły średniej. Kończy lekcje o piątej – czasem, jeśli poprosi, wcześniej – i jedzie do kopalni, bywa, że autobusem, który władze miasta udostępniły rodzinom górników, a gdy nie zdąży, próbuje złapać autostop. Przez pierwszych kilka dni w szkole nikt nie wie, że ojciec Césara jest zasypany, ale po jakimś czasie dyrekcja się o tym dowiaduje i mówią mu, że może przez miesiąc nie chodzić na lekcje.

– Ale ja nie chciałem, miałbym opóźnienia w nauce i mógłbym nie zdać egzaminów końcowych – opowiada chłopak.

A zatem César Alexis Ávalos, syn uwięzionego pod ziemią sztygara Florencia Ávalosa, każdego dnia rano bierze udział w zajęciach. Po ostatnim dzwonku jedzie do kopalni, żeby sprawdzić, jak się czuje jego matka i czy są jakieś wiadomości, a jeżeli następnego dnia rano ma lekcje, wraca autostopem do Copiapó.

– Ojciec chciał ode mnie tylko jednego: żebym chodził do szkoły – wyjaśnia César. Zamierza spełnić jego życzenie i odprawiać rytuały odpowiedzialności i ciężkiej pracy, które jego rodzice wpisali mu w każdy dzień. Być może postępuje tak dlatego, że wierzy, iż jego ojciec wciąż żyje.

Na tym etapie potrzeba niemałego uporu, aby nie utracić nadziei, że trzydziestu trzech górników żyje i że któregoś dnia wyjdą albo zostaną wyniesieni z kopalni. Jedna ze stołecznych gazet oszacowała szanse na powodzenie akcji ratowniczej na mniej niż dwa procent. Inne media donoszą, że górnicy mogą przeżyć pod ziemią zaledwie siedemdziesiąt dwie godziny, a od wypadku minęło już dwa razy tyle. Carmen, elokwentna, pisząca wiersze i głęboko religijna żona szefa zmiany Luisa Urzúy, słyszy, że ludzie już uznali jej męża za zmarłego.

– Kiedy kopalnia się zawaliła, *jefe de turno* i pan Lobos jechali busem na górę – mówi do niej ktoś niedługo po jej przybyciu do kopalni. – Bus

został zmiażdżony i obaj nie żyją. Carmen nie chce w to uwierzyć i odparowuje:

– Gdyby nie żył, to już wynieśliby jego ciało przez szyb!

Jest jednak głęboko wstrząśnięta, ponieważ słowa mówiące o śmierci już padły, wiszą nad wejściem do kopalni. *Están muertos*. Nie żyją. *Murieron*. Umarli. Słowa te powtarzają również lekarze w szpitalu.

– Nie żyją – powiedział jeden z nich do żony Alexa Vegi, Jessiki, która zemdlała, kiedy to usłyszała. Kobietom zgromadzonym wokół Carmen, takim jak lunatyczka Mónica Ávalos, z jej opuchniętymi oczami i zmierzwionymi włosami, grozi, że zostaną sparaliżowane przez strach przed śmiercią.

– Nie, siostry, nie wierzcie w to, co oni mówią – przekonuje Carmen. – Nie traćcie wiary. Musimy się modlić.

Carmen, która jest katechetką, wyjmuje srebrny różaniec. Zawsze ma go przy sobie i pewnej zimnej nocy, w kręgu z kilkoma innymi kobietami, zaczyna się modlić. Kilka dni później zauważa niewielką gipsową figurkę Matki Bożej z Candelarii: jest to replika statuetki z kaplicy w Copiapó, znalezionej w XVIII wieku w pobliskich Andach, figurki, która wyłoniła się ponoć cudownym sposobem z kamienia wielkości dłoni. Na górniczej północy jest mnóstwo takich gipsowych figurek i teraz Carmen razem z innymi kobietami postanawia zbudować w Campo Esperanza kapliczkę, w której umieszczą ten skromny wizerunek matki Chrystusa. Lokalne władze zorganizowały kuchnię polową pod namiotem, w której żywią się rodziny górników. Kobiety budują kapliczkę niedaleko od niej, obok miejsca, w którym urzędnicy wydają chleb. Stawiają kilka kamieni wokół gipsowej figurki umieszczonej w tekturowym pudle, żeby wiatr nie zdmuchiwał świeczek.

– Zrobiłyśmy tę kapliczkę, żeby była miejscem, gdzie ludzie mogliby wypuścić z siebie ból, gdzie mogliby pomodlić się za górników i spróbować zapomnieć, że oni być może nie żyją – mówi Carmen.

Klękają przed wizerunkiem Matki Boskiej w grubych wełnianych swetrach, kurtkach z futrzanymi kapturami i zimowych czapkach i odmawiają różaniec, *Skład Apostolski*, *Ojcze nasz* i chóralnie szeptane: „Zdrowaś Mario… Błogosławionaś Ty między niewiastami…”.

Wkrótce na kamienistym zboczu góry powstają też inne kapliczki, w tym wiele poświęconych poszczególnym górnikom, świeczki przykleja się do kamienia nakapanym woskiem. Modlitwa wydaje się jedyną obroną przed narastającym poczuciem rozpaczy i nieuchronności losu. André Sougarret wydał polecenie, żeby zespół, który otrzymał zadanie wzmocnienia drogi do kopalni, przerwał prace. Spryskali wcześniej farbą powierzchnię blokującej Rampę szarej kamiennej „gilotyny” i odkryli, że znajdujący się w samym środku kopalni ogromny megablok nadal się porusza, że oberwany drapacz chmur wewnątrz góry powoli się osuwa – w każdej chwili może nastąpić kolejny zawał. Tego wieczoru Golborne i Sougarret zwołują konferencję prasową i informują o zamknięciu kopalni. Nikt nie zostanie wpuszczony do środka, wejście zostanie zapieczętowane na stałe. Po trudnej, pełnej emocji konfrontacji z rodzinami górników Sougarret wraca do hotelu. O północy zasypia, ale piętnaście minut później budzi go telefon. Eduardo Hurtado i ekipa wiertnicza z Terraservice dotarła drugim wiertłem do otwartej przestrzeni, pięćset cztery metry pod powierzchnią, ale prawie dwieście metrów nad Schronem.

Kiedy Sougarret jedzie do kopalni, rozchodzi się wiadomość o odkryciu ekipy z Terraservice i wszystkie wiertnice zostają zatrzymane, żeby można było usłyszeć, co się dzieje na końcu najdłuższego otworu. Jest noc z niedzieli na poniedziałek, z piętnastego na szesnastego sierpnia, dziesięć

dni po wypadku. Pracownicy z Terraservice kolejno przykładają ucho do wylotu najdłuższego odcinka stalowej rury, którą wpuścili do otworu: słyszą jakiś rytmiczny hałas, stukanie. Hurtado prosi jednego z policjantów, żeby posłuchał:

– Słyszy pan?

Policjant potwierdza. Trochę później przyjeżdża Sougarret i zbliża ucho do metalowego przewodu wiertniczego (prowadnicy). Nie jest pewien, czy dźwięk jest wytworzony przez człowieka. O pierwszej w nocy ekipa z Terraservice zaczyna opuszczać do wydrążonego otworu kamerę. Noc jest wyjątkowo wietrzna i mglista, co Hurtado odbiera jako zły znak. O szóstej rano kamera nareszcie dociera na sam dół. Zgodnie z regulaminem wprowadzonym przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych z obecnych na miejscu ludzi tylko Sougarret i operator kamery mają prawo patrzeć w monitor. Po chwili jednak André mówi wiertniczym z Terraservice, co widzi, i pozwala im także popatrzeć. Widać tylko pustą przestrzeń w skale, komorę, *socavón*, pieczarę, prawdopodobnie wyrobisko. A stukanie?

– Autosugestia – mówi Sougarret. – Ratownicy chcieli, żeby tam ktoś był, więc usłyszeli wyimaginowane dźwięki.

Mijają kolejne dni i narasta pesymizm, który w każdej chwili może się udzielić najbardziej energicznym, pełnym nadziei i zdeterminowanym żonom oraz kochankom górników. Susana Valenzuela, druga z kobiet żyjących z Yonnim Barriosem, słyszy, jak jeden z jego krewnych mówi w miasteczku namiotowym, że Yonni prawdopodobnie już nie żyje. Susana przyjeżdża do kopalni z żoną Yonniego Martą, co stwarza dosyć niezręczną sytuację, bo jest tam również rodzina Marty, włącznie z jej dorosłymi dziećmi, które urodziła, zanim Susana poznała Yonniego. Po powrocie do Copiapó Marta chce dostać od Susany dokumenty męża, zwłaszcza jego paski z wypłaty, które będą jej potrzebne do uzyskania odszkodowania od

właścicieli kopalni i zasiłku pogrzebowego od państwa. Susana słucha tego wszystkiego i myśli sobie, że Yonni nie umarł, że ta kobieta chyba zwariowała, ale skoro chce jego dokumenty, to niech je sobie weźmie. Te materialne sprawy nie są dla niej ważne, całe życie pracowała i ma swoje oszczędności i emeryturę, więc cóż ją to obchodzi? Rusza w stronę schodów do pokoju, w którym sypiała z Yonnim, ale nagle się zatrzymuje i odwraca ku Marcie.

– Pokaż mi ciało Yonniego, to dam ci te papiery – mówi. – Udowodnij mi, że on nie żyje.

– Jesteś naprawdę głupia – odpowiada Marta, to znaczy, tak mówi według relacji Susany, bo ona sama zaprzecza, że taka rozmowa kiedykolwiek się odbyła.

– Jak mam go wydostać z kopalni? Czy ja jestem Supermanem?

Przecież, jak wszystkim wiadomo, Yonni jest pogrzebany pod górą kamieni.

– Skoro nie żyje, to weź sobie te pieniądze, ale oddaj mi jego ciało, żebym mogła zorganizować przy nim czuwanie – odpowiada Susana.

– O tym będziesz musiała porozmawiać z jego siostrami – mówi Marta. – Mnie interesują tylko pieniądze.

– Wynoś się stąd! – krzyczy Susana. – Natychmiast wyjdź, nigdy nie wracaj i mnie nie nękaj.

Kiedy Susana jedzie do kopalni, słyszy, jak ludzie mówią, że wszyscy górnicy nie żyją: jeden z krewnych Yonniego również wspomina o odebraniu zasiłku pogrzebowego. Tak Susana zapamiętała te mroczne dni: dla krewnych Yonniego była nikim, ponieważ jej związek z tym pełnym wad, ale dobrze zarabiającym kobieciarzem był skończony i nie miał już żadnego znaczenia. Być może krewni Yonniego uważali, że w ten sposób sprawiedliwości stanie się zadość: kiedy Yonni żył, Susana zmanipulowała

go i wykorzystała jego potrzebę miłości do tego, żeby inkasować pensję, ale jeżeli umarł, nie będzie już mogła brać od niego pieniędzy. Jednak Susana czuła, że on żyje.

– Był tam na dole, walczył o życie. Nie był przystojny, ale… – powie później. Głos jej się załamie i Susana zacznie płakać. – Walczył. Widziałam go tam na dole, zanurzonego w błocie.

Wyobraża sobie, że Yonniego pochłonął ten sam szary szlam, który zmywała z jego butów i ubrań po jego powrocie z pracy.

– Oni wszyscy nie żyją – znowu ktoś mówi w obecności Susany, a ona wraca do domu, rzuca się na podłogę i zaczyna szlochać.

– Czułam się tak, jakbym sama umierała – powie później.

A potem słyszy jakiś głos:

– Chana.

Tak ją nazywał Yonni: Chana.

– Przysięgam na mateczkę, która jest w niebie, przysięgam, że to usłyszałam.

Jej miłość do zaginionego Yonniego jest tak silna, że projektuje ją na dźwięki i przedmioty w domu, w którym razem mieszkali, widzi serię cudów – napełniają ją one zachwytem, ponieważ wierzy, że każdy z nich jest znakiem obecności Ducha Świętego. Susana czuje, że cały dom dygocze, ale kiedy pyta sąsiadów, czy było trzęsienie ziemi, zaprzeczają. Świeczki, które stawia dla Yonniego w małej kapliczce, gasną, a potem same z siebie się zapalają. Pewnego dnia Susana wraca z kopalni i widzi pod domem policję. Sąsiedzi mówią, że wezwali carabineros, ponieważ z domu Susany dobiegały jakieś hałasy, tak jakby ktoś demolował mieszkanie – sądzili, że było włamanie. Ale kiedy Susana otwiera drzwi i wchodzi do środka, widzi, że wszystko jest na swoim miejscu. Sądzi, że zna źródło hałasów – Yonni wysłał jej wiadomość: „Żyję, Chana! Walczę,

nie zapominaj o mnie”. O niektórych z tych cudów opowiada psychologowi, który ją później odwiedza, ale nie innym ludziom:

– Bo wiedziałam, że uważają mnie za wariatkę.

Również inni donoszą o dziwnych, paranormalnych zdarzeniach. Do kogoś dzwoni telefon i wyświetla mu się numer jednego z górników, który jest uwięziony głęboko pod ziemią razem ze swoją komórką. Ludzie relacjonują, że widzieli duchy trzydziestu trzech mężczyzn wędrujące przez północne Chile. W dzielnicy imienia Jana Pawła II w Copiapó, gdzie mieszka dużo emigrantów z Boliwii, sąsiadka górnika Carlosa Mamaniego mówi, że pewnej nocy widziała go na swoim patio. Zgodnie z tradycyjnymi wierzeniami boliwijskich Ajmarów duch mężczyzny bliskiego śmierci spaceruje w nocy. Sąsiadka mówi żonie Mamaniego, Veronice Quispe, że poprzedniej nocy widziała, jak Carlos siedział przed jej domem.

– Miał na głowie czapkę i patrzył w bok – relacjonuje. Ale kiedy do niego podeszła, żeby porozmawiać, zniknął. Veronica i jej matka wściekają się na sąsiadkę, ponieważ dla człowieka z ludu Ajmarów ta opowieść może oznaczać tylko jedno: Carlos umiera.

– Po co nam to mówisz?! Przestań się z nami dzielić swoimi urojeniami! – krzyczą.

Cuda oraz wizje śmierci i cierpienia stają się coraz powszechniejsze. María Segovia wyobraża sobie, jak jej brat robi pod ziemią dobrą minę do złej gry. Spokojny Darío, ze swoją kanciastą twarzą i stoickim usposobieniem, a także ze srogim obliczem indiańskiego wojownika, kiedyś był małym chłopcem, który potrzebował krzykliwej starszej siostry, żeby go broniła. Ze swojego namiotu María słyszy drążące dziury wiertnice, które mają dotrzeć do Daría i jego trzydziestu dwóch kolegów. Wokół niej jest znacznie więcej rodzin, rosnący krąg braci i synów z pobliskich i odległych miast: z drugiego końca Chile i z niedalekich

Vallenar i Caldera, miast, w których rodziny górników wiedzą, co to znaczy czekać na efekty akcji ratowniczej. Campo Esperanza zamieszkuje teraz ponad tysiąc osób, tak wielu modlących się ludzi, że „to było jak Jerozolima”, jak wspomina Jessica Chilla, partnerka życiowa Daría.

María Segovia często wspina się nad coraz większe miasteczko na pustyni, żeby posłuchać z bliska wiertnic, które szukają jej brata. Nauczyła się rozpoznawać odgłos każdej maszyny i zwyczajów każdej ekipy: jak brzmi świder z diamentową koronką, o której godzinie zmienia się obsługa danej wiertnicy. W nocy każda platforma wiertnicza jest zanurzona w sadzawce światła wśród czarnej jak atrament chmury pustynnych ciemności. Światło i energia ekip wiertniczych działają na Marię uspokajająco, ale po kilku dniach jedna z wiertnic przestaje pracować, potem następna. Przez godzinę María nic nie słyszy. Zaczyna się wspinać po nagim, skalistym zboczu góry. Rozgląda się ze szczytu, by uzyskać potwierdzenie swych przeczuć: nad maszynami nie unosi się pył. María schodzi do miasteczka namiotowego, żeby zawiadomić o tym inne rodziny. Grupa kobiet podbiega do budki strażniczej przy bramie.

– Przestaliście wiercić! Przestaliście! – wołają.

Kobiety zaczynają tłuc w garnki i patelnie, które przywiozły ze sobą do gotowania posiłków. W końcu do bramy podchodzi Golborne i mówi:

– Po prostu pękła jedna z diamentowych koronek i musimy ją wymienić. Proszę, bądźcie cierpliwe.

W nadchodzących dniach María Segovia nieraz wchodzi na górę, żeby sprawdzić, czy minister dotrzymuje swych obietnic. Jest pięćdziesięciodwuletnią babcią, która wspina się żwawo, jak harcerka, a w ślad za nią podążają inne kobiety.

– Byłyśmy jak dzikie pumy biegające po górze – powie później.

Cristián Barra każe postawić u podnóża góry carabineros, którzy mieliby uniemożliwić kobietom wchodzenie na szczyt. Ale następnym razem, kiedy María Segovia postanawia osobiście sprawdzić, czy wiertnice pracują, funkcjonariusz na służbie odwraca wzrok. Kiedy kobieta dociera na swoje stanowisko na szczycie, widzi kolumny ustawionych pionowo wiertnic i wyrzucane w górę kłęby diorytowego pyłu.

María schodzi po śliskiej skale do miejsca, gdzie stoją namioty i rozpostarte płachty brezentu, pod którymi obozują rodziny górników. W grupie namiotów Segovia – Rojas, w których czekają i od czasu do czasu śpią rodziny spokrewnionych ze sobą górników, Pabla Rojasa, Estebána Rojasa i Daría Segovii, noce nie mijają spokojnie. Pod południowymi gwiazdami albo w kłębach mgły intonowane są piosenki, a czasem skandowane słowa: „*¡Chi-chi-, le-le-le, mineros de Chile!*”. Chile, górnicy Chile! Czasem opowiada się historie o trzech kuzynach, po czterdziestce, którzy wychowywali się w pobliskich dolinach w czasach, kiedy w rzece płynęła jeszcze woda.

ROZDZIAŁ 8

CHYBOCZĄCY SIĘ PŁOMIEŃ

Przez pierwszych kilka godzin odgłos wiertnicy działa na nich zarazem uspokajająco i emocjonująco. Víctor Segovia nie może spać, do rana wsłuchuje się w ten dźwięk. Dziewiątego sierpnia o czwartej rano, ponad osiem godzin od rozpoczęcia wiercenia, zasypia i śni mu się, że jest w domu, śpi we własnym łóżku i słyszy wołanie swojej córki; że jest w jakimś jasnym miejscu na powierzchni, uwolniony z tej klaustrofobicznej kopalni. A potem otwiera oczy i zdaje sobie sprawę, że leży na ziemi obok Schronu, i znowu ogarniają go strach i tęsknota. Zbliżają się ku nim co najmniej dwoma oddzielnymi odwiertami. Godzinę później Víctor notuje w swoim dzienniku, że nastroje wśród górników poprawiły się: „Jesteśmy spokojniejsi – pisze. – Na dole wszyscy jesteśmy rodziną. Jesteśmy przyjaciółmi, bo taka rzecz nie może się zdarzyć dwa razy”. Wszystkich trzydziestu trzech górników bierze udział w codziennej modlitwie i spożywa jedyny w ciągu dnia posiłek: dzisiaj jedno ciasteczko i może łyżka tuńczyka albo trochę rozpuszczonego w wodzie mleka w proszku. Ktoś po raz pierwszy wspomina, że za cierpienia górników trzeba pozwać właścicieli kopalni do sądu. Temat ten będzie się odtąd pojawiał często. Juan Illanes, oczytany mechanik z południa, sugeruje, że jeżeli zostaną uratowani, powinni zawrzeć między sobą „pakt milczenia” i o przebiegu

wypadku opowiedzieć tylko prawnikom, żeby mieć przed sądem większe szanse na ukaranie właścicieli kopalni. Estebán Rojas, czterdziestoczteroletni inżynier strzałowy, reaguje na to ze złością.

– Jaki jest sens gadać o pieniądzach i prawnikach, póki wciąż jesteśmy tutaj uwięzieni? – mówi. – To idiotyczne.

Szaleństwem jest myśleć o problemach świata zewnętrznego, kiedy jesteś pogrzebany i półmartwy. „Wiercenie posuwa się bardzo powoli – pisze Víctor w swoim dzienniku kilka godzin później. – Boże, kiedy się skończy ta męka? Chcę być silny, ale tak niewiele siły już we mnie zostało”.

Omar Reygadas zwraca uwagę, że powietrze staje się wyraźnie cięższe i cieplejsze. Wcześniej powietrze w chodniku najbliższym Schronu poruszało się, ale teraz znieruchomiało i Omarowi trudniej się oddycha. Ma długie siwe loki, które opadają mu na czoło, przez co wygląda bardzo dziwnie – młodo i staro jednocześnie. Zaczyna odczuwać, że ma pięćdziesiąt sześć lat.

– *Estoy mal, estoy mal* – mówi. – Źle się czuję, nie mogę oddychać.

– Czy powietrze rzeczywiście przestało się poruszać? – pyta innego ze starszych górników, Franklina Lobosa. Franklin ma własne problemy: kolano, którego kontuzji doznał w czasie trwania swej kariery piłkarskiej, owinął zabranym z jednego z pikapów gumowym chodnikiem i trzyma je uniesione. Rwie go w nim z powodu wilgoci, a wokół jego legowiska od kilku dni płynie woda, która zamieniła wszystko w błoto.

– Muszę chronić kolano przed wilgocią – wyjaśnia kolegom. Na pytanie Omara odpowiada:

– Tak, powietrze jest cięższe, cyrkulacja osłabła.

Być może jedno z oberwań skały, których odgłosy ciągle do nich dochodzą, zatkało któryś z chodników. Omar zakłada jedną z dwóch

przechowywanych w Schronie masek tlenowych i bierze kilka wdechów, ale to nie pomaga. Mario Gómez, sześćdziesięciotrzyletni górnik bez dwóch palców, częściej korzysta z maski tlenowej, ponieważ jego osłabione pylicą płuca kiepsko sobie radzą – uszkodziła je wieloletnia praca w takich właśnie chodnikach. Dodatkowo osłabiła go dieta, która ostatnio zawiera mniej niż sto kalorii dziennie. Wiercenie trwa bez przerwy aż do wtorku dziesiątego sierpnia. W południe na zakończenie modlitwy ktoś przypomina, że dzisiaj jest Dzień Górnika, święto państwowe. Wypada w świętego Wawrzyńca, według tysiącletniej katolickiej tradycji patrona górników. W tym dniu chilijscy właściciele kopalń urządzają dla swoich pracowników i ich rodzin wielką ucztę. Dzisiaj uczty nie będzie, ale uwięzieni pod ziemią mężczyźni wygłaszają trochę uroczystych słów na temat górniczego trudu i myślą o tym, jacy powinni być dumni z faktu, że są górnikami. Chile zostało zbudowane na pracy ludzi, którzy narażali życie i cierpieli wewnątrz gór, górnictwo jest wpisane w tożsamość tego narodu: Pablo Neruda pisał wiersze na cześć górników z północy, a chilijscy uczniowie nadal wychowują się na takich książkach jak *Sub Terra* Baldomera Lilli, dwudziestowieczny zbiór opowiadań o pracy górników. Pracownicy San José w Dzień Górnika są głodni i zabarwione dumą cierpienie, które niesie ze sobą ta prosta konstatacja, każe im odśpiewać hymn narodowy.

Víctor Segovia jest poruszony śpiewem trzydziestu trzech głodnych mężczyzn. „Na chwilę zapomniałem, że jestem uwięziony w kopalni”, pisze w swoim dzienniku. Poczucie, że jest wolny i wrócił do normalnego życia, szybko jednak mija. Odgłos wiercenia to narasta, to cichnie i trudno stwierdzić, skąd nadchodzi. Dokąd zmierza? Czy ratownicy kierują się w naszą stronę?

Mario Gómez i inni górnicy przyciskają uszy do ściany przez deseczkę, żeby spróbować dokładnie określić, skąd dochodzą odgłosy wiercenia. Kiedy możliwość, że ratownicy do nich nie dotrą, staje się bardziej realna, Víctor znowu zaczyna rozmyślać o swoim życiu. Nigdy nie wyjechał poza doliny wokół Copiapó, ale jego bogactwem jest rodzina i w posępnych myślach pojawia się teraz rosnący krąg krewnych. Víctor robi w notatniku długi spis krewnych, kuzynów i wujków obejmujący w sumie trzydzieści pięć osób, w tym kilka takich, które zerwały stosunki z rodziną i od wielu lat z nimi nie rozmawiał. Prosi czytelnika o wybaczenie, jeżeli o kimś zapomniał, ponieważ w tym momencie, jak pisze, „tak naprawdę mam tylko połowę umysłu”.

Kiedy wiercenie nie jest zbyt głośne, a koledzy przestają rozmawiać, Víctor i inni górnicy w Schronie i obok niego słyszą przerywany hurkot. Nie dochodzi ze ścian ani z głębi chodników, lecz z samego Schronu i jest dostatecznie głośny, żeby Víctor odnotował go w swoim dzienniku. Nie wie, że ten hałas ma swoją naukową łacińską nazwę – *borborygmus*, dźwięk spowodowany przez mięśnie gładkie żołądka i jelit przepychające treści pokarmowe, których nie ma. Jest to bulgotanie wywołane przez resztki bardzo małych ilości jedzenia, które włożyli do ust kilka godzin wcześniej, spotęgowane przez pudło rezonansowe, jakie tworzy pusty brzuch. Dźwięk ten dociera do uszu innych głodnych mężczyzn, przez co jeszcze bardziej intensywnie myślą o jedzeniu.

Na stole w Schronie kilku górników gra w warcaby pionkami zrobionymi z tektury. Luis Urzúa, zmartwiony tym, że ludzie zaczynają gnuśnieć i warczeć na siebie nawzajem, przynosi ze swojego pikapa odblaskowy trójkąt awaryjny i wycina z plastiku kostki do gry w domino. Na poziomie sto pięć, gdzie śpią Luis i mechanicy, Juan Illanes bardzo się stara podtrzymać morale *viejos*, kumpli. Opowiada im różne historie. Mówi

głębokim, wyrażającym pewność siebie barytonem, ma wyraźną dykcję prezentera telewizyjnego, jest elokwentny, wykształcony i tak dużo podróżował po kraju, że ma do opowiedzenia wiele ciekawych rzeczy.

W szóstym, siódmym i ósmym dniu ich wymuszonego postu mówi przede wszystkim o jedzeniu.

– Widzieliście kiedyś, jak się piecze barana na ognisku? Na rożnie? – pyta zgromadzonych wokół niego mężczyzn, siedzących na Rampie koło pikapa Urzúy na zaimprowizowanych łóżkach z tektury i kawałkach brezentu. Kilku kolegów odpowiada, że tak, widzieli barana pieczonego na rożnie.

– A widzieliście sześć baranów pieczonych naraz?

Może się wydawać, że opowiadanie o różnych pysznościach ludziom, którzy nie mają co jeść, jest dla nich torturą, ale nikt nie każe Illanesowi przestać, więc dalej radośnie mówi, jak to się stało, że brał udział w takim bankiecie.

– To było na pampie[7] koło Puerto Natales – opowiada górnikom. Służył wtedy w wojsku, był 1978 rok i o mało nie wybuchła wojna z Argentyną.

– Byłem tam z pięćdziesięcioma rezerwistami, około dwustu metrów, wróć, jakieś osiemset metrów od granicy. Zbliżało się Boże Narodzenie, sezon ucztowania, a my mieliśmy do jedzenia tylko wojskowy prowiant, pozbawioną smaku szamę frontowych żołnierzy. Jeden z nas, chłopak z okolicy, powiedział: „My tutaj inaczej obchodzimy święta, przygotowujemy wielki posiłek”. W tym momencie inny żołnierz zauważył w pobliżu konie. To były ogromne argentyńskie konie: wielkie głowy, same chabety, bardzo brzydkie zwierzęta – relacjonuje Illanes ze śmiechem. – „Mogą się na coś przydać”, powiedział miejscowy żołnierz, który wyglądał jak gauczo. Zabrał ze sobą kilku innych chłopaków i zniknęli

w ciemnościach. Kiedy się obudziliśmy następnego dnia rano, zobaczyliśmy sześć baranów na szpikulcach, obdartych ze skóry i idealnie wyczyszczonych – opowiada Illanes kolegom, z których kilku uśmiecha się teraz szeroko. – Każdy baran był nabity na dwa długie metalowe szpikulce wiszące między drewnianymi słupkami. Wszyscy poszliśmy po drewno na ognisko.

Na bezdrzewnej pampie zaczęli szukać gałęzi krzewów.

– No i niedługo mieliśmy superognisko, prawdziwą wieżę chrustu. To było piękne.

Illanes słyszy ciche westchnienia niektórych kolegów, którzy z pewnością wyobrażają sobie odgłos skwierczącego w ogniu mięsa i kapiącego tłuszczu. On jednak jeszcze nie skończył swojej opowieści. Bo wtedy jeden z żołnierzy przyszedł z jakimś woreczkiem i dał każdemu trochę tytoniu i kawałek papieru, po czym wszyscy po chłopsku zwinęli sobie papierosa.

– Krótko mówiąc, *chiquillos*, takiego Bożego Narodzenia się nie zapomina.

Illanes opowiada tę historię z takimi detalami, że musi być prawdziwa. Jego snute w nikłym świetle wspomnienia budzią w górnikach poczucie, że słuchają starej audycji radiowej. Potem Illanes opowiada inną historię wojskową z południa, o tym, jak jechał konno przez chilijską pampę i znalazł grzyba o nazwie *dihueñe*. Opisuje go górnikom z bardziej suchych regionów północnych, którzy nigdy takiego rarytasu nie widzieli:

– To są grzyby, które rosną na gałęziach drzew, zwłaszcza młodych dębów. Są pomarańczowe i siateczkowate, wielkości orzecha włoskiego, a w środku mają słodki przezroczysty płyn. No więc jadę sobie na koniu i nagle widzę krzak, który nie ma nawet dwóch metrów. Jego gałęzie są od

góry do dołu pokryte *dihueñes*. Jest ich tak dużo, że nie widać gałęzi, do której są przyczepione. A każdy jest wielkości jabłka.

– Nie!

– Kłamca!

– Mówię prawdę. Wielkie jak jabłka, *riquísimas*, olbrzymie. I powiem wam, *viejos*, że nażarłem się ich za całe życie. Są takie gąbczaste i lekkie, że człowiek nigdy nie czuje się pełny.

Illanes kończy swoją historię i nadal nikt go nie prosi, żeby przestał opowiadać o jedzeniu.

– Kiedy jesteś głodny – mówi, wspominając żołnierskie czasy spędzone na pampie – smakuje ci wszystko.

Od czasu wygłoszonego górniczym braciom kazania o Bogu i potrzebie bycia silnym Omar Reygadas stara się w ich towarzystwie zachować postawę optymizmu. Bóg jest z nami, powtarza w kółko. Ale głód i wahania nastroju, a także ciągłe wsłuchiwanie się w odgłosy wiercenia zaczynają odbierać mu siły. Ma pięćdziesiąt sześć lat i liczba ta wisi nad nim, kiedy myśli o dręczących jego ciało dolegliwościach. Najpierw ma poczucie, jakby ktoś ściskał mu piersi, a potem po lewym ramieniu rozlewa się wrażenie pieczenia i częściowo traci w nim władzę. Jest przekonany, że to zawał serca, i zaczyna sobie wyobrażać własną śmierć: ma w oczach trzydziestu dwóch kolegów zostawionych z jego zwłokami, które szybko się w tej temperaturze rozłożą. Strach przed śmiercią narasta: kiedy Omar leży na ziemi obok Schronu, z ciężkiego powietrza wokół niego wyrastają niewidzialne ręce, które go duszą. Nagle czuje, że powietrze się porusza i staje się chłodniejsze, owiewa go świeży podmuch. Omar siada, wyjmuje zapalniczkę i patrzy, jak płomień wygina się w kierunku góry Rampy. Powietrze napływa z dolnych partii kopalni. Może to ratownicy wdmuchują do góry powietrze? A może jedna z wiertnic przebiła się do któregoś

z chodników poniżej? Omar informuje kolegów o swoim odkryciu i po chwili schodzi na dół z kilkoma innymi – ekspedycja ma na celu sprawdzenie, skąd dochodzi powietrze. Zmobilizowani nadzieją, że natrafią na wywiercony z powierzchni szyb i nawiążą kontakt ze światem zewnętrznym, pokonują kilka pętli Rampy. Docierają na poziom osiemdziesiąt, potem siedemdziesiąt, a płomień nadal wygina się w górę Rampy. W końcu wchodzą do chodnika nazywanego poziom Sześćdziesiąt Południe. W tym miejscu płomień zapalniczki jest skierowany prosto do góry, a potem chybocze się i gaśnie: jest za mało tlenu, żeby ogień mógł płonąć. Na poziomie Sześćdziesiąt Północ dzieje się to samo. Schodzą niżej, na poziom czterdzieści, i tutaj płomień mocno się wygina we wszystkie strony – powietrze się porusza, jest świeższe – lecz potem gaśnie. Sprawdzają okoliczne ciemne, porzucone chodniki, ale nie znajdują otworu, przez który do kopalni dociera świeże powietrze. Jednak wskutek tych poszukiwań ucisk w piersiach Omara ustępuje:

– Dzięki temu lekkiemu wietrzykowi zacząłem znowu normalnie oddychać. Kiedy trzeba było wrócić na górę do Schronu, wietrzyk cały czas mi towarzyszył.

W pobliżu Schronu Omar widzi José Henríqueza, Pastora, i opowiada mu o tym, co widział, o podmuchu powietrza, które przez cały czas napływa z dołu.

– Skąd ono może iść? – pyta Henríquez. – Wszystkie komory są zablokowane i żadna wiertnica się nie przebiła.

– To jest trzydziesty czwarty górnik, mój *compadre*, towarzyszu – mówi Reygadas. – Nie porzucił nas.

Trzydziesty czwarty górnik to dusza każdego górnika, który kiedykolwiek pracował pod ziemią w pocie czoła. Duch Boży, który ich chroni.

Chłodniejsze powietrze powraca każdego dnia o szóstej wieczorem.

Omar postanawia, że jeżeli wydostanie się na powierzchnię, kiedyś opowie o tym wietrzyku: „To po prostu nie może odejść w zapomnienie”.

Po wielu latach pracy w kopalni nie znajduje innego wyjaśnienia, jak tylko takie, że to Bóg dmucha do kopalni. Jeżeli to nie jest cud, tylko skutek kolejnego przesunięcia skały, to nieważne, bo Omar wierzy, że w tym wyginającym się płomieniu zobaczył coś boskiego, tchnienie Boga, które utrzymuje go przy życiu, pompując tlen do jego płuc. Uspokaja się, łatwiej mu oddychać, czuje się lepiej.

– Kiedy nadchodził ten wietrzyk, *vientecito*, wszyscy byliśmy spokojniejsi – powie później Omar.

Odgłos wiercenia co jakiś czas ustaje, nierzadko na wiele godzin, zapada okrutna cisza, a kiedy uszy górników się do niej dostosowują, wypełnia je dźwięk ich oddechów i kaszlu. Gdy wiertnica cichnie, samozwańczy sportowiec Edison Peña myśli: „To jakieś szaleństwo!”. Jego sąsiad mówi:

– Co oni tam wyprawiają?

Edison zadaje sobie to samo pytanie. Jest wrażliwym, elokwentnym człowiekiem, który był kiepsko zestrojony z całym tym absurdalnym cyklem ludzkiego istnienia, jeszcze zanim na Rampę spadła „gilotyna” i uwięziła go pod ziemią. Zdarzało mu się popadać w depresję i snuć samobójcze myśli, a zagłębianie się w trzewia góry miało dla niego posmak ostateczności.

– Śmierć zawsze była w kopalni. Wiedziałem o tym, wszyscy wiedzieli. Kiedy próbowaliśmy to powiedzieć ludziom na zewnątrz, nie chcieli nam wierzyć, patrzyli na nas tak, jakby to było jakieś science fiction – powie później Peña.

Dla Edisona wchodzenie do kopalni w zwykły dzień pracy było stawaniem przed obliczem egzystencjalnej prawdy, która do większości

ludzi dociera dopiero pod koniec życia: że wszyscy umrzemy. Śmierć przez cały czas na nas czeka, a my czekamy na nią. Być może to jest ten moment, kiedy czekanie Edisona nareszcie się skończyło – myśli tak szczególnie w chwilach, kiedy wiercenie ustaje i cisza w wyrobiskach kopalni trwa przez dwie, trzy godziny. „Przestali próbować się do nas dowiercić. Poddali się!”.

Jego względnie bystry i przenikliwy umysł trzydziestoczterolatka pozwala mu dostrzec, jakie to upierdliwe być człowiekiem, ponieważ widzi, że jest uwięziony w swego rodzaju metaforze cyklu życia i śmierci, w połowie tej metaforycznej podróży od świetlistego bycia w pełni żywym człowiekiem do permanentnej ślepoty i głuchoty śmierci.

– Czułem w swoim ciele pustkę, próżnię – powie później.

Niektórzy z jego kolegów próbują wypełnić ciszę trąbieniem i innymi hałasami, żeby zasygnalizować ludziom na powierzchni, że zasypani w kopalni górnicy nadal żyją. Edison słyszy te hałasy i myśli sobie: „Jacy oni są naiwni. Jesteśmy siedemset metrów pod ziemią! Nikt nas nie usłyszy! Nikt!”. Być może w większym stopniu niż inni górnicy odczuwa nieuchronność losu, jakieś wściekłe stworzenie zamieszkuje w jego burczącym żołądku i od środka wyszarpuje z niego życie. Osiem godzin. Dziewięć. I wciąż nie słychać wiercenia. Nikt po nich nie idzie. Edison próbuje walczyć z pustką, która w nim narasta, wytrząsnąć ją z siebie. Z rozbieganymi jak u szaleńca oczami zaczyna się rzucać po podłodze Schronu. Jego kolegom wydaje się, że Edison traci rozum.

Prawda jest jednak taka, że Edison był trochę wariatem, już zanim przyszedł do kopalni. Nie jest to rozgadane, ekstrawertyczne szaleństwo, takie jak Maria Sepúlvedy – jest mroczniejsze, bardziej samotne, bardziej posępne, bazujące na introspekcji. W zwykłe dni pracy górnicy nieraz nazywali Edisona wariatem ze względu na jego skłonność do naruszania

niektórych przepisów bezpieczeństwa, na przykład tego, który mówi, że w kopalni nigdzie nie wolno chodzić w pojedynkę. Pod ziemią jest to nieodpowiedzialne ryzykanctwo: jeżeli wlecisz do jakiejś dziury albo spadnie na ciebie kawałek skały, być może nikt nie usłyszy twojego wołania o pomoc. Dzięki swemu tumiwisizmowi i obłąkanemu spojrzeniu zyskał sobie przydomek Rambo, który wymyślił Alex Vega. Edison ciągle chodził po kopalni sam, w jej śmiertelnie niebezpiecznych chodnikach snuł marzenia. Pewnego razu w miejscu, gdzie często przechodził, zobaczył leżący na ziemi oberwany kawał skały, który z pewnością by go zabił, gdyby tam się znalazł w nieodpowiednim momencie.

Czekając na odgłos wznowienia wierceń, Edison pogrąża się w fizycznej i emocjonalnej pustce. Grzmot spadającej skały, konsystencja bezbarwnych ścian usianych poszarpanymi krawędziami i coraz bardziej cuchnące powietrze sugerują, że on i jego koledzy zostali tutaj zesłani za karę.

„Jak Bóg może nam to robić? – myśli Edison. – Dlaczego ja? Dlaczego my? Co ja takiego zrobiłem?”. Znakiem Sądu Bożego jest również brak światła.

– Ciemności naprawdę nas zabijały – mówi później Edison. Jest elektrykiem i wcześniej pomógł Illanesowi podłączyć żarówkę do akumulatora, dzięki czemu w Schronie i obok niego było trochę światła, ale akumulator w końcu się wyczerpał i nagle wszystko wokół zniknęło w całkowitych ciemnościach.

– Wtedy zaczynasz naprawdę mieć poczucie, że jesteś w piekle. Piekło to właśnie ciemności. Na powierzchni Edison tkwił w jednym z tych burzliwych związków potocznie nazywanych piekłem, z latającymi przez kuchnię talerzami, z wzajemną miłością i nienawiścią, która wpycha partnerów w objęcia alkoholu. Ale teraz jest w prawdziwym piekle, z czego

zdaje sobie sprawę z chwilą, kiedy znowu zapala się nikłe światło. Ma wrażenie, jakby znajdował się w katakumbach czyśćca opisanych pod koniec średniowiecza przez pewnego pobożnego włoskiego poetę. Widzi ciała mężczyzn, którzy śpią nerwowym snem albo nie śpią wcale, wyciągnięci na kawałkach tektury, na plandekach, ich twarze są zabarwione na czarno sadzą i potem, w Schronie i koło niego, w tym tunelu, w tym kamiennym wąwozie, który prowadzi w stronę gorącego środka ziemi.

– Wyglądało to tak, jakby przyszedł już na mnie czas – powie po jakimś czasie.

A może nie. Ponieważ po dwunastu godzinach ciszy znowu rozlega się odgłos wiercenia. Ra-ta-ta, zgrzyt, zgrzyt. Ra-ta-ta, zgrzyt, zgrzyt. Świadomość, że inni ludzie próbują do niego dotrzeć, trochę go pociesza, na dwie albo trzy godziny napełnia umiarkowaną radością, a potem hałas znowu ustaje.

– Ta cisza nas rozwalała. Bo czuliśmy się porzuceni, osamotnieni. Bez żadnego znaku wiara upada. Bo wiara nie jest całkiem ślepa. Jesteśmy słabi, jesteśmy naprawdę mali. Wiedziałem, jak to jest, kiedy czujesz się samotny i bezsilny, kiedy czujesz, że nie ma wyjścia. Wiara w siebie, zamiast zyskiwać na mocy, wycieka z człowieka z każdą sekundą. Ludzie mówią, że z każdym dniem robi się mocniejsza, ale to kłamstwo. Wielu moich kolegów gadało te głupoty, że czują się silniejsi. Chyba im nie wierzę. Kiedy tego słuchałem, to miałem ochotę ich zabić.

Edison chce przeżyć, a żeby to osiągnąć, postanawia maksymalnie ograniczyć swoją aktywność. Niektórzy będą krytykowali jego i innych górników, którzy przebywali w Schronie, że w ogóle nie opuszczali tego pomieszczenia, z posadzką z tanich białych płytek i stalowymi drzwiami. Edison uważa jednak, że to najrozsądniejsza strategia, kiedy nie masz co jeść. Trzeba po prostu czekać i jak najmniej się ruszać.

– Oszczędzałem energię. Czasem trochę spacerowałem, ale potem zauważałem, że kiedy potrzebuję pójść się załatwić, nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Zacząłem się czuć naprawdę zmęczony. Starczyło mi wrodzonej inteligencji, żeby przeżyć, żeby nie podjąć próby samobójczej. Wielu z nas znalazło w sobie taką siłę.

Edisona otaczają ludzie skrzywdzeni i wściekli, słyszy wokół siebie wielogłosowy lament.

– Mówili, że jeśli się wydostaną, zrobią to, tamto czy owamto – opowiada później. – Mówili: „Żałuję, że nie byłem lepszym ojcem". Pytałem kogoś, ile ma dzieci, a jego oczy napełniały się łzami. Patrzyłem na sąsiada i widziałem, że jest jeszcze bardziej rozbity ode mnie. I taka jest prawda: w kopalni nie było bohaterów.

Nie są bohaterami, lecz zwykłymi ludźmi, którzy się boją, uciszają burczące żołądki dużymi ilościami brudnej wody i czekają na południe, kiedy spożywają wspólny posiłek. Ale najpierw, tuż przed nim, wysoki, łysiejący José Henríquez rozpoczyna modlitwę, a potem wypowiada kilka słów, które pełnią funkcję kazania. Czasami mówi z pamięci biblijne przypowieści. Do ich sytuacji najbardziej pasuje opowieść o Jonaszu połkniętym przez wieloryba. Jonasz został wysłany przez Boga do Niniwy, której mieszkańców miał upomnieć za nieprawość, ale wsiadł na statek i popłynął w przeciwnym kierunku.

– Jonasz miał zły charakter – tłumaczy Henríquez. – Więc Bóg go przycisnął. Pan zesłał potężną burzę, która miotała statkiem, i kiedy marynarze uświadomili sobie, że to Jonasz jest powodem bożego gniewu, wyrzucili go za burtę i połknął go wielki wieloryb. Nieposłuszeństwo nigdy nie jest dobre. Jonasz był w brzuchu piekła i w głębokości – mówi Henríquez, wypowiadając słowo, które zapamiętał z któregoś fragmentu Biblii. Po hiszpańsku głębokość to *profundidad.* Kiedy słowo to wypowiada

nieformalny duchowny w głębokiej sztolni kopalni, na pamiętnikarzu Víctorze Segovii robi to ogromne wrażenie i kilka godzin później zapisze je w swoim dzienniku.

„Do posad gór zstąpiłem, zawory ziemi zostały poza mną na zawsze”. Jonasz oddaje się Panu, mówi, że Bóg „wyprowadził jego życie z przepaści”, i obiecuje: „Złożę Tobie ofiarę, z głośnym dziękczynieniem”. Następnie Pan nakazuje wielorybowi wypluć Jonasza. Tutaj, w tym strasznym miejscu, wewnątrz kamiennych ścian, przesłanie to brzmi bardziej przejmująco niż w kościele. „Tak jakbyśmy żyli w biblijnej przypowieści”, myśli Yonni Barrios.

Przeżyli dwa tygodnie bez prawdziwego posiłku, bez pewności, że jeszcze kiedykolwiek coś zjedzą, i wszystko, co się z nimi dzieje, wydaje się zawierać jakieś głębsze przesłanie. Víctor Segovia rzadko chodził do kościoła, ale teraz można powiedzieć, że chodzi codziennie, ponieważ z każdą modlitwą narasta w nim poczucie, że spotkanie tych trzydziestu trzech mężczyzn jest rodzajem nabożeństwa. Pisze w dzienniku, że przed wypadkiem uważał, iż kościół jest miejscem, do którego chodzą grzesznicy prosić o przebaczenie. Ale Henríquez głosi teraz przesłanie nadziei i miłości. Pastor uległ również zewnętrznej metamorfozie: potworne gorąco i wilgoć sprawiły, że zrzucił koszulę, uciął nogawki spodni i chodzi w podartych butach, które wyglądają jak sandały. Mówiąc o Bogu, z gołą klatką piersiową i zlepionymi potem kępkami włosów, zaczyna przypominać obłąkanego mistyka, który mieszka w grocie na pustyni. Efekt ten jest potęgowany przez wrażenie, że kiedy przemawia, wydaje się całkowicie przekonany o prawdziwości swoich słów.

– Chrystus cię kocha – mówi Pastor.

Víctor notuje później w swoim dzienniku jego słowa: „Poszukaj Go, a zobaczysz, że cię kocha, znajdziesz pokój ducha”. Dla Víctora to jest

objawienie. „Teraz widzę, że do kościoła chodzą też ludzie, którzy są wdzięczni Bogu i że spływa na nich łaska boża”.

W innym kazaniu Henríquez opowiada historię o rozmnożeniu przez Chrystusa pięciu bochenków chleba i dwóch ryb i nakarmieniu nimi pięciu tysięcy ludzi. Potem intonuje modlitwę do Boga, żeby ich skąpe zasoby jedzenia wystarczyły na dłużej, bo już wkrótce się skończą.

– Pastor modlił się o rozmnożenie jedzenia – wspomina później Mario Sepúlveda. – Potem widziałem, jak jeden z *los niños* podszedł do szafki i zajrzał do środka, żeby sprawdzić, czy jedzenia przybyło.

Tymczasem jedzenia w szafce każdego dnia jest coraz mniej. Górnicy zaczynają szukać w kopalni jakichś resztek. Yonni Barrios, człowiek, który w dniu wypadku nie zdołał obronić prowiantu przed głodnymi mężczyznami, widzi, jak jeden z kolegów podnosi z ziemi wyrzuconą puszkę po tuńczyku, wyciera dno i brzegi puszki palcem, a następnie go oblizuje. Yonni nigdy nie sądził, że zobaczy dobrze zarabiającego mężczyznę doprowadzonego do takiej desperacji. Inni zaczynają przegrzebywać kosze na śmieci i jeśli uda im się znaleźć skórki po pomarańczy, czyszczą je i zjadają. Sam Yonni pałaszuje zbrązowiały ogryzek gruszki.

– Bardzo mi smakował. Głód był straszny – powie później.

Víctor także zjadł resztki owocu znalezione w śmieciach i w środę jedenastego sierpnia pisze o tym w dzienniku, wspominając, że w Copiapó grzebali w śmieciach najbiedniejsi z biednych: „Nie zwracamy na to uwagi. Ludziom się wydaje, że im to się nigdy nie zdarzy, a teraz sam zjadam skórki, śmieci i wszystko, co nadaje się do zjedzenia”. Carlos Mamani, emigrant z Boliwii, wypatruje na ziemi owadów albo gąsienic: gdyby znalazł, toby je schwytał i zjadł. Ale tak samo jak w kopalni nie ma motyli, tak nie ma też w niej chrząszczy ani gąsienic.

– Nie znalazłem ani jednego pająka czy nawet termita. Zero!

Mężczyźni stają się coraz słabsi, coraz trudniej im się chodzi po nachylonej pod kątem dziesięciu stopni Rampie. W miarę jak okolice Schronu napełniają się wodą spływającą z odwiertów, którymi ratownicy próbują do nich dotrzeć, poczucie fizycznej degradacji narasta. Woda zamienia ziemię w błoto, w którym grzęzną buty i buksują koła samochodów. Kilku górników bierze jedną z ładowarek czołowych i próbuje zbudować coś w rodzaju grobli, która jednak szybko zostaje podmyta. Mario Sepúlveda brodzi w błocie, bez koszuli i usmarowany sadzą, ze skonsternowaną i zatroskaną miną. Przestaje się odzywać i jego koledzy patrzą, jak się od nich oddala: coraz dłuższy zarost na jego twarzy zaczyna przypominać szczecinę. Mario podchodzi do koczowiska mechaników na poziomie sto dziewięćdziesiąt i mówi nocującym tam ludziom, co czuje, mówi, jakie to dla niego upokarzające, że umrze tutaj, na dole, a koledzy próbują go pocieszyć. Później, po powrocie do Schronu, udaje mu się zasnąć niespokojnym snem. Víctor Segovia widzi, że Mario ma jakiś sen, przez który wypowiada imię swojego syna Francisca. Przykro się na to patrzy: dorosły mężczyzna w średnim wieku, który tak bardzo tęskni za synem, że mówi do niego we śnie. Potem Mario się budzi, smutny i przybity – ten gadatliwy człowiek nagle nie potrafi znaleźć słów.

Górnicy zauważają, że Carlos Mamani kompletnie ucichł i odseparował się od innych w kącie Schronu. Dla dwudziestu kilku górników, którzy co noc śpią blisko niego, długie milczenie tego bardzo młodego człowieka z wydłużoną twarzą o indiańskich rysach jest niepokojące i złowróżbne. Carlos jest po prostu wystraszony i zagubiony. Katastrofa uwięziła go pod ziemią już pierwszego dnia jego pracy w kopalni, wszyscy pozostali się znają albo nawet są ze sobą spokrewnieni. Ci ludzie budzą w nim strach, bo

ciągle się kłócą o to, czy zostaną uratowani i kto będzie temu winny, jeżeli nie zostaną.

– Nie wiedziałem, komu mogę zaufać – powie później.

Mario Sepúlveda, człowiek, który wcześniej samotnie błądził po kopalni San José, mobilizuje się i zaczyna natarczywie patrzeć na Carlosa Mamaniego. Wszyscy górnicy w Schronie i tuż za jego drzwiami słuchają, jak Mario mówi głośno do *boliviano,* Boliwijczyka:

– Tutaj, na dole, jesteś Chilijczykiem, jak my wszyscy.

Mnóstwo robotników w Chile nie lubi Boliwijczyków, tak samo jak robotnicy z innych krajów nie lubią cudzoziemców, i wszyscy wiedzą, że bycie Boliwijczykiem w Chile nie jest łatwe.

– Jesteś przyjacielem i bratem nas wszystkich – mówi Mario do Mamaniego.

Po zakończeniu jego przemowy wybuchają oklaski, niektórzy ocierają łzy, ponieważ Mario powiedział prawdę: wszyscy umierają, a żaden człowiek, nawet Boliwijczyk, nie zasługuje na taki los. Carlos przez wiele godzin patrzył, jak inni grają w domino, i teraz mówią mu, żeby do nich dołączył, a ponieważ nigdy wcześniej nie grał w domino, uczą go zasad. Gra jest prosta – dwadzieścia osiem kostek, zestawiamy takie same liczby itd. – więc Carlos szybko łapie. Teraz widzi, że dzięki tej nieustannej grze noce stają się krótsze, a ciemności mniej ciemne. Po kilku rundach Carlos wygrywa, potem jeszcze raz. Po jakimś czasie jest najlepszy.

– Znowu wygrał? Kto nauczył tego Boliwijczyka grać?

Wśród chilijskich mężczyzn obowiązuje zasada, że bliscy znajomi mogą z siebie nawzajem szydzić. Nazywa się to *echándole la talla*, co można przetłumaczyć jako poddawanie kogoś próbie. Umiejętność szydzenia z kogoś bez doprowadzania do kłótni jest wysoko ceniona. Najlepszy spośród obecnych jest w tym Víctor Zamora – to jeden

z powodów, dla których inni bardzo rzadko się na niego złoszczą, mimo że był głównym sprawcą zagarnięcia prowiantu, i to przez niego górnicy są bardziej głodni, niż mogliby być. Dzięki niemu połowa mężczyzn w Schronie co chwila śmieje się z drugiej połowy. Mówią na przykład:

– Patrzcie na Maria Gómeza, wydaje mu się, że jak przyłoży do ściany deseczkę, to ściana się do niego odezwie. I co, Mario? Odwiert jest blisko? Z której strony idzie?

Potem Víctor wstaje i pokazuje tę samą stronę co Mario, jak jakiś labrador retriever. Czasami, kiedy Gómez nie patrzy, Zamora chowa dwa palce, gdy pokazuje kierunek – górnicy oczywiście wiedzą, że to niełądnie kpić z człowieka, któremu ucięło dwa palce, ale w tej jaskini to jest bardzo śmieszne.

– Stamtąd! Nie, stamtąd! Jest blisko! – krzyczy Mario.

Żarty Zamory z Gómeza są takie śmieszne, że powtarzają je inni i rechoczą z nich jeszcze przez wiele dni.

Żeby jeszcze bardziej wciągnąć Carlosa Mamaniego w życie towarzyskie, Mario Sepúlveda w końcu zaczyna sobie dworować również z niego. Tak samo jak w przypadku wszystkich innych żarty obracają się wokół jakiejś jego charakterystycznej cechy.

– Mamani, módl się o to, żeby nas znaleźli, bo jak nas nie znajdą, to zjemy cię jako pierwszego, bo jesteś Boliwijczykiem – mówi Sepúlveda.

Mamani się nie obraża, bo kto by traktował poważnie tych wszystkich Chilijczyków?

– Wiedziałem, że się wygłupia – powie później. Ale kiedy Raúl Bustos usłyszał ten żart, pomyślał sobie: „Ten wariat Mario posunął się za daleko”. Kilku innych górników też tak uważa. Trzeba być idiotą, żeby robić sobie żarty o zjadaniu kogoś w towarzystwie ludzi, którzy od dziesięciu dni nie zjedli solidnego posiłku. Niektórym się wydaje, że grozi im śmierć

głodowa, i nie jest absolutnie wykluczone, że zjedzą pierwszego człowieka, który umrze.

– Wiem, że Mamani nie spał dobrze tej nocy – powie później Florencio Ávalos.

Ten makabryczny humor niepokoi również Raúla, który nie jest całkowicie przekonany, czy solidarność będzie nadal obowiązywać, jeżeli naprawdę zaczną umierać z głodu. Po tsunami w Talcahuano ludzie bardzo szybko zaczęli ulegać swoim najniższym instynktom. Mario Sepúlveda ma silne wahania nastrojów i Raúl zaczyna się domyślać tego, co najbliżsi przyjaciele i rodzina Maria o nim wiedzą: ten człowiek nie do końca panuje nad swoimi emocjami. Mówi ci, że cię kocha, a za chwilę grozi i wydaje się prawdopodobne, że zrobi wszystko, żeby przeżyć.

Mimo że wszyscy stają się coraz słabsi, Mario ciągle szuka zwady. Kłóci się z Omarem Reygadasem o odwierty i wiertniczych. Starszemu od niego Omarowi zdarzało się już pracować z ekipami wiertniczymi i kiedy odgłos wiercenia ustaje albo zaczyna się oddalać, dzieli się z innymi swoją wiedzą na ten temat. W czasie jednego z tych długich okresów ciszy Omar oznajmia zgromadzonym wokół niego górnikom, żeby się nie martwili, po raz kolejny im przypomina, że pracował z ekipami wiertniczymi i trochę się zna na ich pracy.

– Nie zrezygnowali – mówi. – Tylko przedłużają prowadnicę.

U górników pojawiają się jednoznaczne objawy niedożywienia. Dotarcie do miejsca, w którym się załatwiają, wymaga wysiłku, a kiedy już tam dojdą, kucanie często jest torturą, która nie przynosi żadnych rezultatów. Ich organizmy chcą coś z siebie wypchnąć, ale okupione jest to zbyt wielkim bólem, a to, co czasem w końcu spadnie na ziemię, wygląda dziwnie. Wychodzą z nich zbite, twarde jak kamień bobki o jajowatym

kształcie – górnikom, którzy wychowali się na wsi, przypominają odchody kóz albo lam.

Mario Sepúlveda, podobnie jak inni, ma zatwardzenie, jest tak samo wycieńczony i wkurzony jak cała reszta. W końcu uznaje, że ma już dosyć tego siwowłosego ściemniacza.

– Ciągle powtarzasz to samo! – warczy na Omara. – Kłamiesz. Nie znasz się na tym. Jesteś idiotą!

– Nie mów do mnie w ten sposób.

– Zamknij się wreszcie!

Doznawszy uszczerbku na honorze, Omar wstaje, przybiera groźną pozycję i robi kilka kroków w stronę Maria, nie zważając na to, że człowiek z sercem psa jest od niego wyższy, silniejszy i młodszy.

– Chodźmy i rozstrzygnijmy to nad wodą – mówi.

Na oczach kilku kolegów zaczynają schodzić Rampą w dół. Zmierzają w stronę chodnika, w którym znajduje się sadzawka z wodą nagromadzoną od momentu, kiedy zaczęły się wiercenia. Mario myśli o tym, co zrobi temu denerwującemu człowiekowi, nareszcie wyładuje gniew, który w nim wzbierał. Ale sadzawka jest oddalona o ponad sto metrów i przez te kilka minut, których potrzeba na pokonanie tego dystansu, jego gniew się rozwiewa. Wygląda na to, że starszy mężczyzna naprawdę chce się bić, nie ma zamiaru się wycofać. Patrząc na niego, Mario zdaje sobie sprawę, że Omar jest tak samo zdesperowany i głodny jak on sam i że to byłoby kompletnie absurdalne – bić się ze sobą, skoro i tak są bliscy śmierci.

– Patrzyłem na tego starszego ode mnie faceta i pomyślałem: „Jeżeli ja, młody baran, pobiję tego starego kozła, to będę się musiał długo tłumaczyć. Ale jeżeli stary kozioł pobije młodego barana, to będę musiał się tłumaczyć jeszcze dłużej”.

Kiedy patrzą na siebie nad sadzawką, a każda z ich dwóch lamp czołowych oświetla głowę przeciwnika, na twarzy Maria wykwita szeroki uśmiech. Dzieli się z Omarem swoimi przemyśleniami na temat młodych baranów i starych kozłów, przeprasza, a potem bierze go w swoje spocone ramiona. Umierają z głodu i wariują, ale wciąż są braćmi.

– Przepraszam, *viejo*. *Perdóname*. Wybacz mi.

Na twarzy wycieńczonego Omara pojawia się wyraz ulgi. Wracają do Schronu. Kiedy są już blisko, inni górnicy wstają albo siadają wyprostowani, sądząc, że zobaczą dwóch mężczyzn, którzy się nawzajem poturbowali, a tymczasem widzą usmarowanych sadzą i wygłodniałych górników z gołymi klatami, którzy śmieją się i żartują jak najlepsi przyjaciele.

Juan Illanes zainstalował światła blisko poziomów sto pięć i dziewięćdziesiąt, ale poczucie, że otaczają ich groźne ciemności, narasta z każdym dniem, bo kolejne lampy przygasają lub całkiem gasną. Perspektywa, że wkrótce ogarną ich całkowite ciemności, przypomina Alexowi Vedze o pewnym górniczym przesądzie: ludzie, którzy za długo siedzą w ciemnościach, w końcu oślepną. Z kolei Jorge Galleguillos pamięta kilka przypadków ze swojej górniczej kariery, kiedy jego lampa przestała działać i znalazł się w całkowitych ciemnościach: przekonał się wówczas, że w takiej sytuacji szybko traci się orientację i to, jak jesteś zgubiony i bezsilny, po omacku szukasz ściany wyrobiska, o której wiesz, że jest w pobliżu, może być przerażające. Illanes w końcu sobie uświadamia, że może naładować baterie lamp za pomocą akumulatorów maszyn, i kiedy wraca ze światłodajnymi urządzeniami, ciemności stają się trochę mniej groźne.

Aktywniejsi górnicy w końcu uznają, że nie mogą siedzieć bezczynnie i czekać, aż odwierty do nich dotrą. Jeżeli ratownicy nie otrzymają z dołu

jakiegoś znaku życia, w końcu zrezygnują. Uwięzieni mężczyźni ponawiają próby wysłania na górę wiadomości. Mają dynamit i zapalniki, ale nie mają górniczych spłonek – na dzień katastrofy nie były zaplanowane roboty strzałowe. Jednak Yonni Barrios i Juan Illanes wymyślają, jak zrobić spłonki: trzeba wydobyć proch z zapalników, zawinąć go w folię aluminiową pozyskaną z kartonów po mleku i użyć do zdetonowania środka wybuchowego, którego używają w codziennej pracy górniczej. Wchodzą na najwyższy dostępny im poziom, przygotowują ładunek wybuchowy i czekają, aż nadejdzie ósma rano, bo o tej godzinie wiercenia codziennie ustają – najwyraźniej wtedy zmieniają się szychty. Kiedy zapada cisza, Yonni zapala biegnący do zaimprowizowanej spłonki lont. Dynamit wybucha, eksplozja jest silna, ale na powierzchni nikt nic nie słyszy.

„Jesteśmy siedemset metrów pod ziemią – myśli Juan. – Nie ma szans, żeby nas usłyszeli”.

Po wznowieniu wierceń ich odgłos jest coraz bliższy, wibracje i łomot wydają się rozlegać tuż obok. Górnicy mówią: „Ten należy do mnie” i „Ten się przebije”. Wchodzą na różne poziomy Rampy i zaglądają do chodników, poszukując miejsca, w którym jakiś odwiert mógł już się przebić. A potem hałas się oddala i wreszcie ustaje.

Piętnastego sierpnia, jedenastego dnia pod ziemią, Víctor Segovia notuje w swoim dzienniku wiele oznak tego, że on i inni tracą nadzieję: „Jest dziesiąta dwadzieścia pięć i wiercenia znowu ustały. Znowu wydają się bardzo dalekie. Naprawdę nie wiem, co tam, na górze, się dzieje. Skąd tyle przerw?… Alex Vega nakrzyczał na Claudia Yáñeza, który cały dzień śpi i w niczym nie bierze udziału…”. A wciąż jest co robić: przede wszystkim trzeba nosić wodę ze zbiorników na wyższych poziomach. Następnego dnia Víctor pisze: „Prawie nikt już się nie odzywa”. Siedemnastego sierpnia widzi górników, którzy stoją w małej grupie

i mruczą coś między sobą. „Zaczynają się poddawać – pisze. – Nie sądzę, żeby Bóg uratował nas przed śmiercią po zawale tylko po to, żeby pozwolić nam umrzeć z głodu… Kości policzkowe nam sterczą, widać nam wszystkie żebra, a przy chodzeniu drżą nam nogi”.

Wiercenie ustaje na wiele godzin, górnicy chodzą po kopalni, nasłuchując jakichś dźwięków, a potem na górze znowu zaczynają się prace. Świdry łomocą i zgrzytają przez jeden dzień i nagle ich odgłos staje się bardzo bliski, dlatego ludzie znowu zaczynają mówić o przedsięwzięciu kolejnych kroków. Znajdują puszkę czerwonej farby w spreju używaną w codziennej górniczej pracy do zaznaczania drogi na powierzchnię. Jeżeli świder wyskoczy ze skały, pomalują go na czerwono i kiedy operator go wyciągnie, będzie miał niepodważalny dowód na to, że na dole są żywi ludzie. José Ojeda pracował kiedyś w El Teniente, największej głębinowej kopalni miedzi na świecie, i na szkoleniach z bezpieczeństwa nauczono go, że w komunikacie dla ratowników należy przekazać trzy podstawowe informacje: liczbę uwięzionych, ich położenie i informacje o stanie zdrowia. Za pomocą czerwonego markera pisze teraz taką wiadomość na papierze milimetrowym, udaje mu się ją zawrzeć w siedmiu słowach. Richard Villarroel, który niedługo zostanie ojcem, szuka wśród swoich narzędzi najtwardszego kawałka metalu i znajduje duży płaski klucz do śrub: jeżeli świder się przebije, Richard zacznie tłuc tym narzędziem w stalowy przewód wiertniczy, żeby ten głośny dźwięk pokonał kilkaset metrów i dotarł do ucha ratownika, który będzie nasłuchiwał oznak życia w kopalni.

Następnego dnia staje się oczywiste, że odgłosy wiercenia dochodzą z dołu. Górnicy próbują wytropić ich źródło, schodzą i zjeżdżają niżej, nasłuchują w krętych chodnikach, przechodzą coraz głębiej, aż w końcu dźwięk zanika. Dziewiętnastego sierpnia kronikarz Segovia pisze: „Ogarnia

nas rozpacz. Jeden z odwiertów właśnie przeszedł koło ścian Schronu, ale się nie przebił”. Następnego dnia notuje: „Perri jest bardzo przygnębiony”. Tego dnia jedynym źródłem kalorii jest dla nich woda, ponieważ jedzenie się kończy i ustalili, że będą jedli jedno ciastko na czterdzieści osiem godzin. „Odwiert się NIE przebija – pisze Víctor następnego dnia. – Zaczynam się zastanawiać, czy na górze nie ma przypadkiem jakiegoś złośliwego ducha, który nie chce, żebyśmy się stąd wydostali”.

Uwięzieni mężczyźni słyszeli już osiem zbliżających się do nich odwiertów, ich dźwięki jednak ustały albo zanikły w oddali. Kilku górników podąża za odgłosem ostatniego odwiertu wiele poziomów w dół i z niedowierzaniem słucha, jak mija on najniższe miejsce w kopalni – poziom czterdzieści.

– To było straszne. Jakbyśmy umarli po raz drugi – powie później jeden z górników.

Znowu nasuwa się wniosek, że właściciele kopalni skazali ich na śmierć: plany kopalni, którymi dysponuje spółka San Esteban, są tak niedokładne, że ratownicy nigdy ich nie znajdą.

– Plany kopalni są do dupy! – krzyczą. – *La planificación de la mina es una hueva*!

Trzydziestu trzech mężczyzn siedzi teraz w ciemnościach i zastanawia się, czy umrą po tym ostatnim ciosie w ich godność: uwięzieni, wycieńczeni głodem, inni górnicy próbują do nich dotrzeć, ale ich wysiłki udaremnia firma, która była zbyt skąpa, żeby precyzyjnie odwzorować przebieg podziemnych chodników.

---

[7] Pampa, pampasy – rozległy równinny step porośnięty wysoką trawą w Ameryce Południowej.

ROZDZIAŁ 9

PIECZARA SNÓW

Laurence Golborne, minister górnictwa, jest zdesperowany i dostaje przeróżne idiotyczne rady. Odwierty nie trafiają do celu albo koronki pękają przed dotarciem do poziomu, na którym są uwięzieni górnicy. Wywiercono kilkanaście otworów, ale żaden z nich nie spełnił swojego zadania. Dziewiętnastego sierpnia, dokładnie dwa tygodnie po katastrofie, jeden z odwiertów przekracza głębokość pięciuset metrów. Jest skierowany w stronę jednego z dwóch wyrobisk, które leżą na jego drodze, dlatego też Golborne, André Sougarret i inni optymistycznie sądzą, że w coś trafi. Rodziny górników poinformowano, że odwiert jest bliski celu i w Campo Esperanza zaczynają się pełne nadziei całonocne czuwania. Tymczasem odwiert zagłębia się dalej i osiąga głębokość siedmiuset metrów, nie natrafiwszy na żadne wyrobisko.

– Operator wiertnicy tak się zaangażował emocjonalnie, że nie chciał przestać, chociaż wiedzieliśmy, że dotarł już za daleko – mówi później jeden z urzędników.

Golborne oznajmia prasie, że nie ma pewności, co poszło nie tak, ale sugeruje, że udostępnione przez właścicieli kopalni jej plany są niedokładne. Sougarret, szef akcji ratowniczej, mówi to samo dziennikowi „La Tercera”:

– Jak się ma złe informacje, to trudno podejmować właściwe decyzje.

Jakieś anonimowe źródło rządowe informuje tę samą gazetę, że być może cała kopalnia się zawaliła. Jest to jedna z wielu pesymistycznych wypowiedzi, które docierają do bliskich górników.

– Tej nocy wśród rodzin wybuchła rewolucja – powie później Golborne.

– Nie macie pojęcia, co robić! – krzyczą rodziny. – Codelco nie ma pojęcia, co robi. My wiemy! Musicie nas posłuchać! Związek zawodowy górników z małych kopalń, *perquineros*, informuje, że jeżeli rząd nie otworzy zapieczętowanego wejścia do kopalni, wejdą tam *de guatitas*, czołgając się.

W końcu, pod naciskiem grupy zdesperowanych górników, minister zgadza się porozmawiać z kilkoma „mądrymi” ludźmi, którzy według rodzin mogą pomóc w odnalezieniu zasypanych górników. Jedną z tych osób jest jasnowidzka. Golborne spotyka się z nią w tę mroźną noc.

– Widzę siedemnaście ciał – mówi kobieta. – Widzę jednego, który ma zmiażdżone nogi. Wrzeszczy.

Golborne uznaje, że lepiej będzie nie przekazywać tych „rewelacji” rodzinom, które nalegają również, żeby porozmawiał z „poszukiwaczem skarbów” – zbada on powierzchnię zbocza za pomocą jakiejś tajemnej technologii.

– Na czym polega ta technologia? – pyta Golborne.

– Jest bardzo skomplikowana – odpowiada poszukiwacz skarbów.

– Jestem inżynierem, niech mi pan wyjaśni. Opiera się na wychwytywaniu fal dźwiękowych, pomiarach temperatury, różnic napięcia elektrycznego?

Poszukiwacz skarbów mówi, że metoda jest za bardzo skomplikowana, i odmawia dalszych wyjaśnień. Mimo to Golborne, żeby nie pogłębiać panujących wśród rodzin górników złych nastrojów, wpuszcza go na teren

kopalni. Poszukiwacz skarbów rozkłada na zboczu góry długie płachty i za pomocą urządzenia, którego Golborne nigdy wcześniej nie widział, wykonuje jakieś pomiary. Później pełnym wyniosłości tonem komunikuje Golborne’owi, że jego załogi wiertnicze szukają górników w niewłaściwym miejscu. Przekonuje Golborne’a, Sougarreta i pozostałych ratowników, że są bandą idiotów, przez których tych trzydziestu trzech ludzi umrze, jeżeli go nie posłuchają i nie wezmą pod uwagę tego, co wskazują jego urządzenia.

– Nie znajdziecie ich, jeżeli nie będziecie wiercili na zupełnie innym obszarze.

Golborne ignoruje rady poszukiwacza skarbów i schodzi na dół, żeby posiedzieć z kobietą, która zarabia na życie, sprzedając na plaży *empanadas*, z kobietą, która zdobyła zaufanie rodzin górników i której zaufanie on również musi zdobyć. Zdołał ją przekonać, że robi wszystko, co się da, że on i rząd wykorzystują wszelkie dostępne środki i informacje, by odnaleźć zasypanych ludzi. Minister rozmawia z Marią Segovią, siostrą Daría i „burmistrzem” miasteczka namiotowego. María słyszała, że jeden z odwiertów osiągnął głębokość pięciuset trzydziestu, pięciuset pięćdziesięciu, sześciuset metrów, a każda z tych informacji była dla niej kolejnym ciosem.

– Kończy nam się czas – mówi do Golborne’a. Powtarza to sformułowanie: *Se nos está acabando el tiempo*.

– Robimy inne odwierty – zwraca się do niej Golborne, ale na jego twarzy widoczne są zmęczenie i zatroskanie. – Nie poddaliśmy się.

María Segovia zapamięta rozmowę z ministrem jako moment, kiedy była najbardziej zrozpaczona.

– Wiesz, że musisz walczyć do końca, ale jednocześnie odczuwasz ten smutek, to zmartwienie, tę bezsilność – mówi później.

Kuli się z zimna, słucha ministra ubranego w urzędową czerwoną wiatrówkę. GOBIERNO DE CHILE, głoszą widoczne na niej białe litery. Minister często przychodzi do miasteczka namiotowego, siada z jej rodziną i pije yerba mate, dzięki czemu udało mu się zdobyć trochę zaufania Maríi. Minister zachowuje się w jej obecności dziwnie pokornie, teraz mówi, że kolejny odwiert jest najwyżej dwa dni od celu. María zwalcza w sobie odruchowy sceptycyzm wobec ludzi władzy i wszystkiego, co oni mówią. Próbuje mu uwierzyć.

Przeciętny ludzki mózg potrzebuje do przetrwania około stu dwudziestu gramów glukozy dziennie. Trzydziestu trzech zasypanych pod ziemią mężczyzn przyjmuje średnio jedną dwudziestą tej ilości. Przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny bez jedzenia organizm człowieka wytwarza glukozę ze zmagazynowanego w wątrobie glikogenu, a potem zaczyna spalać tłuszcz zgromadzony w klatce piersiowej i jamie brzusznej, wokół nerek i w wielu innych miejscach. Centralny układ nerwowy nie może jednak przeżyć na samym tłuszczu. Mózg odżywia się ciałami ketonowymi powstającymi w wątrobie dzięki utlenianiu kwasów tłuszczowych. Kiedy zapasy tłuszczu się wyczerpią, głównym źródłem energii dla mózgu stają się białka – przede wszystkim zawarte w mięśniach. Białka są rozkładane na aminokwasy, które wątroba może przetworzyć na glukozę. Innymi słowy, mózg człowieka, żeby przetrwać, zaczyna zjadać mięśnie: to jest moment, kiedy rozpoczyna się umieranie z głodu. Po dwóch tygodniach najniżsi i najchudsi spośród trzydziestu trzech górników uwięzionych w kopalni San José stracili tyle masy mięśniowej, że ich koledzy zaczynają to zauważać.

Alexowi Vedze sterczy już spod skóry obojczyk.

– Hej, jak ty wyglądasz, jak rama rowerowa – mówi Omar Reygadas do Alexa, człowieka, który zaczął pracować w kopalni, żeby dobudować kilka

pokojów do swojego domu. Po chwili Omar myśli sobie, że rama rowerowa jest za ciężka i za duża, żeby stanowić dobrą metaforę tego, jak wygląda chodzący bez koszuli, coraz chudszy Alex. Przypomina raczej kawałek *charqui*, suszonego mięsa. Reygadas nazywa Alexa *charqui de mariposa*, suszonym mięsem motyla.

– Można sobie wyobrazić, jak by wyglądało suszone mięso motyla. Mniej więcej jak kurz.

Zgodnie z intencjami Omara Alex przyjmuje to z humorem i sympatią. Sam Omar też nie wygląda jak okaz zdrowia. Nikt nie wygląda jak okaz zdrowia. Metabolizm spowalnia, nawet najbardziej energiczni śpią dłużej niż zwykle, ich myśli zaczynają być zamulone. Wielu z nich doświadcza jednego z dziwnych, nieoczekiwanych skutków ubocznych długiej głodówki, wielokrotnie odnotowywanych przez ludzi, którzy pościli co najmniej przez tydzień: ich sny i koszmary stają się nietypowo długie, jaskrawe i wyraziste. Sny bardziej przypominają realne życie, wielu pobożnych poszczących przypisuje ten efekt oczyszczeniu ciała i umysłu. Kiepsko odżywione mózgi zabierają ludzi do ich wspomnień i pragnień, skleconych z materiału ich osobistych historii i dramatów, z obsadą złożoną z bliższych i dalszych członków rodziny.

Carlosa Mamaniego, który właśnie zdobył tytuł mistrza domina, podświadomość zabiera w rozmaite podróże.

– Spałem, żeby nie czuć głodu – powie później. – Miałem sny, w których spotykałem się z kimś z mojego rodzeństwa. Budziłem się na chwilę, a potem zasypiałem na długo i widziałem się z innym bratem.

Jego ośmioro braci i sióstr rozproszyło się po całej Boliwii: część została w rodzinnej wiosce Cobija w prowincji Gualberto Villarroel, inni wyjechali do wielkich miast, takich jak La Paz i Cochabamba. Mamani byli sierotami i wychowywali się nawzajem.

– Nie widziałem się tylko ze starszą siostrą, tą, która po śmierci rodziców kazała mi się uczyć. Chodziłem do ich domów. Do każdego po kolei. Odwiedzałem też ciotki i kuzynów.

W swoich snach Carlos wędrował po Altiplano gruntowymi drogami, mijał zagrody lam i kóz, wchodził do małych, zagraconych salonów w dużych miastach albo do izb w swojej rodzinnej wiosce, gdzie w oddali było widać schowany pod lodowcem szczyt Illimani – Złoty Orzeł. Carlos dorastał na tym płaskowyżu, gdzie ludzie uprawiają ziemniaki, owies, *cañahua,* i komosę.

– Wychowywałem się w *campo*, na wsi – opowiada później. – A na wsi mówią, że jak ktoś ma niedługo umrzeć, to chodzi po nocy. Ja chodziłem w moich snach.

Kiedy się budzi i myśli nad tymi snami, smuci się: w tak młodym wieku nie jest gotowy na śmierć. Pamięta uczniowskie czasy w Cobija, sierota, który chodził do szkoły na rozkaz swojej starszej siostry. Do szkoły miał bardzo daleko, wracał do domu na piechotę i docierał dopiero o ósmej czy dziewiątej wieczorem. Zdarzało mu się, że kiedy maszerował po Altiplano, widział sylwetkę jakiegoś człowieka, który natychmiast znikał. Były to duchy ludzi, którzy mieli niedługo umrzeć, a teraz on stał się jednym z nich t– duchem wędrującym we śnie. W następnych snach Carlos spotyka się kolejno ze swoim rodzeństwem, ale nigdy ze swoją starszą siostrą, która go wychowywała po śmierci matki, kiedy miał cztery lata. Pamięta dzień pogrzebu matki, bardzo długą stypę, na której się jadło, a dzieci biegały dokoła. Jednak wspomnienie o tym, jak starsza siostra przygotowuje go do wyjścia do szkoły, jest znacznie silniejsze. Jeszcze mu się nie przyśniła i do końca się nie przyśni.

– Pomyślałem, że gdybym w jednym ze snów zobaczył się z moją siostrą, toby oznaczało, że naprawdę umieram – powie później.

Tymczasem Carlosa nawiedza inny, napawający nadzieją cudowny sen: stoi w ogromnym metalowym wiadrze – było takie w kopalni, w której kiedyś pracował – i jest wynoszony na powierzchnię, jak człowiek, który wyjeżdża windą na górę, ku słońcu i bezpieczeństwu.

Eduardo Hurtado i ekipa z Terraservice, po niepowodzeniu poprzedniego odwiertu, drążą teraz dziurę numer dziesięć B. Tę trzecią już próbę dotarcia do zasypanych górników rozpoczęli w środę siedemnastego sierpnia przed świtem. Co sto metrów przerywają pracę, żeby topograf Sandra Jara mogła wpuścić do szybiku żyroskop i zmierzyć postępy prac. Jara, Hurtado i obsługa wiertnicy konsultują się ze sobą i kiedy szybik jest już dostatecznie głęboki, odwołują się do swojej topograficznej i wiertniczej wiedzy i podejmują ważną decyzję: będą wiercili bardzo powoli, zmniejszając szybkość na rzecz precyzji, zamiast dwunastu lub piętnastu obrotów na minutę ustawią tylko sześć. Nelson Flores, jeden z dwóch operatorów wymieniających się przy obsłudze wiertnicy, rozumie tę strategię, która jednak budzi w nim instynktowny opór.

– Człowiek się niecierpliwi, chce wiercić szybciej, chce nareszcie wykonać swoją robotę.

Kiedy po zakończeniu dwunastogodzinnej zmiany wychodzi razem z innymi przez bramę, oczekujące tam rodziny górników witają ich oklaskami.

W jedną z tych nocy, kiedy pominięte posiłki i odległe odgłosy wiercenia zjadają mu duszę, Edison Peña próbuje zasnąć i przez kilka minut wydaje z siebie jęki:

– Umieram, umieram.

Mario Sepúlveda, który usiłuje zasnąć obok niego, ma już tego serdecznie dosyć. „Wystarczy, Edison”, myśli. W końcu budzi się w nim kawalarz – zaczyna rzucać głową na boki, naśladując konającego Edisona,

charczy i gulgocze z otwartymi ustami, tak jakby ogarnęły go agonalne drgawki. Wygłasza filmowe przedśmiertne przemówienie – Mario kocha filmy, zwłaszcza z Melem Gibsonem.

– To już koniec, Edison – jęczy słabym głosem. – Umieram. Odchodzę. Powiedz… mojej… żonie… że…

Kiedy aktor Mario zamyka oczy i milknie, Edison siada na swoim legowisku, pochyla się nad nim i zaczyna nim rozpaczliwie potrząsać.

– Nie, Perri, nie! – woła. – Nie! Nie umieraj!

Mario otwiera oczy i uśmiecha się łobuzersko, wybucha śmiechem i częstuje Edisona wiązką wulgarnych chilijskich idiomów na temat głupich ludzi. Mario uważa tę sfingowaną scenę śmierci za najśmieszniejszą rzecz, jaką w życiu zrobił. Edison zaczyna udawać, że od początku wiedział, że to jest żart, a później powtarzają ten skecz i Edison dorzuca swoją kwestię:

– Perri, powiedz mi, gdzie schowałeś pieniądze! Gdzie są pieniądze?

Jeden z ich kolegów, który to widział, mówi później:

– Na początku to był żart, ale potem zaczęło się to wydawać realne.

Można by sądzić, że ludzie tak bliscy śmierci jak oni nie będą w stanie z tego żartować, ale Mario i Edison są inni. Edison tłumaczy to później następująco:

– Moim zdaniem czasem potrafi nas rozśmieszyć tylko jedna rzecz: pogodzenie się z myślą, że nie ma wyjścia.

Niedługo po tym pierwszym absurdalnym spektaklu wspomnienie o tym, jak Mario śmiał się z Edisona, unosi ciężki całun śmierci, który wisi w Schronie. Kto inny umiałby zrobić coś takiego? Kto by szydził z czyjegoś przedśmiertnego lamentu? Ten sam człowiek, który potrafi wezwać ich wszystkich do modlitwy albo powiedzieć grupie konających z głodu ludzi, że zamierza kogoś zjeść.

Na poziomie sto pięć, gdzie nocują mechanicy, opanowany i dobroduszny Juan Illanes, człowiek o dźwięcznym głosie prezentera radiowego, podtrzymuje na duchu swoich towarzyszy wytrwałym opowiadaniem historii i wykładami na różne tematy. W normalny dzień potrafi być nudziarzem, ale teraz jego nieustanne gadanie dla uwięzionych pod ziemią mężczyzn jest mile widzianą rozrywką. Juan wie, że kilku górników martwi się o swoich bliskich, o to, z czego będą żyły żony i dzieci bez ich pensji, jeśli żaden odwiert do nich nie dotrze. Szczególnie przygnębieni są Raúl Bustos, który ma dwójkę dzieci, i Richard Villarroel, którego żona spodziewa się pierwszego dziecka, więc Illanes zaczyna wyłuszczać im przepisy chilijskiego prawa pracy.

– Powiedzmy, że się nie wydostaniemy, oczywiście najzupełniej hipotetycznie – mówi Juan. – Przepisy prawa pracy dotyczące zabezpieczenia społecznego i wypadków są bardzo konkretne. Rodziny dostają odszkodowanie. Nie jestem dokładnie pewien ile, ale około dwóch tysięcy UF. A może trzy tysiące.

– Naprawdę?

– Aż tyle?

Górnicy na chwilę zapominają o swoich kłopotach i zaczynają dokonywać w myślach obliczeń. UF to skrót od Unidad de Fomento, indeksowanej jednostki rozliczeniowej używanej przez rząd chilijski w niektórych operacjach: w tej chwili UF wynosi trochę ponad dwadzieścia tysięcy chilijskich peso, czyli około czterdziestu dolarów. Innymi słowy, Illanes informuje kolegów, że ich rodziny dostaną od osiemdziesięciu do stu dwudziestu tysięcy dolarów – przeciętny chilijski robotnik musiałby pracować na taką sumę prawie dziesięć lat.

– Ale to nie wszystko – kontynuuje Illanes. – Jeżeli zginiecie w wypadku, to oczywiście tylko hipoteza, rodzina jest uprawniona do renty.

Tak mówi przepis numer szesnaście tysięcy siedemset czterdzieści cztery.

Illanes twierdzi, że zna numer tego przepisu (jak się później okazało, wcale nie blefował). *Dieciséis mil setecientos cuarenta y cuatro*: ta liczba, podobnie jak detale w historiach Illanesa o grillach i egzotycznych południowoamerykańskich grzybach, sprawia, że jego słowa brzmią bardziej wiarygodnie.

– Zgodnie z tym przepisem renta wynosi tyle, ile średnia płaca w ostatnich trzech miesiącach. Wasza żona będzie ją dostawała do trzydziestego piątego roku życia. Ale jeżeli nasze dzieci będą chodziły do szkoły albo studiowały, to do czterdziestego piątego. A do tej pory to, powiedzmy sobie szczerze – mówi z przewrotnym uśmiechem – zapewne znajdzie sobie jakiegoś innego *viejo*, który się nią zaopiekuje.

– Skąd Illanes wie takie rzeczy?

– Według przepisów spółka powinna was o tym wszystkim poinformować. Pracowałem już w tylu kopalniach i słyszałem to tyle razy, że nauczyłem się na pamięć.

Illanes mówi jak prawnik, nie jak mechanik. To optymistyczne streszczenie chilijskiego prawa pracy powoduje, że jego koledzy są trochę spokojniejsi, mają bowiem pewność, że nawet jeżeli nigdy nie opuszczą kopalni, ich rodziny będą miały z czego żyć.

Kiedy Illanes w końcu przestaje mówić i zagłębia się w rozmyślaniach, zleca swojemu umysłowi drobne zadania. Wyobraża sobie, że jest na ziemi i zaraz powróci do normalnego życia, w którym czekają go przyziemne domowe obowiązki. Stosując metodę, która pomogła francuskiemu więźniowi zwanemu Papillonem (Motylkiem) pozostać przy zdrowych zmysłach, kiedy siedział w lochu na Diabelskiej Wyspie, Illanes przenosi się myślami z kopalnianego więzienia do własnego domu, w którym przygotował materiały do konstrukcji stołu. Teraz montuje ten mebel i robi

inne rzeczy. „Muszę coś zrobić z tym zaciekiem na suficie. Trzeba będzie naprawić rynnę. Muszę kupić trzy odcinki rynny i dwa metry rury spustowej. Ile to będzie kosztowało?”. Raz po raz wykonuje w głowie obliczenia, wyobraża sobie każdy wkręt do drewna, każdy łącznik i każde narzędzie. Z wiertarką w ręku wchodzi po drabinie na dach, a potem schodzi, by następnie powtórzyć tę czynność. Kiedy przestaje go to zadowalać, podejmuje w myślach inny wątek: usiłuje sobie przypomnieć pieśni kościelne z czasów, kiedy jako czternastolatek śpiewał w chórze. Illanes jest członkiem chóru w swoim kościele w Chillán, ale chciałby zaśpiewać pewną starą pieśń, której od lat nie wykonywał. Pamięta tylko kilka pierwszych słów: *Quiero cantarle una linda canción*[8]… Jak to dalej szło? Przez trzy wieczory z rzędu Illanes wytęża pamięć, szukając w niej reszty tekstu. Kolejne fragmenty powoli do niego wracają, to również przypomina budowanie czegoś. Czwartego wieczoru pamięta już całość, wszystkie cztery zwrotki, szesnaście linijek, włącznie z ostatnią: *Sólo en él encontré felicidad*[9]. Z kompletnym tekstem pieśni w głowie Illanes idzie sam do jednego z kopalnianych chodników, w takie miejsce, w którym nikt go nie usłyszy. Śpiewa kościelną pieśń, tak jak kiedyś to robił jako nastolatek, a potem zaczyna płakać, bo uświadamia sobie, jakie to piękne być młodym i móc śpiewać.

Czternastego i piętnastego dnia pod ziemią nawet ludzie, którzy byli najbardziej aktywni, ulegają zmęczeniu i poczuciu beznadziei. Ávalos, zastępca Urzúy, przez dwa tygodnie jeździł w górę i na dół, przywoził wodę, szukał chodników, którymi można by się wydostać z kopalni, próbował wysyłać na górę komunikaty. Zachodził też do Schronu, żeby podtrzymywać na duchu młodszego brata Renána, który prawie cały czas leżał na zaimprowizowanym łóżku.

– Wstawaj, Renán – powtarzał. – Zaangażuj się w coś, wyjdź stąd, okropnie tu cuchnie.

Czasem Florenciowi udawało się postawić brata na nogi i nakłonić go do tego, żeby trochę popracował. Florencio oczywiście nie mówi tego na głos, ale martwi się, że jego młodszy brat może wybrać tradycyjną górniczą drogę wyjścia z rozpaczliwej sytuacji: skoczyć w El Rajo. Kiedy ktoś stanie nad tą przepaścią i poświeci w nią górniczą lampą czołową, zobaczy tylko czerń. Samobójstwo w Pieczarze jest jak skok do czarnej dziury. W kopalni może cię zabić upadek z zaledwie trzech metrów, ale w Pieczarze można polecieć trzydzieści metrów: kilku spośród zasypanych górników przyzna się później, że myśleli o tego rodzaju ucieczce od bezlitosnych tortur dźwiękowych, które zadawała im góra, od nieustannego grzmotu spadających skał.

Tak naprawdę to nie Renán, brat Florencia, tylko on sam czuje się zupełnie załamany. Florencio, *catapaz*, sztygar, jest jednym z nielicznych górników powszechnie szanowanych przez kolegów.

– Nasz *catapaz* to młody, ale wyjątkowy człowiek – powie Mario Sepúlveda jeszcze w czasie uwięzienia pod ziemią. – Umie znaleźć wyjście z każdej sytuacji, *tirando para arriba*, i ma wspaniały charakter.

Florencio zaczyna jednak przegrywać walkę z rozpaczą, kiedy pewnego wieczoru zasypia na łóżku zrobionym z dużych gumowych rur, a po przebudzeniu czuje, że po nogach cieknie mu woda. Wstaje i traci równowagę w błocie, które płynie lepkimi falami po butach: brodzenie w nim jest bardzo męczące, a kiedy Florencio próbuje wyjechać z niego swoim pikapem, koła kręcą się w miejscu, co wzmaga poczucie, że nie ma sensu podejmować dalszych prób ratowania siebie i innych.

Florencio towarzyszy ekipie, która idzie na górę po wodę. Ten cały wysiłek staje się dla niego nie do zniesienia. Postanawia, że nie pójdzie już

ani kroku dalej, i skręca w stronę zaparkowanej w jednym z chodników wywrotki. Nikt z kolegów tego nie zauważa. Wsiada do kabiny i kiedy światła czołówek górników idących po wodę przygasają, siedzi w ciemnościach, bo bateria jego lampy się wyczerpała. *Hasta aquí llego*. Myśli sobie: dotarł do końca swojej podróży. Siedzi oklapły, wykończony. Akumulator wywrotki został wymontowany i zaniesiony do Schronu – Florencio specjalnie wybrał to miejsce, gdzie jest zupełnie ślepy i bezsilny. Nigdy wcześniej nie czuł się taki słaby. „Niech śmierć głodowa mnie stąd zabierze", myśli, siedząc w kabinie z zamkniętymi oknami, z dala od błota i grzmotów. Sam, w absolutnych ciemnościach, poddaje się. Chce zasnąć i nigdy się nie obudzić. Zaczyna myśleć o swoich dzieciach i wyobraża sobie, jak wychowują się bez niego: César Alexis, który ma szesnaście lat, i ośmioletni Byron. Jak jego dwóch synów będzie wyglądało po osiągnięciu dorosłości? Césara łatwiej sobie wyobrazić jako mężczyznę, ponieważ ten odpowiedzialny i pracowity chłopiec już nim prawie jest. Śmierć Florencia wewnątrz góry sprawi, że jedna rzecz dotycząca przyszłości jego dzieci stanie się pewna: żadne z nich nie będzie pracowało w kopalni.

Inni górnicy odkomenderowani do przyniesienia wody w końcu zauważają nieobecność Florencia. Szukają go w chodnikach, w Schronie i w miejscu, w którym wszyscy się załatwiają, ale nie udaje się go znaleźć.

Florencio zapada w głęboki sen i kiedy się budzi, jego rozpacz jest trochę mniejsza. W końcu zauważa światło. Podnosi się na siedzeniu i po chwili lampy czołowe ekipy poszukiwawczej świecą mu w twarz.

– Tutaj jesteś, Florencio.

– Martwiliśmy się o ciebie.

– Myśleliśmy, że skoczyłeś w El Rajo.

Kiedy nastaje szesnasty dzień bez żadnej wiadomości, żony, kochanki i dzieci trzydziestu trzech zasypanych górników również zaczynają sobie

wyobrażać, jak mogłaby wyglądać przyszłość, gdyby ich mężczyźni nie zostali uratowani. Elvira Valdivia, żona Maria Sepúlvedy, nocuje w hotelu w Copiapó i co wieczór modli się przy łóżku razem z dziećmi. Po ostatniej modlitwie jej syn Francisco pyta:

– Jesteś pewna, że ojciec żyje?

Ma dwanaście lat, ale zadaje to pytanie jak dorosły, jak ktoś, komu trzeba na nie szczerze odpowiedzieć.

– Tak – mówi matka. Ale być może w jej głosie pojawia się cień wątpliwości, który zdradza, że Elvira w końcu zaczyna tracić nadzieję, ponieważ Francisco zadaje inne pytanie:

– A jeśli nie?

Elvira zastanawia się przez chwilę, po czym odpowiada:

– Synu, musisz być przygotowany na wszystko, bo jeśli twój ojciec nie żyje, to dlatego, że Bóg tak chciał. Być może tylko tyle życia było mu pisane i będziemy musieli nauczyć się żyć bez niego. Czy to jest sprawiedliwe, czy nie, tak może być.

– Cholera, mamo, to byłaby masakra. *Pucha*, *mami*, *qué lata sería*. Ale co poradzimy?

Ewentualność, że Mario nie żyje, nie jest tematem, który Elvira mogłaby i chciała poruszać ze swoją osiemnastoletnią córką, która ewidentnie jest u kresu wytrzymałości. Scarlette bierze środki nasenne i zadaje matce pytania, na które ona nie zna odpowiedzi.

– Czy ojciec ma wodę? Czy ma światło?

Wobec córki Elvira nie przyznaje się do najmniejszych wątpliwości w kwestii, czy Mario żyje. Ale Francisco chce znać prawdę, coraz bardziej przygotowuje się na przyszłość bez człowieka, który jest jego bohaterem. Chłopiec najwyraźniej chce to zrobić, bo ojciec wychował go na „wojownika”, który jest w stanie przyjąć bolesną prawdę, jak

mężczyzna. Elvira widzi, że odziedziczył po ojcu siłę charakteru i determinację, ale ma w sobie także spokój, którego brakuje Mariowi. Kiedy Francisco się urodził, ważył zaledwie jeden i dziewięć setnych kilograma. To, że z chłopczyka tak kruchego i maleńkiego wyrósł młodzieniec obdarzony tak wielką wewnętrzną siłą, że potrafi podnieść matkę na duchu i pomóc jej przygotować się na przyszłość bez mężczyzny, którego kocha, zakrawa na cud.

Mniej więcej w tym samym czasie w głębinach kopalni Mario Sepúlveda zajmuje się organizacją codziennego posiłku, jeżeli można nadal posługiwać się tym określeniem – przede wszystkim posiłek nie jest już codzienny i trudno powiedzieć, żeby znacząco dodawał sił. Śniadanie, obiad i kolacja skumulowały się w jedno wydarzenie, następujące co dwa dni. Ciasteczko, które można przełamać na pół. Pod koniec każdego z tych posiłków przychodzi pora na deser. Po rozdzieleniu między górników zawartości puszki z brzoskwiniami został jeden kawałek, z grubsza wielkości kciuka. Podzielenie go wymaga chirurgicznej precyzji, dlatego Mario robi to bardzo powoli. Kilku jego kolegów jest na granicy śmierci głodowej.

– Przepraszam cię, Perri – mówi jeden z nich. – Ale czy ten kawałek nie jest większy od innych?

Po zakończeniu krojenia każdy z górników zjada kęs brzoskwini mniej więcej wielkości paznokcia. Jak większość kolegów Mario przetrzymuje tę odrobinę syropu i owocu na języku jak hostię, delektuje się nimi całkiem długo, aż do momentu, kiedy inny górnik na niego wpada i Mario niechcący połyka brzoskwinię. Jest taki wściekły, że ma ochotę przyłożyć winowajcy.

Ale na ogół jedzą tylko jedno ciasteczko zawierające w przybliżeniu czterdzieści kalorii i niecałe dwa gramy tłuszczu. To za mało, żeby przeżyć.

Rozumie to Víctor Zamora, główny sprawca napaści na szafkę z jedzeniem piętnaście dni wcześniej.

– To jest najstraszniejsze – opowie później. – Nigdy tego nie zapomnę: widzisz, jak twoi *compañeros*, towarzysze, umierają na twoich oczach.

Codzienne modlitwy i spotkania od niedawna są uzupełniane coraz dłuższymi sesjami przeprosin. „Przepraszam, że podniosłem głos”, mówi jeden z górników. „Przepraszam, że nie pomogłem wczoraj w noszeniu wody”. Dzisiaj przychodzi kolej na Víctora Zamorę, którego twarz nie jest już tak okrągła, a bujne kręcone włosy oklapły pod ciężarem potu i brudu.

– Chcę wam coś dzisiaj powiedzieć – zaczyna. – Popełniłem błąd. Byłem jednym z ludzi, którzy wzięli jedzenie z szafy pancernej. Przepraszam. Żałuję, że to zrobiłem.

Niektórzy po raz pierwszy dowiadują się o udziale Víctora w tym zdarzeniu.

– Myślałem, że będziemy tutaj najwyżej kilka dni. Nie miałem świadomości, jak bardzo wszystkich krzywdzę, biorąc to jedzenie. Naprawdę bardzo żałuję tego, co zrobiłem, i przepraszam.

– Kiedy Víctor wygłaszał cichym, drżącym głosem tę przemowę, sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego i szczerze skruszonego – mówi później Omar Reygadas. – Wszyscy widzieliśmy, że czuł się naprawdę strasznie z powodu tego, co zrobił.

Po przeprosinach przychodzi czas na jedzenie, bo tego dnia wypada posiłek. Ale potem o krok do przodu występuje Alex Vega.

– Mogę coś powiedzieć? – pyta.

El Papi Ricky stał się Ramą Rowerową albo *Charqui de Mariposa*, wygląda na mniejszego, bardziej osłabionego i bardziej potrzebującego coś zjeść niż większość pozostałych.

Mario Sepúlveda szepcze do ucha Omara Reygadasa:

– Poprosi, żeby mu dać więcej jedzenia. Co zrobimy?

– Dam mu trochę swojego ciastka, a ty swojego – odpowiada Omar. – Zapytamy, czy inni też nie chcieliby mu pomóc…

Jednak Alex nie prosi o więcej jedzenia.

– To wszystko jeszcze chwilę potrwa – zaczyna. Jeden odwiert właśnie ich minął i możliwe, że następny, który się zbliża, też ich minie. – Zostało nam niewiele jedzenia i uważam, że dzisiaj nie powinniśmy jeść. Zostawmy jedzenie na jutro, w ten sposób starczy nam na jeden dzień dłużej.

Niektórzy jęczą i kręcą głowami: nie chcą odkładać posiłku na jutro.

– Jemy! Ja chcę jeść! – krzyczą.

W końcu jednak zapada decyzja, że dzisiaj nie jedzą. Trzy dni o samej wodzie. Kilku górników jest głęboko poruszonych szlachetnością Alexa Vegi, jego gotowością do poświęceń – jest najchudszy z nich wszystkich, a stawia dobro i zdrowie grupy ponad swoje aż nadto widoczne potrzeby.

Czternastego i piętnastego dnia pod ziemią, usłyszawszy, jak mija ich kolejny odwiert, górnicy, w ślad za Víctorem Segovią, zaczynają pisać listy pożegnalne. Podobnie jak on robią to z nadzieją, że jakiś ratownik prędzej czy później znajdzie tę ich ostatnią wiadomość. Czują się teraz tacy słabi, że wydaje się możliwe, iż po następnym zaśnięciu już się nie obudzą albo że zabraknie im sił do pisania. Niektórzy potrzebują pomocy, żeby wstać i pójść do ubikacji, podpierają się nawzajem, kiedy idą w górę Rampy pod stertę kamieni i zasypują nimi kozie bobki, które wychodzą z ich ciał. Ktoś proponuje, żeby z powrotem odetkać rury prowadzące do zbiorników z wodą, bo za kilka dni będą za słabi, żeby wchodzić na górę i napełniać beczki. Poczucie nadchodzącego kresu jest zaraźliwe. Carlos Mamani patrzy i słucha, jak rozemocjonowani Chilijczycy wokół niego mówią do siebie:

– Skończyłeś? To pożycz mi długopis. Ma ktoś kartkę papieru?

Niektórzy podczas pisania listu pożegnalnego płaczą, Mamani im współczuje, bo jeśli górnik płacze przy kolegach, to musi być naprawdę załamany. Tak jak wielu spośród młodszych górników w Schronie i obok niego Carlos odnosi wrażenie, że szczególnie bliscy kapitulacji są starsi mężczyźni.

– Słyszałem, jak ludzie mówili, że starsi górnicy byli mocni jak skała, ale to kłamstwo – wspomina później.

Jorge Galleguillos ma spuchniętą stopę. Płuca Maria Gómeza ledwo zipią.

– Ze starszych silny był tylko Omar Reygadas. Ciągle mówił, żebyśmy się nie martwili, bo po nas idą. Ale większość zaczęła wariować.

Víctor Segovia od kilku dni pisał o własnej śmiertelności i teraz, kiedy wielu jego towarzyszy robi to samo, w końcu pozwala sobie wypowiedzieć na głos jedną z mrocznych myśli, które przelewał na papier.

– Wszyscy umrzemy!

– Cicho bądź, stary dziadu! *¡Concha de tu madre!* Niech cię wszyscy diabli!

Mamani opiera się pokusie rozpoczęcia pożegnań z bliskimi. Starsza siostra jeszcze mu się nie przyśniła i dopóki się nie przyśni, Carlos nie uwierzy, że przyszła na niego pora.

– Nie chciałem pisać listu pożegnalnego… Gdybym zaczął, toby znaczyło, że ze mną już koniec – powie po jakimś czasie.

Carlos czuje się słaby, ale jeszcze nie *agonizando*, w agonii. Poza tym, nawet gdyby chciał napisać list, to nie ma lampy, bo zostawił ją w szatni.

Mario Sepúlveda wciąż ma wystarczająco dużo siły i jasności umysłu, żeby widzieć, jak bardzo psychicznie i fizycznie sponiewierani są jego przebywający w Schronie koledzy. Drobny Claudio Yáñez wydaje mu się szczególnie nieruchawy i osowiały – jest niskim mężczyzną o kanciastych

rysach. Policzki mu się zapadły, przez co jego nieobecna mina sprawia jeszcze bardziej upiorne wrażenie. Mario potrafi nakłonić resztę górników do tego, żeby na dźwięk jego głosu przybrali pozycję siedzącą, ale Claudio ciągle tylko leży.

– Hej, *concha de tu madre*, wstawaj! Musisz się ruszyć, bo jak będziesz przez cały czas leżał, to umrzesz i cię zjemy. Zjemy cię za to, że jesteś taki leniwy – kiedy słowa „zjemy cię” wypowiada człowiek, który od trzech dni nic nie jadł, ich wymowa jest trochę inna niż zazwyczaj. – Więc lepiej wstań, bo jak nie, to cię zmusimy, to znaczy skopiemy ci tyłek.

Zaskoczony Claudio próbuje się podnieść, a wtedy wszyscy widzą, jaki jest wychudzony i słaby. Wstaje powoli, uginają się pod nim kolana.

– Przypominał źrebię, które stara się chodzić zaraz po urodzeniu – mówi później Omar Reygadas. „Źrebię” w końcu prostuje nogi i stawia jeden krok.

Młodsi mężczyźni tacy jak Claudio też są w kiepskim stanie, każdy z nich stracił około piętnastu kilo. Kiedy Alex Vega wstaje, żeby pójść do łazienki, robi mu się ciemno przed oczami i na kilka sekund ślepnie, co jest jedną z pierwszych oznak wygłodzenia spowodowanego przez niedobór witaminy A. Wielu starszym i cięższym mężczyznom zostało jeszcze trochę tłuszczu wokół talii: najbardziej zapadły im się torsy, dlatego kiedy chodzą po kopalni bez koszuli, wyglądają jak chłopcy. Uświadamiają sobie, że ich potężne klaty wcale nie były umięśnione, tylko otłuszczone. Najbardziej dramatyczne zmiany widzą jednak na swoich twarzach. Oczy Yonniego Barriosa zapadły się w czaszkę, jego niegdyś uwodzicielskie brązowe tęczówki przygasły, są teraz smutne i letargiczne jak u człowieka, który cierpi na stres pourazowy. Jorge Galleguillos, górnik z długim stażem i niegdysiejszy demaskator zaniedbań w kopalni, otwiera usta, żeby coś powiedzieć, i odnosi się wrażenie, że przeżuwa słowa. Żeby osłabiony

Jorge ze swoimi spuchniętymi kończynami nie leżał w błocie, inni górnicy zbudowali mu łóżko z drewnianej palety, na którym godzinami wpatruje się w sufit. Jorge szarzeje; wszyscy szarzeją. Ich twarze i ramiona utraciły cynamonowobrązowy kolor południowoamerykańskiego słońca, mają teraz barwę pieczarek albo rozwodnionego popiołu.

Pieczarkowi ludzie unikają swojego wzroku, tak jakby wstydzili się swojego wyglądu, ale nie wynika to z ich próżności. Tak się w środku czują: mali, złamani, jak skopane psy albo chłopcy, z których tak często szydzono, że wydaje im się, iż zasługują wyłącznie na upokorzenia.

Siedemnastej nocy pod ziemią górnicy słyszą zbliżanie się kolejnego odwiertu. „Ra-ta-ta, zgrzyt, zgrzyt” jest coraz głośniejsze, zapowiada albo wyzwolenie, albo kolejne rozczarowanie.

Víctor Segovia nie pozwala sobie na nadzieję, że odwiert się przebije. Zamiast tego pyta Maria Sepúlvedę:

– Jak myślisz, jak wygląda umieranie?

– Jak zasypianie – odpowiada Mario. – Cicho i spokojnie zamykasz oczy, odpoczywasz. Kończą się wszystkie twoje zmartwienia.

Kiedy Raúl Bustos zasypia, odgłos wiercenia na poziomie sto pięć przybliża się, dzięki czemu ma dziwny, optymistyczny sen. Śni o swoich dzieciach, zwłaszcza o sześcioletniej córeczce Maríi Paz. Ta bystra dziewczynka uwielbia rywalizację, wygrywa wszystkie zawody i zawsze chce mieć sto procent prawidłowych odpowiedzi na testach. W jego śnie María Paz obsługuje wiertnicę, która próbuje do niego dotrzeć.

– Ona chce zawsze wygrywać, ma silną osobowość – mówi Raúl. W swoim śnie prosi ją: „María Paz, przyjdź po mnie. Dasz radę to zrobić”. María Paz odpowiada: „Wygram, *papá*, wydostanę cię stamtąd”. Dziewczynka nie lubi przegrywać i we śnie Raúl ma nadzieję, że jego

córka, sześcioletnia operatorka wiertnicy, dotrze do niego i uratuje mu życie.

Alexowi Vedze, który śpi w pobliżu, śni się, że idzie w kopalni pod górę. Przeciska się obok kamiennej ściany blokującej Rampę do wyrobiska Pieczary i zaczyna się wspinać po głazach, jest coraz wyżej i w końcu dociera do starego nadszybia z rozlatującą się windą. Wychodzi na powierzchnię i widzi całe miasto ratowników i wiertniczych, którzy próbują dotrzeć do zasypanych.

– Przeżyliśmy, jesteśmy na dole – mówi do nich. – Pokażę wam drogę.

Ekipa z Terraservice jest coraz bliżej zasypanych. Dwudziestego pierwszego sierpnia rano trzeci odwiert dotarł na głębokość pięciuset czterdziestu metrów: celem jest chodnik obok Schronu albo sam Schron, który znajduje się sześćset dziewięćdziesiąt cztery metry pod ziemią. Wiertnicę obsługuje Nelson Flores. Jego praca polega na tym, że stoi na podeście maszyny Schramm T685 i obserwuje wskazania dwóch zegarów: moment obrotowy obracającej się koronki i ciśnienie powietrza pompowanego z wiertnicy do obu wierteł – obrotowego i udarowego. „W diorycie dobrze się wierci – myśli Flores – ponieważ nie ma w nim pęknięć, jest gładki i równy jak żelatyna”. Co sześć metrów zatrzymują maszynę, żeby wpuścić kolejny odcinek przewodu wiertniczego. Flores podnosi jedną z dźwigni, zwiększając ciśnienie sprężonego powietrza aż do momentu, kiedy czuje, że świder udarowy zaczyna działać. Wraz ze wzrostem głębokości drgania przekazywane na powierzchnię przez stalową prowadnicę stają się coraz słabsze, dlatego od pewnego momentu Flores musi zamykać oczy i mocno się koncentrować, żeby poczuć pracę świdra. Drąży odwiert do zachodu słońca i wraca do domu, mijając po drodze wejście do miasteczka namiotowego, którego mieszkańcy oklaskują wszystkich członków ekip wiertniczych.

María Segovia wciąż mieszka w namiocie rozbitym najbliżej bramy, koło swojej rodziny i krewnych Alexa Vegi. Zaraz zacznie się pełna nerwowego wyczekiwania noc. Na codziennej odprawie Golborne i Sougarret poinformowali krewnych górników, że jeden z odwiertów zbliża się do celu i być może przebije się podczas nocnej zmiany. Jessica Vega zazwyczaj kładzie się spać w swoim namiocie trochę po północy, ale dzisiaj siedzi przy ognisku z grupą krewnych, wśród których jest między innymi młodsza siostra Alexa Priscilla i jej chłopak Roberto Ramirez, oboje pod trzydziestkę. Są piosenkarzami, Roberto ma zespół *mariachi* (meksykańska muzyka jest na północy Chile popularna) i pasujące do wykonywanej przez niego muzyki bokobrody. Przywiózł ze sobą gitarę, żeby trochę rozruszać towarzystwo i być może uczcić sukces, ponieważ istnieje szansa, że będą to ostatnie godziny bez żadnej wiadomości od Alexa. Roberto ma przeczucie, że „ta noc będzie wyjątkowa, magiczna”. Źródłem jego optymizmu jest coś, co zobaczył podczas jazdy do kopalni. Kilka dni wcześniej nad pustynią przeszła burza, nieoczekiwanie zrzucając trochę deszczu na najsuchszą pustynię świata. Roczna suma opadów w Copiapó wynosi kilkanaście milimetrów, ale to jest rok *El Niño* i ten trochę przedwczesny deszcz (na Atakamie pierwsze burze zazwyczaj pojawiają się we wrześniu) na krótką chwilę zwilżył okoliczne ziemie, powołując do życia, jak to nazywają w Chile, *desierto florido*, kwitnącą pustynię. Roberto widział, jak skalisto-piaszczysty krajobraz gór w kolorze khaki i miedzi nagle okryły kobierce fuksji i tujałek, falowały na wietrze jak białe gwiazdy i żółte trąbki. Widząc coś takiego, chce się śpiewać.

Kiedy nad miasteczkiem namiotowym zapada noc, pustynny wiatr rozdmuchuje rozpalone przez rodzinę Vegów ognisko i Roberto zaczyna brzdąkać na gitarze. Mieszkający w sąsiedniej grupie namiotów członkowie rodziny Segoviów zachowują się wyjątkowo cicho, dlatego Ramirez

i rodzina Vegów postanawiają pohałasować, żeby wypełnić czymś ciszę. Jest druga albo trzecia w nocy, śpiewają już od kilku godzin. Nagle Roberto mówi Jessice, że napisał piosenkę na cześć Alexa. Wyjmuje z portfela kartkę, na której ma tekst. Podobnie jak wiele latynoskich piosenek ludowych utwór ten opowiada prawdziwą historię, w tym przypadku historię tego, co przeżywają Vegowie i inne rodziny. Początek jest powolny i smutny, opisuje żałobne nastroje panujące w dzielnicach Copiapó, w których mieszka wielu górników.

Cuando camino por las calles de mi barrio
no veo el rostro feliz en los familiares.
En Balmaceda y Arturo Prat
sin ti no existe un mundo mejor.

Kiedy idę ulicami mojej dzielnicy
Nie widzę szczęścia na twarzach znajomych.
W Balmaceda i Arturo Prat
Świat bez ciebie nie jest lepszy.

Następna zwrotka opowiada o wypadku w kopalni i o podjętej przez José Vegę, który chciał dotrzeć do swojego syna, próbie zejścia na dół.

Se desintegran las rocas del cerro
Los mineros pronto saldrán
La chimenea está colapsada
Pero tu padre pronto te sacará.

Skały góry się rozpadają
Górnicy niedługo wyjdą

Szyb się zawalił
Ale twój ojciec niedługo cię wydostanie.

Refren wprowadza przydomek Alexa – El Pato, Kaczor, jak jest od małego nazywany przez swoją rodzinę – i ma żwawe tempo protest songu. Jest to rodzaj skandowania, jakie można usłyszeć z ust tysięcy ludzi maszerujących ulicami chilijskiego miasta.

Y El Pato volverá!
Y va volver!
Los mineros libertad
Y va volver!
En el campo o en el mar
Y va volver!
Y también en la ciudad
Y va volver!

I El Pato wróci.
El Pato wróci!
Wolność dla górników
El Pato wróci!
Na wsi czy w morzu
El Pato wróci!
A także w mieście
El Pato wróci!

Śpiewający proszą Alexa, żeby wrócił do domu, który postawił razem ze swoją żoną, do tego budynku przy pochyłej ulicy, gdzie wspólnie budowali w weekendy betonowy murek.

Pato vuelve a casa,
Tu esposa y tu familia te esperan
Vuelve ya.
Y El Pato volverá!
Y va volver

Pato, wróć do domu
Żona i rodzina czekają na ciebie
Wróć natychmiast.
El Pato wróci!
Wróci!

Vegowie i Roberto Ramirez śpiewają tę piosenkę wiele razy, do późna w nocy. W końcu idą spać, ponieważ urzędnicy informują ich, że minie jeszcze wiele godzin, zanim wiertnice dotrą do poziomu, na którym znajdują się górnicy.

Kiedy dwudziestego drugiego sierpnia rodzina Vegów śpiewa do późnej nocy, Mario Sepúlveda, zmożony wieloma dniami bezsenności i pobudzenia, zapada w najgłębszy sen, jaki pamięta. Z jego umysłu i ciała uchodzi całe napięcie. W swoim surrealistycznie jaskrawym śnie (będącym objawem wygłodzenia) przenosi się w miejsce, w którym narodziła się cała jego tęsknota, ból i miłość. Mario jest w Parral, śpi na podłodze i kiedy podnosi głowę, widzi swoją babcię Bristelę i dziadka Dominga, „wystrojonych i pięknych". Nie żyją od wielu lat i Mario w swoim śnie czuje radość człowieka, który jest świadkiem zmartwychwstania. To jego *viejos*, ludzie, którzy się nim opiekowali, kiedy był małym chłopcem bez matki. Babcia przyniosła mu koszyk z jedzeniem. *Porotitos con locro*:

fasola, kukurydza i mięso z kością; przyrządzi na tym gęstą zimową potrawkę.

– Wyjdź stąd, *hombre* – mówi do niego dziadek silnym, wiejskim głosem starca. – Nie umrzesz tutaj. *Vos no vas a morir aquí.*

Nelson Flores, operator wiertnicy, od mniej więcej dwóch godzin jest w domu, kiedy dzwoni telefon i słyszy, że ma wrócić do pracy. Pracownik z nocnej zmiany przeżył rodzinną tragedię – zmarła jego babcia. Nelson wraca zatem do kopalni San José i do otworu wiertniczego numer dziesięć B. Pracuje w ciemnościach nocy, odgłos wiercenia zagłusza śpiew rodziny Vegów na dole. Kilka minut po piątej rano, kiedy zimowe słońce zaczyna zabarwiać horyzont na kolor indygo, szybkość wiercenia jest ustawiona na zaledwie sześć do ośmiu metrów na godzinę. Nelson zatrzymuje maszynę, żeby umożliwić członkom swojej ekipy wsunięcie do otworu kolejnego sześciometrowego odcinka przewodu wiertniczego: będzie to odcinek numer sto czternaście, co oznacza, że otwór wiertniczy dziesięć B osiągnął sześćset osiemdziesiąt cztery metry długości, czyli znajduje się około dziesięciu metrów nad miejscem, w którym mają nadzieję przebić się do wyrobiska. Kiedy prowadnica jest już przedłużona, Flores zamyka oczy i podnosi dźwignię, za pomocą której zwiększa się ciśnienie sprężonego powietrza napędzającego świder udarowy. Sto czternaście połączonych ze sobą rurek zaczyna się obracać, poruszając widiową koronką. Widia jest twardsza od granitopodobnego diorytu i zwycięża w starciu z nim, mieląc go na pył, który jest wyrzucany przez ciśnienie powietrza na oddaloną o prawie siedemset metrów powierzchnię – tę chmurę pyłu w kolorze ołowiu wiertniczy nazywają cyklonem. Kiedy z komina schramma T685 strzela słup pyłu, maszyna wygląda jak lokomotywa, w której kotle pali się kamieniem. Kierujący pracami wiertniczymi Eduardo Hurtado, szef Floresa, siedzi w pobliżu w pikapie i patrzy, jak chmura unosi się

w jednostajnym tempie na tle nieba, co wskazuje, że odwiert przebiega prawidłowo.

Kilka minut po piątej rano Mario Sepúlveda budzi się na rozkaz swojego zmarłego dziadka i dobry, niemal euforyczny nastrój spełnionego snu utrzymuje się w nim przez kolejne minuty, kiedy uświadamia sobie, że zgrzytający i łomoczący hałas wiercenia staje się nieznośnie głośny.

Richard Villarroel, który niedługo zostanie ojcem, od jakiegoś czasu próbuje zasnąć. Znajduje się niecałe piętnaście metrów nad Mariem, na siedzeniu pasażera pikapa na poziomie sto pięć. Owszem, dźwięk zbliżającego się odwiertu jest bardzo głośny, ale nie sposób stwierdzić, czy świder rzeczywiście jest tak bliski przebicia do chodnika, jak ma nadzieję Richard. Od jakiegoś czasu w kółko odmawia *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Mario*, w sumie około stu razy, czasem zwracając się też do Jezusa. O piątej, kiedy łomot na chwilę ustaje, Richard mówi:

– *Papito,* Ojczulku, pomóż operatorowi przedłużyć prowadnicę i doprowadzić ją do nas, proszę…

Richard nadal nie może zasnąć, więc schodzi do Schronu, gdzie cierpiący na bezsenność górnicy grają w domino kostkami zrobionymi przez Luisa Urzúę. Richard zaczyna grać z José Ojedą, łysiejącym, niskim mężczyzną, weteranem górnictwa. Po chwili dźwięk wiercenia staje się jeszcze głośniejszy.

– Niedługo się przebije – mówi José rzeczowym tonem.

Około szóstej rano kilku spośród ludzi śpi zgromadzonych wokół operatora wiertnicy Nelsona Floresa. Nikt się nie spodziewa, że odwiert przebije się do podziemnego korytarza wcześniej niż za kilka godzin. Nelson zauważa coś dziwnego: sto czternasty odcinek prowadnicy obraca się nierównomiernie, co oznacza, że koronka natrafiła na materiał o innej konsystencji. Nagle z komina schramma przestaje buchać pył i wskazówka

ciśnieniomierza spada do zera. Flores odruchowo chwyta dźwignię biegów i wrzuca na luz, a następnie wyłącza sprężarkę powietrza. Wiertnica milknie, a nagłą ciszę prawie natychmiast wypełniają okrzyki szefa i współpracowników Floresa, którzy biegną w jego stronę.

Dużo niżej, sześćset osiemdziesiąt osiem metrów pod stopami Floresa, słychać małą eksplozję w chodniku trochę powyżej Schronu – *pum!* – i odgłos spadających na ziemię kamieni. Zgrzyt metalu o skałę, który wypełniał uszy górników, ustaje, a w jego miejsce pojawia się świst uchodzącego powietrza. Richard Villarroel i José Ojeda zrywają się na nogi i biegną w stronę źródła hałasu, Richard chwyta po drodze swój czterdziestoośmiomilimetrowy klucz. Docierają na miejsce jako pierwsi. Ze skały, na spojeniu ściany i stropu, sterczy rura. Richard obserwuje, jak raz po raz wyłania się z niej koronka, a następnie z powrotem w niej znika: na powierzchni Nelson Flores uświadomił sobie, że dotarł do wyrobiska i teraz „czyści" przewód wiertniczy. Potem głowica obniża się do samej ziemi. Richard zaczyna walić kluczem w wystający ze stropu chodnika odcinek rury. Od wielu dni czekał na możliwość użycia tego klucza, który ma ponad pół metra długości i jest największym chromowanym narzędziem znajdującym się w jego posiadaniu. Z radością i desperacją uderza w rurę. Ten miarowy brzdęk ma zawiadomić operatora wiertnicy, że na dole są ludzie: „Jesteśmy tutaj! Jesteśmy tutaj!". Richard myśli o tym, że jednak zobaczy swojego pierworodnego syna, że świder i ludzie, którzy go tutaj przysłali, odpowiedzieli na jego modlitwy. Wali w rurę do momentu, kiedy podchodzi do niego jego szef Juan Carlos Aguilar i mówi, żeby przestał, bo trzeba zachować się profesjonalnie i wzmocnić strop chodnika w miejscu, z którego wyłoniła się prowadnica, żeby jakiś obluzowany kawałek skały nie spadł im na głowy.

Po krótkim czasie trzydziestu trzech mężczyzn stoi wokół rury i głowicy, przedmiotów, które wtargnęły do ich ciemnego świata i przyniosły ze sobą obietnicę, że jeszcze zobaczą świat, gdzie świeci słońce. Ze swoimi widiowymi zębami wielkości pereł głowica wygląda jak jakaś asyryjska rzeźba albo zjawa z kosmosu, górnicy patrzą na nią z radością i zachwytem, obejmują się i płaczą. Carlos Mamani, który pada przed głowicą na kolana, mówi później, że „wyglądała jak pięść, która przeboksowała się przed skałę i dotarła do nas”.

José Henríquez, operator podnośnika jumbo, który przeistoczył się pod ziemią w wygłodzonego proroka bez koszuli, patrzy na koronkę i oznajmia wszem wobec rzecz oczywistą:

– *Dios existe*. Bóg istnieje.

---

[8] Chcę zaśpiewać piękną pieśń.

[9] Tylko w Nim znalazłem szczęście.

CZĘŚĆ II

ZOBACZYĆ DIABŁA

ROZDZIAŁ 10

PRĘDKOŚĆ DŹWIĘKU

Przez pierwszcyh kilka minut po przebiciu odwiertu dziesięć B górnicy nadal walą w prowadnicę. Wymieniają się, tłuką nie tylko chromowanym kluczem Richarda Villarroela, ale również kamieniami i młotkiem, nie zwracając uwagi na ostrzeżenia, że odspojone przez odwiert kawałki skały mogą spaść im na głowy.

– Byliśmy jak małe dzieci walące w *piñata*[10] – wspomina Omar Reygadas. – *Como cabros chicos pegándole a una piñata*.

Nadzy od pasa w górę, jeżeli nie liczyć żółtych, niebieskich i czerwonych kasków, dalej uderzają w rurę do momentu, kiedy jeden z górników podjeżdża wózkiem widłowym, a następnie Yonni Barrios i Carlos Barrios stają na podeście, na którym zostają podniesieni pod strop i wzmacniają miejsce wokół przewodu wiertniczego prętami zbrojeniowymi. Górnicy są w amoku, przekrzykują się. Najważniejsze jest, żeby ludzie na powierzchni nie mieli jakichkolwiek wątpliwości, że ci na dole przeżyli. Istnieją na to inne sposoby oprócz dźwiękowego, można namalować znak na koronce, a nawet przymocować do niej jakąś wiadomość. Ktoś mówi, żeby przestali uderzać w prowadnicę i posłuchali, czy ludzie na górze nie reagują. Yonni przystawia ucho do przewodu wiertniczego i mówi, że tak, słyszy, jak stukają w odpowiedzi. Któryś

z kolegów rzuca mu puszkę czerwonej farby w spreju i górnik próbuje namalować na koronce czerwony znak, ale stal jest pokryta błotem i farba się jej nie trzyma.

– Trzeba było wytrzeć prowadnicę, ale nie mieliśmy żadnej szmaty – opowiada później.

W końcu się udaje, część farby przywiera. Górnicy mocują do rury wiadomości i listy, które wcześniej przygotowali. Jest ich kilkanaście, owijają je w folię i oklejają taśmą izolacyjną, żeby spływająca przez otwór woda nie zniszczyła ich podczas długiej podróży na górę. Nadal tłuką w prowadnicę.

Operator wiertnicy Nelson Flores najpierw czuje, a potem dopiero słyszy rytmiczne uderzanie w stal na dole. Początkowo zastanawia się, czy to, co odczuwa, to nie jest tylko ciężar stu piętnastu stalowych odcinków przewodu wiertniczego o masie dwudziestu dwóch ton, które próbują się ułożyć w otworze wiertniczym. Przykłada ucho do najwyższego odcinka prowadnicy i słyszy stukanie, szybkie i gorączkowe, ale potem wolniejsze.

– Tak jakby *viejos* tam na dole się zmęczyli – wspomina po czasie.

Pozostałe ekipy wiertnicze otrzymują polecenie przerwania prac i teraz wielu innych ludzi przysłuchuje się dźwiękom, które dochodzą ze stalowej rury.

– To oni! – krzyczą.

Ostrożnie, ale szybko wpuszczają kolejny odcinek prowadnicy, żeby móc zmierzyć, na jakiej głębokości znajduje się wyrobisko, na które natrafili. Kiedy ostatnia rura jest już osadzona, Flores opuszcza całość i po czterech metrach napotyka opór – dokładnie tyle powinna wynosić wysokość chodnika, w który mierzyli. Znowu zaczynają nasłuchiwać i słyszą, że dochodzący z dołu dźwięk ma zmienny rytm: wygląda na to, że

górnicy przesyłają komunikaty alfabetem Morse’a, no chyba że wykonują jakiś utwór muzyczny z krótkimi i długimi pauzami.

– W tym momencie nie mieliśmy wątpliwości – mówi później Eduardo Hurtado, szef ekipy wiertniczej. – Na dole byli żywi ludzie.

Obdzwaniają różnych chilijskich urzędników. Kierujący akcją ratowniczą Sougarret jest sceptyczny. Wydaje wiertniczym polecenie, którego oni nie wypełnią:

– Powiedziałem im, żeby nikogo nie informowali, bo pamiętałem, co się stało poprzednim razem, kiedy się przebiliśmy. Nie chciałem kolejnego kryzysu w relacjach z rodzinami.

Minister Golborne też jest ostrożny, a ponieważ nie ma jeszcze szóstej rano i prezydent Piñera w Santiago prawdopodobnie śpi, Sougarret wysyła swojemu zwierzchnikowi esemes: „*Rompimos*. Przebiliśmy się”. Ma nie być żadnych oficjalnych informacji dla rodzin ani nikogo innego, ale po tylu dniach frustracji wiertniczy nie potrafią się powstrzymać i wiadomość szybko się rozchodzi pośród przebywających na terenie zakładu ratowników i członków obsługi technicznej. Pablo Ramirez, przyjaciel Florencia Ávalosa i człowiek, który razem z Carlosem Pinillą jako pierwszy wszedł do kopalni w poszukiwaniu zasypanych górników, słyszy dobrą wiadomość i pędzi na miejsce odwiertu numer dziesięć B. Niektórzy z ratowników znają już Ramireza, ponieważ wielokrotnie się z nim konsultowali w kwestii topografii kopalni, dlatego wiedzą, że na dole jest wielu jego przyjaciół, i kiedy zjawia się przy wiertnicy, pozwalają mu posłuchać tego, co dobiega z dołu. Dźwięk jest teraz głośniejszy i mimo że ma do pokonania prawie siedemset metrów stali, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wytwarzają go ludzie. Uwięzieni górnicy są tak daleko, że gdyby krzyczeli przez rurę, dźwięk ich głosów potrzebowałby ponad dwóch sekund, żeby dotrzeć na powierzchnię. Ale prędkość dźwięku w metalu jest

dwadzieścia razy większa, więc kiedy przyjaciele Ramireza uderzają na dole w przewód wiertniczy, on słyszy ich po ułamku sekundy.

Dzięki staraniom chilijskiego rządu na terenie kopalni jest już zasięg i Ramirez dzwoni do pierwszej osoby, którą chce powiadomić, do Alego, nastoletniego syna Florencia Ávalosa. Jest niedziela rano, więc Ale nie musi gonić jak wariat między szkołą i kopalnią.

– Ale, twój ojciec jest bezpieczny – mówi Ramirez. – Nie martw się. Wszyscy żyją. Posłuchaj.

I przykłada telefon do stalowej prowadnicy.

W swoim domu w Copiapó Ale słyszy dźwięk dochodzący z miejsca, w którym jego ojciec jest pogrzebany żywcem.

– To brzmiało jak dzwonek – wspomina chłopiec. – Jak szkolny dzwonek.

Ale telefonuje do Campo Esperanza, gdzie jego matka leży w namiocie, mniej więcej przed godziną zasnęła.

– *Mamá*, wujek Pablo mówi, że wszyscy żyją.

Mónica dziękuje Bogu i „tylko Bogu”, jest w tym coś buntowniczego, ponieważ zdaje sobie w tym momencie sprawę, jaka była od piątego sierpnia samotna:

– Miałam poczucie, jakby moje serce znowu się otworzyło.

Florencio żyje i jej życie zacznie się od nowa. Przez siedemnaście dni bardzo mało jadła, momentami zapominała o własnych dzieciach, prawie nie spała i lunatykowała. Teraz znowu zacznie regularnie gotować i jeść. Wychodzi z namiotu i widzi obozujących w pobliżu członków rodziny swojego męża. Chce im przekazać dobrą wiadomość, ale jeszcze zanim otworzy usta, staje się dla niej oczywiste, że oni też wiedzą. Kiedy spała, przybiegło z góry kilku ratowników, którzy wrzeszczeli:

– Znaleźliśmy ich!

Te słowa dotarły do uszu członków rodziny Florencia, którzy nie uznali jednak za stosowne, żeby ją obudzić i zawiadomić. Od wypadku trzymali się od synowej na dystans, patrzyli, jak Mónica się rozpada, ale jej nie pomagali, może nie potrafili. Sprawiali wrażenie, że są na nią źli. Być może wynikało to z przekonania, że ich bezsprzecznie inteligentny syn zginął w kopalni, w której pracował po to, żeby utrzymać rodzinę, którą założył po wpadce w wieku piętnastu lat. Mónica czuje się zdezorientowana i urażona. Jej radość miesza się z bólem tej nowej, zadanej przez rodzinę rany, której się zupełnie nie spodziewała.

Mónica i rodzina jej męża wymieniają zakłopotane spojrzenia.

– *No importa* – mówi. – Nieważne.

W Copiapó, w Campo Esperanza i pod ziemią, po piątym sierpnia dramat trzydziestu trzech mężczyzn splótł się z zawiłościami i komplikacjami codziennego życia rodzinnego. Pełen nadziei poranek dwudziestego drugiego sierpnia niczym się pod tym względem nie wyróżnia. Susana Valenzuela przekazuje wiadomość Marcie, żonie swojego kochanka Yonniego. W innych rodzinach rodzeństwo i kuzynostwo, które przez wiele lat unikało się nawzajem, teraz jednoczy radosna nadzieja, że człowiek, którego miłości wszyscy pragną i za którego życie się modlili, jednak żyje. Nie jest łatwo być żoną, kochanką, synem, córką albo byłą żoną górnika. Przed wypadkiem dorosłe dzieci Daría Segovii z poprzedniego małżeństwa nie utrzymywały stosunków z Jessicą, jego obecną miłością i matką jego córeczki. Kiedy Darío został uwięziony pod ziemią, Jessica po raz pierwszy w życiu spotkała się z dwojgiem z nich i przez siedemnaście dni dwie do tej pory rozdzielone połowy rodziny Daría żyły połączone troską i perspektywą wielkiej tragedii. Jednak stare urazy nie zniknęły.

– Nie miałam ślubu z ich ojcem – wspomina Jessica o dorosłych dzieciach Daría. – Czasem mi się wydaje, że nie chciały, żebym była w miasteczku.

Miłość Daría i Jessiki była tak samo realna jak ich wspólny dom, tak samo realna jak ten długi uścisk, którym się z nią pożegnał przed wyjściem do pracy, i być może jego starsze dzieci dostrzegły tę miłość w zachowaniu Jessiki, która czekała w miasteczku z ich przyrodnią siostrą. A może uważają Jessicę za „jeszcze jedną kobietę” na liście podbojów Daría, jak to ona sama ujęła. Przez jedną radosną chwilę to wszystko nie miało znaczenia, ale znowu zacznie ciążyć na ich życiu. Trzydziestu trzech górników żyje – nie zostało to jeszcze potwierdzone, lecz wiele osób w miasteczku namiotowym w to wierzy – i powrócą ze zmiany, którą zaczęli siedemnaście dni temu. A wszystko w ich życiu na powierzchni będzie tak samo skomplikowane, jak było przedtem.

Mónica Ávalos zaczyna chodzić po miasteczku wśród obejmujących się braci, sióstr, małżonków, kuzynów i dzieci górników. Słyszy wiele modlitw. W miasteczku nazywanym przez niektórych „Jerozolimą” będzie to dzień pobożności i wdzięczności. Jakiś czas temu Mónica chodziła we śnie po suchym, skalistym zboczu góry. Chociaż jej oczy są pełne łez, tego ranka podnosi powieki po raz pierwszy od siedemnastu dni rozbudzona, czujna i obecna. Patrzy, jak żony, kochanki, bracia i synowie górników rozmawiają, w świetle brzasku widać ich oddechy.

Widiowa koronka przez cztery godziny leży na ziemi w chodniku nad Schronem, zanim zaczyna się podnosić i cofać do szybiku o średnicy dwudziestu centymetrów, z którego się wyłoniła. Trzydziestu trzech mężczyzn patrzy z bezpiecznej odległości, jak znika w rurze, zabierając ze sobą wiadomości od nich: kilka osobistych listów, dokładne określenie miejsca, w którym przebił się odwiert, i zwięzłą notatkę napisaną przez José

Ojedę, który przedstawił w niej najważniejsze informacje – ilu z nich żyje, ich stan fizyczny i położenie – zawierając je w zaledwie siedmiu słowach wypisanych wielkimi czerwonymi literami. Kartkę umieścił za świdrem udarowym, ponieważ jeden z górników powiedział, że to jest najbezpieczniejsze miejsce. Trzydziestu trzech mężczyzn zbiera się razem, żeby uczcić ten moment. Mario Sepúlveda zwołuje maruderów na spotkanie koło Schronu:

– Florencio, Illanes, chodźcie tutaj!

Zaczynają skandować:

¡Chi-chi-chi, le-le-le, mineros de Chile!

José Henríquez, pseudonim Pastor, włączył kamerę w swoim telefonie komórkowym, żeby zarejestrować ten moment. Ponad połowa z nich jest rozebrana do bielizny i wyglądają jak grupa bezdomnych, którzy postanowili odegrać scenę z powieści i filmu *Władca much*, opowiadających o chłopcach na bezludnej wyspie. Śmieją się i wiwatują, podają sobie plastikową butelkę z brudną wodą, jakby to był szampan. Z ich twarzy znika upiorny wyraz więźniów obozu koncentracyjnego. Mario Sepúlveda wyrzuca ręce do góry w agresywnym geście chilijskiego kibica piłkarskiego. Alex Vega obejmuje go ramieniem i po chwili wszyscy odśpiewują hymn narodowy. A raczej wykrzykują, zwłaszcza pierwsze linijki, które mówią, że Chile jest „szczęśliwą kopią Raju”, ale kiedy docierają do trzeciego powtórzenia ostatniej linijki o „azylu przeciw uciskowi”, ich głosy niedożywionych mężczyzn zaczynają słabnąć i pieśń rozpływa się w powietrzu.

Kiedy minister Golborne przyjeżdża do kopalni, najpierw udaje się do Campo Esperanza, a dopiero później pod wiertnicę. Oficjalnie przekazuje rodzinom informację, którą już znają: „Przebili się i słyszą z dołu dźwięki”. Wszyscy zgodnie potwierdzają, że w poprzednich dniach Golborne ciężko

pracował, żeby zaskarbić sobie zaufanie rodzin górników uwięzionych pod ziemią: kilka dni wcześniej członkowie rodzin dali mu podpisany górniczy kask, który stanie się dla niego najcenniejszą pamiątką z tych pełnych emocji dni. „*Vamos, ministro, déle con fuerza. Confiamos en Usted*” – można przeczytać na kasku. „Naprzód, ministrze, daj z siebie wszystko. Ufamy Ci”. Potem Golborne idzie do odwiertu numer dziesięć B, gdzie Hurtado daje mu słuchawki lekarskie. To, co słyszy w nich minister, jest niewątpliwie odgłosem stukania w przewód wiertniczy, ale w rozmowie telefonicznej z prezydentem Golborne zachowuje ostrożność:

– Nie jestem całkowicie pewny. Mogłem ulec autosugestii.

Prezydent jest w Santiago i rozmawia przez telefon również z Cristiánem Barrą, swoją prawą ręką w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

– Powinienem przyjechać? – pyta głowa państwa. Barra mówi prezydentowi, żeby został w Santiago, ponieważ nie można wykluczyć, że tylko część górników przeżyła i że ponure zadanie poinformowania opinii publicznej o liczbie ofiar spadnie na rząd. Jednak pytanie było retoryczne, bo prezydent siedzi już w swojej limuzynie i jedzie na lotnisko, żeby udać się w godzinną podróż samolotem do Copiapó.

Kiedy prezydent leci na północ, zespół wiertniczych powoli wyciąga koronkę i usuwa z szybiku sto piętnaście dwustukilowych stalowych rur, co trwa do wczesnych godzin popołudniowych. Gdy ekipa z Terraservice przygotowuje się do wydobycia ostatniego odcinka prowadnicy ze świdrem obrotowym i udarowym w środku, Piñera nadal jest w drodze. Na teren wokół odwiertu wpuszczono tylko nieliczną grupę pracowników i urzędników, ale za kordonem bezpieczeństwa, którego ustawienie zostało zarządzone przez Barrę, kręcą się dziesiątki ludzi. Barra zakazał wypuszczania stamtąd kogokolwiek, żeby jakieś ewentualne złe

wiadomości nie wydostały się na zewnątrz przed opublikowaniem oficjalnego oświadczenia rządu do setek osób zgromadzonych w miasteczku namiotowym na dole. Jest słoneczne i mroźne zimowe popołudnie, Golborne i inni chilijscy urzędnicy pozakładali okulary przeciwsłoneczne do czerwonych urzędowych wiatrówek. W końcu z szybiku wyłania się ostatni odcinek rury, cały ubłocony. Wiertniczy spłukują błoto wodą i na metalowej prowadnicy widzą wyraźny czerwony znak: górnicy pomalowali kilka metrów rury, ale podróż na górę przez skałę i błoto przetrwała tylko jedna rozmazana plama wielkości dłoni.

– Czy to tam wcześniej było? – pyta minister.

– Nie! – odpowiadają uradowani wiertniczy. Uzyskali potwierdzenie, że co najmniej jeden człowiek na dole przeżył. Wielu spośród mężczyzn zgromadzonych wokół odwiertu dziesięć B pada sobie w ramiona. Golborne widzi coś owiniętego wokół rury i zaczyna to zrywać. To jakaś plastikowa izolacja, którą minister upuszcza na ziemię. Pojawia się pod nią kawałek papieru. Z kilkunastu przyczepionych do przewodu wiertniczego listów i notatek przetrwały trzy. Minister właśnie znalazł pierwszy z nich, ostrożnie rozkłada papier. Jest mokry i natychmiast zaczyna się rozlatywać w jego rękach.

– Proszę nie rozkładać, *señor ministro* – mówi ktoś. – Trzeba zaczekać, aż wyschnie.

– Jeśli nie przeczytamy teraz, pismo zniknie – protestuje ktoś inny.

W końcu Golborne rozkłada pierwszą karteczkę.

– Co tam jest napisane? – pada pytanie.

Minister górnictwa zaczyna czytać na głos: „Odwiert przebił się na poziomie dziewięćdziesiąt cztery, trzy metry od ziemi. Od strony stropu, blisko prawej ściany. Leje się z niego trochę wody. Jesteśmy w Schronie. Inne odwierty nas ominęły…”. Część kartki jest ucięta. Ostatnie zdanie

brzmi: „Niech Bóg was oświeci. *Saludo,* pozdrowienia, dla Clary i mojej rodziny. Mario Sepúlveda”.

Drugi list odczytuje Barra: „Droga Lilio. Czuję się dobrze. Mam nadzieję, że niedługo cię zobaczę…”.

– To jest osobisty list – przerywa mu ktoś. – Powinniśmy go odłożyć.

Kiedy dwóch spośród najbardziej wpływowych ludzi w Chile próbuje odszyfrować te wiadomości, jeden z ogorzałych robotników na platformie wiertniczej dyskretnie przesuwa nogą kawałek plastikowej izolacji, którą Golborne rzucił na ziemię. Wiertniczy chce go zachować na pamiątkę, ale potem zauważa, że w środku jest coś schowane.

– Tutaj też jest notka! – krzyczy ktoś stojący obok niego.

Po chwili sam minister otwiera trzecią wiadomość napisaną na złożonym papierze milimetrowym:

ESTAMOS BIEN EN EL REFUGIO. LOS 33.

WSZYSTKO DOBRZE JESTEŚMY W SCHRONIE. TRZYDZIESTKATRÓJKA.

Jeszcze zanim Golborne zdążył odczytać te słowa na głos, ludzie patrzący mu przez ramię zaczęli krzyczeć z radości:

– *¡Vivos!* Żyją! *¡Todos los huevones!* Każdy jeden z tych ćwoków na dole żyje!

Wszyscy pracownicy wiwatują i padają sobie w ramiona, jeden klęka. Niektórzy zaczynają szlochać, ryczą, jakby umarła im matka albo narodził się syn. Ci twardzi ludzie wpuszczali stalowe rury do szarej skały pod swoimi stopami, a teraz otaczają ich sterty tych rur i pył zmielonej skały. Na co dzień wiercą dziury w ziemi w poszukiwaniu złota, miedzi i innych metali, a teraz wywiercili największą dziurę w swoim życiu i dotarli do trzydziestu trzech ćwoków uwięzionych we wnętrzu z pozoru niewzruszonej, niemożliwej do zdobycia góry.

– *Gracias, huevón, gracias*.

– *¡Lo logramos!* Udało się!

Wybuch triumfu i emocji sprawia, że wszyscy zapominają o wprowadzonych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zasadach i nikt nie próbuje zatrzymać wiertniczych, którzy zbiegają na dół, oddalają się od schramma T685 w stronę ogrodzenia, które oddziela teren kopalni od Campo Esperanza, w stronę namiotów, kapliczki i kuchni polowej, anten satelitarnych, sągów drewna na opał i dymu snującego się nad niedawno zgaszonymi ogniskami, między innymi tym, przy którym rodzina i przyjaciele Alexa Vegi do późna w nocy śpiewali poświęconą mu balladę. Wiertniczy, którzy naruszyli regulamin, krzyczą tak głośno, że słychać ich w miejscu odwiertu dziesięć B, ponieważ wszystkie prace przerwano i hałasujące wcześniej maszyny ucichły. Górę spowijają teraz ludzkie głosy, erupcja radości się rozprzestrzenia, a okrzyki wiertniczych wciąż są najgłośniejsze.

– Wszystkie te ćwoki żyją! Żyją! Wszyscy! *¡Están todos los huevones vivos!*

Po krótkiej chwili w pobliżu ląduje helikopter przewożący prezydenta z lotniska w Copiapó do kopalni. Rodziny górników i media gromadzą się przed nim i po raz kolejny, już oficjalnie, słyszą to, co wszyscy w San José już wiedzą. Prezydentowi przypada w udziale zaszczyt publicznego pokazania notatki José Ojedy. Wielkie czerwone litery stanowią dowód dla ewentualnych sceptyków, że niemożliwe się ziściło – widząc ten obraz w telewizji, całe Chile zaczyna szaleć z radości. Od miasta Arica przy północnej granicy, w którym Víctor Zamora, górnik, który jest wiecznie głodny, mieszkał w sierocińcu, po miasta Patagonii w połowie drogi na Antarktydę, gdzie żołnierz Juan Illanes spędził kiedyś Boże Narodzenie – wszędzie rozlegają się wiwaty i okrzyki radości, ludzie odchodzą od

telewizorów, żeby wybiec na ulice i place. W Copiapó na wiadomość o znalezieniu trzydziestu trzech górników rozbrzmiewają kościelne dzwony, każde stuknięcie metalu o metal wysyła fale dźwiękowe, które pędzą przez niedzielne zimowe powietrze.

---

[10] *Piñata* – ludowy zwyczaj w tradycji bożonarodzeniowej krajów latynoamerykańskich; zabawa polega na strąceniu kuli wypełnionej przeważnie słodyczami, których uczestnicy starają się zebrać jak najwięcej.

ROZDZIAŁ 11

BOŻE NARODZENIE

Na oczach prezydenta Chile, ministra Golborne’a i innych urzędników do odwiertu dziesięć B wpuszczane są kamera i mikrofon. Na miejscu jest także psycholog Alberto Iturra, głęboko zatroskany o stan górników po siedemnastu dniach spędzonych pod ziemią. Zgodnie z danymi statystycznymi, którymi dysponuje rząd (ale nie podzielił się nimi z opinią publiczną), powinni być martwi. Prawie na pewno nastąpiły jakieś zmiany w ich psychice i Iturra jest poirytowany, gdyż kierujący akcją ratowniczą zignorowali jego rady. Psycholog uważa, że pierwszy głos z powierzchni, który dotrze do górników, powinien pochodzić od kogoś znajomego – zaproponował Pabla Ramireza, *compadre* Florencia Ávalosa i wielu spośród trzydziestu trzech zasypanych górników. Obecni na miejscu urzędnicy nie posłuchali go jednak, ponieważ ratownikom towarzyszy prezydent, który chciałby przemówić do górników w imieniu narodu chilijskiego, a kto odmówi prezydentowi? Górnicy są bezpieczni, cały świat obserwuje wielki cud w kopalni San José i kilka promieni chwały poświeci teraz na niedawno wybranego Piñerę. Teraz, kiedy się okazało, że historia ta ma szczęśliwe zakończenie, do niezaprzeczalnego altruizmu i ofiarności okazywanej przez ratowników i urzędników w San José dołożone zostanie trochę więcej polityki i próżności.

– Porobiło się mnóstwo problemów z rozdętymi ego i PR-owskimi zagrywkami – mówi psycholog Iturra.

Weźmy na przykład kamerę i mikrofon, które zjeżdżają teraz do uwięzionych na dole ludzi. Chilijska marynarka wojenna i Codelco właśnie stoczyły biurokratyczną potyczkę o to, która z tych państwowych instytucji powinna wyekspediować na dół ten sprzęt i dostarczyć ludzi do jego obsługi.

– Marynarka wojenna ma najwyższej jakości kamery używane w podwodnych akcjach ratowniczych, ale Codelco również dysponuje swoją technologią, a poza tym uważa się za właściciela dziury – mówi Iturra. – Ale Codelco nie było właścicielem górników, którzy należeli do Ministerstwa Opieki Społecznej – dodaje sarkastycznie.

Ten psycholog w średnim wieku, który sam jest trochę próżny (z własnej inicjatywy informuje, że w młodości był matematycznym geniuszem i ma także dyplom inżyniera), uważa, że on też powinien być przy mikrofonie, a przynajmniej w pobliżu. Stoi jednak z tyłu, kiedy kamera zjeżdża do szybu, transmitując na powierzchnię obraz wykrojonego w szarym diorycie niekończącego się korytarza – jego krawędzie są wilgotne i mięsiste, tak jakby kamera zagłębiała się we wnętrzności jakiejś wielkiej kamiennej bestii. W końcu urządzenie dociera na dno, gdzie psuje się ostrość i widać tylko ciemność.

Darío Segovia, Pablo Rojas i Ariel Ticona pełnią wartę przy dziurze i nie odrywają wzroku od strumienia wody jednostajnie wylewającego się z prowadzącego na powierzchnię otworu. Czekają, co się w nim pojawi. Po długim czasie nareszcie widzą, że pada na nich snop szarego elektrycznego światła, które staje się coraz intensywniejsze.

– Coś jedzie! Pospieszcie się! – krzyczą.

Wszystkich trzydziestu trzech górników gromadzi się wokół otworu. Widzą szklane oko na obrotowym ramieniu. Luis Urzúa sądzi, że jest to skaner laserowy do pomiarów górniczych, ale inny górnik stwierdza rzecz oczywistą:

– To jest kamera.

– Luis, jesteś szefem, mów do niej! Pokaż się!

Urzúa podchodzi do kamery. Zastanawia się, czy urządzenie ma rejestrator dźwięku (ma, lecz nie działa: Urzúa nie wie, że na drugim końcu przewodu jest prezydent Chile i mówi do mikrofonu).

– Jeśli mnie słyszycie, poruszcie kamerą w górę i w dół – mówi Urzúa.

Kamera zaczyna się ruszać, ale dookoła swojej osi. Urzúa podąża za nią, wykonuje zabawny okrężny taniec, aż w końcu kamera łapie obraz jego oczu i się zatrzymuje.

Prezydent, André Sougarret oraz cały zespół urzędników i techników patrzą na parę oczu, które spozierają na nich z czarno-białego monitora, nieziemsko pozbawione wyrazu, jak we śnie. Psycholog Iturra widzi te oczy i światło nad nimi, a potem więcej świateł przymocowanych do kasków poruszających się w tle górników. W sumie świateł jest siedem. Iturra myśli: „Czyli tam na dole jest co najmniej siedmiu ludzi, którzy mogą nam pomóc zająć się pozostałymi dwudziestoma sześcioma, jeżeli zajdzie taka potrzeba”.

Na dole radość z tego, że zostali znalezieni żywi, szybko zaczyna się rozwiewać. „Jesteśmy bardzo głodni – pisze Víctor Segovia w swoim dzienniku. – Góra ciągle pęka i dudni”. Przez wiele godzin nic się nie dzieje, ponieważ ratownicy wykonują jakieś prace przygotowawcze. „Jest dużo kłótni. Nastroje są bardzo złe”. Mario Sepúlveda kłóci się z zatrudnionymi w firmie zewnętrznej mechanikami od Juana Carlosa Aguilara. „Nieporozumienie”, pisze Segovia. Wszyscy górnicy zaczynają

rozmawiać o tym, co najpierw zjedzą i wypiją. Coca-colę, może tabliczkę czekolady. Co się zmieści w tej rurze? Piwo! Do rury o średnicy piętnastu centymetrów można włożyć mnóstwo pysznego i pożywnego jedzenia oraz napojów, ale na razie kapie z niej tylko brudna woda: wody jest tak dużo, że trzeba będzie zrobić dla niej jakiś odpływ.

– Co tam się na górze dzieje? Dlaczego dostarczenie jedzenia zajmuje im tak dużo czasu? – pada pytanie.

O wpół do trzeciej po południu, trzydzieści dwie godziny po przebiciu odwiertu i ponad osiemnaście dni, odkąd większość uwięzionych zjadła posiłek z prawdziwego zdarzenia, z otworu wypada kolejny przedmiot. Jest to pomarańczowa plastikowa tuba z czymś w środku, przypomina powiększone i wydłużone jajko niespodziankę. Sterczy z niej kawałek kabla.

– Tu jest jakiś kabel, lećcie po Edisona! – krzyczy ktoś. Edison, który jest elektrykiem, otwiera tubę i widzi w środku kabel telefoniczny zakończony słuchawką.

Wśród ratowników są eksperci i technicy, ponadto chilijski rząd konsultuje się z instytucjami z całego świata, między innymi z NASA. Jednak spuszczony do kopalni telefon jest używany, sklecony z części starych telefonów przez trzydziestoośmioletniego biznesmena z Copiapó. Pedro Gallo prowadzi firmę telekomunikacyjną, która obsługuje lokalny przemysł górniczy, i kręci się wokół zakładu w San José od szóstego sierpnia. Chciał podzielić się z ratownikami swoją wiedzą, ale niektórzy zaczęli go uważać za uciążliwego natręta, a kierownictwo akcji ratunkowej z ramienia Codelco zabroniło mu wchodzić na teren wokół odwiertu. Gallo nie ma pod ziemią krewnych: podobnie jak dziesiątki innych ludzi zjawił się w San José, bo czuł, że na tej smaganej wiatrem górze rozgrywa się jakaś epicka historia. Liczył na to, że również on odegra w tym dramacie swoją rolę,

mimo że żona od jakiegoś czasu wzywała go do powrotu – była w siódmym miesiącu ciąży. Wreszcie, dwudziestego trzeciego sierpnia rano, Gallo dostaje swoją szansę.

– Potrzebujemy, żeby pan zrobił tę linię telefoniczną, o której pan mówił – informuje go pracownik Codelco. W ciągu czterdziestu pięciu minut, używając części starych telefonów, masy plastikowej i paru tysięcy metrów zalegającego w magazynie kabla, Gallo montuje nadajnik i odbiornik telefoniczny.

Za piętnaście pierwsza, na oczach ministra Golborne'a, Cristiána Barry i różnych innych ludzi, telefon Galla jest opuszczany do zasypanych górników. Kabel podłączony do słuchawki składa się tak naprawdę z dziewięciu kabli, byle jak owiniętych taśmą izolacyjną. W pewnym momencie minister pyta:

– Co to jest, nadajniki?

– Nie, panie ministrze, to jest wiązka kabli – odpowiada Pedro.

Po pięćdziesięciu minutach słuchawka znajduje się na dnie kopalni, siedemset trzy metry niżej. Gallo podłącza ostatni odcinek kabla do taniej centralki, takiej, jakie można znaleźć w milionach biur na całym świecie.

Golborne podnosi słuchawkę i wypowiada kilka słów z górniczego protokołu zasugerowanych mu przez Galla:

– Uwaga, członkowie górniczej zmiany. Tutaj powierzchnia.

– Tutaj kopalnia – odpowiada Edison Peña. – Słyszycie mnie?

– Tak, słyszę cię – mówi minister, który zgromadzonych wokół niego dwudziestu kilku mężczyzn wita radosnymi okrzykami i oklaskami.

Po drugiej stronie szybiku Edison niespodziewanie wyraźnie słyszy, co się dzieje na powierzchni, ze słuchawki płyną energiczne, radosne głosy żywych ludzi ze świata na zewnątrz.

– Słyszałem tę ludzką zbiorowość, *la colectividad de esta gente*. I słyszałem ten bardzo stanowczy głos… Coś we mnie pękło – powie później Edison.

Po osiemnastu dniach spędzonych w ciemnościach, po tych godzinach ciszy, kiedy stale towarzyszyła mu śmierć i myśl, że nikt po niego nie idzie, Edison się rozkleja. Na dźwięk tych obcych głosów wybucha płaczem.

– Nie byłem w stanie wypowiedzieć słowa – powie po jakimś czasie.

– Tutaj minister górnictwa – mówi Golborne.

Ktoś odbiera Edisonowi słuchawkę i informuje, że przekaże ją szefowi zmiany.

– Tak, dajcie mi *jefe del turno*, tak będzie najlepiej – mówi minister, a następnie włącza tryb głośnomówiący, żeby wszyscy mogli posłuchać.

– Tutaj szef zmiany, Luis Urzúa.

– Jest nas tu dwadzieścia osób gotowych udzielić wam natychmiastowej pomocy – mówi minister. – Jak się macie? Jak się czujecie?

– No, czujemy się dobrze. Jesteśmy w dobrych nastrojach, czekamy, aż nas uratujecie – odpowiada pospiesznie i niepewnie Urzúa.

Minister przekazuje, że ratownicy wkrótce poślą na dół wodę do picia i płyny fizjologiczne z zaleceniami od lekarza.

– Wody nam nie brakuje – mówi Urzúa – Ale zjedliśmy już wszystko, co mieliśmy w… w… w… w Schronie.

Minister mówi, że niedługo skontaktuje ich z lekarzem, który będzie się zajmował ich żywieniem. Ludzie na dole są podekscytowani i wyrywają się na powierzchnię, ale podczas tej pierwszej rozmowy nie dostają żadnych informacji na temat tego, jak i kiedy zostaną wyciągnięci. Zamiast im to powiedzieć, głęboko poruszony Golborne odczuwa potrzebę przekazania górnikom, jak wielkie znaczenie dla narodu chilijskiego ma to, że przeżyli.

– Chcę wam powiedzieć, że cały kraj śledził wydarzenia tych ostatnich siedemnastu dni. Cały kraj bierze udział w akcji ratowniczej – mówi minister. – Wczoraj całe Chile świętowało. Na wszystkich placach, we wszystkich zakątkach kraju ludzie się cieszyli, że nawiązaliśmy z wami kontakt.

Tym razem aplauz rozlega się na dole, odgłos okrzyków i oklasków górników brzmi w głośniku telefonu. Dla ludzi, którzy chodzą półnadzy i przymierają pod ziemią głodem, ta wiadomość od ministra ma w sobie coś baśniowego. Kiedy oni tkwili w tym skalnym grobowcu, siedzieli sami w ciemnościach, cały kraj się za nich modlił, myślał o nich, pragnął ich wyciągnięcia. Czują się tak, jakby po wyjściu z ciemnego grobu spowił ich magiczny, bajkowy blask.

Kiedy oklaski cichną, kilku górników zaczyna wykonywać gesty w stronę Urzúy. Chcą, żeby szef zmiany zapytał o Raúla Villegasa, kierowcę, który w chwili zawału jechał na górę.

– Czy mogę zadać pytanie? – mówi Urzúa do słuchawki.

– *Sí* – odpowiada minister.

– Kiedy zdarzył się wypadek, jeden z naszych kolegów jechał na górę. Kierowca – mówi Urzúa. – Nie wiemy, czy zdążył.

– Wszyscy zdążyli, nikomu nic się nie stało – odpowiada minister. – Nie ma ani jednego rannego czy zabitego do opłakiwania.

Trzydziestu trzech mężczyzn znowu zaczyna wiwatować: cud w kopalni San José został uzupełniony o jeszcze jeden element. Po chwili minister ujawnia kolejny:

– Wasze rodziny założyły tutaj miasteczko i modlą się za was – mówi.

Trzydziestu trzech mężczyzn czuje się tak, jakby zdjęto z nich całun samotności i bólu: ludzie, którzy ich kochają, są na powierzchni, dokładnie

nad nimi, zebrani wokół dziury, którą oni osiemnaście dni wcześniej weszli do pracy.

Następnie do telefonu podchodzi szef akcji ratowniczej André Sougarret i prosi górników, żeby trzymali się z daleka od skały blokującej Rampę i od szybów awaryjnych.

– Bo mogą być kolejne oberwania skały? – zgaduje Urzúa.

– Właśnie – potwierdza Sougarret.

Do rozmowy włącza się Cristián Barra, prawa ręka prezydenta:

– Przekazuję wam pozdrowienia od prezydenta. Był tutaj już cztery razy.

Jeszcze niedawno każdy z nich był nikim, a teraz prezydent przesyła im *saludos*. Pierwsza rozmowa telefoniczna między zasypanymi a ludźmi na powierzchni kończy się odśpiewaniem przez górników hymnu narodowego. Rządowy operator kamery filmuje ratowników, którzy słuchają tego chóru przez głośnik telefonu: materiał ten wyemitują później światowe media razem z obrazem telegenicznego, ubranego w oficjalną czerwoną wiatrówkę i szeroko uśmiechniętego podczas rozmowy z Luisem Urzúą ministra Laurence’a Golborne’a. W serwisach informacyjnych na całym świecie nagraniu głosu Urzúy towarzyszy jego fotografia, a *jefe del turno* jest nazywany „przywódcą górników”. Ale kto naprawdę rządzi tam, na dole? Kiedy ratownicy przygotowują się do wysłania na dół pierwszej partii pożywienia, psycholog Iturra szykuje się do tego, żeby zadać to pytanie każdemu górnikowi z osobna.

W następnej tubie, która wypada z otworu, nie znajduje się uczta czy choćby coś, co można by pogryźć, lecz trzydzieści trzy przezroczyste buteleczki z glukozą. Początkowo nie wszystkim starcza sił, żeby pomóc w rozładowaniu tej cennej przesyłki.

– Poszli spać, tacy byli słabi – wspomina później Yonni Barrios. Rozpakowuje tubę z Claudiem Acuñą, José Ojedą i Florenciem Ávalosem. Ratownicy dołączyli do przesyłki instrukcje, w których ostrzegali górników, żeby nie pili glukozy za szybko, jednak wszyscy oczywiście pochłaniają ją jednym haustem i wielu z nich zaczyna odczuwać bolesne skurcze żołądka. Chcą wiedzieć, kiedy przyjdzie prawdziwe jedzenie. Zjeżdża następna tuba, ale w niej również nie ma pożywienia, tylko formularze do wypełnienia. Chilijski rząd chce, żeby każdy z zasypanych podał swoje podstawowe dane (wzrost, wagę, wiek, rozmiar buta, przebyte choroby) i odpowiedział na wiele pytań dotyczących obecnego stanu fizycznego, na przykład: „Kiedy ostatni raz jadłeś?”, „Czy oddajesz mocz?”. No i najważniejsza rzecz: biurokracja, w której władzy znajdują się teraz górnicy – ta chilijska należy do najsprawniejszych, czyli najbardziej inwazyjnych w całej Ameryce Łacińskiej – prosi o podanie RUT-u, numeru identyfikacji podatkowej, który pełni również funkcję PESEL-u.

– Oczywiście musieliśmy im podać nasze RUT-y – powie później sarkastycznie Juan Illanes. – Musieli się upewnić, czy to naprawdę my siedzimy tam, na dole.

Bez RUT-u w Chile nie istniejesz i ma go nawet Mamani, emigrant z Boliwii.

W dolnej części formularza znalazło się pytanie, które zamieszczono pod naciskiem psychologa Iturry: *„¿Quién la lleva?*”, co można luźno przetłumaczyć jako: „Kto tym wszystkim kieruje?”.

– Specjalnie nie zapytaliśmy: „Kto jest szefem?” – tłumaczy później Iturra.

Wszyscy wiedzieli, kto z formalnego punktu widzenia jest na dole szefem, ale chodziło o to, kogo naprawdę górnicy słuchają.

Juan Illanes czyta to pytanie i jest, podobnie jak wielu jego kolegów, trochę skonsternowany. Co mam tu napisać, pyta go kilku górników, ponieważ Juan wygłaszał te podziemne wykłady o prawie pracy i powinien to wiedzieć. Czy wszystkim kieruje Mario Sepúlveda? Trzeciego albo czwartego dnia po wypadku Víctor Zamora przy wszystkich zaproponował, żeby mianować Maria szefem zamiast Luisa Urzúy, ale Juan Carlos Aguilar się temu sprzeciwił. Mechanicy zatrudnieni w firmie zewnętrznej wykonują polecenia Juana Carlosa Aguilara: czy powinni wpisać jego nazwisko? A może powinni wskazać Florencia Ávalosa, który swoją energią i spokojną pewnością siebie zasłużył sobie na szacunek wszystkich? Jeśli się dobrze zastanowić, to nikt tym wszystkim nie kieruje, wspólnie zarządzają swoimi sprawami. Jednak Illanes mówi ludziom, którzy go pytają:

– Wpiszcie Luisa Urzúę. On jest szefem.

Illanes mówi tak do swoich kolegów, mimo że autorytet Luisa wisi już na włosku.

– Gdybyśmy my, mechanicy zatrudnieni w firmie zewnętrznej, się za nim nie wstawili, Mario Sepúlveda odsunąłby go na bok – powie później.

Formalna władza to bardzo ważne pojęcie w życiu człowieka pracy w Chile, dlatego większość z trzydziestu trzech górników na pytanie: „*¿Quién la lleva?*”, odpowiada: „Luis Urzúa”. Juan Carlos Aguilar odpowiada jednak: „Wszyscy”.

Tak się składa, że w tym momencie Luis Urzúa podejmuje się realizacji pewnego newralgicznego, technicznego aspektu akcji ratowniczej: siedzi na przednim siedzeniu swojego pikapa, który zawsze pełnił funkcję ruchomego biura, i pisze. Ponieważ słyszy, że zmierza ku nim co najmniej jeden dodatkowy odwiert, uświadamia sobie, że będzie musiał sprowadzić do miejsca ich pobytu w kopalni większą liczbę ratowników. Ratownicy

zaś, żeby dotrzeć do zasypanych ludzi, będą potrzebowali dobrej, dokładnej mapy zawalonej kopalni, a jej sporządzenie będzie wymagało zrobienia nowych dokładnych pomiarów. Luis przygotowuje tę informację dla ratowników, przez kilka dni pracuje wydajnie i kompetentnie, nie robiąc z tego wielkiej sprawy. Nigdy jednak nie był i nie będzie jedynym przywódcą, który potrafiłby zapanować nad osobowościami i humorami uwięzionych pod ziemią trzydziestu dwóch pozostałych górników. Takie zadanie byłoby trudne dla każdego. Teraz stanie się znacznie bardziej skomplikowane, a to na skutek wydarzeń, które rozgrywają się tego popołudnia na powierzchni, gdzie w stronę kopalni San José zmierza czarny hummer.

Leonardo Farkas to chilijski dandys. Po przybyciu do kopalni jak zawsze olśniewa elegancją: wysiada ze swojego hummera w długim, dwurzędowym garniturze w kolorze popielatym, do którego założył błękitny krawat, z butonierki wystaje mu dopasowana kolorystycznie chusteczka, a na sztywnych mankietach koszuli migoczą spinki, konkurując z inną biżuterią, która zdobi nadgarstki Leonarda. Farkas jest człowiekiem wysportowanym, jego długie włosy błyszczą tak samo jak biżuteria, co składa się na dosyć niespójny obraz, tak jakby był greckim bogiem, który wcielił się w południowoamerykańskiego przedsiębiorcę. Leonardo jest multimilionerem, który zainwestował między innymi w pobliską kopalnię. Jest również stałym bywalcem transmitowanych przez chilijską telewizję imprez charytatywnych. Przyjechał do San José, żeby rozdać ten rodzaj szczęścia, który potrafi dostarczyć tylko wolny od trosk finansowych zamożny człowiek: każdemu z górników podaruje pięć milionów chilijskich peso (około dziesięciu tysięcy dolarów). Przyjazd Farkasa czarnym hummerem transmituje na żywo chilijska telewizja, a jego późniejsze spotkanie z członkami rodzin górników będzie miało rzekomo

charakter prywatny. Jednak Farkas po jakimś czasie wrzuci na swój kanał na YouTubie nagranie z tego wydarzenia.

Asystenci Farkasa rozdają czeki z ową magiczną, zbliżoną do rocznej pensji przeciętnego chilijskiego robotnika sumą, po czym Leonardo wchodzi na niewielką scenę. Kilku członków rodzin zasypanych górników zaczyna skandować: „Farkas! Farkas!”.

– Potrzebne mi jest nazwisko danej osoby, jej RUT i numer konta – mówi Farkas. – Jeżeli ktoś nie ma konta, to może je za darmo założyć w banku państwowym.

Ten hojny dar to dopiero początek.

– Niech wszyscy Chilijczycy zaczną się teraz dokładać. Każdy może, niech da tysiąc peso, pięć tysięcy, dziesięć tysięcy – dodaje.

Farkas często przeznacza duże sumy na organizowaną co roku przez chilijską telewizję zbiórkę pieniędzy dla dzieci z porażeniem mózgowym i innymi wadami rozwojowymi i być może dlatego o zasypanych górnikach mówi tak, jakby oni również byli dziećmi w potrzebie. Jego deklarowanym celem jest zebranie miliona dolarów dla każdego z uwięzionych pod ziemią trzydziestu trzech ludzi.

– Nie ograniczajmy się w naszych marzeniach. Ja zawsze miałem wielkie marzenia. Miejmy nadzieję, że zanim górnicy się wydostaną, każdy z nich będzie miał na koncie milion dolarów.

Farkas najwyraźniej uwielbia miłość ludu, którą może sobie kupić za swoje pieniądze, i tego popołudnia kilka spośród licznych fal radości i dobrej woli opływających kopalnię San José obmywa również jego.

– *¡Gracias, señor Farkas!*

Jednak ta olbrzymia suma pieniędzy razem z mniejszymi datkami od innych ludzi i obietnicą kolejnych milionów prawie natychmiast stwarza uwięzionym górnikom i ich rodzinom kłopoty.

Część rodzin ma problem, który zawsze się pojawia po zastrzyku dodatkowej gotówki: kto wyda te pieniądze? Komu przypadnie w udziale luksus bycia beneficjentem tego nieoczekiwanego polepszenia sytuacji finansowej górników? Niektórzy z mężczyzn nie żyją ze swoimi żonami, mimo że się z nimi nie rozwiedli. Chile było ostatnim krajem na półkuli zachodniej, który zalegalizował rozwody. Nastąpiło to zaledwie pięć lat wcześniej i większość tamtejszych robotników jeszcze się nie dowiedziała, że mogą i powinni zapłacić prawnikowi za rozwiązanie ich małżeństwa. Czy teraz, kiedy faktycznie, chociaż nieformalnie, rozwiedziony górnik nagle został milionerem (w lokalnej walucie), jego legalna, lecz niekochana żona przejmie kontrolę nad tym nowym bogactwem, kiedy on będzie siedział pod ziemią, czy też pieniądze dostanie jego nowa partnerka i jej dzieci?

Darío Segovia jeszcze nie ma świadomości tej manny z nieba, która zrobiła z niego *millionario*. Gdyby wiedział, zacząłby planować wydatki na przyszłość albo spłatę długów. Jego partnerka Jessica Chilla na razie uznała, że nie chce mieć nic wspólnego z taką ilością gotówki: prosi brata Daría, żeby zajął się przekazanymi przez Farkasa pieniędzmi. Kobieta czuje, że doprowadzą one do konfliktu między dwoma odłamami rodziny Daría. Prawda jest taka, że jeszcze zanim Darío i trzydziestu dwóch pozostałych górników zostali odnalezieni, kiedy wielu członków licznej rodziny Daría uważało go za zmarłego…

– …mnóstwo ludzi widziało w tym wszystkim wyłącznie znaczek peso – powie mi później Jessica. – Życie górników już do nich nie należało, chodziło tylko o to, ile byli warci.

Zanim spod ziemi wyskoczyła ta niewiarygodna notatka, niektórzy z członków rodzin górników wykonywali w głowach te same obliczenia kwot zasiłków pogrzebowych i odszkodowań jak Juan Illanes pod ziemią.

Teraz, kiedy wiadomo, że górnicy żyją i każdy ma na koncie pięć milionów od Farkasa, wszyscy ludzie, których kochali i sprowadzili na ten świat, mogą bez ogródek wyrazić swoje potrzeby.

– Zanim pokochał ciebie, ja przy nim cierpiałam…

– Byłem jego synem, jeszcze zanim cię poznał…

– Czy my się w ogóle nie liczymy?

– Kiedy pojawiły się te wszystkie pieniądze, w kurniku, czyli w rodzinie, zrobiło się jedno wielkie zamieszanie i wybuchła awantura – wspomina Jessica.

W ciągu kolejnych godzin członkowie rodzin trzydziestu trzech górników zaczynają pisać do nich pierwsze listy. Niektórzy, na przykład Jessica Chilla, uznają, że o pieniądzach lepiej będzie ich na razie nie informować. Mają poczucie, że podejmowanie tego tematu byłoby kuszeniem losu i kpiną z Boga w momencie, kiedy życie uwięzionych sześćset metrów pod powierzchnią ziemi górników nadal jest zagrożone. Ale inni, na przykład żona Carlosa Mamaniego Veronica Quispe, nie potrafią oprzeć się pokusie. Veronica i Carlos mają dwójkę małych dzieci, a jako imigranci zawsze się zmagali z trudną sytuacją materialną. Nagle zdjęto z nich to finansowe brzemię, to nieustanne zmartwienie, które skłoniło mężczyznę do podjęcia pracy w kopalni. Jest to radosna wiadomość, więc w jednym z pierwszych listów do męża Veronica pisze: „Bogu dzięki, Carlos, że żyjesz. Po tylu dniach czekania na wiadomość od Ciebie na powierzchni jesteśmy szczęśliwi i czujemy się dobrze. Jeszcze jedno: Dzięki Leonardowi Farkasowi jesteśmy milionerami”.

Wieczorem tego samego dnia (dwudziestego trzeciego sierpnia) do chodników, w których uwięzieni są górnicy, zbliża się drugi odwiert. Ratownicy z powierzchni poprosili Urzúę, żeby wykonał pomiary i narysował na mapie miejsce, w którym przebił się pierwszy odwiert, ale

szef zmiany już to zrobił: otwór znajduje się siedem metrów od jednego ze znaków geodezyjnych – numer czterdzieści A. Drugi odwiert, mówią mu, powinien się przebić w promieniu półtora metra od pierwszego. Ratownicy proszą również Urzúę o więcej szczegółów na temat stanu fizycznego górników. Szef zmiany odpowiada, że niektórzy są bardzo wychudzeni, a wszyscy bardzo słabi, nie mają jednak żadnych poważnych obrażeń. Lekarze przekazują mu, żeby zabronił kolegom picia brudnej wody – „przyślemy wam tyle czystej wody, ile będziecie potrzebowali” – i zjedzenia dwóch puszek tuńczyka, które im zostały. Sougarret mówi, że na powierzchnię zostaną wydobyci przez trzeci, większy odwiert, który prawdopodobnie wycelują w zaimprowizowany warsztat mechaników w wyższych partiach kopalni. Urzúa jest zaskoczony: sądził, że dwa nowe szybiki posłużą do podtrzymywania ich przy życiu, a ratownicy spróbują do nich dotrzeć przez jeden z szybów wentylacyjnych.

– Nie sądziłem, że zdecydują się na wyciąganie nas przez odwiert – powie później.

Urzúa przekazuje treść rozmowy innym górnikom. Kilku z nich wpada we wściekłość.

– Nie możesz im mówić, że dobrze się czujemy – protestują. – Nie czujemy się dobrze. Jesteśmy głodni i zmęczeni, chcemy się wydostać z tego piekła. Jeżeli ci z rządu uwierzą, że „czujemy się dobrze”, to będą nas stąd wyciągali całe wieki.

Około szóstej po południu przebija się drugi odwiert w odległości zaledwie jeden i trzy dziesiąte metra od pierwszego. (Trzy dni później, dwudziestego szóstego sierpnia, do wnętrza kopalni dociera trzeci otwór wiertniczy, obok warsztatu na poziomie sto trzydzieści pięć; odegra on zasadniczą rolę w akcji ratowniczej). Drugi otwór posłuży do przeciągnięcia mediów, czyli kabli elektrycznych i światłowodów,

a pierwszym ratownicy nadal opuszczają zapasy, w plastikowych tubach, które górnicy zaczną nazywać *palomas*, gołębiami. Zjeżdżają w nich butelki z czystą wodą, lekarstwa i kolejne buteleczki z glukozą. Górnicy uzgadniają, że podzielą się na trzy ośmiogodzinne zmiany, które będą obserwowały otwór zaopatrzeniowy i rozpakowywały przychodzące zapasy (innym celem tej decyzji jest to, żeby wszyscy mieli coś do roboty). Jedna ze zmian, złożona głównie z zatrudnionych w firmie zewnętrznej mechaników, na swojego przywódcę wybiera Raúla Bustosa, skrupulatnego człowieka, który przeżył tsunami. Pozostałe grupy, w których skład wchodzą górnicy nocujący w Schronie albo obok niego, wybierają dwudziestosiedmioletniego Carlosa Barriosa i dawną gwiazdę futbolu Franklina Lobosa. Zasypani członkowie szychty A kipią świeżą energią i rozpiera ich poczucie misji. Po osiemnastu dniach od katastrofy Luis Urzúa postanawia znowu zacząć zachowywać się jak szef, czego symbolem jest to, że z powrotem zakłada biały kask.

Dwudziestego trzeciego sierpnia kolejna dostawa „gołębi” oprócz szczoteczek i pasty do zębów zawiera również pierwsze listy od rodzin górników. Wielu otrzymuje tę samą wiadomość jak Mario Gómez. W kontekście wciąż grożącej im śmierci sprawia ona dziwne wrażenie, ale uspokaja ich: „Rachunki są płacone na bieżąco, nie zalegamy z czynszem ani niczym innym, nie martw się”. Jorge Galleguillos czyta słowa wsparcia od syna, z którym od dawna nie utrzymywał kontaktów; Edisonowi Peñi oświadcza się jego dziewczyna; Carlos Mamani dowiaduje się, że jest milionerem. Víctor Segovia dostaje wiadomość od córek, o których przez osiemnaście dni pisał w swoim dzienniku. „Musiałem robić sobie przerwy w czytaniu”, odnotowuje później w swojej kronice podziemnych wydarzeń.

Następnego dnia po południu do otworu zaopatrzeniowego ponownie zostaje opuszczony telefon.

– Proszę pozostać na linii – mówi głos z góry. – Łączymy was z La Moneda, pałacem prezydenckim w Santiago.

Prezydent Sebastián Piñera wrócił do biura w chilijskiej stolicy i teraz Pedro Gallo przez zaimprowizowaną centralkę przełącza jego rozmowę międzymiastową na poziom dziewięćdziesiąt cztery w San José. Prezydent rozmawia z Luisem Urzúą i za jego pośrednictwem zapewnia wszystkich trzydziestu trzech górników, że rząd robi wszystko, co w jego mocy, żeby ich wydostać: między innymi przyjmuje pomoc z wielu innych krajów na całym świecie. Premier Hiszpanii José Luis Rodríguez Zapatero i prezydent USA Barack Obama przekazują swoje wsparcie, mówi Piñera. Pamiętając o tym, co powiedzieli mu wcześniej koledzy, Urzúa dziękuje prezydentowi za jego starania, ale potem bardzo szybko pyta, kiedy ratownicy będą w stanie ich wydostać z „tego piekła”, *este inferno*.

– Nie wyjdziecie na osiemnastego września – odpowiada prezydent, co bardzo dołuje trzydziestu trzech górników, ponieważ przypadające na ten dzień Święto Niepodległości jest najważniejszą świecką uroczystością w chilijskim kalendarzu. Można powiedzieć, że to amerykański Dzień Niepodległości i Święto Dziękczynienia w jednym, a tym razem osiemnasty września będzie obchodzony wyjątkowo uroczyście, ponieważ w owym roku wypada dwusetna rocznica odzyskania przez Chile niepodległości.

– Ale, jak Bóg da, wyjdziecie przed Bożym Narodzeniem – dodaje prezydent.

Urzúa żartuje sobie, że ratownicy powinni przesłać na dół butelkę wina, żeby górnicy mogli uczcić dwusetną rocznicę odzyskania niepodległości. Jednak kiedy po zakończonej rozmowie telefon znika w otworze zaopatrzeniowym, wielu z nich ogarnia głębokie przygnębienie.

– Myśleli, że zostaniemy od razu wyciągnięci – powie później Urzúa. – Tymczasem mieliśmy tam siedzieć może nawet cztery miesiące.

Urzúa przygląda się twarzom górników w tej skalnej grocie. Na najbardziej zdołowanego wygląda Jimmy Sánchez, najmłodszy z nich, nastolatek, który według prawa w ogóle nie powinien pracować w kopalni. Wielu dopiero od niedawna ma dostatecznie dużo siły, żeby wstać, dlatego wiadomość o nadchodzącym oczekiwaniu przywraca ponure i wycieńczone miny na ich usmarowane sadzą twarze. Kopalnia nadal dygocze i grzmi wokół nich, i w każdej chwili kolejny zawał może zniszczyć życiodajne piętnastocentymetrowe szybiki, które łączą ich z powierzchnią. Czteromiesięczne oczekiwanie w tym potwornym gorącu i wilgoci kilku słabszych górników może zabić.

– Cztery miesiące! – niektórzy koledzy zaczynają krzyczeć na Urzúę. – Nie możemy tutaj czekać do grudnia, nie ma mowy. Musimy sami znaleźć wyjście. Przez Pieczarę. Jak tylko odzyskamy siły, to się tamtędy wespniemy.

Znowu zaczyna kiełkować bunt i Mario Sepúlveda postanawia interweniować.

– Myślicie, że ja nie chcę się stąd wydostać? – mówi. – Gdybym mógł, tobym złapał za następną rzecz, która zjedzie przez tę dziurę, i podciągnął się na górę, ale nie mogę, bo jestem za duży.

Perri wyrzuca z siebie te słowa chrapliwym, trochę obłąkanym, ironicznym krzykiem, który jego towarzysze znają aż za dobrze. Jest to głos uwięzionego w lochu, opętanego miłośnika życia, człowieka, który potrafi żartować ze śmierci, ze zjadania innych ludzi i przeciskania się przez piętnastocentymetrowy odwiert.

– Nie, jedynym wyjściem jest czekanie – oznajmia Mario i po chwili inni silni, spokojni mężczyźni spośród uwięzionej trzydziestkitrójki górników powtarzają jego słowa.

– *Tranquilo, niños*. Spokojnie, chłopcy.

Tak się mówi do gości, którzy rwą się do bójki w barze.

– *Tranquilo*.

– Musimy być cierpliwi i zorganizowani – mówi Juan Carlos Aguilar, który powtarza to od piątego sierpnia.

– Musimy dziękować Panu za cuda, które już się wydarzyły na naszych oczach – oznajmia z kolei José Henríquez.

– Musimy być przygotowani na przeżycie w tej dziurze do grudnia, jeżeli będzie trzeba – mówi Mario Sepúlveda.

Trochę później Luis Urzúa odbywa swoją pierwszą rozmowę telefoniczną bez świadków z psychologiem Iturrą.

– Teraz nadejdą najtrudniejsze chwile – ostrzega psycholog.

ROZDZIAŁ 12

ASTRONAUCI

W pierwszych dniach po nawiązaniu kontaktu z mężczyznami uwięzionymi wewnątrz kopalni San José profesjonalizm chilijskich lekarzy na powierzchni ratuje im życie. Minister zdrowia Jaime Mañalich powołał zespół medyczny, który szybko podjął istotną decyzję: nie ulegną najzupełniej zrozumiałemu (wyrażonemu przez wiertniczych i lokalnych urzędników) postulatowi, żeby zacząć „przepychać przez dziurę jedzenie” (jak to ujął jeden z lekarzy NASA), którego domagają się głodujący mężczyźni na dole. Człowiek, który nic nie jadł od pięciu, siedmiu dni, ma poważny niedobór fosforanów i potasu, które są wykorzystywane przez organizm do trawienia węglowodanów – nieobecność tych trzech substancji po spożyciu sutego posiłku może wywołać atak serca. Ludzkość dowiedziała się tego w ostatnich dniach drugiej wojny światowej, kiedy amerykańscy żołnierze zabili wielu wyzwolonych więźniów obozów koncentracyjnych, karmiąc ich swoimi konserwami i czekoladą. Chilijskie władze medyczne skonsultowały się z ekspertami z NASA i innych agencji z całego świata i teraz zamierzają postępować zgodnie z ich radą, żeby poczynać sobie „ostrożnie i powoli”, czyli na początku podawać górnikom zaledwie pięćset kalorii dziennie, przede wszystkim w postaci napoju energetycznego wzbogaconego o potas, fosforany i tiaminę, czyli witaminę

B1, na którą wygłodzony organizm ma zwiększone zapotrzebowanie. Bez tiaminy karmienie górników mogłoby wywołać u nich encefalopatię Wernickego, zespół ostrych objawów neurologicznych, między innymi silne zaburzenie koordynacji ruchowej. Chilijczycy posyłają na dół paski testowe do badania moczu, podobne do tych, których NASA używa do monitorowania stanu zdrowia swoich astronautów. Paski te służą do mierzenia ciężaru właściwego (wskaźnik odwodnienia), poziomu ketonów (wskaźnik wygłodzenia) i mioglobiny (wytwarzanej przy zaniku mięśni). Szesnastu spośród trzydziestu trzech górników ma podwyższony poziom mioglobiny: zanik tkanki mięśniowej wywołał u nich wczesną fazę niewydolności nerek. Ratownicy posyłają na dół dodatkowe porcje wody pitnej, a także nadmuchiwane materace, żeby górnicy nie musieli spać na twardym podłożu, bo to również przyczynia się do zaniku mięśni. (Chilijski rząd ogłasza przetarg na nadmuchiwane materace, które można by zmieścić do tuby *palomas*, dostarcza je lokalna firma). Mężczyźni, którym groziła niewydolność nerek, szybko wracają do zdrowia.

– Chilijczycy podręcznikowo poradzili sobie z pierwszymi stadiami leczenia, dzięki czemu u żadnego z trzydziestu trzech górników nie wystąpiły jakiekolwiek powikłania – powie później lekarz NASA James D. Polk.

Żeby móc lepiej ocenić stan zdrowia zasypanych, lekarze posyłają na dół wagę sprężynową z uprzężą. Górnicy przymocowują ją do podestu podnośnika, ważony zakłada uprząż, po czym operator podnośnika dźwiga kolegę do góry. Drobny Alex Vega dowiaduje się, że stracił szesnaście kilo i teraz waży zaledwie czterdzieści sześć, a znacznie wyższy Franklin Lobos widzi zaszokowany, że z osiemdziesięciu sześciu kilogramów ubyło mu aż osiemnaście.

Lekarze pytają Urzúę, czy ktoś na dole umie robić zastrzyki i mierzyć ciśnienie. Szef zmiany omawia tę kwestię z kolegami i ktoś przypomina sobie, że słyszał, jak Yonni Barrios mówił, że robił takie rzeczy.

– Potrzebujemy, żebyś zrobił trochę zastrzyków – mówi Urzúa do Yonniego, który początkowo odmawia.

– Jest dosyć uparty, ale w końcu go przekonaliśmy, że nikt inny się do tego nie nadaje – opowie później Urzúa.

Yonni rozmawia przez telefon z zespołem medycznym na powierzchni i przekazuje lekarzom, że zrobił w życiu tylko jeden zastrzyk: swojej matce pielęgniarce, kiedy miał czternaście lat. Umie za to mierzyć ciśnienie – Susana ma nadciśnienie, więc Yonni regularnie je jej mierzy.

– Świetnie – odpowiadają. – Będziesz naszym pielęgniarzem tam na dole.

Latynoamerykańskie media szybko zaczynają nazywać Yonniego „el Doctor House" – serial o takim tytule jest w Ameryce Południowej bardzo popularny. NASA poinformowała chilijski zespół medyczny, że izolacja, stres i brak światła słonecznego – czy to w kopalni, czy w stacji kosmicznej – mogą wywołać niedobór witaminy D i „reaktywację znajdujących się w stanie latencji wirusów". Yonni musi zatem podać swoim kolegom witaminy i szczepionki przeciwko zapaleniu płuc, tężcowi i błonicy. Wykonuje to zadanie ze spokojną delikatnością, która zawsze zachwycała obecne w jego życiu kobiety.

Ta sama tuba, w której przybyły ratujące życie szczepionki, zawiera również osobiste listy, a także wywozi na górę odpowiedzi.

Víctor Segovia pisze list zabarwiony rozpaczą: „*Panchito*, nie będę Ci kłamał na temat tego, jak tutaj jest. Jesteśmy naprawdę w złym stanie. Ile tu wody! Góra ciągle grzmi. To piekło mnie zabija. Próbuję być silny, ale kiedy zasypiam, śni mi się, że jestem na grillu, a kiedy się budzę, jestem

znowu w tych wiecznych ciemnościach. Każdy dzień strasznie daje w kość”. Po przeczytaniu tego listu krewni Víctora postanawiają zawiadomić psychologa.

Jednak w prowadzonym pod ziemią dzienniku Víctor notuje dobre wiadomości, które inni górnicy otrzymali w listach: „Jeden z naszych kolegów dowiedział się, że Leonardo Farkas przelał na nasze konta bankowe po pięć milionów (peso)”. Farkas spróbuje pozyskać tyle datków, żeby wszyscy uwięzieni stali się bogaci, „żebyśmy już nigdy nie musieli pracować”.

Dwa dni po tym, jak górnicy błagają prezydenta o wydostanie ich z „tego piekła”, zespół ratowniczy posyła na dół kamerę, żeby mogli sfilmować trochę tego piekła i pokazać je światu. Kamerę obsługuje Florencio Ávalos, a paradujący z gołą klatą Mario Sepúlveda wciela się w przewodnika, za asystenta mając Alexa Vegę (z gęstą brodą i w bardzo brudnej znoszonej koszulce Dallas Cowboys). Nagrywają przez blisko trzydzieści minut, z czego mniej więcej osiem minut zobaczy tego wieczoru zahipnotyzowana chilijska widownia wiadomości.

Pokazywany w telewizji fragment nagrania zaczyna się od tego, że Mario wskazuje Luisa Urzúę, który siedzi w swoim białym pikapie i robi schematyczny rysunek dla zespołu ratowniczego, a potem przenosi się do Schronu, gdzie dwóch wycieńczonych górników – Osmán Araya i Renán Ávalos – siedzi na szafce, która zawierała ich prowiant i została kiedyś splądrowana.

– Mamy tutaj dwóch bardzo ważnych górników, którzy monitorują przybywanie *palomas* – mówi Mario energicznym głosem prezentera telewizyjnego, jakby próbował nakłonić kolegów, żeby zrobili trochę mniej posępne miny. Osmán i Renán wstają i otwierają szafkę, żeby pokazać jej zawartość: pięć przysłanych niedawno z góry butelek wody.

– W miarę możliwości – mówi Mario – próbują to wszystko zorganizować, żeby się dobrze skończyło.

Cięcie i kamera pokazuje Jorgego Galleguillosa, który siada wyprostowany, kiedy Mario go budzi. Jest oszołomiony, ma nieobecne spojrzenie. Inny górnik, którego złapała kamera, nie budzi się, śpi dalej z otwartymi ustami. Claudio Yáñez siada na swoim legowisku, zdobywa się na uśmiech i przesyła swojej rodzinie *saludo*. Następnie kamera pokazuje Schron, który Mario nazywa „naszą kafeterią”. Edison Peña patrzy prosto w obiektyw i mówi:

– Wydostańcie nas stąd szybko, proszę.

Mario prezentuje widzom stół, przy którym siedzi pięciu mężczyzn i gra w domino.

– Codziennie mamy tutaj spotkania, na których planujemy różne rzeczy – mówi. – Tutaj się modlimy. Tutaj odbywamy zebrania, na których podejmujemy decyzje, cała trzydziestkatrójka.

Mario podchodzi do Víctora Zamory, sieroty z Arica, miasta przy peruwiańskiej granicy.

– Nie wiemy, czy jest Chilijczykiem, czy Peruwiańczykiem – żartuje Mario. Wszyscy się śmieją, a na twarzy Zamory wykwita uśmiech przerośniętego dziecka. Wieczorem w dniu katastrofy Zamora stał na czele ataku na prowiant, ale nikt z oglądających ten materiał na powierzchni oczywiście o tym nie wie. Zamora mówi do kamery, sprawia wrażenie najbardziej opanowanego ze wszystkich zasypanych górników i z uspokajającym skinieniem głowy przekazuje swojej rodzinie, żeby „dbali o siebie”, dodając: „Wszyscy się stąd wydostaniemy”. Potem zwraca się do ratowników:

– Chcemy wam wszystkim podziękować, że mieliście odwagę nie zostawić nas tutaj bez pomocy.

Zamora mówi jak człowiek całkowicie pogodzony ze sobą i ze swoją sytuacją, jakby był jakimś filozofem czy mówcą motywacyjnym, który przypadkiem zabłąkał się w kopalni.

– Słyszeliśmy o tym, co zrobiliście tam, na górze – mówi do niewidocznych ratowników – i wiecie co, *niños*? Zasłużyliście na wielkie brawa!

Wszyscy górnicy wokół niego zaczynają klaskać, a potem następuje cięcie i obraz pokazuje zbiorowe skandowanie:

– *¡Chi-chi-chi, le-le-le!*

Następnie w obiektywie kamery pojawia się Osmán Araya dziękujący Bogu oraz górnicy odśpiewujący hymn narodowy.

Na zakończenie nagrania Mario Sepúlveda, który stoi pośrodku kadru, nadal bez koszuli, wygłasza zaimprowizowane oświadczenie:

– Ta rodzina górników, moich przyjaciół, nie jest taka sama, jaka była sto czy sto pięćdziesiąt lat temu. Dzisiejszy górnik jest człowiekiem wykształconym. Jest człowiekiem, z którym możesz usiąść i porozmawiać. Jest człowiekiem, który ma prawo chodzić z podniesioną głową, który ma prawo usiąść i porozmawiać przy każdym stole w Chile. Ucałowania dla wszystkich Chilijczyków.

Nagranie to wywołuje w Chile wielką falę dumy narodowej. Ludzie są przede wszystkim wzruszeni widokiem wygłodzonego i usmarowanego sadzą Maria Sepúlvedy, latynoskiego everymana, który przemawia ze swoistą maniakalną elokwencją i wielką odwagą, mimo że tkwi uwięziony w zawilgłym, ciemnym, cuchnącym lochu. W nadchodzących tygodniach gazety i strony internetowe w Chile i na całym świecie będą go nazywały Super-Mariem. Jego energiczny występ jest transmitowany na cały świat, przez co Mario staje się nieoczekiwanym symbolem nadziei w dramacie, który na krótką chwilę jednoczy ziemski glob, a jego chrapliwy,

przepełniony optymizmem głos przywraca ludziom wiarę w człowieczeństwo. Tam, na dole, sześćset pięćdziesiąt metrów pod ziemią, są prawdziwi ludzie, a nie mityczne postacie, mimo że w tej historii jest coś mitycznie epickiego. Uznano ich za zmarłych, zmiażdżonych przez skałę, ale nagranie stanowi niepodważalny dowód, że są najzupełniej żywi, realni, brudni, wyglądają rozpaczliwie, ale ich głosy brzmią optymistycznie pośród ciemności i chlupotu wody. Te przejmujące obrazy są transmitowane i retransmitowane, przekraczają granice stref czasowych i kontynentów, opowieść o *Los 33* jest w kółko powtarzana przez zawodowych melodramaturgów. Kiedy na świecie gasną telewizory i monitory komputerów, opowieść nadal krąży w rozmowach, które toczą się w domach i w pracy.

– Słyszałeś o tych ludziach, górnikach z Ameryki Południowej? Widziałeś ich?

Nie ma instrumentów do badania zbiorowej podświadomości, nie ma globalnych sejsmografów psychicznych, nie ma mierników przepływu snów ludzkości. Ale gdyby takie instrumenty istniały, w tych ostatnich dniach sierpnia wychwyciłyby znaczący wzrost natężenia koszmarów i snów, których akcja dzieje się w jaskiniach, tunelach i innych ciemnych, zakazanych miejscach.

Na tych, którzy dobrze znają trzydziestu trzech zasypanych mężczyzn, ośmiominutowe nagranie wywiera bardzo różnorodne wrażenie. Jessica Chilla, którą partner życiowy i ojciec jej córki pożegnał przed pójściem do pracy feralnego dnia długim, serdecznym uściskiem, ogląda ten materiał i ogarnia ją niemal paniczny lęk. Darío, którego widzi na nagraniu, nie jest mężczyzną, jakiego znała. Kobieta widzi cierpienie w jego matowych oczach, w tym, jak chowa twarz w dłoniach i odwraca się od kamery. Jego siostra María, „burmistrz” Campo Esperanza, na widok brata myśli, że

Darío bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje, żeby ktoś go przytulił. Również większość pozostałych górników nie przypomina samych siebie. Przyjaciele znają Osmána Arayę jako człowieka o głębokiej, ewangelickiej tożsamości, tymczasem na nagraniu wygląda na zgaszonego i cierpiącego, kiedy zaś wygłasza mowę o Bogu, widać, że powstrzymuje łzy. Pablo Rojas pseudonim Kot jest skurczony, tak jakby jego kanciasta głowa – mężczyzny w średnim wieku – była przymocowana do ciała chłopca. Ustawiony do kamery profilem siedzi na ziemi bez koszuli i wygląda na wykończonego. Jorge Galleguillos, znany w swojej rodzinie jako wysoki, uparty, energiczny i dumny, nie potrafi wydusić z siebie słowa i trudno go rozpoznać pod warstwami sadzy i grzybicy.

Rodziny trzydziestu trzech uwięzionych pod ziemią mężczyzn i całe Chile byliby jeszcze bardziej zaniepokojeni, gdyby pozwolono im zobaczyć cały materiał, zanim rząd go zmontował – w jednym z serwisów informacyjnych pojawia się wiadomość (prawdopodobnie uzyskana od ratowników), że pięciu górników cierpi na depresję i nie chcieli występować w tym filmiku. W materiale, który nie został wyemitowany, Mario Sepúlveda brodzi w błocie, pokazuje widzom ubikację urągającą wszelkim zasadom higieny, a pod koniec, kiedy podsumowuje stan fizyczny i nastroje wśród kolegów, zaczyna się rozklejać:

– Wydostaniemy się stąd. Nie będziemy tutaj siedzieli bez końca. Nasze rodziny nas potrzebują. Jesteśmy wam bardzo wdzięczni, *chiquillos*… Mam do was tylko jedną osobistą prośbę: nie pokazujcie tej wilgoci i warunków, w którym żyjemy.

Robi aluzje do śmierci, ujawniając, że myśl o niej stale im towarzyszy.

– To jest sytuacja, w której jesteśmy wojownikami. Jeżeli będziemy musieli oddać życie za Chile, zrobimy to tutaj albo gdziekolwiek indziej…

Bylibyśmy głęboko wdzięczni, gdybyście mogli powiedzieć naszym rodzinom, że je kochamy. Wspiera nas mnóstwo wspaniałych ludzi.

Później wspomina o swoim rodzinnym mieście Parral, o swojej dzielnicy Santiago, o klubach sportowych, do których należy, i mówi:

– Ludzie, którzy mnie znają, wiedzą, że moje serce jest takie duże – łączy ze sobą dłonie w kształt koła. – Wezmę to serduszko i podniosę je na górę dla ludzi w potrzebie. Będę walczył dalej, aż do końca.

Na koniec, podobnie jak wielu innych górników, Mario czuje potrzebę zwrócenia się bezpośrednio do swojej rodziny.

– Francisco – od razu zaczynają mu się cisnąć do oczu łzy. Odchrząkuje i mówi dalej: – Hasło: pies. Waleczne serce, *huevón*. Papá zawsze cię będzie chronił, *viejo*. Przysięgam ci, że zawsze będę przy tobie.

Po tych słowach Super-Mario ulega emocjom i odwraca się od kamery, pokazując Florenciowi Ávalosowi, żeby przestał go filmować. Kiedy minister górnictwa i inni kierujący akcją ratowniczą oglądają to nagranie, postanawiają uszanować życzenia Sepúlvedy: montują kilka scen przeznaczonych dla szerokiej publiczności, a cały materiał, razem z najbardziej poruszającymi i smutnymi sekwencjami, chowają w rządowym archiwum.

Psycholog Iturra ogląda to pierwsze długie nagranie spod ziemi i znajduje powody do optymizmu w kwestii stanu psychicznego *Los 33*. Po dodatkowych konsultacjach telefonicznych i ponownej analizie wcześniejszej wymiany informacji między kopalnią i powierzchnią stawia diagnozę, że górnicy są w dobrym stanie.

– *Están cuerdos* – mówi. – Są zdrowi psychicznie.

Kilku członków ekipy ratowniczej uznaje, że sam lekarz zwariował, skoro tak mówi, ale obraz kliniczny jest dosyć jednoznaczny.

– Z psychologicznego punktu widzenia wszyscy byli zdrowi – powie później Iturra. – Owszem, bali się, ale w tych okolicznościach to normalne. Jednak nie wrzeszczeli, żeby ich stamtąd wydostać.

Psycholog pociesza się między innymi tym, że górnicy wyrazili troskę o innych: dosłuchał się tego w pierwszej rozmowie z ministrem, kiedy zapytali, czy kierowca wywrotki Villegas zdążył uciec z kopalni, a także w przemowach Maria Sepúlvedy i Víctora Zamory do ratowników. Ci ludzie nie ulegli jeszcze panice i nadal są w miarę zorganizowani, co przyjemnie zaskakuje psychologa, ponieważ badania nad dużymi grupami zamkniętymi przez długi okres na niewielkiej przestrzeni wykazały, że z reguły kończy się to przemocą i krwią na ścianach. Iturra, który jest zwolennikiem opracowanej przez amerykańskiego psychologa Carla Rogersa psychoterapii zorientowanej na pacjenta, uważa, że może leczyć górników tak jak wszystkich innych pacjentów.

– To będzie współpraca, będziemy działali razem, dopóki się nie wydostaniecie – mówi Iturra do górników przez telefon. – Będę tutaj z wami aż do końca.

Oznajmia też, że nie interesuje go to, co się między nimi wydarzyło w ciągu siedemnastu dni przed ich znalezieniem.

– Nie jestem tutaj po to, żeby was osądzać. Robiliście to, co musieliście.

Iturra dostał różne teczki z materiałami na temat górników dostarczonymi przez chilijskie instytucje medyczne i socjalne. W dokumentacji tej rejestrowano wiele potyczek tych mężczyzn z udrękami, w jakie obfituje górnicze życie, a także różnych komplikacji rodzinnych i miłosnych, które są powszechne wśród chilijskich robotników. Jeden z górników ma na koncie próbę samobójczą, dwóch jest epileptykami, u innego zdiagnozowano kiedyś chorobę dwubiegunową. Ponadto psycholog wie z własnych obserwacji, że kilku z nich ma

kochanki, których istnienie zostało po raz pierwszy potwierdzone albo ujawnione dopiero w miasteczku namiotowym. Alberto Iturra specjalizuje się w pomocy psychologicznej górnikom, dlatego żadna z tych informacji go nie bulwersuje. Wie, że oprócz stresów i bolączek górniczego życia na dole istnieje też mnóstwo męstwa, braterstwa i poczucia własnej wartości, które rodzi na wskroś zmaskulinizowana górnicza kultura. Jednak ani Iturra, ani żaden inny Chilijczyk nie mają doświadczenia w leczeniu ludzi, którzy tak długo przebywali w izolacji od świata. Jeżeli rzeczywiście będą siedzieli w kopalni aż do Bożego Narodzenia, będzie to oznaczało pobyt pod ziemią dwa razy dłuższy od najdłuższego dotychczas zarejestrowanego w historii ludzkości. Są jak ludzie przebywający w kamiennej stacji kosmicznej albo rozbitkowie na martwej planecie. Żeby się dowiedzieć, jak człowiek znosi takie warunki, Iturra za pośrednictwem e-maili konsultuje się z NASA. Albert W. Holland, psycholog z amerykańskiej agencji kosmicznej, niedługo przyleci z Houston (razem z dwoma lekarzami i inżynierem NASA). Holland poinformował e-mailowo Iturrę, że musi przygotować górników i ich rodziny na to, że izolacja potrwa jeszcze długo.

– Myślenie w długiej perspektywie – tak to nazywa psycholog. – Mamy tutaj maraton. *Un maratón.*

Chilijscy psycholodzy zaczynają propagować metaforę maratonu wśród górników i ich rodzin.

Przebywający w Międzynarodowej Stacji Kosmicznej astronauci co tydzień mają wideokonferencję z rodzinami i teraz chilijski zespół ratowniczy przygotowuje dla zasypanej trzydziestkitrójki górników coś podobnego. Na razie nie ma połączenia wideo między powierzchnią a kopalnią, więc ratownicy proszą każdą rodzinę, żeby nagrała wiadomość

wideo do przesłania pod ziemię. Psycholodzy mówią im, żeby przekazywali pozytywne myśli i nie mówili o rodzinnych kłopotach.

Kiedy członkowie rodziny Alexa Vegi gromadzą się pod plandeką na zboczu góry, żeby nagrać swoją wiadomość, pamiętają o tych instrukcjach.

– Cześć, kochanie – zaczyna żona Alexa Jessica. Alex zobaczy ją po raz pierwszy od czasu, kiedy nie chciała go pocałować przed wyjściem do pracy. Kobieta mówi łagodnym i naturalnym głosem, który kłóci się z tym wszystkim, co przeżyła przez ostatnie trzy tygodnie: od pierwszych dni, kiedy bardzo się starała utrzymać codzienną rutynę w życiu dzieci, tak jakby nic się nie stało, aż po zmartwienia tych ostatnich dni czekania, kiedy mnóstwo ludzi uznało górników za zmarłych.

– Jestem, przekazuję ci całą moją siłę, mój *cariño*. Dzieci są zdrowe. Całują cię.

Z leciutkim erotycznym zabarwieniem w głosie mówi, że kiedy Alex wyjdzie na powierzchnię, „uczcimy to, jak należy”. Jessica siedzi na tle chilijskiej flagi, do której przypięte jest zdjęcie Alexa, gładko ogolonego i przystojnego jak gwiazda filmowa. Jako następny zabiera głos Roberto Ramirez, *mariachi*, który napisał piosenkę na cześć Alexa. Roberto jest chłopakiem siostry Alexa i zwraca się do niego jego przydomkiem – Kaczor.

– Pato, ty wariacie. Aleś nas wystraszył. Jak wyjdziesz, zabieram cię na tequilę i zobaczymy, kto kogo upije.

Siostra Alexa Priscilla mówi optymistycznym tonem:

– Braciszku, to jest lekcja od Boga. Mam nadzieję, że to dostrzegasz. Bóg nie zesłałby na nas próby, której nie bylibyśmy w stanie wytrzymać. Właśnie na tym to polega.

Priscilla żartuje z brody Alexa, którą widziała na filmie, mówi mu, że wygląda z nią „jak wilkołak”. Ojciec Alexa, José, który wszedł do kopalni, żeby spróbować wydostać stamtąd syna, ma na głowie biały górniczy kask.

– Synu, chcę pozdrowić ciebie i wszystkich twoich towarzyszy, twoich braci, bo nie są już tylko kolegami z pracy, ale braćmi w tej wielkiej odysei, którą przeżywacie.

José mówi, że w miasteczku namiotowym zgromadziło się ponad czterdziestu krewnych Alexa, niestety nie da się ich wszystkich zmieścić w tak krótkim nagraniu. Potem starszy Vega przeprasza, że nie ma nic więcej do powiedzenia, bo…

– …my, Vegowie, jesteśmy ludźmi czynu – kończy.

Jeden z kuzynów dodaje:

– Alex, zjednoczyłeś rodzinę Vegów jak nikt przedtem.

I wszyscy zgromadzeni wokół kamery kiwają głowami na potwierdzenie. Na koniec wykonują piosenkę, którą śpiewali w noc poprzedzającą znalezienie górników. *Mariachi* Roberto wskazuje na ojca Alexa, na jego rodzinę i na jego przypięty do flagi portret, żeby podkreślić fakt, że piosenka mówi o Alexie i o nich wszystkich. Na zakończenie Priscilla żartobliwie unosi zaciśniętą pięść i wszyscy wznoszą okrzyk:

– I El Pato wróci!

Dwudziestego ósmego sierpnia trzydziestu trzech uwięzionych pod ziemią górników gromadzi się wokół małego ekranu kamery wideo, żeby obejrzeć te nagrania, pierwsze widoki zewnętrznego świata od dwudziestu trzech dni. Luis Urzúa widzi swoją żonę Carmen, która wygląda na zmęczoną i przygnębioną, i chwilę później pisze do niej list, żeby ją pocieszyć. Dla trzech górników nie ma wiadomości wideo, a przynajmniej tak się wydaje.

„Byli bardzo rozczarowani, zwłaszcza José Ojeda, dla którego była wiadomość, ale pomylili się, kiedy ją puszczali – pisze Víctor Segovia

w swoim dzienniku. – Strasznie się zdenerwował i nawet nie chciał oglądać, kiedy później próbowali mu to pokazać”.

Nagranie przesłane przez rodzinę Galleguillosów zawiera niespodziankę: na ekranie pojawia się dwudziestosześcioletni syn Jorgego – Miguel Angel, który prawie nie utrzymywał z nim kontaktów.

– Przed wypadkiem miałem z nim problem – opowiada później Jorge. – Zbuntował się przeciwko mnie i prawie się z nim nie widywałem.

Ojcostwo jest wyzwaniem dla każdego mężczyzny, ale rola górnika i ojca w Chile zasadniczo się zmieniła za życia Jorgego. Jako sześciolatek, w latach pięćdziesiątych, Jorge patrzył, jak jego ojciec zjeżdża do małej kopalni, podczas gdy on bawił się na zewnątrz. Wydobywał węgiel za pomocą kilofa, a mały Jorge wykopywał dziury w ziemi i nakrywał je deseczkami, które udawały nadszybie. W wieku dwunastu lat wykonywał swoją pierwszą odpłatną pracę, zarzucał pięćdziesięciokilowe wory na grzbiety jucznych zwierząt. Później, podobnie jak Darío Segovia, wynosił z kopalni rudę w zawieszonych na szyi workach z wilczej skóry. Dziesiątki lat pracy pod ziemią zahartowały Jorgego i gdyby go zapytano, dlaczego nadal to robi, chociaż ma już sześćdziesiątkę na karku, prawdopodobnie by odpowiedział: „Kopalnia jest dla odważnych!”. Jorge ciężko pracował, żeby oszczędzić swoim dzieciom zagrożeń i stresów górniczego życia, a nagrodą za to wszystko była postawa jego syna, który nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego ojciec bywa taki szorstki i wściekły. Czwartego sierpnia, dzień przed wejściem do bliskiej katastrofy kopalni San José, Jorge zadzwonił do Miguela Angela, któremu niedawno urodził się chłopczyk. Kilka lat wcześniej pierwszy wnuk w rodzinie Galleguillosów zmarł niedługo po urodzeniu.

– Zapytałem Miguela Angela o *guagua*, szkraba, a on mi na to powiedział: „*¿Qué te importa vos?*”. Co cię to obchodzi?

– A jak się ma twoja córeczka? – spytał starszy Galleguillos.

– Czemu pytasz?! – odwarknął jego syn i na tym się skończyła ich ostatnia rozmowa. Przez siedemnaście dni Jorge zastanawiał się, czy będą to ostatnie słowa, jakie zamienił z synem. Bolesne wspomnienie o opryskliwości Miguela Angela potęgowało w nim poczucie, że zostawia po sobie tak wiele niedokończonych i niezałatwionych spraw.

Ale w pierwszym przesłanym na dół przez rodzinę liście znajdowały się słowa wsparcia od Miguela Angela, a teraz Jorge widzi na nagraniu swoich braci, bratową, bratanicę z Vallenar oraz dwóch synów, po jednej stronie Jorgego, po drugiej – Miguela Angela. Ten sam Miguel Angel, który czwartego sierpnia potraktował ojca tak opryskliwie, teraz kierował do niego słowa otuchy.

– Dbaj o siebie, *viejo*. Bądź tak silny, jak tylko potrafisz.

Po obejrzeniu tego nagrania…

– …poczułem niesamowitą radość – wspomina Jorge. – Bardzo się wzruszyłem. Ale trochę później zrobiło mi się niedobrze. Ogarnął mnie smutek. Trudno to opisać.

Jedna z rzeczy, których najbardziej w życiu pragnął, czyli wyrazy szacunku ze strony syna, na długi czas wpędza Jorgego w głębokie przygnębienie. Próbuje to sobie jakoś wytłumaczyć. Być może podziałało tak na niego uświadomienie sobie, że musiał zostać pogrzebany żywcem, aby jego syn wybaczył mu to, co go tak u ojca zezłościło. A może chodziło po prostu o to, że nie mógł teraz być ze swoim synem, który znowu z nim rozmawiał, albo zobaczyć nowo narodzonego wnuka i reszty rodziny, o której wie, że się pojednała i zebrała w jednym miejscu na powierzchni.

– Bardzo chciałem być z nimi – wyzna później.

W swoim długim górniczym życiu Jorge musiał być odważny i silny. Musiał być odważny, kiedy w wieku dwunastu lat po raz pierwszy wszedł

do kopalni, i musiał być silny, kiedy dawno już przekroczył pięćdziesiątkę i kopalnia poniewierała jego mięśnie i płuca. Ale nigdy wcześniej nie musiał być aż tak odważny i silny, kiedy osłabiony dwoma tygodniami głodu i wilgoci, karmiony przez innych, otrzymał od rodziny pozdrowienia, których nie mógł odwzajemnić. Niespodziewanie się okazało, że to, co miało podnieść go na duchu, sprawiło mu ból. Kilka dni wcześniej rozpaczliwie chciał coś zjeść, ale Ensure, odżywka o smaku czekoladowym, którą ratownicy przysłali im na dół, burzy mu się w żołądku.

– To skradzione z szafki mleko zemściło się na nas wszystkich – mówi.

Kiedy Pastor José Henríquez wypija swoją butelkę Ensure, dostaje takich torsji, że omal traci przytomność. Widzi to Pedro Cortez i oddaje swoją butelkę innemu górnikowi. U wielu z nich pojawiają się pierwsze objawy zaburzeń jelit i dróg moczowych, które będą ich dręczyły przez następne dni. Kilku ma pełny pęcherz, ale nie może oddać moczu. Kiedy dolegliwości stają się nie do zniesienia, Mario Sepúlveda mówi Yonniemu Barriosowi, pielęgniarzowi, żeby podczas następnej rozmowy z lekarzami na powierzchni poprosił o jakieś lekarstwo. Jorge Galleguillos ma jeszcze mniej sił, żeby uporać się z tymi dolegliwościami. Jego nogi są tak spuchnięte, że przejście kilku kroków sprawia mu ból. Grzybica rozprzestrzeniła się po całym ciele. Na codziennym spotkaniu często nie potrafi wstać i górnicy gromadzą się wokół niego, żeby się pomodlić o jego powrót do zdrowia.

Po przebiciu odwiertu i dotarciu ratowników do uwięzionej trzydziestkitrójki wpisy w dzienniku Víctora Segovii nie zawsze są optymistyczne. „Claudio [Yáñez] psuje mi nastrój, śpi cały dzień, a jak się obudzi, to wszystko krytykuje… [Darío] Segovia o mało nie pobił się na pięści z Franklinem – pisze Víctor dwudziestego czwartego sierpnia. –

Wszyscy są w fatalnych nastrojach. Przed przybyciem pomocy był spokój. Codziennie się modliliśmy… Teraz, zamiast być bardziej zjednoczeni, ciągle się kłócimy i awanturujemy…”. Mniej więcej co drugi dzień Víctor odnotowuje dudnienie wewnątrz góry przypominające o oberwaniu skały, które ich uwięziło. Ucieczka od tych dźwiękowych tortur wydaje się drażniąco blisko, ale na razie Víctor może tylko czekać na ratunek i na kolejne porcje kalorii.

– Teraz wiem, jak się czuje zwierzę w niewoli, wciąż zależne od ludzkiej ręki, która je karmi – powie później Segovia.

Prawie codziennie w jego dzienniku pojawia się informacja o jakiejś trywialnej kłótni, ale dwudziestego ósmego sierpnia, po obejrzeniu pierwszych wiadomości wideo od rodzin, Víctor jest w optymistycznym nastroju: „Wszystko jest dobrze zorganizowane… Dzisiaj jesteśmy w całkiem dobrych nastrojach. Jesteśmy bardzo szczęśliwi”. Po paru tygodniach od momentu, kiedy prawie wszyscy zrzucili z siebie przepocone ubrania, do kopalni zjeżdża dostawa stylonowych koszul. Są w tym samym czerwonym kolorze, co koszulki chilijskiej reprezentacji piłkarskiej, i wielu górników zaczyna je nosić.

Wieczorem dwudziestego ósmego sierpnia rano drużyna chilijskich bohaterów zbiera się na spotkanie w nowych uniformach. „Rozmawialiśmy o bardzo prywatnej sprawie dotyczącej czasu, kiedy stąd wyjdziemy – pisze Víctor w swoim dzienniku. – Tylko my wiemy, co tutaj przeżyliśmy. W swoim czasie podzielimy się tym z innymi”. Tematem spotkania jest właśnie historia, którą przeżywają. Wcześniej byli anonimowymi ludźmi narażającymi życie w gównianej kopalni, teraz zaś rozmawiają z prezydentem i ministrami, a nawet z ukochanym chilijskim idolem, gwiazdą piłki nożnej, Iványem Zamoraną, który ma krótkie telefoniczne *tête-à-tête* z Franklinem Lobosem (w latach osiemdziesiątych przez dwa lata

grali w jednej drużynie). Zaraźliwe poczucie, że są celebrytami, udziela się zwłaszcza Mariowi Sepúlvedzie, który przebąkuje, że na opowiadaniu ich historii będzie można zarobić mnóstwo pieniędzy. Przez szybik zaczynają zjeżdżać gazety i górnicy czytają artykuł porównujący ich do urugwajskiej reprezentacji rugbistów, których samolot rozbił się w Andach. W artykule napisano, że Urugwajczycy sprzedali prawa do książki i filmu o swoich przygodach. Juan Illanes mówi, że historia wypadku w kopalni San José należy do nich wszystkich i muszą się nią podzielić po równo. Jest to tak oczywiste, że nikt z nim nie polemizuje. Illanes dodaje, że powinni przestrzegać założeń zawartego wcześniej paktu milczenia na temat wypadku i późniejszych wydarzeń oraz że prowadzony przez Víctora Segovię dziennik jest zapisem ich zmagań i powinien należeć do nich wszystkich. Górnicy się z nim zgadzają: Víctor Segovia jest ich oficjalnym kronikarzem.

Następnego dnia Víctor pisze nowym długopisem i w nowym notatniku, o których przesłanie poprosił swoją rodzinę. Mario Sepúlveda przychodzi z nim porozmawiać. Dziennik Víctora jest „świętym przedmiotem”, mówi Mario, w przyszłości może stać się książką, która będzie zawierała ich historię, a zatem dla nich wszystkich dziennik jest wart mnóstwo pieniędzy. Víctor zastanawia się i notuje: „Pisałem ten dziennik po to, żeby przeżyć, a nie żeby zrobić z niego książkę… Nie miałem świadomości, że to taka wielka sprawa”. Víctor, który zakończył edukację na piątej klasie szkoły podstawowej, kiedy go z niej wyrzucono za bójki, nigdy nie sądził, że przelewanie słów na papier może zwiększyć jego poczucie wartości albo że któregoś dnia będzie się uważał za pisarza. Nigdy nie wyjechał poza pustynne miasta i miasteczka wokół Copiapó, ale pod ziemią stał się kronikarzem historii, która pewnego dnia okrąży świat.

W przyczepach i barakach na powierzchni, gdzie szefowie zespołu ratowniczego założyli obóz, wydaje się, że cały świat chce udzielić im wsparcia.

– Mogliśmy poprosić o dostarczenie nam wszystkiego, z dowolnego miejsca, i ludzie próbowali nam to załatwić – opowiada później Cristián Barra.

Do kopalni zmierzają eksperci od odwiertów i maszyn wiertniczych z całego świata: z Johannesburga i Berlina w Pensylwanii, z Denver i Calgary, a także z bazy amerykańskiej armii w Afganistanie. Chilijczycy planują zorganizowanie akcji ratowniczej na wzór jednej z największych w historii górnictwa, która miała miejsce w pensylwańskiej kopalni Quecreek w 2002 roku, i będą do tego potrzebować obsady z całego świata.

Dziewięciu górników w Quecreek przypadkowo doprowadziło do zalania kopalni, co odcięło im drogę na powierzchnię. Ratownicy wydrążyli pionowy szybik, który miał siedemdziesiąt trzy metry długości i siedemdziesiąt pięć centymetrów średnicy, a następnie wyciągnęli górników w stalowym koszu. Chilijczycy będą musieli wywiercić osiem razy dłuższą dziurę. Sprowadzają w tym celu jedną z największych wiertnic w Chile, australijską maszynę Strata 950 udostępnioną przez oddział Codelco w leżącej w pobliskim Piątym Regionie Chile – Andinie. W odróżnieniu od mniejszych maszyn, które drążyły trzy ukośne szybiki, to trzydziestojednotonowe monstrum może drążyć tylko pionowo w dół. Prace zaczynają się trzydziestego sierpnia w pobliżu miejsca, które uznano za zbyt niestabilne, kiedy trzy tygodnie wcześniej zespół Eduarda Hurtady z Terraservice chciał tu przystąpić do pierwszego odwiertu. Jego wykonanie potrwa aż do grudnia, ale jeszcze zanim się zacznie, Igor Proestakis, mechanik jednego z zespołów wiertniczych, przedstawia swoim szefom alternatywne rozwiązanie: można po prostu poszerzyć trzeci,

piętnastocentymetrowy otwór, który dotarł do warsztatu, używając coraz szerszych wierteł. Kilka dni później André Sougarret akceptuje pomysł wywiercenia drugiego otworu ratowniczego, który zostaje nazwany Planem B. Drążenie będzie miało dwie fazy: najpierw zostanie wykonany szybik o średnicy trzydziestu centymetrów, a później poszerzy się go do siedemdziesięciu pięciu centymetrów.

Z Planem B jest jednak pewien problem: nikt wcześniej w Chile nie wiercił tak głębokiej, siedemdziesięciopięciocentymetrowej ukośnej dziury. Do wydrążenia tak długiego ukośnego szybiku najlepiej nadaje się schramm T130XD i taka właśnie maszyna rusza w drogę do Copiapó z oddalonej o ponad dziewięćset kilometrów na północ kopalni Collahuasi. Po konsultacjach z zakładami górniczymi z całego świata zespół Sougarreta postanawia, że w celu przyspieszenia robót przyjmie ofertę spółki Center Rock Inc. z Pensylwanii, która zaproponowała jedną ze swoich maszyn wieloświdrowych z czterema koronkami wielkości piłki do siatkówki na jednej prowadnicy. Sprzęt ten, ważący jedenaście ton i osiemset kilogramów, zostanie użyty w drugiej fazie Planu B. Firma kurierska United Parcel Service (UPS) zgadza się go przetransportować za darmo: najpierw ciężarówką z Pensylwanii do Miami, następnie samolotem do Santiago i wreszcie ciężarówką do Copiapó, dokąd maszyna przyjeżdża jedenastego września. W Chile są oczywiście bardzo dobrzy inżynierzy wiertniczy, ale przy takiej głębokości i nachyleniu odwiertu potrzebny jest operator potrafiący zmusić maszynę do wykonywania zadań, do których nie jest przeznaczona. Chilijczycy zwracają się o pomoc do ekspertów wiertniczych z firmy Layne Christensen ze stanu Kansas:

– Jakiego macie najlepszego operatora schramma T130?

Firma wzywa do siebie Jeffa Harta, który jest w Afganistanie i wierci tam dziury w ziemi, żeby amerykańscy żołnierze mieli wodę do picia

i kąpieli.

Wkrótce rusza realizacja Planu A i Planu B, ale oba wymagają, by sprzęt wiertniczy pracował na wyższych parametrach, niż jest do tego przeznaczony, w związku z czym prawdopodobieństwo porażki jest wysokie. Sougarret postanawia dołożyć jeszcze Plan C: zbudować olbrzymią platformę wiertniczą, taką jak te, jakie wykorzystywane są do wydobycia ropy naftowej. Jej zmontowanie potrwa wiele dni, ale kiedy już zacznie działać, będzie wierciła szybciej, niż zakładał Plan A. Kanadyjska spółka Precision Drilling Corporation ma taką wiertnicę – Rig 421 – która stoi bezczynnie w południowym Chile. Do przywiezienia jej z oddalonego o tysiąc kilometrów pola naftowego potrzeba trzydziestu siedmiu tirów. Technologii, która naprowadzi odwiert na cel, a także inżynierów, dostarczy firma Murray & Roberts z siedzibą w RPA.

W serii rozmów telefonicznych Sougarret przedstawia Luisowi Urzúi zarys wszystkich trzech projektów wiertniczych. Nie ma oczywiście znaczenia, który z nich zapewni sukces. Urzúa dochodzi jednak do wniosku, że najszybszy prawdopodobnie będzie Plan B.

Rząd Chile sprowadza kadry z kilkudziesięciu różnych instytucji, zatem na terenie zakładu lub w pobliżu mieszka wielu urzędników wysokiego szczebla, między innymi dwóch członków gabinetu prezydenta. Można by pomyśleć, że Chilijczycy wysyłają rakietę na Księżyc, a podróż w przestrzeń kosmiczną powinna mieć swoją nazwę. Minister zdrowia Jaime Mañalich dzwoni do prezydenta Piñery i proponuje, żeby nazwali ją operacja „San Lorenzo”, od patrona górnictwa.

Prezydent nie jest zachwycony tym pomysłem, jak twierdzi Carlos Vergara Ehrenberg w swojej zakulisowej relacji z tych wydarzeń.

– „Lorenzo” – powtarza prezydent. – Nie, to za bardzo kojarzy się z Laurence’em, Laurence’em Golborne’em – mówi.

Doradcy prezydenta z La Moneda nadal zlecają tajne sondaże na temat akcji ratowniczej i z niedawno uzyskanych danych zaczęła się wyłaniać niepokojąca tendencja: notowania prezydenta są wysokie, ministra Golborne'a zaś jeszcze wyższe. Golborne, który kiedyś zajmował mało eksponowane stanowisko w gabinecie Piñery, stał się twarzą akcji ratowniczej i zaczyna przyćmiewać swojego szefa.

– Nazwijmy to operacją „Prorok Jonasz" – mówi prezydent.

Nazwa ta jednak nie chwyciła. Obecni w San José przedstawiciele chilijskich i światowych mediów cały czas stosują określenie, którym nieformalnie posługują się członkowie ekip ratowniczych: operacja „San Lorenzo".

Kiedy rusza „San Lorenzo", psycholog Iturra stara się podnieść na duchu zasypanych górników i powstrzymać ich przed naskakiwaniem na siebie nawzajem. Na szczęście dysponuje silnym, podnoszącym poziom radości lekarstwem: głosami ich bliskich, które mogą usłyszeć przez telefon. Dwudziestego dziewiątego sierpnia żony, bracia, matki, siostry, ojcowie, synowie i córki uwięzionych kolejno mijają szpalery policjantów i bramki, wchodząc do małej blaszanej budki (mniej więcej dwa na dwa i pół metra), w której znajduje się centralka telefoniczna. Budka stoi na piaszczystej ziemi kilka kroków od dziury, która dociera do *Los 33*. W środku jest kamera i mikrofon połączone z kamerą i mikrofonem znajdującymi się w chodniku na dole. W ramach przygotowań do tej akcji psycholog napisał do uwięzionych mężczyzn list. Przekazał im między innymi, że ci, którzy mają dwa domy albo skomplikowaną sytuację z kobietami, podczas tych telekonferencji powinni dać pierwszeństwo swoim żonom i rodzinom.

– Powiedziałem im tak, bo wiedziałem, że w miasteczku namiotowym zaczęły się już konflikty między żonami i kochankami górników – powie

później. – Poinformowałem również, że tak będzie łatwiej, bo kochanki z reguły są dużo bardziej wyrozumiałe niż żony.

Niektóre kochanki mają zresztą kłopoty z dostaniem się do miasteczka. Susana Valenzuela, dziewczyna Yonniego Barriosa, mówi, że niedługo po pojawieniu się pieniędzy od Farkasa żona Yonniego Marta „zdradziła ją”. Teraz carabineros biorą ją pod pachy i odciągają od nowego Campo Esperanza, zbudowanego po to, żeby rodziny górników miały trochę prywatności, z dala od mediów. Dwudziestego ósmego sierpnia agencja Associated Press fotografuje Susanę koło miasteczka, trzymającą w rękach kartkę z dużym napisem: „Odwaga bycia obecnym”, a także zdjęciem Yonniego i znacznie mniejszym napisem: „Dla Ciebie, Kochanie, Twoja Chanita”. Podpis pod zdjęciem, które okrąża świat, nazywa Susanę żoną Yonniego, ale kilka dni później prawda wychodzi na jaw: uczestniczący w akcji ratowniczej pracownicy socjalni zorientują się, że Yonni w rzeczywistości jest mężem innej kobiety przebywającej w miasteczku namiotowym, a on sam poinformuje ich, że z rzeczoną żoną od lat już nie mieszka (w każdym razie nie mieszka tylko z nią). Ktoś sfotografował w Campo Esperanza Martę ze zdjęciami Yonniego, po czym dziennikarze uruchamiają wyobraźnię i podają do wiadomości publicznej to, że Marta dowiedziała się o istnieniu Susany dopiero po wypadku, kiedy się spotkały w miasteczku namiotowym, podczas gdy tak naprawdę znały się już od wielu lat.

Susana jest nie tylko zdeterminowana, ale też niezwykle pomysłowa – żeby przedostać się do zakazanych dla niej części Campo Esperanza, ucieka się do szpiegowskiego fortelu. Widzi dostawę ryb i warzyw do wielkiej kuchni, w której przygotowywane są posiłki dla rodzin i ratowników.

– Włożyłam fartuch, wzięłam do ręki rybę i cebulę i po prostu przeszłam bok strażników – opowiada później. – Dziennikarze zauważyli mnie wewnątrz i zapytali, czy jestem krewną któregoś z górników, a ja odpowiedziałam, że nie, że jestem tylko kucharką.

Dzięki temu podstępowi Susana w końcu dostanie się do blaszanej budki i porozmawia z Yonnim wbrew radom psychologa.

Zresztą podczas tych pierwszych rozmów górnicy i członkowie ich rodzin niewiele mogą się nagadać, ponieważ Iturra wyznacza im piętnastosekundowy limit, a druga rozmowa może trwać około minuty. Iturra myśli o psychicznym maratonie, który górnicy będą musieli przebiec, i uważa, że podobnie jak w przypadku pożywienia na początek lepsze będą niewielkie dawki rodzinnej miłości.

– W piętnaście do trzydziestu sekund nie da się przekazać informacji, jest tylko osobiste spotkanie. Jesteś obecny – mówi Iturra. – Możesz powiedzieć: „Kocham cię, możesz na mnie liczyć”, i to wszystko. Nie masz czasu powiedzieć, że twój ojciec jest smutny, twoja babcia jest chora, a twój syn nie chodzi do szkoły.

Iturra stosuje się do porad NASA, ale *Los 33* nie są astronautami, nie zgłosili się na ochotnika, żeby przez wiele miesięcy tkwić pod ziemią. Po tych zbyt krótkich rozmowach telefonicznych górnicy mają zrozumiałe poczucie, że są traktowani jak dzieci.

– Chcemy porozmawiać z naszymi żonami, z naszymi dziećmi – mówią. – Jesteśmy mężczyznami, nie jesteśmy bezradni.

Paternalizm psychologów bije po oczach na nagraniu wideo, na którym żona jednego z górników rozmawia z mężem przez telefon w blaszanej budce.

– *Hola*, cześć, kochanie – zaczyna młoda kobieta łamiącym się głosem.

Iturra siedzi w pobliżu. Widać, że kobieta zaraz się rozklei, więc psycholog mówi do niej, żeby się rozpogodziła.

– *¡Ánimo!* Energicznie!

– Wszyscy są zdrowi – kontynuuje kobieta bardziej optymistycznym tonem. Wymienia krewnych górnika, a potem odzywa się głosem podszytym rozpaczą – Tęsknię za tobą.

– *¡Ánimo!* – rozkazuje psycholog i młoda kobieta znowu próbuje mówić radośniejszym tonem, ale kilka sekund później Iturra poleca jej kończyć rozmowę.

Nawet kiedy ratownicy skonstruują stałe połączenie światłowodowe z kopalnią, za którego pomocą będzie można przesyłać nie tylko sygnał audio, ale również wideo, psycholog nadal będzie ograniczał kontakty górników z rodzinami do mniej więcej ośmiu, dziesięciu minut na tydzień, bo tyle czasu daje NASA swoim astronautom. (Víctor Zamora w końcu stanie na czele krótkiego strajku przeciwko psychologowi, a mianowicie odwróci się plecami do kamery i odmówi rozmowy z rodziną do czasu, kiedy Iturra przedłuży wszystkim górnikom limit telekonferencji). Kontakt ze światem zewnętrznym…

– …wyjmuje cię z twojej rzeczywistości – mówi Iturra. – Przenosi cię do świata, nad którym nie masz władzy.

Psycholog próbuje ochronić górników przed poczuciem bezsilności: pod ziemią mogą pomóc w działaniach ratowniczych, ale nie mogą się wywiązywać ze swoich ojcowskich czy synowskich obowiązków. Są potrzebni w swoich domach i są bogaci (tak im się w każdym razie wydaje), są znani, a dzieci trzeba wykarmić i obronić przed światem. Górnicy na razie nie mogą przebywać w tym świecie, ale mimo że Iturra próbuje ich przed nim chronić, utrzymują jakiś kontakt, bo wbrew podejrzeniom wielu z nich nikt nie cenzuruje ani nie monitoruje

korespondencji, docierającej do nich. Za pośrednictwem „poczty”, która zjeżdża w *palomas*, Zamora dowiaduje się, że jego syn jest dręczony w szkole: „Twój tata nigdy się nie wydostanie! Zmiażdżyła go skała!”.

Franklin Lobos otrzymuje informację, że na górze jest jego była żona i że jego dzieci liczą na ich pojednanie. Do innych docierają wieści, że kobiety ich życia usłyszały głos Boga i postanowiły, że trzeba pójść o krok dalej i wziąć ślub. W jednym z pierwszych listów otrzymanych przez Edisona Peñę jego dziewczyna, Angelica Alvarez, podejmuje temat małżeństwa, na co Edison odpowiada: „Nie rozumiem, dlaczego chcesz wychodzić za mnie za mąż… Miałem mnóstwo czasu, żeby się zastanowić nad tym wszystkim, co zniszczyłem, i nad wszystkimi cierpieniami, które Ci zadałem… ale nie chciałbym być z nikim innym i chciałbym Cię uszczęśliwić, mimo że nigdy dotąd mi się to nie udało”.

List jakimś sposobem trafia do madryckiej gazety „El País” i wyznanie Edisona zaczyna krążyć po hispanojęzycznym świecie. Może górnicy nie są całkowicie niezdolni, by pomóc swoim rodzinom – mogą teraz wysyłać polecenia i śledzić sytuację, przynajmniej telefonicznie – ale niewątpliwie nie mają żadnej ochrony przed mediami. Niektórzy dziennikarze są gotowi zapłacić rodzinom za ujawnienie treści listów od górników, ale większość je zwyczajnie wykrada i chilijskie gazety zaczynają przedrukowywać obszerne fragmenty korespondencji z kopalni. Listy wracają potem pod ziemię, jednak wbrew podejrzeniom górników Iturra i inni szefowie zespołu ratowniczego postanowili, że gazet również nie będą cenzurować.

Gazety z Santiago są zwijane i wsuwane do *palomas* przez pracowników biura gubernatora prowincji, na których spoczywa obowiązek zaopatrywania górników w lekturę. Kiedy zasypani po raz pierwszy otwierają te cenne doniesienia ze świata na powierzchni, widzą, jacy się stali sławni – ich zdjęcia zajmują pierwsze strony gazet. Owszem,

niektórzy, co bardziej pruderyjni pracownicy biura gubernatora, wycinają zdjęcia i reklamy ze skąpo odzianymi kobietami, ale nikt nie zatrzymuje na przykład wydania „La Tercera” z dwudziestego ósmego sierpnia, gdzie znajduje się reportaż o jednym z górników, który zostaje potraktowany jak celebryta, a w tekst wpleciono fragmenty listu wysłanego przez niego z kopalni. Kiedy trzydziestu dwóch innych górników czyta te słowa, mają nieoczekiwaną okazję zajrzeć w psychikę Maria Sepúlvedy.

ROZDZIAŁ 13

ABSOLUTNY PRZYWÓDCA

Na przekór tytułowi „La Tercera” (Trzecia) jest drugą pod względem nakładu gazetą w Chile. Wydanie z dwudziestego ósmego sierpnia zawiera rozkładówkę na temat Maria Sepúlvedy przygotowaną po gwiazdorskim występie górnika w chilijskiej i światowej telewizji. Można tam przeczytać, że zdjęcie Maria pojawiło się na pierwszej stronie „New York Timesa”, „Guardiana” i „El País”. Dziennikarz cytuje jego wypowiedzi z nakręconego dwudziestego szóstego sierpnia materiału wideo i rozmowę z żoną Elvirą. „Nie jest zaskoczona, że jej mąż przejawia cechy naturalnego przywódcy”, pisze autor artykułu. Są też cytaty z listu Maria do rodziny, w którym Sepúlveda opisuje, jak górnicy sobie radzą. „Jestem absolutnym przywódcą – brzmi cytat. – Wszystko organizuję, wydaję polecenia i nigdy nie tracę panowania nad sobą. Ale najpiękniejsze jest to, że mnie szanują i nic się nie dzieje bez mojej wiedzy”. Elvira mówi, że pracownik socjalny z biura gubernatora ukradł list i przekazał go gazecie, ale wielu członków rodzin górników w to wątpi. Wciśnięte do *palomas* razem z wieloma innymi gazetami czasopismo z tym artykułem dociera pod ziemię i zaczyna krążyć wśród górników. Czytają o sobie w szarym blasku sztucznego światła, wewnątrz jaskini, w której są uwięzieni, trzymają przed sobą gazetę, z której patrzy na nich Mario.

Słusznie czy niesłusznie, innym górnikom artykuł pachnie autopromocją. Mario jako jeden z pierwszych zasugerował, że mogą się wzbogacić na opowiadaniu swojej historii, a ten artykuł wskazuje, że górnik próbuje skupić uwagę mediów na sobie samym, jego żona zaś stara się z niego zrobić medialną gwiazdę. Inni górnicy odbierają jego wypowiedzi jako jednocześnie zabawne i obraźliwe. Myśleli, że wszyscy wspólnie podejmują decyzje, a teraz widzą, że reszcie świata się wmawia, że to Mario jest ich „absolutnym przywódcą", z którym oni wszystko konsultują. Siedzą pod ziemią od prawie czterech tygodni i walczą o to, żeby nie zwariować, kilku próbuje znaleźć drogę na powierzchnię, wszyscy są zatroskani o stan innych. Mario nieraz wyszedł z inicjatywą, żeby zrobić coś pożytecznego, ale zawsze ktoś mu pomagał: kiedy szukał wyjścia przez szyb wentylacyjny, poszedł z nim Raúl Bustos, a kiedy z wściekłością wezwał wszystkich do modlitwy, poprowadzili ją José Henríquez i Osmán Araya. Poza tym to prawda, że było wiele sytuacji, w których Mario próbował podnieść kogoś na duchu swoim mobilizującym głosem, ale było też równie wiele innych, kiedy to on się rozpłakał i załamał i musiał być pocieszany. Tymczasem w tym reportażu, który dociera do wszystkich zakątków Chile, Mario Sepúlveda twierdzi, że jest ich kapitanem, ich bohaterem.

Kilku górników, zwłaszcza mechanicy, widzi w artykule dowód na maniakalną potrzebę Maria, żeby być w centrum uwagi, co potęguje ich nieufność wobec niego. Raúl Bustos przy każdej okazji zaczyna bezlitośnie szydzić z przechwałek Maria.

– Raúl zaczął mnie zaczepiać, żartować i śmiać się ze mnie – opowiada później Mario. – Mówił na przykład: „Nigdy nie będziesz niczyim szefem. Za kogo ty się uważasz?". José Aguilar też tak robił.

Mario tłumaczy swoim wściekłym kolegom, że napisał ten list po to, żeby podnieść na duchu swojego syna, chłopca, którego rozpaczliwie chce ochronić: podał się za jedynego przywódcę, bo chciał, żeby Francisco uwierzył, że jego ojciec jest jego „walecznym sercem”, jego Melem Gibsonem, który prowadzi górników do walki. Wyjaśnienia Maria nie podreperowały jednak jego reputacji, a list zaostrzył podziały między trzydziestkątrójką.

Ci, którzy nocują w Schronie i obok niego, biorą stronę człowieka z sercem psa.

– Naszym przywódcą pod ziemią był Mario Sepúlveda – mówi później Omar Reygadas. – Dzięki niemu jakoś się trzymaliśmy. Nie możemy temu zaprzeczyć i ja nigdy tego nie zrobię, bo nie jestem niewdzięcznikiem.

Kiedy Franklin Lobos słyszy zaczepki Bustosa wobec Maria, oskarża Raúla o „świadome dzielenie grupy”. Sam Mario uważa, że jego wrogowie próbują go *mariconear* – ten chilijski idiom oznacza spiskowanie przeciwko komuś i wywodzi się od obraźliwego określenia homoseksualisty. Mario nigdy nie należał do ludzi, którzy potulnie kładą uszy po sobie, postanawia zatem „położyć karty na stole” i maszeruje na poziom sto pięć, żeby rzucić rękawicę swoim wrogom.

– Byli tam Luis Urzúa, Juan Illanes, Jorge Galleguillos, wszyscy. Podszedłem i powiedziałem: „Posłuchaj, skurwysynu[11], wyjaśnijmy sobie coś. Nie jestem szefem. Ale szefem, ty dupku, jest ten ćwok, który przez dwadzieścia cztery godziny na dobę martwi się o tych ludzi, o tego faceta, którego boli brzuch i który potrzebuje pomocy. Szefem jest *huevón*, który dba o to, żeby wszystko było posprzątane. Szefem jest ten ćwok, który musi powiedzieć ludziom, żeby posprzątali swoje miejsce pracy. Szefem jest *huevón*, który właśnie przyszedł z poziomu sto dwadzieścia i założył rękawiczki, żeby posprzątać gówno, które ci faceci zostawili w całej

ubikacji, a jeden wziął swoje własne gówno i posmarował nim drzwi. Wiesz, który *huevón* jest tym *huevónem*, który to wszystko robi? Ja, skurwysynu”.

Później Mario rozmawia przez telefon z psychologiem, któremu zarzuca (bez żadnych dowodów) przekazanie listu prasie.

– Ty sukinsynu – zaczyna. – Jaki z ciebie profesjonalista, ty dupku, że pozwoliłeś dziennikarzom dorwać ten list?

Kiedy Mario próbuje posprzątać bałagan, którego narobił, niektórzy zwracają uwagę, że monopolizuje połączenie telefoniczne z powierzchnią i nie podlega limitom czasowym, obowiązujących innych górników. Nawet koledzy, którzy lubią Maria, uważają, że nagle zdobyta sława uderza mu do głowy: Víctor Segovia opisuje w swoim dzienniku, jak sfrustrowany Mario chodzi tam i z powrotem, bo został celebrytą, ale nadal tkwi w tej dziurze i w żaden sposób nie może wykorzystać swojej sławy. Spośród tych, którzy mu nie ufają, najbardziej skłonny do mówienia o swoich podejrzeniach i obawach dotyczących człowieka z sercem psa jest Raúl Bustos. Uważa Maria za pospolitego chuligana, faceta urządzającego burdy, który mógłby trafić do więzienia. Od przebicia odwiertu Raúl słucha, jak Mario i Víctor Zamora rzucają niepokojąco brutalnymi żartami na temat tych dni, kiedy wszyscy byli na skraju śmierci głodowej.

– Mówili, że mają nóż kieszonkowy i użyją go do zarzynania, *faenar*, ludzi. Że zjedzą pierwszego, który padnie. Mówili, że to żart, ale z takich rzeczy się nie żartuje… Przejrzałem ich. Widziałem, że mają w sobie coś okrutnego.

Słusznie czy niesłusznie, Bustos uważa, że dzięki prawości mechaników szef zmiany Luis Urzúa nie dał się zdominować Mariowi i jego „klanowi” ze Schronu. Raúl boi się o swoje osobiste bezpieczeństwo,

zwłaszcza odkąd zasłużył sobie na wrogość Maria, i w jednym z listów dzieli się tymi obawami ze swoją żoną.

– Raúl mówił, że źle spał – relacjonuje później Carola Bustos – bo zawsze miał jedno oko otwarte.

Wielu górników mówi psychologowi Iturrze o tym, że czują się prześladowani przez kolegów.

– Nie można nawet rozmawiać, bo niektórzy kontrolują to, co mówisz – informuje Iturrę któryś z mężczyzn w czasie jednej z wielu konsultacji telefonicznych. – Boję się.

– Zaprzyjaźnij się z kimś, kto cię obroni – radzi mu psycholog.

Słowne utarczki nie ustają i Víctor Segovia każdego dnia opisuje w swoim dzienniku jakąś kłótnię. „Pewnego wieczoru Claudio Yáñez wdaje się w głośną awanturę z Franklinem Lobosem. Franklin zrobił się strasznie humorzasty – pisze Víctor. – Przed pójściem spać Claudio kładzie koło swojego łóżka kawałek rury, ponieważ Franklin groził, że go uderzy. Przez te dwadzieścia dni głodu i rozpaczy zawsze byliśmy solidarni, ale kiedy tylko zaczęło zjeżdżać na dół jedzenie i sytuacja trochę się poprawiła, ludzie powystawiali pazury i chcą udowodnić innym, kto jest większym twardzielem”.

Psycholog nie ma wątpliwości, że górnicy są podzieleni, że panujący wśród nich strach jest naturalnym skutkiem „kryzysu władzy”, władzy na dole. Dowiaduje się o konfliktach z rozmów telefonicznych z górnikami, a także od członków ich rodzin, którzy dostają od nich niepokojące listy. Urzúa jest „biernym przywódcą”, a w sytuacji braku silnego autorytetu „niektórzy próbują przejąć władzę, a inni robią, co chcą”, mówi psycholog.

– Jeżeli ktoś się wyłamywał – opowie później Iturrze jeden z górników – grupa pięciu czy sześciu z nas gapiła się na niego groźnie i narzucaliśmy mu swoją wolę, *hacíamos fuerza*.

Kiedy niektórzy górnicy próbują spać na dostarczonych przez ratowników dmuchanych materacach, zaczyna ich dręczyć nowa obawa: myśl, że są uwięzieni w kopalni nie tylko z braćmi w cierpieniu, ale również z ludźmi, którzy ich nie szanują, mogą ich zaatakować we śnie czy też zdradzić grupę i zagarnąć dla siebie bogactwa, które na nich czekają na powierzchni.

„Myślę, że kłócimy się ze sobą ze strachu”, notuje Víctor Segovia trzydziestego pierwszego sierpnia. Víctor uważa również, że czekające na nich na zewnątrz miliony odbierają niektórym rozum, i jest wdzięczny rodzinie, że w listach od niej nie dostaje żadnych informacji o pieniądzach. Tego samego dnia temat kłótni między górnikami pojawia się podczas codziennej modlitwy. „Modliliśmy się i prosiliśmy Boga, żeby wszyscy zachowali panowanie nad sobą i żebyśmy przestali się tak bardzo kłócić”, pisze Víctor w dzienniku. Kilka dni później w *palomas* zjeżdżają trzydzieści trzy krzyżyki: przybyły z Rzymu i zostały pobłogosławione przez samego papieża Benedykta, słyszą górnicy. Víctor wiesza krzyżyk na pudle obok swojego nowego nadmuchiwanego łóżka i modli się o pokój pośród swoich braci.

Trzydziestkatrójka zasypanych górników z pewnością nie jest dumna z konfliktów, które ich podzieliły w czwartym tygodniu niewoli. Trudno jest sobie jednak wyobrazić jakąś inną trzydziestotrzyosobową grupę, która w podobnych okolicznościach poradziłaby sobie lepiej. Wyobraźcie sobie, że jesteście zamknięci w gorącej i wilgotnej jaskini, przez trzy tygodnie głodujecie i nie macie kontaktu ze światem, a potem musicie znosić globalny cyrk medialny, pozostając uwięzionymi we wnętrzu góry, której trzewia nieustannie burczą, co sugeruje, że mimo wszystko możecie skończyć zmiażdżeni i martwi. Wyobraźcie sobie, że jesteście sławni i bogatsi niż kiedykolwiek, ale także zależni od obcych, którzy decydują, co

i kiedy możecie zjeść i jak długo możecie rozmawiać z rodziną. I wreszcie wyobraźcie sobie presję związaną z tym, że cały naród traktuje was jak symbol odwagi i wszystkich innych cnót kojarzonych z górnictwem, czyli zawodem, na którym opiera się tożsamość waszego kraju.

Dzięki docierającym na dół gazetom górnicy wiedzą, jak wiele znaczy ich historia dla narodu chilijskiego, i czują się odpowiedzialni za to, co zaczęli uosabiać: wytrwałość, wiarę, braterstwo. Dlatego, mimo że padło między nimi wiele ostrych słów, większość nadal próbuje być dumnymi i solidarnymi chilijskimi ludźmi pracy, za których uważa ich świat zewnętrzny. W pewnym sensie zawsze tak to wygląda w kopalni, gdzie przebywanie w klaustrofobicznych i zagrażających życiu warunkach z innymi ludźmi, którzy cię obrażają i kpią z ciebie, należy do górniczej codzienności.

– W kopalni, jeżeli kogoś źle potraktujesz, a następnego dnia on nie ma do ciebie urazy i czujesz, że chce po prostu iść dalej, rodzi to między wami zaufanie – mówi Iturra. – Myślisz sobie: „Ten człowiek mnie nie zawiedzie”.

Dopóki *Los 33* mają się czym zająć, dopóki nadal mogą czuć się górnikami, powinni być w stanie zachować przynajmniej pozory jedności.

I rzeczywiście, udaje im się narzucić sobie pewien rytm pracy, zupełnie inny od kopalnianej rutyny sprzed piątego sierpnia. Przez całą dobę rozpakowują dostawy – lekarstwa i osobiste przesyłki z powierzchni, przeprowadzają konserwację łączy komunikacyjnych i dbają o to, żeby cały czas paliły się światła. Rozpakowywanie *palomas* przynosi różne ciekawe niespodzianki. Powieści kowbojskie, kieszonkowe Biblie i odtwarzacz MP3 dla górnika, który ciągle się na wszystko skarżył – towarzysze dają mu odtwarzacz, żeby go uciszyć. Ale potem kilku innych zaczyna narzekać, że on ma odtwarzacz, a oni nie, więc dla nich też sprowadzają. Żeby górnicy

mieli jakąś rozrywkę, zjeżdża na dół przenośny projektor Samsung SP-H03 Pico: mieści się w dłoni i górnicy oglądają materiały wideo, filmy i programy telewizyjne na żywo rzucane na białe prześcieradło. Ale najlepsze jest to, że w *palomas* zaczyna przyjeżdżać prawdziwe jedzenie. Dzienna dawka wzrasta z pięciuset do tysiąca kalorii na osobę, a wkrótce osiągnie tysiąc pięćset kalorii. Istotniejsze jest jednak to, że kalorie zmieniają postać i górnicy dostają teraz normalne, przygotowane w kuchni na powierzchni posiłki: ryż, zrazy, chleb, kurczaka, makaron, pomidory i gruszki, w małych, ale pysznych porcjach.

Po kilku dniach żarłocznego i pełnego wdzięczności pałaszowania prawdziwego jedzenia ratownicy na powierzchni w przesłanej z powrotem na górę *palomas* znajdują niezjedzone ciastko. Jeden z górników odesłał swój deser i załączył do niego notkę, że ciastko mu nie smakuje. „Nie macie czegoś innego?”. Zwrot deseru to jednoznacznie dobry znak: górnicy nie są już tacy zdesperowani, że zjedzą wszystko, co im się przyśle.

Trzydziestego sierpnia, dzień przed modlitwą o pokój między górnikami na poziomie dziewięćdziesiąt, zespoły ratownicze zaczynają drążyć pierwszy z otworów, przez które chcą wyciągnąć górników na powierzchnię. Strata 950 to maszyna tak duża i skomplikowana, że jej opisanie wymaga zastosowania wielu różnych metafor. Wysokością dorównuje trzypiętrowemu budynkowi i ma strukturę pomnika albo altany, sześć filarów ze stali nierdzewnej, o wysokości mniej więcej dwóch pięter, podtrzymuje duży dach z białego metalu, z którego sterczą cztery białe kolumny. Gmach ten stoi na podeście z niedawno wylanego i dopiero co stwardniałego betonu i mieści w sobie wiele dźwigni hydraulicznych oraz rur, które mają wprowadzić do ziemi świdry wielkości człowieka. Strata 950 zacznie drążyć czterdziestopięciocentymetrowy odwiert pilotowy, a po jego skończeniu inna głowica wiertnicza poszerzy go do siedemdziesięciu

pięciu centymetrów – w otworze o takiej średnicy zmieści się klatka ratownicza. Mniejsza głowica składa się z serii chropowatych tarcz, które zaczynają mielić skałę, drążąc dziurę, do której w celu zmniejszenia tarcia wlewa się trzydzieści pięć litrów wody na sekundę. Strata 950 z chlupotem przebija się przez diorytową górę, obsługiwana przez mężczyzn w żółtych kombinezonach, którzy na trzy zmiany podnoszą, obracają, wyrównują i opuszczają rozmaite ciężkie elementy ze stali, każdy robi co innego, tak jakby pracowali przy miażdżącej skałę taśmie montażowej. Hałas maszyny głośnością i charakterem przypomina odgłos odrzutowca kołującego po pasie startowym. Świder obraca się ze stateczną, lecz regularną prędkością około dwudziestu obrotów na minutę. Maszyna drąży skałę w świetle słonecznym, a potem księżycowym, w nocy robotnicy pracują w świetle białych plam, w których wyglądają jak statyści w filmie fantastycznonaukowym. Próbują dotrzeć do grupy górników-astronautów, którzy nie są już głodni, ale ciągle czekają na uwolnienie sześćset siedemdziesiąt metrów pod ziemią.

Zespół ekspertów medycznych i inżynierów NASA przyjeżdża do Copiapó pierwszego września rano, po dwudniowej podróży z Houston. Podczas jazdy z Copiapó do kopalni San José doktor J. Michael Duncan przygląda się suchemu, bezdrzewnemu krajobrazowi, barwom i fakturom elementów rzeźby terenu, które wyglądają jak żywcem przeniesione z Marsa. Duncan pamięta, że Chilijczycy na tej samej pustyni budują stację badawczą Moon Mars Atacama – te surowe, bezwodne warunki mają posłużyć za laboratorium do badania możliwości istnienia życia na innych planetach. Wchodzą na teren zakładu i natychmiast zauważają gorączkową aktywność ludzi w górniczych kaskach i kombinezonach. Na szczycie góry widzą potężną wiertnicę, która wykonuje Plan A. Pobyt ekspertów NASA w kopalni trwa kilka dni. Czwartego września, kiedy rozmawiają

z chilijskim kierownictwem akcji ratowniczej w jednym z niewielkich biur w San José, słyszą na zewnątrz głośne oklaski. Otwierają drzwi i widzą, że ludzie klaszczą i machają do kierowców kawalkady ciężarówek, które przejeżdżają przez bramę: przybyła pierwsza wiertnica potrzebna do realizacji dwufazowego Planu B.

Chilijscy urzędnicy proszą gości z NASA, żeby porozmawiali z górnikami. Wiele spośród osobistości, które odwiedzają kopalnię, jest kierowanych do budki z centralką telefoniczną i proszonych o zwrócenie się do ludzi na dole: od powieściopisarki Isabel Allende po czterech członków urugwajskiej drużyny rugby, którzy przeżyli katastrofę samolotu w Andach. Albert Holland dostaje do ręki słuchawkę. *Hola*, mówi i przerywa, ponieważ jego znajomość hiszpańskiego na tym się z grubsza kończy. Ekspert nie rozumie potoku hiszpańskich słów, które dobiegają do niego w odpowiedzi.

– Niech pan po prostu powie *bien*, dobrze – podpowiada mu jeden z Chilijczyków. Holland wykonuje polecenie i wkrótce rozmowa dobiega końca. Przedstawiciele NASA spotykają się również z rodzinami górników i zostają im przedstawieni jako członkowie amerykańskiego zespołu kosmicznego, który przyjechał podzielić się z ratownikami swoją fachową wiedzą. Holland mówi, że ratownicy robią wszystko, co w ich mocy, żeby wyciągnąć zasypanych na powierzchnię. Przysadzista, ogorzała kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat występuje przed szereg: eksperci NASA dowiadują się, że jest to „burmistrz” Campo Esperanza. María Segovia jest wzruszona przemówieniem Hollanda. Ta kobieta z Antofagasty, która sprzedaje na plaży *empanadas*, serdecznie ściska wszystkich ekspertów kosmicznych z Houston.

– Zaraz go adoptuję – oznajmia, mając na myśli Hollanda.

Po zachodzie słońca przedstawiciele NASA oglądają spektakl na nocnym niebie. Na tę pustynię od wielu dziesięcioleci przyjeżdżają astronomowie, ponieważ czują się tutaj bliżej kosmosu niż w jakimkolwiek innym miejscu na Ziemi.

– Droga Mleczna ciągnęła się wielkim łukiem od konturów gór za naszymi plecami przez całe niebo aż po góry, które mieliśmy przed sobą – powie później Holland. – Czułem się tak, jakbym stał pod roziskrzoną misą. Pustynia, noc i gwiazdy były zupełnie nieme… Roziskrzone, przedwieczne i nieme.

Pod bezkresnym baldachimem kosmosu odbywała się „gorączkowa działalność" kopalni i zespołów ratowniczych, które próbowały wyciągnąć z wnętrza góry trzydziestu trzech ćwoków.

Trzydziestu trzech zasypanych mężczyzn, którzy na razie nie mogą zobaczyć Drogi Mlecznej, godzina po godzinie siedzi uwięzionych w ciszy i gorącu, które dobywa się ze środka ziemi. Nie słyszą jeszcze wiertnicy wykonującej Plan A i ciszę przerywają tylko sporadyczne jęki górników, którzy jeszcze nie całkiem doszli fizycznie i psychicznie do siebie. Nie są już głodni, ale teraz, kiedy piją bardzo dużo dostarczanej im z powierzchni czystej wody, niektórzy nie są w stanie oddać moczu. Pęcznieją i kiedy ich pełne i obolałe pęcherze odmawiają posłuszeństwa, górnicy kierują swoje skargi do ochotnika medycznego Yonniego Barriosa, który chwyta za słuchawkę i telefonuje na powierzchnię. Zespół medyczny z Ministerstwa Zdrowia wysłuchuje go, a następnie zadaje mu pytanie: „Zakładał pan kiedyś cewnik?". Kiedy pacjent nie jest w stanie oddać moczu, należy wsunąć mu do pęcherza przez członek rurkę. Posyłają Yonniemu na dół cewnik i rękawiczki potrzebne do wykonania tego zabiegu.

– Jeżeli mi powiecie, jak to zrobić, to spróbuję – mówi lekarzom, chociaż kiedy przyszedł do pracy piątego sierpnia, nie spodziewał się, że będzie musiał wsuwać rurki do członków kolegów. Na szczęście, zanim przystąpi do tej niemiłej i kłopotliwej czynności, lekarze mówią mu:

– Niech pan zaczeka, najpierw przyślemy lekarstwo.

Na razie Barrios wypróbowuje sposób domowy: gorące kompresy. Bierze kilka butelek z wodą, stawia na rurze wydechowej jednego z pikapów i włącza silnik.

– Rura była akurat tak gorąca, że podgrzała wodę, ale nie stopiła plastiku – wyjaśnia później Yonni.

Butelki z podgrzaną wodą Yonni zanosi Víctorowi Segovii, który najbardziej cierpi z powodu retencji moczu, i pomaga mu je umieścić między kombinezonem a miednicą. Po kilku godzinach tej terapii z Víctora wycieka strużka moczu. Barrios informuje powierzchnię o tym sukcesie i zostaje poproszony o przesłanie próbki moczu do zbadania.

Następnie zakłada rękawiczki, żeby zająć się najpoważniejszym endemicznym problemem zdrowotnym, który dokucza górnikom: rozprzestrzenianiem się po ich ciałach grzybicy. Zanim dotarli do nich ratownicy, na tę dolegliwość skórną cierpiało tylko kilku z nich, ale odkąd mogą się kąpać, stracili warstwę brudu i sadzy, która chroniła ich przed grzybami, dosłownie lejącymi się na nich teraz jak deszcz. Nieustanny napływ wody chłodzącej maszyny wiertnicze, wysoka temperatura i duża wilgotność w kopalni zamieniły wyrobiska, w których mieszkają, w swoistą fabrykę grzyba. Błoto zaczyna gnić i kiedy powietrze w kopalni się przemieszcza, Yonni czuje smród rozkładu.

– Cuchnęło tak jak po wykopaniu z dna rzeki czarnego błota.

Yonni widzi grzyb rosnący i rozpełzający się po stropie chodników i Schronu.

– To było tak, jakby ze stropu spadały cienkie włoski – wspomina później.

Mycelium, grzybnia, tak się nazywają te igiełki.

– Padały jak deszcz. Były błyszczące i jarzyły się, kiedy się na nie poświeciło. Wyglądały jak przezroczyste włoski.

Grzyb spada na górników śpiących bez koszul, bo jest za gorąco, a kiedy nie śpią, pokrywa nadmuchiwane materace i również na nich zaczyna się plenić. Na ciałach górników wykwitają wściekle czerwone kółka. Yonni zakłada rękawiczki i patrzy, jak grzyb zagarnia całe połacie pleców, ramion i klatek piersiowych jego kolegów z pracy. Każdy ropny liszaj ma kilka milimetrów średnicy i z dnia na dzień sięga coraz głębiej pod skórę, mimo że Yonni cierpliwie i często smaruje skórę kolegów maściami. Ma obawy, że czerwone krosty niedługo zaczną się kazić, a kiedy infekcja wniknie głęboko pod skórę, nie będzie w stanie jej w tej podziemnej saunie zatrzymać. Barrios boi się, że jeżeli zostaną wyciągnięci na powierzchnię dopiero w grudniu, grzyb zacznie zjadać ich wszystkich od środka i połowę z nich zabije. Umrą, a potem zostaną zjedzeni przez tę żywą istotę, która uwielbia wilgoć, ciemności i coraz bledsze ciała górników.

---

[11] Po hiszpańsku Mario powiedział „*concha de su madre*t”, czyli dosłownie „muszla twojej matki”, a w slangu „pizda twojej matki”. Zwrot ten jest jednak w Ameryce Południowej tak często używany, że postanowiłem oddać go tutaj za pomocą trochę mniej obraźliwego *motherfucker* (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 14

KOWBOJE

A może by tak wyjść stąd od razu? Po co czekać do świąt, aż przyjdą po nas ci rządowi ratownicy? Pytanie to pojawia się po raz pierwszy na początku września. Dudnienie i jazgot we wnętrzu góry nie ustały i dla wielu górników te odgłosy są ciężką psychiczną torturą. Trzęsą się w ciemnościach, kiedy próbują zasnąć, i mimo że nie są już głodni, nie czują się sobą. Piątego sierpnia góra wysłała do kopalnianych chodników eksplozje kamieni i toczących się głazów, żeby ich zabić, i teraz każdy podziemny wstrząs czy dygot przypomina im, że może ponowić tę próbę. Niekończące się dźwiękowe i sejsmiczne męki zadawane przez potężną górę, w której są uwięzieni, stopniowo nadwyrężają ich wiarę w to, że jeszcze kiedykolwiek będą naprawdę szczęśliwymi i wolnymi ludźmi.

Yonni Barrios mówi, że mogą wyjść na powierzchnię przez szyby albo przez komorę Pieczary. „Ponieważ Yonni uważa się za gnojka, *se cree capo*, planuje ucieczkę przez szyby, chociaż wie, że są zatkane, a w tych, które nie są, nie ma drabin”, pisze Víctor Segovia szóstego września w swoim dzienniku. Yonni gada o tym tak długo, że udaje mu się przekonać Maria Sepúlvedę i starszych górników, takich jak Estebán Rojas, że jego plan może się powieść. „Yonni jest wystraszony i zdesperowany, i ciągnie za sobą innych – pisze Segovia. – Myślę, że tych, którzy za nim pójdą, czeka

pewna śmierć”. Słuchając kolegów, którzy snują coraz bardziej szczegółowe plany wydostania się z kopalni, Luis Urzúa postanawia zadzwonić na górę i zażądać interwencji telefonicznej jedynego człowieka z powierzchni, do którego górnicy mają całkowite zaufanie: Pabla Ramireza, szefa nocnej zmiany, który próbował ich uratować zaraz po zawale. Ramirez rozmawia z grupą Yonniego, żeby „rozwiać wszelkie wątpliwości” co do możliwości wydostania się. Wszystkie wyjścia połączone z Rampą są całkowicie zablokowane, mówi im, a na poziomie pięćset czterdzieści kopalnia dalej się wali, spadają tam lawiny kamieni, które mogą zabić albo górników, albo ratowników, którzy próbowaliby do nich dotrzeć, gdyby tamci utknęli. Na tym na razie kończą się wszelkie rozmowy o samodzielnych próbach wyjścia.

Trzydziestego czwartego dnia pod ziemią, podobnie jak pierwszej nocy po wypadku, Luis Urzúa uważa, że udało mu się powstrzymać podlegających mu ludzi od samobójczych działań. Jednak Víctor Segovia i wielu innych nadal są na niego źli.

– Smażymy się tutaj i ciągle się kłócimy, ale kiedy ludzie z powierzchni rozmawiają z szefem, on zawsze mówi, że wszystko jest w porządku.

„Urzúa to człowiek z zewnątrz, pracował w San José tylko przez kilka miesięcy, przed zawałem nawet nie znał większości ludzi ze swojej zmiany – pisze Segovia – i wyraźnie trzyma się z mechanikami” (kolejną grupą ludzi, którzy w oczach mieszkańców północy Chile pracujących w kopalni najdłużej, są „z zewnątrz”). Z kolei mechanicy są tak źli na weteranów i „klan” młodych, którzy nocują w Schronie i obok niego, że przestali ładować baterie ich lamp. „Nie mamy teraz żadnego światła”, pisze Segovia.

Żeby spróbować udobruchać zestresowanych górników, Urzúa przekazuje im uzyskaną od Sougarreta i innych informację o działaniach

ratowniczych. Ludzie, wiertnice i inny sprzęt przyjeżdżają ze Stanów Zjednoczonych, Austrii, Włoch i oczywiście z największych kopalni Chile. Siódmego września Urzúa dowiaduje się, że zespół wykonujący Plan B dotarł na głębokość stu dwudziestu trzech metrów (na razie węższym odwiertem), czyli po dwóch dniach prześcignął Plan A. Jeżeli Plan B będzie nadal postępował w takim tempie, to są duże szanse, że kapsuła ratownicza wyciągnie ich z tego piekła długo przed świętami. Wiadomość ta bardzo uspokaja górników. Kolejny potencjalny bunt został udaremniony, ale Urzúa ma na głowie mnóstwo innych zmartwień. Szef zmiany jest ciągle wzywany do telefonu, żeby porozmawiał z najróżniejszymi ludźmi, którzy mają niewiele wspólnego z akcją ratowniczą. Jednego dnia *jefe del turno* słyszy w słuchawce głos ambasadora Palestyny, a innego – ambasadora Izraela. Urzúa rozmawia z różnymi hierarchami Kościoła katolickiego, a także z ewangelikami, ich chrześcijańskimi rywalami. Tak, wszyscy ci dygnitarze dzwonią po to, żeby wyrazić swoją solidarność i przekazać trzydziestu trzem uwięzionym w kopalni mężczyznom, że Chile i cały świat ich wspierają. Urzúa jest wielkodusznym człowiekiem, który umie okazywać wdzięczność, i nigdy nie skarży się na to, że jest traktowany jak zamknięty w klatce celebryta zmuszony rozmawiać z każdym, kogo jego „agenci” z powierzchni uznają za stosowne dopuścić do telefonu, chociaż miałby pełne prawo zaprotestować.

Jefe del turno nie szuka zwady, bo na jego ramionach spoczywa zbyt wielka odpowiedzialność. Jest łącznikiem górników z psychologami, inżynierami, lekarzami, a także, co najważniejsze, z Sougarretem, ministrem górnictwa i prezydentem. W końcu zdaje sobie sprawę, że musi „zacząć cedować niektóre obowiązki na innych”. Samuelowi Ávalosowi, znanemu również jako CD, zleca nadzór nad termometrami i wężami, którymi zaczęto pompować do kopalni trochę świeżego powietrza. (Ávalos

zauważa, że kiedy sprężarki powietrza są wyłączone, a także w niektórych fazach wiercenia, temperatura wzrasta aż do pięćdziesięciu stopni Celsjusza, wilgotność zaś osiąga dziewięćdziesiąt pięć procent). Kiedy do kopalni zjeżdża światłowód, Urzúa wyznacza dwóch młodszych i obeznanych nieco z techniką ludzi, żeby wykonali niezbędne połączenia i przyjęli na siebie rolę nowego zespołu telekomunikacyjnego. Są to dwudziestodziewięcioletni Ariel Ticona, którego żona ma niedługo urodzić dziecko, i dwudziestosześcioletni Pedro Cortez. Nowy zespół telekomunikacyjny szybko wdaje się w spór z Mariem Sepúlvedą, który uważa, że ma prawo w każdej chwili chwycić za słuchawkę i rozmawiać z powierzchnią.

„Perri o mało się nie pobił z Arielem”, notuje Víctor Segovia w dzienniku. Ticona i Cortez rzucają swoje nowe obowiązki i wycofują się do Schronu, ale szefowi zmiany udaje się ich przekonać, żeby wrócili na stanowiska.

Linia światłowodowa zostaje szybko uruchomiona. Siódmego września Cortez, Ticona i inni podłączają ją do przenośnego projektora Samsunga, który rzuca obraz telewizyjny na białe prześcieradło: reprezentacja piłkarska Chile gra mecz towarzyski z Ukrainą. Transmisja na żywo z Kijowa. Drużyna chilijska przed pierwszym gwizdkiem pozuje do zdjęcia w koszulkach z napisem „*Fuerza Mineros*” – „Odwagi, górnicy”. Prawie cała trzydziestkatrójka mężczyzn gromadzi się przed prowizorycznym ekranem, żeby obejrzeć mecz, większość z nich w czerwonych koszulkach, które przysłano im z góry. Kibicowanie zostaje sfilmowane i chilijski rząd przekaże później to czarno-białe nagranie wideo światowym mediom. Franklin Lobos, który kiedyś nosił koszulkę reprezentacyjną jako piłkarz, komentuje mecz dla chilijskiej telewizji, co tylko potęguje zabawny i surrealistyczny charakter tego materiału omawianego przez prezenterów

wiadomości z życzliwym uśmiechem na ustach: grupa robotników uwięzionych pod sześciuset metrami skały robi to samo, co wszyscy normalni faceci, czyli ogląda mecz. Górnicy uśmiechają się i machają do kamery, w identycznych koszulkach wyglądają jak ekipa wysłana z misją do środka Ziemi. Są świadomymi albo nieświadomymi obiektami globalnej rozrywki, ale nie skarżą się, chociaż Víctor Segovia postanawia nie oglądać meczu, ponieważ nie chce, aby ludzie na powierzchni pomyśleli, że w tym podziemnym więzieniu wszystko jest w porządku – bo nie jest. Później więcej górników zbuntuje się przeciwko temu, że są jak rybki w akwarium: na kilka godzin zasłaniają kamerę (umieszczoną tam, gdzie rozładowuje się *palomas*), z której obraz jest wyświetlany na powierzchni.

Część członków rodzin górników również zaczyna oponować przeciwko temu, że katastrofa w kopalni San José stała się wydarzeniem medialnym i pożywką dla kolorowych pisemek poświęconych celebrytom. Oprócz polityków, dyplomatów i filantropów w Campo Esperanza pojawiają się także aktorzy i muzycy, na przykład grający muzykę cumbia ranchera, występujący w kapeluszach stetson chilijski zespół Los Charros de Lumaco. Członkowie rodzin uwięzionych górników otrzymują zaproszenie do autobusów, które zawiozą ich na spektakl kabaretowy w Copiapó, a później będzie rozdawanie bielizny żonom i kochankom górników. Muzycy, satyrycy, aktorzy i handlarze damską bielizną przyjechali tutaj wyłącznie po to, żeby wesprzeć rodziny na duchu, ale Carmen Berrios, żona Luisa Urzúy, nie życzy sobie takiej pomocy.

„Przyjeżdżają tu ludzie z zewnątrz, tak zwani artyści, którzy osobiście mnie nie interesują – pisze do męża. – Znasz mnie i wiesz, co o tym myślę”. Carmen ignoruje zarówno celebrytów, jak i dziennikarzy, którzy z niej chcą zrobić celebrytkę. Urzúa to obok Maria Sepúlvedy i Yonniego Barriosa jeden z górników, którym prasa i media elektroniczne poświęcają

najwięcej miejsca, w związku z czym dziennikarze chcą, żeby Carmen i dwójka jej dzieci reprezentowały uwięzionego pod ziemią przywódcę górników. „Moja rodzina zadeklarowała, że Noelia, Luis i ja nie będziemy odpowiadali na »idiotyczne« pytania prasy – pisze. – Twoja rodzina, twoja matka, bracia, kuzyni itd. też wiedzą, co myślimy o tych dziennikarzach, i muszą uszanować naszą decyzję. Porozmawiamy z nimi dopiero po wyciągnięciu górników na powierzchnię. I dlatego nie znajdziesz nas w żadnej gazecie”.

Luis żarłocznie pochłania listy od żony. Carmen nie zmieniła się pod wpływem wydarzeń, jej codzienne listy to dla niego dawka normalności pośród tych wszystkich absurdalnych i przerażających rzeczy, które go otaczają. Chce, żeby pisała do niego więcej, bo kiedy czyta jej listy, świat przez chwilę wydaje mu się zwyczajny, tak jakby siedział w domu przy stole i słuchał jej głosu. Carmen nie może się powstrzymać od uszczypliwej uwagi. „Zawsze mówiłeś, że za dużo gadam”, pisze. Ciągle mu powtarza, żeby się oparł na ich wspólnej wierze religijnej („Czytasz ten modlitewnik, który Ci przysłałam?”), żeby się skupił na tym, co ważne, na akcji ratowniczej i bezpieczeństwie trzydziestu dwóch ludzi, za których jest odpowiedzialny, a nie na sławie i bogactwie, które być może go czekają. Ani razu nie wspomina o milionach od Farkasa, a kiedy Luis w końcu sam ją o to pyta, Carmen odpisuje: „O to się nie martw, musisz się skupić na akcji ratowniczej, bo to śmieszne rozmawiać o pieniądzach, kiedy twoje życie wciąż jest zagrożone”. Luis ufa Carmen bardziej niż komukolwiek innemu i żona staje się na powierzchni jego oczami i uszami. Co innego usłyszeć od urzędników, że rząd chilijski robi wszystko, co w jego mocy, żeby ich uratować, a co innego przeczytać to w liście od żony. „Nie wyobrażasz sobie, jaka to jest wielka operacja, maszyny, pracownicy, gigantyczne reflektory, kontenery i maszyny budowlane, które wykuwają

w skale drogi od południa, północy, zachodu i wschodu – pisze. – Wywrotki wywożą ziemię i codziennie podjeżdżają wielkie cysterny z wodą, pięć tysięcy litrów naraz. Słyszymy warkot generatorów, które dostarczają prąd do reflektorów, pewnie takie widziałeś w Punta del Cobre albo gdzie indziej, ale w San José na pewno nie”.

Carmen pisze do męża przede wszystkim po to, aby mu przypomnieć, że jest kochany. Pisze dla niego wiersz: „Szlachetny, prosty, cierpiący górnik/ pijesz ze zranionych wnętrzności ziemi/ patrzysz, ale nic nie widzisz swoimi zmęczonymi oczami./ Twoje ogorzałe od wczesnych zim dłonie/ znają łopatę, ciosaną skałę i kilof”. Czasami listy są frywolne i jest w nich coś dziewczęcego, tak jakby Carmen i Luis poznali się przed kilkoma tygodniami, a nie byli małżeństwem od dwudziestu lat. „Myślisz o mnie, tęsknisz za mną, czy może zapomniałeś, jakich perfum używam?”, pyta Carmen w jednym z listów. (Luis nie zapomniał: przez wiele dni po wypadku czuł zapach jej perfum na siedzeniu pikapa, na którym spał – zapach ten przyjechał do kopalni na gapę w ubraniu szefa zmiany i jakimś sposobem wniknął w tapicerkę). Z reguły jednak z listów przebija oddanie, które jest dojrzałe, romantyczne i niezmienne. „Nie zapomnij o mnie – pisze Carmen. – Pamiętaj o wszystkich dobrych rzeczach, które Ci dałam, i o tych złych, których nie było wiele. Znowu się zobaczymy i zaczniemy od nowa, zupełnie jak za pierwszym razem”. Carmen kończy ten list obietnicą: „Będę na Ciebie czekała do skutku”. *Te espero por siempre*. Kiedy Luis w białym pikapie, który służy mu za podziemne biuro, trzyma w rękach listy od Carmen, trochę łatwiej mu uwierzyć, że ucieknie z tej walącej się góry zdrowy na umyśle i że wytrzyma pod ziemią z wszystkimi tymi wściekłymi ludźmi do grudnia, a nawet do stycznia.

Większość członków rodzin trzydziestkitrójki wie, że ma obowiązek uspokajać górników i tworzyć w ich oczach obraz rodzinnego ładu, ale

zadanie to staje się trudniejsze, kiedy światłowód z powierzchni zostaje podłączony do systemu wideokonferencyjnego.

Omar Reygadas, siwowłosy operator koparki, który za pomocą płomienia zapalniczki zszedł w ślad za wietrzykiem na dno kopalni, widzi teraz na ekranie twarz swojego przystojnego dorosłego syna Omara juniora. Obaj siłą woli powstrzymują rzekę łez, która popłynie zaraz po wyczerpaniu się limitu czasowego i zgaśnięciu monitora. W tej chwili czują się zdruzgotani tym, co przeżywają, swoją małością wobec kamiennej góry, która uwięziła Omara, i teraz, kiedy mogą się zobaczyć i ze sobą porozmawiać, wydaje się bardziej realna i groźna.

– Chciało mi się płakać, ale nie rozpłakałem się i oczywiście później się dowiedziałem, że mojej rodzinie też chciało się płakać – opowie później Omar senior.

Ojciec i syn nie chcą dodatkowo obciążać się nawzajem swoimi łzami. Omar junior mówi:

– Przez cały czas wierzyliśmy, że żyjecie, że tam, na dole, Bóg was ochroni.

Omar senior pyta o starą ciotkę, która go wychowała – choruje na cukrzycę i Omar zawsze się nią opiekował.

– Wszystko w porządku – odpowiada jego syn.

– Co z rachunkami, z czynszem?

– *Viejo*, o nic się nie martw, wszystkie twoje rachunki są płacone na czas.

Omar senior wynajmuje część swojego domu i syn przekazuje mu, że wszyscy lokatorzy też płacą w terminie.

– Wszyscy się dobrze zachowują, pomagają, wszyscy dostają pieniądze. Nic się nie martw, tylko dbaj o siebie – mówi.

Równie optymistyczni są inni krewni.

– Przekazywali mi dobre emocje – wspomina później Omar senior. – Dobre wibracje, *su buena vibra*. W listach do rodziny Omar żartuje, że chciałby zjeść swoje ulubione danie, stek z awokado, komunikując w ten sposób: wciąż jestem tym samym starym człowiekiem, który piątego sierpnia poszedł do pracy, człowiekiem, który ciężko pracuje, a potem je swoje *corazón con palta*, awokado. W listach, które do siebie pisaliśmy z dziećmi, nie było ani jednego nieporozumienia, kłótni czy skargi. Wręcz przeciwnie, nasze konwersacje zawsze były utrzymane w bardzo przyjemnym tonie. Tak samo było z moją żoną. Przyjeżdżała do kopalni, oddawała listy i wracała do miasta, żeby zająć się swoją pracą. To były listy czysto miłosne.

W otrzymywanej z powierzchni korespondencji Omar Reygadas wyczuwa rytm normalnego życia, które czeka na niego na powierzchni. Jego zadaniem w grotach San José jest wykonać tę niewielką część obowiązków, która na nim spoczywa, a także regenerować się i odpoczywać mimo ciemności, dudnienia góry i skarg tak wielu kolegów. Omar przez większość czasu czyta na swoim łóżku przy wejściu do Schronu, z pudłem w roli nocnej szafki. Krewni przysłali mu kilka tomów serii groszowych powieści kowbojskich hiszpańskiego autora Marciala Lafuente Estefanii, który pisze książki o Texas Rangers i bandytach, jak *El caballero de Alabama* (Rycerz z Alabamy) czy *El Capitán „Plomo”* (Kapitan „Ołów”). Widoczny na okładce bohater powieści ma na głowie taki sam płaski kapelusz typu gambler z szerokim rondem, który Clint Eastwood nosił w swoich spaghetti westernach. Jednak Omar najbardziej lubi *Alchemika* Paula Coelha. Książkę tę przeczytało kilka milionów ludzi, a teraz robi to również Omar na nadmuchiwanym łóżku na poziomie dziewięćdziesiąt. Czyta historię o pasterzu, który wędruje przez pustynię

i sypie krzepiącymi aforyzmami w rodzaju: „…kiedy czegoś gorąco pragniesz, to cały wszechświat sprzyja potajemnie twojemu pragnieniu”[12].

Kiedy Omar zatapia się w lekturze, czterdziestu dwóch ludzi wędruje przez pustynię Atakama w stronę San José i potajemnie sprzyja jego pragnieniu wydostania się z kopalni. Nie są pasterzami, tylko kierowcami ciężarówek, wiozą kolejną partię sprzętu, za którego pomocą ratownicy będą próbowali wyciągnąć trzydziestu trzech górników z wnętrza góry. W skład gigantycznej platformy wiertniczej, która posłuży do realizacji Planu C, wchodzi czterdziestopięciometrowa wieża, którą rozebrano na części. Dziewiątego września o wschodzie słońca przemieszczająca się powoli karawana samochodów z częściami platformy znajduje się zaledwie dwadzieścia cztery godziny od celu.

Jessica Chilla, z którą jej konkubent Darío Segovia piątego sierpnia pożegnał się długim, nieoczekiwanym uściskiem, to kolejna członkini rodzin górników, która unika prasy, przede wszystkim w obawie, że jeżeli ktoś ją postawi przed kamerą, nie uda jej się zapanować nad emocjami.

– Gdyby ktoś mnie miał zobaczyć, to chciałam, żeby zobaczył tę samą Jessicę, która witała się z wychodzącym z kopalni mężem – wyjaśnia później. – Jessicę z wyprostowanymi ramionami, czekającą na niego, dającą mu siłę. Bo jeśli ktoś mówi, że słyszał, jak płaczę, to mówi nieprawdę. Musiałam być silna dla niego, żeby po wyjściu mógł stanąć na nogi.

Jessica chce, żeby Darío wiedział, że ona się czuje *super bien*, bardzo dobrze. Właśnie dlatego popełnia błąd i posyła mu zdjęcie, na którym stoi z pogodną miną obok jego siostry Maríi i członków zespołu Los Charros de Lumaco.

Zdjęcie zostało zrobione podczas wizyty Los Charros w Campo Esperanza i Darío otrzymuje je w liście dostarczonym w *palomas*. „Co to

ma być, jakiś żart?”, zastanawia się górnik. Jego żona stoi w południowym słońcu koło sześciu gładko ogolonych i przystojnych mężczyzn w identycznych czarnych kapeluszach stetson i czarnych koszulach wyszywanych w białe kwiaty. Wszyscy ci mężczyźni są młodsi i lepiej odżywieni od niego, a dwóch z nich obejmuje Jessicę ramieniem.

„Po co mi to wysłałaś? – pisze Darío w liście, w którym odesłał fotografię. – Nie chcę widzieć żadnych *huevones*. A tym bardziej nie chcę widzieć muzyków, którzy cię obmacują”.

– Zawsze był zazdrosny – powie później Jessica. – A na dole zrobił się zazdrosny podwójnie.

Czuje się podwójnie urażona – gniewnymi słowami Daría na temat fotografii i sugestią, że kiedy on cierpi pod ziemią, ona na powierzchni balanguje. Pobyt w miasteczku namiotowym nie jest jedną wielką imprezą. Nocowanie w namiocie to wątpliwa przyjemność. W nocy jest zimno, a poza tym Jessica jest wykończona nieustanną walką o to, żeby nie załamać się psychicznie ze względu na sytuację Daría, pośród ludzi, którzy najwyraźniej nie rozumieją, że jego życie wciąż jest zagrożone. Nie ma gwarancji, że Darío czy ktokolwiek inny z trzydziestu trzech górników wyjdzie z kopalni żywy, a przecież w Campo Esperanza są osoby, które traktują to coraz liczniejsze zgromadzenie krewnych, ratowników i dziennikarzy jak jakiś festiwal uliczny.

– Ludzie przychodzili tylko po to, żeby się za darmo najeść, ponieważ mieliśmy dużo żywności z darów od hipermarketów Jumbo. Każdy mógł zjeść tyle, ile chciał. Dawali nam czekoladę, herbatę, był też wózek, z którego sprzedawali frytki, hot dogi i tortille – dodaje Jessica.

Wielu mieszkańców Copiapó i okolicznych miasteczek tego górniczego regionu żyło w bardzo trudnych warunkach i musiało cały czas walczyć o przetrwanie, dziękowali Stwórcy za każdą kromkę świeżo upieczonego

chleba, plaster wołowiny czy pierś z kurczaka, która pojawiała się w ich domu. W Campo Esperanza przed ich oczami zmaterializowała się obfitość rodem z hipermarketu Jumbo, niezmierzone ilości drewna opałowego i porcje naprawdę pysznych lokalnych potraw z owoców morza. Niektórzy nie byli w stanie powstrzymać żarłoczności.

Coś podobnego dzieje się na dole. Młody górnik Pedro Cortez, który dużo pije, myśli o tym, co zrobi z tymi wszystkimi pieniędzmi, które na niego czekają. Piątego sierpnia wszedł do kopalni, żeby przepracować jedną zmianę, a dostanie równowartość rocznej pensji albo i więcej. Wcześniej zbyt dużą część wypłaty wydawał w piwiarniach *chopperias* w centrum Copiapó. Teraz jednak ma tyle pieniędzy, żeby kupić dom dla swoich rodziców, i mówi kolegom, że swoją córkę, którą przed wypadkiem w gruncie rzeczy ignorował, wyśle do naprawdę dobrej prywatnej szkoły. Wielu spośród znajdujących się wokół niego młodych facetów – między innymi Jimmy Sánchez i Carlos Barrios – zamawia z powierzchni czasopisma i broszury motoryzacyjne i w swojej więziennej grocie godzinami ogląda błyszczące zdjęcia europejskich samochodów sportowych i amerykańskich pikapów: podawane w milionach peso ceny tych pojazdów nagle przestały być dla nich nieosiągalne. Pedro mówi kolegom, że kupi sobie żółtego chevroleta camaro, takiego, jakiego widział w filmie *Transformers*. Jego przyjaciel Carlos Bugueño ma skromniejsze marzenie: wystarczy mu mały peugeot 206. Niektórzy ze starszych górników mówią o zakupie dostawczaków, przydadzą się do prowadzenia małych firm, które zamierzają założyć.

Marzenia te komplikuje to, że wielu z tych przyszłych nabywców samochodów – włącznie z Pedrem Cortezem – nie ma prawa jazdy. W Chile uzyskać prawo jazdy jest trudniej niż w większości innych krajów latynoamerykańskich, ponieważ trzeba zdać teoretyczny egzamin pisemny

i nie da się nikogo przekupić. Niektórzy z trzydziestu trzech zasypanych proszą w listach swoich krewnych, żeby im przysłali materiały do egzaminu na prawo jazdy. Poziom dziewięćdziesiąt niedługo zaczyna wyglądać jak szkoła jazdy, mężczyźni wgryzają się w chilijski kodeks drogowy i ukryte w pytaniach subtelności, takie jak: Dlaczego powinieneś zmniejszyć prędkość, kiedy jedziesz we mgle? Kiedy na szosie pojawi się człowiek na koniu, z jaką prędkością powinieneś go wyprzedzić? Jeżeli potrącisz pieszego przy prędkości sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, jakie jest prawdopodobieństwo, że umrze?

Uczenie się do egzaminu na prawo jazdy w sytuacji, kiedy nadal nie jest pewne, czy przeżyjesz, to szaleństwo. Carlos Bugueño dostrzega, że ogarnęła ich gorączka pieniądza.

– Ta kasa zaczęła nam mącić w głowach – powie później.

Obrazy łatwego życia, które czeka na nich na powierzchni, przychodzą ze wszystkich stron. Przez kilka przedpołudni łącze światłowodowe przesyła czterogodzinny program telewizyjny na żywo z Santiago, *Buenos Días a Todos* (Dzień dobry wszystkim). Pewnego dnia zespół tego programu ogłasza, że rząd Dominikany proponuje wszystkim trzydziestu trzem uwięzionym górnikom z rodzinami wypoczynek w kurorcie na wyspie karaibskiej.

– Jedziemy na plażę! – woła ktoś.

Górnicy od miesiąca nie widzieli słonecznego światła, większość z nich nigdy nie była za granicą, a kilku nie wyjechało poza pustynię Atakama. Niedługo wszyscy odwiedzą rajską plażę z gorącym piaskiem i turkusową wodą.

– To było surrealistyczne – opowiada później Luis Urzúa. – Ale po jakimś czasie takie surrealistyczne rzeczy zaczęły się nam wydawać normalne.

Urzúa uznaje, że górnicy spędzają zbyt wiele czasu na oglądaniu *Buenos Días a Todos*. Siedzą godzinami przed ekranem i zaniedbują ważne prace. Na przykład, odkąd zaczęli jeść regularne posiłki, w ubikacji jest mnóstwo gówna do uprzątnięcia. Poza tym nie są to pojedyncze kozie bobki, tylko śmierdzące kupy męskich, a nawet górniczych rozmiarów. Żeby nakłonić kolegów do sprzątania własnych odchodów, Urzúa dzwoni na powierzchnię i prosi ratowników, żeby wyłączali przed południem telewizję. Kiedy *Buenos Días,* program z Santiago, nie jest już transmitowany do kopalni, górnicy nareszcie biorą się do swoich sanitarnych obowiązków. Od tej pory telewizję można oglądać tylko popołudniami, kiedy wyświetlane są mecze piłkarskie najpopularniejszych chilijskich drużyn – La Universidad de Chile i Deportivo Colo-Colo – i filmy, „żebyśmy byli spokojniejsi i nie skarżyli się", jak mówi jeden z górników.

Jednak nie wszyscy zasypani spokojnie czekają na ratunek. W pierwszym tygodniu września Víctor Segovia opisuje w swoim dzienniku pewien dziwny widok: Edison Peña biega po kopalni. Wziął parę wysokich butów, obciął cholewy w kostkach i w takim właśnie obuwiu biega ciemnymi chodnikami ze snopem światła lampy czołowej i odgłosem własnego oddechu w gęstym powietrzu. Edison od dawna uchodził wśród członków szychty A za ekscentryka: włóczył się sam po kopalni albo śpiewał w Schronie piosenki Elvisa, a kiedy głodowali, odgrywał z Mariem Sepúlvedą te upiorne skecze o śmierci. Ale bieganie dla poprawy kondycji w tym piekle to istne wariactwo. Dlaczego Edison biega? Jak tłumaczy później, po nawiązaniu kontaktu z powierzchnią ogarnęła go radość i wdzięczność. Zobaczył w kopalni „błękitne światło", światło wiary. Obiecał Bogu, że zrobi coś, żeby okazać Mu swoje oddanie, a czy można złożyć większą ofiarę, niż biegać pod górę po dziesięcioprocentowej

stromiźnie w tych wykutych w ziemi chodnikach? Ale Edison biega również dlatego, że jego organizm potrzebuje ruchu, żeby się zregenerować. Odkąd zaczął normalnie jeść, podobnie jak wielu innych górników, cierpi na bolesne zatwardzenie. Wizyta w ubikacji jest dla niego torturą.

– Parłem i parłem, a to, co ze mnie wychodziło, było strasznie gęste. Potem się klinowało i nie, nie, nie, nie. Jakbym próbował urodzić dziecko. Potwornie bolało.

Edison musi jakoś rozruszać swoje schorowane ciało, a ponieważ nie ma roweru, zaczyna biegać. Wielu górników śmieje się z niego, kiedy to widzą.

– Nabijali się ze mnie. Nikt mnie w tym nie wspierał. Może poza Yonnim Barriosem, który się martwił, że coś mi się stanie.

Florencio Ávalos odnosi wrażenie, że Edison biega, „żeby o wszystkim zapomnieć, żeby się zmęczyć i dzięki temu łatwiej zasnąć”. Florencio wie także, jakie to niebezpieczne błąkać się samemu po kopalni, i dochodzi do wniosku, że Edisonowi „brakuje jednej deski do mostu”. *Le falta un palo para el puente*, jak mawiają Chilijczycy, co można przetłumaczyć jako „brakuje mu piątej klepki”. Dla Edisona bieganie po chodnikach, w których może go zabić kawałek oberwanej skały, to sposób na pokazanie, że nie zamierza się poddawać. Później przyślą mu z góry buty do biegania pewnej znanej na całym świecie marki, a następnie buty neoprenowe. Bieganie wyzwala jego umysł, ale również przypomina mu o tym, gdzie jest i co przeżył.

– Czułem się kompletnie sam – wyzna później.

Kiedy Edison Peña biega, ludzie nad jego głową wiercą. Dziewiątego września Plan B osiągnął głębokość dwustu metrów. Twardość diorytu, duża głębokość oraz nachylenie i zakrzywienie pierwszego odwiertu,

którego śladem podąża drugi – wszystko to powoduje, że świdry zużywają się szybciej niż normalnie. Trzeba je wymieniać co dwanaście godzin. Drążenie spowalnia z dwudziestu do czterech metrów na godzinę. W zespole wiertniczym są Amerykanie z Center Rock Inc. i Drillers Supply, a także Chilijczycy z lokalnej Spółki Górniczej Geotec i inni. Wszyscy zmuszają swój sprzęt, a także swoje organizmy, by pracowały na coraz wyższych obrotach. Tak bardzo im zależy na dotarciu do zasypanych, że ulegają zjawisku, które Laurence Golborne i André Sougarret zaobserwowali już wcześniej: tak samo jak pracownik, który w czasie wykonywania pierwszego odwiertu nie był w stanie przestać drążyć, mimo że otwór dawno już minął poziom, na którym znajdowali się górnicy, tak oni nie potrafią „rozstać się” z dziurą. Tak bardzo chcą dotrzeć do żywych ludzi na drugim końcu odwiertu, że drążą również wtedy, kiedy nie powinni. Niestety, podczas gdy członkowie ekip wiertniczych mogą zmobilizować w sobie resztki sił nawet po przekroczeniu punktu krytycznego, elementy skrawające świdra podlegają prawom fizyki. Na głębokości dwustu sześćdziesięciu dwóch metrów świder się rozpada, na co wskazuje nagły spadek ciśnienia wiertnicy Schramm T130 i schizofreniczne zachowanie wskaźników momentu obrotowego. Obsługa wyciąga potężny świder na górę i wsuwa do otworu kamerę, która pokazuje, że utkwił w nim kawałek metalu wielkości piłki do koszykówki, przez co otwór nie nadaje się do dalszego użytku.

Niewiele później wiertnica realizująca Plan A ma awarię hydrauliki i również staje. Napawające optymizmem odgłosy wiercenia, które przedostawały się przez skałę do zasypanych górników, milkną i w tej nagłej ciszy czują się oni bardziej samotni, porzuceni i zrozpaczeni niż w którymkolwiek momencie po nawiązaniu kontaktu z powierzchnią. Piszą

listy i telefonują, żeby się dowiedzieć, co jest grane. Uzyskują informację, że być może jednak będą tkwili pod ziemią aż do grudnia.

Edison Peña idzie w pojedynkę do jednego z chodników i zanurza się w samotności głębiej niż którykolwiek z jego kolegów, przy każdym kroku słyszy głośniejsze i wyraźniejsze skrzypienie swoich obciętych butów do biegania. Florencio Ávalos, młody zastępca Luisa Urzúy, uznaje, że ma dosyć siedzenia z założonymi rękami i czekania na ratunek. Bierze linę i sprzęt wspinaczkowy i z trzema innymi górnikami wyrusza pod szarą kamienną „gilotynę”, która blokuje drogę do wyjścia.

---

[12] Paulo Coelho, *Alchemik*, przeł. Basia Stępień i Andrzej Kowalski, Drzewo Babel, Warszawa 1995, s. 39.

ROZDZIAŁ 15

ŚWIĘCI, FIGURKI, SZATAN

Przed wyruszeniem na tę ekspedycję Florencio Ávalos telefonuje na powierzchnię i rozmawia ze swoim starym przyjacielem i *compadre* Pablem Ramirezem.

– Spróbuję znaleźć wyjście przez szyby – mówi Florencio.

Ramirez próbuje oczywiście mu to wyperswadować, ale Florencio jest nieugięty. Ze swoim bratem Renánem, Carlosem Barriosem i Richardem Villarroelem jadą na poziom sto dziewięćdziesiąt, około kilometra drogi, pod szyb znajdujący się najbliżej miejsca zawału. Zamierzają przebyć tę samą drogę, co Mario Sepúlveda i Raúl Bustos pierwszego wieczoru po katastrofie, wspiąć się na następny poziom i tam poszukać kolejnego szybu. Uruchamiają podnośnik, wchodzą na jego podest, podjeżdżają pod wylot szybu i zaczynają się wspinać.

Na powierzchni zespół ratowniczy nie chce zrezygnować z Planu B. Gdyby się udało wydostać ten kawałek metalu, można by kontynuować wiercenie. Opuszczają do otworu magnes, ale nie udaje się za jego pomocą wydźwignąć kawałka pękniętego świdra. Tego samego dnia po długiej podróży z Afganistanu do kopalni przyjeżdża amerykański wiertniczy Jeff Hart. Ma przejąć stery w następnej, a zarazem ostatniej fazie Planu B wstrzymanej do czasu, kiedy uda się odetkać otwór albo wydrążyć inny.

W tej atmosferze ciszy i oczekiwania Carmen Berrios dostaje list od męża Luisa Urzúy. Pisze on, że górnicy są zrozpaczeni, bo nie słyszą żadnego wiercenia. „Ratownicy ciężko dla was pracują – odpisuje Carmen. – Ponieważ Bóg jest z nimi. Ale jeżeli wy wszyscy tam, na dole przestaniecie wierzyć i się modlić, to wszystko zda się na nic. Nie uważasz?… Jeżeli nie słyszycie maszyn wiertniczych, to nie dlatego, że odjechały. Nie traćcie wiary i nie ulegajcie rozpaczy. Piszę to dlatego, że chcę, abyś zrozumiał, że wszystkich uczestników akcji ratowniczej motywuje tylko jeden cel: wydostać was stamtąd”.

W mglisty poranek dziesiątego września przed dziewiątą ciężarówki z częściami platformy wiertniczej do realizacji Planu C po długiej podróży przez Atakamę docierają na miejsce. Jadą powoli wąską drogą prowadzącą do zakładu w San José. Jest zimno, wśród zebranych pod bramą kopalni członków rodzin górników panują minorowe nastroje, aczkolwiek kilku z nich macha chilijskimi flagami, a niektórzy mobilizują się nawet do skandowania: *Chi-chi-chi*, *le-le-le*. Kiedy ciężarówki jadące na przedzie kawalkady parkują, jeden z kierowców zatrzymuje swojego tira obok bramy i podchodzi do niego ekipa wiadomości telewizyjnych.

– Dojechaliśmy, po bardzo ciężkiej podróży przez pustynię – mówi kierowca, wyraźnie wzruszony widokiem kopalni, na której skupiają się nadzieje jego rodaków i tak wielu ludzi z całego świata. – Ale jesteśmy i jak wszyscy Chilijczycy zaangażujemy się całym sercem.

Nad poziomem sto dziewięćdziesiąt Florencio Ávalos i jego trzej towarzysze zbierają się na odwagę i rozpoczynają wspinaczkę w górę szybu. Docierają do kolejnego poziomu Rampy i podchodzą do blokującej drogę, wyższej „gilotyny” z szarego kamienia. Florencio i pozostali górnicy zaczynają usuwać kamienie, które leżą na ogromnym poziomym głazie. Po

krótkiej chwili nad głazem jest dostatecznie dużo miejsca, żeby się tamtędy przeczołgać jak kot.

– Wchodzę tam – mówi Florencio, ale Carlos, Renán i Richard przekonują go, że to zbyt niebezpieczne. Florencio przeciska się jednak i widzi przed sobą ogromną czarną przestrzeń, która pochłania światło jego lampy. Czołga się w stronę tej przepaści i przy okazji obluzowuje jakiś kamień, który spada w czeluść i ląduje z suchym hukiem około dwóch albo trzech sekund później: doświadczenie górnicze Florencia mówi mu, że kamień spadł jakieś trzydzieści albo czterdzieści metrów, co równa się wysokości dziesięcio-, dwunastopiętrowego budynku. Mężczyzna zdaje sobie sprawę, że znajduje się koło nowej *rajo,* komory. Żeby móc pójść dalej, obwiązuje się w pasie liną i podaje jej drugi koniec kolegom.

– Wiedziałem, że jeśli zrobię jeden fałszywy ruch, to spadnę – powie później.

Udaje mu się wyczołgać ze szczeliny i stanąć na skraju komory.

– Poświeciłem w górę lampą, w tej wielkiej dziurze nie zobaczyłem nic oprócz kamieni i pomyślałem sobie: „Możemy się tędy wydostać”. Wiedziałem, że stamtąd jest tylko trzydzieści metrów w pionie do miejsca, z którego otwiera się wolna droga do wyjścia, a ponad sobą widziałem na trzydzieści metrów.

Florencio wie jednak, że szczelina, przez którą właśnie się przecisnął, jest za wąska, a dalsza wspinaczka za trudna, żeby wszyscy górnicy się tędy wydostali. Grubsi i starsi koledzy musieliby zostać.

W najlepszym razie mogłoby tamtędy uciec piętnastu, dwudziestu. Luis Urzúa nie dałby rady, tak samo Franklin Lobos, José Henríquez czy Jorge Galleguillos.

Kiedy ekspedycja wraca do Schronu, Florencio się dowiaduje, że telefonował do niego André Sougarret.

– Nie próbuj tego więcej – mówi mu. – To zbyt niebezpieczne, skała jest za bardzo niestabilna.

Florencio właśnie widział czeluść powstałą w wyniku oberwania się kawałka diorytu wielkości drapacza chmur, które zniszczyło kopalnię piątego sierpnia. Pękająca góra co kilka dni albo godzin nadal wypluwa z siebie skalne lawiny i może mówić o szczęściu, że nie stracił życia ani nie odniósł żadnych poważnych obrażeń, kiedy stał nad tą czeluścią.

Trzynastego września o dziesiątej rano, kiedy grupa inżynierów, mechaników i wiertniczych dalej próbuje uratować otwór B, do kopalni San José przyjeżdża Maria Panna, świeżo wyrzeźbiona z drewna figurka Virgen del Carmen, patronki Chile i duchowej opiekunki żołnierzy, którzy walczyli w wojnie niepodległościowej przeciwko Hiszpanii. Figurkę wyrzeźbił ekwadorski artysta Ricardo Villalba na zlecenie papieża Benedykta XVI, który ją pobłogosławił i przekazał państwu chilijskiemu z okazji dwusetnej rocznicy odzyskania niepodległości. Matka Boska objeżdża miasta i miasteczka górnicze północnego Chile i od piątego sierpnia tysiące ludzi proszą ją o wstawiennictwo za trzydziestoma trzema uwięzionymi w kopalni mężczyznami. Należy do nich dziewczynka z Iquique, której modlitwa trafia do kościelnego komunikatu prasowego: „*Virgencita*, Dziewico Maryjo, oddaj dzieciom tych górników, ich tatusiów”. Kiedy Maria Panna w szklanej gablocie jest wnoszona na teren kopalni, otacza ją wianuszek kobiet ze świecami, których żółte płomienie są chronione przed wiatrem Atakamy przykrywkami ze zużytych plastikowych kubków i butelek. Migoczące żółte światło jarzy się, malując twarze wiernych blaskiem, który jest cieplejszy i serdeczniejszy od surowego szarego światła reflektorów wiszących nad obozem. Podczas nabożeństwa odprawianego przez biskupa Copiapó monsignore Gaspara Quintanę kobiety modlą się szeptem i niektórym skapuje na palce biały wosk, co sprawia, że ich

ogorzałe dłonie zaczynają przypominać płaczące woskowe rzeźby. Modlą się do Matki Boskiej o usunięcie przeszkód, które trzymają tych trzydziestu trzech ludzi pracy w ciemnościach, pod ziemią, na której one teraz stoją. Matka Boska widzi zza szyby ich pobożność i patrzy na nie z tym nikłym, niezmiennym, miłosiernym uśmiechem, który nadał jej rzeźbiarz Villalba.

Wiadomość o obecności Marii Panny na powierzchni szybko dociera na dół. Katolicy wierzą, że siła Matki Bożej może się objawić na ziemi i czasami przybiera konkretną postać obiektu stworzonego ręką Boga: na przykład, jak w przypadku Virgen del Carmen, maleńkiej kamiennej rzeźby, która objawiła się osiemnastowiecznemu poganiaczowi mułów szukającemu schronienia przed burzą w pobliskich górach. Ludzie czczą te przedmioty, ponieważ dzięki nim czują, że są bliżej Boga. Kilku spośród katolików uwięzionych w kopalni San José przypisuje Virgen del Carmen pomyślne wydarzenie, które następuje zaledwie kilka godzin po opuszczeniu przez Matkę Boską terenu kopalni: uratowanie otworu B. Wiertniczy i inżynierowie realizujący Plan B opuścili do otworu metalowego „pająka” i zdołali wyciągnąć na górę dwunastokilogramowy kawałek metalu, który utkwił dwieście sześćdziesiąt trzy metry poniżej. Wygląda na to, że Maria Panna wstawiła się za nimi, szczególnie pobożni ratownicy biorą obrazki Matki Boskiej, patronki Chile, i dziękują jej. Po pięciu dobach kryzysu i modlitwy powróciła nadzieja na uratowanie trzydziestkitrójki górników szybciej niż w grudniu.

José Henríquez, który nasłuchał się od otaczających go katolików o nadprzyrodzonej potędze tej czy innej figurki Marii Panny, podczas codziennej modlitwy napomyka o zagrożeniach związanych z oddawaniem czci obrazom zamiast Bogu. Jeden z górników zatańczył nawet dla Dziewicy. Dla Henríqueza kult figurek jest kuriozalny i obraża jego uczucia religijne. W końcu jedno z dziesięciu przykazań mówi: „Nie czyń sobie

podobizny rzeźbionej czegokolwiek”. Na górze Synaj Bóg przyszedł do Mojżesza i powiedział, żeby nie kłaniać się przed takimi przedmiotami. W końcu Henríquez werbalizuje swoje zastrzeżenia w sposób, który wielu górników odbiera jako obraźliwy.

– Można powiedzieć, że Henríquez w pewnym stopniu chciał nam narzucić swoją religię – opowie później Omar Reygadas. – Zaczął potępiać kult świętych. Ja też nie wierzę w świętych, ale szanuję wszystkie religie. Na modlitwie byli ludzie różnych wyznań, a nawet trochę niewierzących, którzy po prostu chcieli się pomodlić. No i było sporo ludzi oddanych Matce Boskiej z Candelarii, która według nich opiekuje się górnikami. Kiedy więc Henríquez zaczął występować przeciwko świętym i adoracji obrazów, ci ludzie poczuli się urażeni.

Pastor będzie się tłumaczyć:

– Nikogo nie atakowałem. Czy skomentowałem ich zachowanie? Tak. W Piśmie Świętym jest napisane: „Nie czcij podobizn”.

Víctor Segovia, który wcześniej nie był człowiekiem religijnym, uwielbia chodzić do nieoficjalnego podziemnego kościoła, w którym Henríquez jest pastorem. Ale jego również zniechęca to, jaki kierunek przybierają nabożeństwa. Pewnego wrześniowego dnia Víctor relacjonuje, że na codziennym nabożeństwie zobaczył, jak Osmán Araya, którego wycieńczony głodem organizm całkowicie odzyskał siły, wpada w religijny trans wywołany przez ewangelickiego pastora, unosi ramiona, ponieważ czuje wokół siebie obecność Pana.

„Południowa modlitwa nie sprawia mi już takiej przyjemności, ponieważ Osmán zaczął krzyczeć i płakać, kiedy się modlił, a to mi przypomina te kościoły, gdzie ludzie płaczą, podskakują i wrzeszczą”, pisze Víctor. Wydaje mu się to teatralne i dziwne, ale w odróżnieniu od wielu

swoich kolegów nadal chodzi na odprawiane przez Henríqueza codzienne modlitwy.

Omar Reygadas także bierze udział w nabożeństwach i notuje w pamięci, kogo brakuje:

– Franklin Lobos zaczął się modlić sam. Inni odchodzili na bok i też modlili się na osobności. Niektórzy zapomnieli o modlitwie i słuchali muzyki – wspomina później.

Dla Maria Sepúlvedy, który kilka tygodni wcześniej jako pierwszy wezwał wszystkich do modlitwy, nieobecność kolegów na nabożeństwach jest kolejnym ciosem. Kiedyś cała trzydziestkatrójka modliła się razem, a teraz tylko garstka stoi naprzeciwko Pastora, żeby posłuchać Słowa Bożego. Mario widzi, że rozpada się braterska więź, która ich wcześniej łączyła. Jest tak bardzo zasmucony, że schodzi na dno kopalni, na poziom czterdzieści cztery. Jest to jedno z najnowszych wyrobisk, w pełnej zagrożeń kopalni wyjątkowo niebezpieczne miejsce, a na dodatek bardziej gorące i wilgotne, ponieważ gromadzi się tam spływająca z góry woda. Podziemne jezioro i duża otwarta przestrzeń wzmacniają mistyczną aurę roztaczającą się wokół poziomu czterdzieści cztery. Mario zawłaszcza ten cuchnący i zawilgły zakątek kopalni dla siebie, nazywa go swoim świętym miejscem, *lugar sagrado*, przesuwa trochę kamieni i buduje z nich kapliczkę i mównicę. Schodzi sam na poziom czterdzieści cztery, żeby poczytać Biblię i poćwiczyć umiejętność przemawiania. Na wideo, które górnicy posłali na powierzchnię, Mario patrzy do kamery i zwraca się do całego świata; w tym miejscu czyta biblijne wersety i przemawia do tłumów, które istnieją tylko w jego wyobraźni. Ćwiczy dlatego, że po wyjściu z kopalni widzi siebie jako oratora podróżującego po świecie, żeby mówić o Bogu, a także o sile charakteru i dobroci chilijskiego człowieka pracy. W swoich przemówieniach opowiada historie o jeżdżeniu na rowerze ze swoim synem

Franciskiem i o zajmowaniu się końmi, których jest właścicielem: jego głos odbija się echem w skalnej komorze. Jednak dzisiaj, jedenastego września, trzydziestego siódmego dnia pobytu pod ziemią, Mario schodzi do pustego wyrobiska, do swojej osobistej auli, nie po to, żeby poćwiczyć przemawianie, tylko żeby się pomodlić i zebrać myśli, a także zapytać Boga, co ma zrobić, żeby przywrócić jedność wśród tych coraz bardziej podzielonych i wściekłych mężczyzn, którzy mieszkają w chodnikach i grotach w wyższych partiach góry. Mario wie, że jest to jego trzydziesty siódmy dzień pod ziemią, ponieważ od samego początku zaznacza kolejne doby na swoim kasku. Górnicy zaczęli na siebie naskakiwać po zrobieniu przez Maria dwudziestego pierwszego znaku, a teraz, w dzień numer trzydzieści siedem, jak później powie…

– … z płaczem zszedłem na dół i poprosiłem Boga, żeby uczynił mnie silniejszym, poprosiłem, żeby działa się między nami Jego wola. Bo krążył wokół nas ten owad – diabeł.

Pojawił się w kopalni, jest obecny w całej tej pazerności, nieporozumieniach, zazdrości i braku lojalności między górnikami. Mario uważa, że diabeł przyszedł z powierzchni, podczepił się pod te listy, obietnice pieniędzy i sławy, żeby poróżnić górników.

Zaczyna się modlić:

– Panie, chroń nas i zabierz tego owada z naszych serc. Diabeł wszedł do duszy każdego z nas. Zmiłuj się nad nami i spraw, żebyśmy byli tacy jak wcześniej. I Panie, możesz zacząć ode mnie, bo prawda jest taka, że boję się zła.

Kiedy Mario wypowiada te słowa, słyszy potworny huk. Jakieś trzy metry dalej od jednej ze ścian niestabilnego wyrobiska oderwał się płat skały, wielki i zabójczy jak ten, który okaleczył Ginia Cortésa. Widok spadającego głazu nie jest w kopalni czymś wyjątkowym, ale trzask

kamienia w pobliżu, kiedy Mario rozmawia z Bogiem o diable, powoduje, że zszokowany i wystraszony górnik odskakuje gwałtownie do tyłu i w tej samej chwili czuje czyjąś obecność tuż za plecami, gorący oddech na karku.

– Kto idzie?! – krzyczy Mario.

Odwraca się i światło jego lampy pada na jezioro. Widzi parę rozgorączkowanych, trochę obłąkanych oczu, które się w niego wpatrują – jego własnych oczu odbitych w wodzie. Widzi twarz własnego strachu, która szokuje go bardziej niż cokolwiek, co widział w kopalni w ciągu minionych trzydziestu siedmiu dni.

– *¡Diablo!* Diabeł! – krzyczy w czarną przestrzeń. Czuje, że diabeł próbuje go złapać. Nagle zło przestaje być tylko abstrakcyjnym pojęciem, jest realnie obecne, czyha na niego na poziomie czterdzieści cztery, unosi się nad wodą.

– Nigdy mnie nie weźmiesz, nigdy nie będę twoim synem!

Spadający głaz, obraz własnej twarzy w wodzie i gorący oddech na szyi wpędzają Maria w stan obłąkania: naprawdę wierzy, że toczy potyczkę z wcielonym złem. Szuka w błocie kamieni i rzuca nimi w ciemności, w to stworzenie, które próbuje wpełznąć mu pod skórę.

– Nigdy nie będę twoim synem! *¡La concha de tu madre!*

Rzuca kamieniami o ścianę jaskini, a potem ucieka do góry, biegiem pokonuje kilometr, który dzieli go od poziomu dziewięćdziesiąt i uwięzionych tam, czekających na ratunek ludzi.

Kiedy dociera do pozostałych, widzą go całego ubłoconego, jakby się z kimś tam, na dole, bił.

– Co się stało? – pytają.

– Walczyłem z diabłem – mówi Mario.

Niektórzy się śmieją, ale inni nie, bo prawie każdy, kto dostatecznie długo pracował w kopalni, przynajmniej raz widział albo czuł diabła, który

jest tam, na dole. Według chilijskiej górniczej legendy szatan mieszka we wszystkich kopalniach złota, a przecież oni w tych komorach na samym dnie góry wykopują ze skały właśnie złoto. Wyfedrowali tony skały, żeby uzyskać kilka cennych uncji złota, a przy okazji osłabili górę i zamienili ją w kamienną grotę, której ściany mogą w każdej chwili eksplodować. Górnicy z San José widzieli już eksplozję skały, co napełniło ich bojaźnią bożą i strachem przed diabłem. Jakiś czas po walce Maria Sepúlvedy z diabłem na poziomie czterdzieści cztery następuje kolejne oberwanie skały. Ponadtonowy głaz odspoił się od stropu komory z gigantycznym hukiem i zagrodził wejście do miejsca, w którym Mario urządził sobie mównicę i kaplicę.

ROZDZIAŁ 16

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI

Wchodząc piątego sierpnia do kopalni, Ariel Ticona wiedział, że termin porodu jego trzeciego dziecka, dziewczynki, wypada osiemnastego września, w chilijskie Święto Niepodległości. Przez pierwszych siedemnaście dni pobytu pod ziemią mówił sobie, że musi przeżyć, żeby wyjść na powierzchnię i zobaczyć córkę, dla której on i jego żona wybrali już imiona: Carolina Elizabeth. Być może właśnie pragnienie zobaczenia dziewczynki skłoniło go do tego, żeby nie oddawać dodatkowych ciasteczek, które dostał od Víctora Zamory po włamaniu do szafki z prowiantem – przez pierwszy tydzień w tajemnicy przed innymi zjadł cztery. Po znalezieniu górników przez ekipę ratowniczą w siedemnastym dniu uwięzienia Arielowi powróciła nadzieja, że zostanie uratowany przed narodzinami Caroliny i że będzie mógł spełnić złożoną żonie obietnicę: tym razem będzie przy niej na porodówce. Ariel ma dwadzieścia dziewięć lat i przyznaje, że jest dzisiaj dojrzalszy niż wtedy, kiedy po raz pierwszy został ojcem. Mężczyzna z dwójką dzieci bardziej dostrzega wagę domowych obowiązków, na których opiera się rodzina, i podczas trzeciej ciąży żony pomagał jej na przykład robić pranie i obiecał, że będzie siedział przy niej, kiedy zacznie się poród, trzymał ją za rękę i dodawał jej otuchy.

Ariel pogodził się z tym, że ominą go narodziny córki, ale później doznał objawienia. Po rozmowie z rodziną i obejrzeniu obrazków z miasteczka namiotowego, w którym zgromadziły się trzydzieści trzy rodziny i setki ratowników, uznał, że jego córka powinna mieć na imię Esperanza. Czternastego września w szpitalu w Copiapó Esperanza przychodzi na świat. Szwagierka Ariela przynosi na porodówkę kamerę i kanał telewizyjny Megavision przygotowuje materiał z porodu z muzyką w tle. Ariel nie ogląda jednak tego filmiku. Esperanza urodziła się przez cesarskie cięcie i według medialnych doniesień psycholodzy uznali, że uwięzionemu pod ziemią Arielowi należy oszczędzić traumatycznego widoku operacji chirurgicznej. Widzi tylko na wielkim ekranie z prześcieradła mocno skrócony materiał przesłany światłowodem. Pozostali górnicy uznali, że Ariel powinien obejrzeć narodziny córki bez świadków, i zostawili go samego. Widzi, jak lekarze w niebieskich fartuchach stoją nad jego żoną, a potem kamera przeskakuje na jednego z nich, trzymającego w rękach nowo narodzoną córkę. Ariel patrzy na Esperanzę z mokrymi, przylizanymi włosami i zamkniętymi oczami obok zmęczonej, ale uśmiechniętej żony. Ktoś na górze w kółko puszcza mu ten dwuminutowy filmik. Ostrość jest jednak za słaba, żeby Ariel mógł się zorientować, do kogo Esperanza jest bardziej podobna: do niego czy do żony. W całej historii ludzkości nikt wcześniej nie oglądał narodzin swojej córki z kamiennej groty pod ziemią.

Kiedy później zwracam na to uwagę i pytam Ariela, jak to było, kiedy po raz pierwszy zobaczył córkę, mówi:

– Nie wiem, co czułem. Nie wiem, czy to było wzruszenie, szczęście, czy coś innego.

Po rozmowie z bratem Ariela światowa prasa poinformuje, że po uzyskaniu wiadomości o narodzinach córki Ariel obficie ronił łzy.

Dziennikarze przekazują też parametry urodzeniowe Esperanzy – trzy kilogramy i pięć dekagramów, czterdzieści centymetrów, godzina dwunasta dwadzieścia – i wplatają je w artykuły razem z najnowszymi danymi dotyczącymi odwiertów, które usiłują dotrzeć do zasypanych. Wiertnica B osiągnęła głębokość trzystu sześćdziesięciu ośmiu metrów, wiertnica A – trzystu metrów, a platforma wiertnicza zacznie działać za siedem dni.

Odwiert, który przebije się najwcześniej, będzie wykorzystany do opuszczenia na dół kapsuły ratunkowej. Chilijska marynarka wojenna zaczyna budować taką kapsułę – tak się przypadkiem składa, że w tej samej stoczni, w której mechanik Raúl Bustos przed tsunami naprawiał silniki. Od małego warsztatu na terenie gigantycznej stoczni ASMAR, w którym pracował Bustos, do hali, gdzie powstanie kapsuła ratunkowa, idzie się dwie minuty. Na zewnętrznych ścianach większości budynków stoczni w Talcahuano wciąż widać dwumetrowej szerokości ślady po wodzie oceanicznej, która się tamtędy przelewała pół roku wcześniej, a na niektórych obszarach tego gigantycznego kompleksu do tej pory stoi woda. Marynarka wojenna uprzątnęła jednak wszystkie śnięte ryby, usunęła zniszczone przez wodę pojazdy i na powrót uruchomiła stocznię. Zespół zatrudnionych przez marynarkę inżynierów i ślusarzy przystępuje teraz do budowy kapsuły, którą ich koledzy z NASA, ulegając północnoamerykańskiemu zamiłowaniu do skrótowców, nazwali EV – od Escape Vehicle (kapsuła ewakuacyjna). Chilijczycy otrzymali od NASA dwudziestostronicowe memorandum z rekomendowaną przez agencję szczegółową specyfikacją takiego pojazdu. „EV… będzie miał przenośne zbiorniki z tlenem dostatecznych rozmiarów… dostarczające tlen medyczny z prędkością 6 l/min przez okres 2–4 h… EV będzie tak skonstruowany, aby jego pasażer był w stanie podnieść co najmniej jedną rękę do twarzy”. Chilijczycy przygotowują jednak całkowicie autorski projekt (wkrótce

zaczną rozważać jego opatentowanie) i dwunastego września rząd podaje mediom jego podstawowe parametry. Zewnętrzna średnica zbudowanego ze stalowej blachy EV będzie miała pięćdziesiąt cztery centymetry. Pojazd będzie miał maksymalnie dwa i pół metra wysokości, a pusta kapsuła będzie ważyła mniej więcej dwieście pięćdziesiąt kilo. Oprócz zapasów tlenu zgodnych z rekomendacjami NASA dach będzie odporny na uderzenie przedmiotów spadających z dużej wysokości, a przed kontaktem ze skałą EV będą chroniły resorowane gumowe koła (ostatecznie dostarczy je firma włoska). Na wypadek gdyby pasażer stracił przytomność, specjalna uprząż przytrzyma go w pozycji stojącej.

Kilka dni później chilijski rząd udostępnia schematy proponowanej kapsuły narysowane w barwach narodowych i opatrzone podpisem „Fénix”. Feniks to niewielka konstelacja na południowym niebie, grupa gwiazd w kształcie trójkąta i rombu – te dwie proste figury geometryczne połączone razem tworzą układ przypominający ptaka, który w mitologii greckiej powstaje z popiołów. Za pomocą tej kapsuły chilijscy pracownicy, chilijska technologia i chilijska wiara przeprowadzą odważną akcję ratowniczą, która wskrzesi w ludziach nadzieję zaledwie kilka miesięcy po tym, gdy katastrofalne trzęsienie ziemi i tsunami pozbawiły życia tak wielu niewinnych ludzi i wpędziły chilijski naród w rozpacz. Projekt wyciągnięcia trzydziestkitrójki górników z trzewi ziemi w Fénixie pomalowanym w barwy narodowe pokazuje również, że rząd chce, aby akcja ratownicza została zapamiętana jako heroiczny mit narodowotwórczy z prawdziwymi chilijskimi ludźmi pracy obsadzonymi w głównych rolach.

Jednak w mitologii greckiej nawet bogowie są niedoskonali, bywają próżni, odważni, dumni, mściwi, odczuwają rodzinną miłość i charakteryzują ich wszystkie inne arcyludzkie cechy, które można znaleźć u ludzi przebywających wewnątrz zawalonej kopalni San José.

W dniach poprzedzających osiemnasty września, chilijskie Święto Niepodległości, rodzi się pytanie, w jaki sposób będą je obchodzili chilijscy patrioci uwięzieni w kopalni San José. Niektórzy z szefów zespołu ratowniczego na powierzchni chcą, żeby posłać górnikom wino. Jest to w końcu najważniejsze święto w chilijskim kalendarzu, z rodzinnym ucztowaniem i piciem, więc kiedy górnicy będący żywymi symbolami dumy narodowej wypiją w swoim skalnym więzieniu po kieliszku wina, całe Chile poczuje się lepiej.

– Ja też chciałem, żeby posłać im wino – mówi psycholog Iturra – ale lekarze byli temu zdecydowanie przeciwni.

Niektórzy z górników dużo pili, a teraz od ponad czterdziestu dni byli abstynentami. Kryzys abstynencji dopadł wszystkich: od wypadku żaden z nich nie miał w ustach ani kropli alkoholu. Kilka dni wcześniej przypomniano mu, że niektórzy z zasypanych muszą się zmagać z uzależnieniem. Po zastanowieniu się psycholog doszedł do wniosku, że wino to zły pomysł. Jedna z matek wyznała mi jednak, że jej syn dostaje narkotyki.

Członkowie rodzin mogli posyłać górnikom paczki z ubraniami oraz z innymi rzeczami i ze słów kobiety wynikało, że ktoś przemyca w nich zakazaną substancję.

– To była albo marihuana, albo kokaina, nie pamiętam już, ale to nie miało znaczenia. Naprawdę nie mogłem pozwolić sobie na to, żeby ludzie na dole mieli odloty – powie później Iturra.

Psycholog wprowadza kontrolę paczek i przesyłka narkotyków zostaje zatrzymana. Jeśli chodzi o wino z okazji Święta Niepodległości, Iturra zwraca uwagę, że kopalniane chodniki są miejscem pracy i spożywanie alkoholu jest tam zakazane przez przepisy i zdrowy rozsądek. Górnicy doszli do tego samego wniosku: nie potrzebujemy wina, dziękujemy

bardzo. Trzydziestkatrójka uwięzionych uraczy się jednak *empanadas* i odrobiną steku, namiastką uczty, którą mieliby na powierzchni. W ramach przygotowań do Święta Niepodległości piszą wiersz dla prezydenta. „O mało nie doprowadziło to do bójki między Perrim i Edisonem, ponieważ mieli różne koncepcje wiersza – pisze Víctor Segovia szesnastego września w dzienniku. – Potem włączył się do tego jeszcze Zamora i doszło do wściekłej kłótni: a wszystko o wiersz z okazji dwusetnej rocznicy odzyskania niepodległości”.

Zła atmosfera nie panuje jednak długo, ponieważ przygotowania do święta zbiegają się z otrzymaniem wspaniałej wiadomości z powierzchni: druga faza Planu B akcji ratowniczej jest prawie zakończona. Siedemnastego września rano odwiert się przebija. Zasypanych mężczyzn łączy teraz z powierzchnią otwór o średnicy czterdziestu pięciu centymetrów. Kiedy zostanie poszerzony do siedemdziesięciu centymetrów, górnicy będą wolni: jeżeli wszystko pójdzie dobrze, potrwa to zaledwie kilka tygodni. „To się dzieje naprawdę szybko, z czego bardzo się cieszymy”, pisze Víctor w dzienniku. Następnego dnia rano, w Święto Niepodległości, większość górników strzyże sobie nawzajem włosy, bierze kąpiel i przebiera się w czyste ubrania, „jakby byli więźniami i czekali na widzenie”.

Podczas publicznych obchodów dwusetnej rocznicy odzyskania przez Chile niepodległości w mediach ciągle pokazywane są fotografie górników. W ramach pokazu slajdów na ścianie pałacu La Moneda w Santiago wyświetlany jest wysoki na dwa piętra obraz słynnej napisanej przez górników notatki: *Estamos bien en el Refugio*. W samej kopalni górnicy jedzą *empanadas* i piją colę. Wieszają na ścianie flagę narodową, ponownie odśpiewując hymn, i patrzą, jak Mario Sepúlveda wykonuje tradycyjny chilijski taniec cueca, co zostaje nagrane i pokazane w telewizji.

Jedynym górnikiem, który postanawia nie uczestniczyć w tych uroczystościach, jest Franklin Lobos, „żeby uniknąć problemów z częścią kolegów, z którymi się nie lubi”, notuje Víctor Segovia w swoim dzienniku. W kopalni pełnej coraz bardziej sfrustrowanych sytuacją mężczyzn Franklin nosi w piersiach szczególnie rozwścieczone zwierzę, które od czasu wypadku nieustannie warczy.

– Ciągle byłem w złym nastroju, nawet moi przyjaciele to potwierdzą – powie później.

Większość jego kolegów nie wie jednak o tym, że za wiecznie rozdrażnioną fasadą kryje się człowiek, który z każdym dniem mięknie i łagodnieje, człowiek, który uważa, że po raz pierwszy w życiu zobaczył siebie samego w prawdziwym świetle.

Zanim trzydziestu trzech górników uwięzionych w kopalni San José stało się znanych, tylko jeden z nich zakosztował sławy. Bycie piłkarskim bohaterem to wspaniała rzecz dla młodego mężczyzny, nawet (a raczej zwłaszcza) w takim prowincjonalnym mieście jak Copiapó. Franklin Lobos był dostatecznie wielką gwiazdą, aby zasłużyć sobie na przydomek, i to nietypowy, bo z agresywnie militarnymi i być może erotycznymi konotacjami: Mortero Mágico, Magiczny Moździerz. Nazwano go tak ze względu na iście atomowe rzuty wolne, którymi dziurawił siatkę bramki przeciwnika. Na początku lat osiemdziesiątych powołano go (na krótko) do chilijskiej reprezentacji narodowej i miał okazję założyć upragnioną czerwoną koszulkę. W tamtych czasach, w których również się ożenił i zaczął płodzić dzieci, nigdy mu nie brakowało pozamałżeńskiego towarzystwa kobiet.

– *Mujeres*, *mujeres*, *mujeres.* Kobiety, kobiety, kobiety – mówi Franklin, wspominając tamte lata. Jeśli wszedł do baru w centrum Copiapó i chciał kupić sobie drinka, inni klienci mu na to nie pozwalali:

– Proszę cię, Franklin, my stawiamy! Piwo dla Mortero Mágico!

Kiedy Franklin przekroczył trzydziestkę, jego piłkarski blask zaczął przygasać, ale przetrwał na boisku dłużej niż większość piłkarzy – do trzydziestego dziewiątego roku życia. Po zakończeniu kariery nie umiał wypełnić pustki, która się wokół niego wytworzyła.

– Jednego dnia masz mnóstwo przyjaciół i ludzie chcą ci stawiać piwo, a następnego już ich nie masz. Jednego dnia masz koło siebie te wszystkie kobiety, a następnego już ich nie widać – powie później.

Kiedy przestał grać w piłkę, rozsypało się również jego małżeństwo. Żona cierpiała przy nim na skutek jego złych nastrojów i ciągłych nieobecności, więc w akcie miłosierdzia rozwiódł się z nią, „sądownie i w ogóle”.

Magiczny Moździerz został taksówkarzem i kierowcą ciężarówki, ale w wieku pięćdziesięciu dwóch lat trafił do skrajnie niebezpiecznej kopalni San José, żeby go było stać na zapłacenie córce Carolinie – tej samej dziewczynie, której łzy koło bramy kopalni doprowadziły ministra górnictwa do płaczu – za studia. Teraz Carolina jest w Campo Esperanza, podobnie jak jej matka i była żona Franklina – Coralia. Po tym wszystkim, co jej zrobił, Coralia przyjechała do tego prymitywnego obozu ze względu na ich dorosłe dzieci, ale także na samego Franklina. Czy pisze do niego listy miłosne?

– Nie, pod tym względem zawsze była zimna. Nie chciała okazywać uczuć. Mówiła mi tylko, żebym dbał o siebie, tego typu sprawy – powie później.

Sama jej obecność, codzienne czuwanie w pobliżu niewiernego, ale teraz zamkniętego w pułapce byłego męża, jest swoistym wierszem miłosnym. W końcu bratankowie Franklina zaczęli za nią lobbować: „Wujku Franklinie, Coralia jest tutaj codziennie! Naprawdę jej na tobie

zależy”. Teraz Franklin Lobos, Magiczny Moździerz, rozważa krok, który byłby nie do pomyślenia, zanim przyszedł do pracy piątego sierpnia: powrót do byłej żony.

Franklin myśli również o powrocie do wcześniejszej, prostszej i anonimowej wersji samego siebie: znowu będzie ogniwem związku, parą z matką swoich dzieci. Kiedy myśli o tych wewnętrznych przeobrażeniach, o swoim spokornieniu, widzi, jak otaczający go robotnicy nadymają się ważnością i chwałą, która na nich czeka na powierzchni: mają nawet na sobie coś w rodzaju koszulek reprezentacji narodowej, kiedy zbierają się na podziemne odchody Święta Niepodległości. Franklinowi wydaje się idiotyczne, że jego koledzy uważają się za bohaterów narodowych, podczas gdy całe ich osiągnięcie polega na tym, że zostali uwięzieni w kopalni, do której trafiają tylko ludzie zdesperowani i dramatycznie potrzebujący pieniędzy. Tak, są teraz sławni, ale to upojne poczucie spełnienia, które daje sława, poczucie bycia pępkiem świata, zniknie szybciej, niż potrafią sobie wyobrazić.

Franklin próbuje przekazać tę prawdę kolegom, lecz robi to bez przekonania, ponieważ wie, że aby uwierzyć, trzeba przez to przejść samemu. Patrzy, jak obsesja kolegów na punkcie publicznego wizerunku wpędza ich w małostkowość.

– Kupię sobie chevroleta camaro!

– Włoska telewizja chce zrobić ze mną wywiad!

– Władze mojego rodzinnego miasta chcą mi dać medal!

Franklin jest szczególnie wściekły na Raúla Bustosa, człowieka z Talcahuano, za bezlitosne szydzenie z Maria Sepúlvedy po odkryciu listu, w którym Mario ogłosił się „absolutnym przywódcą”. Według Franklina przyczyną złych stosunków między ludźmi z poziomu sto pięć i mieszkańcami Schronu jest próżność samego Raúla i żeby się z nim nie

widzieć (a także z kilkoma innymi), opuścił rocznicowe uroczystości. Los jednak sprawił, że na powierzchni dorosła córka Franklina Carolina zbliżyła się do żony Raúla – Caroli. W jednym z listów Carolina pisze do ojca o tej nowej przyjaźni i o tym, jak ze sobą codziennie rozmawiają i dodają sobie nawzajem otuchy.

Franklin idzie na poziom sto pięć, pełnym ironii gestem obejmuje Raúla ramieniem i mówi do niego:

– Moja córka twierdzi, że muszę się z tobą zakumplować, bo ona się przyjaźni z twoją żoną w miasteczku namiotowym. Patrz, pisze o tym do mnie w liście – Franklin z kpiącym uśmieszkiem pokazuje Raúlowi list. – Ale wiesz co, Bustos? Ja nigdy nie będę twoim przyjacielem. Nigdy. Wiesz dlaczego? Bo nas poróżniłeś i nigdy ci tego nie wybaczę.

Franklin wie, że gada jak palant, ale zarówno w kopalni, jak i po wyjściu bez żadnych zahamowań będzie wyrażać swoje odczucia:

– To była jedna z najbrutalniejszych rzeczy, które powiedziałem tam, na dole. Ale powiedziałem mu to prosto w twarz, nie za plecami.

Ten sam Franklin Lobos, który chce się pojednać ze swoją żoną, nie jest zdolny wybaczyć Raúlowi Bustosowi. W najbliższym czasie będzie w sobie pielęgnował tę wrogość, nawet wtedy, kiedy wszyscy zaczną przygotowywać się na moment, w którym – jeżeli Bóg pozwoli – wsiądą do stalowej kapsuły i wzniosą się w stronę powierzchni i słonecznego światła.

Dwudziestego września amerykańscy wiertniczy – Jeff Hart, Matt Staffel, Doug Reeves i Jorge Herrera – a także ich chilijscy koledzy przystępują do realizacji trzeciego, ostatniego stadium Planu B, czyli poszerzenia czterdziestopięciocentymetrowego odwiertu do siedemdziesięciu centymetrów – przy takiej średnicy w otworze zmieści się kapsuła ratunkowa Fénix. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, powinni osiągnąć cel w ciągu niecałego miesiąca.

– Jeżeli skończymy dopiero na święta – mówią między sobą Amerykanie – to trzeba będzie rzucić tę robotę.

Żeby przyspieszyć wiercenie, zespół od wykonania Planu B postanawia nie zasysać zmielonej skały na powierzchnię, lecz pozwolić jej spadać na dno kopalni. Wiertnica zrzuci kilkaset metrów sześciennych pokruszonego kamienia do kopalnianego warsztatu, w pobliżu miejsca, w którym zbierali się mechanicy, żeby poczuć na twarzach przeciąg idący z wyrobiska Pieczary. Luis Urzúa wyznacza Juana Carlosa Aguilara na kierownika grupy górników, którzy będą nabierali zmielony dioryt na ładowarkę czołową i przewozili go w inne miejsce. Inżynierowie z powierzchni zaproponowali, że przyślą paliwo do maszyn, ale Aguilar odpowiedział, że nie trzeba, bo policzył, ile paliwa zostało w zbiornikach pikapów, furgonetki osobowej, podnośników i innych pojazdów (jest ich w sumie szesnaście), i wyszło mu, że wystarczy go z nawiązką do tego, żeby ładowarka mogła pracować przez kilka tygodni. Zgrzyt i jazgot ładowarki powodują, że zawalona kopalnia sprawia wrażenie nienaruszonej. Tym właśnie zajmowali się górnicy, kiedy w kopalni wydobywano rudę złota i miedzi: podnosili, przewozili i zrzucali ją maszynami, które były przedłużeniem ich mięśni. Znajomy odgłos i przenoszone na lewarek ładowarki drgania niewielkich ilości kamieni nabieranych na łyżkę, a potem zrzucanych na ziemię, dodają *Los 33* otuchy. Przez krótką chwilę znowu naprawdę są górnikami, ludźmi pracującymi w pocie czoła pod ziemią, i każdy z nich myśli o domu, który na niego czeka po robocie.

Kiedy Fénix i otwór B będą gotowe, jeden z ratowników wsiądzie do kapsuły i zjedzie do kopalni. Jego zadaniem będzie nadzorowanie wchodzenia trzydziestu trzech górników do kapsuły – i opuści kopalnię jako ostatni. Misja ta jest wielkim zaszczytem i wiąże się z nią ogromna

odpowiedzialność. Dla człowieka, któremu zostanie zlecona, będzie ukoronowaniem kariery zawodowego ratownika górniczego. Żeby go wybrać, chilijski rząd zorganizował nieoficjalny konkurs, podobny do przeprowadzonego w latach sześćdziesiątych wśród amerykańskich pilotów testowych w celu wytypowania pierwszych astronautów, co opisał Tom Wolfe w książce *S-kadra*. Rząd wybiera szesnastu finalistów, pracowników trzech instytucji państwowych, które biorą udział w akcji ratowniczej – państwowej Spółki Górniczej Codelco, marynarki wojennej i elitarnej jednostki policji GOPE.

Do tej szesnastki załapał się Manuel González. Jest górnikiem i ratownikiem z położonej około osiemdziesięciu kilometrów na południe od Santiago kopalni El Teniente, jednej z największych kopalni głębinowych na świecie. Jest w niej zespół ratowniczy złożony z sześćdziesięciu dwóch ludzi, którzy pod ziemią pełnią funkcję swoistej ochotniczej straży pożarnej. Wykonują swoje normalne obowiązki – González jest inżynierem strzałowym i sztygarem – ale w sytuacjach awaryjnych przystępują do działań ratowniczych. Gonzálezowi kilka razy zdarzyło się wydobywać ciała zmiażdżonych górników. Wśród ratowników z El Teniente są tacy, którzy lepiej od niego się wspinają, i kilka tygodni wcześniej wybrano ich do podjęcia pierwszej, nieudanej próby dotarcia do górników przez szyby wentylacyjne. Do podróży Fénixem nie są jednak potrzebni wspinacze, lecz sprawni mężczyźni, których Bóg obdarzył cierpliwością i silnymi cechami przywódczymi. Z piętnastoma latami doświadczenia w ratownictwie górniczym i z CV obejmującym zawodową grę w piłkę nożną González ma wszystkie potrzebne do tego kwalifikacje. W 1984 roku, jako zawodnik drużyny O’Higgins, grał przeciwko Franklinowi Lobosowi i jego drużynie Cobresal – w tym meczu strzelił

jedynego gola w swojej krótkiej karierze zawodowej. Teraz jest jednym z kilku ratowników górniczych z El Teniente, których wysłano do Copiapó.

Po przyjeździe do kopalni San José spotyka się z innymi kandydatami do podróży Fénixem i wszyscy natychmiast się zaprzyjaźniają. Będą sobie pomagać w przygotowaniach do akcji ratowniczej i konkurować o to, kto wsiądzie do kapsuły. Kiedy do kopalni przybywa gotowa kapsuła, widzą, że przypomina zabawkową rakietę, jaką można zobaczyć w muzeum. Ma butlę z tlenem, uprząż, światła i radiotelefon, a blacha kadłuba w kształcie cygara jest bardzo podobna do tej, z której robi się karuzele w wesołych miasteczkach. Fénix to kapsuła zaprojektowana do podróży do wnętrza ziemi, zatem bardziej kreatywny urzędnik może by ją ochrzcił „Juliusz Verne”. González i inni kandydaci ćwiczą w Fénixie: w ramach symulacji akcji ratowniczej kapsuła jest opuszczana i podnoszona przez żuraw w dwudziestometrowej rurze. Kandydaci po kolei wsiadają do niej i wielokrotnie podróżują nią wewnątrz rury, od czasu do czasu kapsuła jest zatrzymywana na wiele minut i ratownik musi siedzieć w tym stalowym więzieniu, żeby miał przedsmak niewesołej sytuacji, która może go czekać, gdyby góra zaczęła pękać i dudnić podczas zjazdu do kopalni.

Po wejściu do kapsuły uwięzieni górnicy wyjadą na górę i spotkają się na powierzchni ze swoimi bliskimi. Ale kto powita Yonniego Barriosa, mężczyznę mającego dwa domy? Jego żona, z którą gorączkowo teraz koresponduje, czy też jego dziewczyna, z którą przez większość czasu mieszka? Od przebicia pierwszego odwiertu życie osobiste Yonniego pod ziemią wygląda bardzo podobnie jak kiedyś na powierzchni. Yonni dzieli swoje ośmiominutowe wideokonferencje na pół – cztery minuty rozmowy z żoną Martą i cztery z dziewczyną Susaną.

– Nie obchodziło mnie, że to były tylko cztery minuty – mówi Susana. – Każda z tych minut była dla mnie na wagę złota.

Dla Susany te chwile rozmowy z kochankiem przez światłowodowe łącze mają w sobie coś magicznego i mistycznego. Kiedy kobieta po raz pierwszy widzi Yonniego, jej kochanek ma na sobie biały fartuch, uniform oficera medycznego górników. Biały strój i oświetlenie kopalnianego studia wywołują w Susanie wrażenie, że Yonni jest w niebie albo w jakimś innym odległym miejscu.

– Siedział i miał takie dziwne światło w oczach. Wyglądał jak Marsjanin. Otaczało go jasne światło i widać było tylko oczy. Przez chwilę myślałam, że nie żyje, że firma sobie ze mnie zażartowała.

Susana zaczyna płakać, nie zważając na polecenie psychologa, żeby zrobiła dzielną minę.

– Ty nie żyjesz! – krzyczy do ekranu.

– Płakałam i płakałam, aż Yonni powiedział: „Żyję, Chana, żyję. Patrz na mnie! Nie widzisz? Przecież żyję!”.

Po tych pierwszych dramatycznych słowach udaje im się nawiązać w miarę normalną rozmowę. Yonni mówi do niej swoim delikatnym i niepewnym głosem, a w jego wypowiedzi pojawiają się rzeczy, które brzmią znajomo, ponieważ dotyczą Marty. Tłumaczy Susanie, że wolałby nie rozmawiać z żoną podczas tych telekonferencji, ale musi, bo Marta mu powiedziała, że od tego stresu związanego z wypadkiem jest chora i jeżeli nie porozmawia z Yonnim, to umrze (dosłownie). Susana jest przekonana, że Yonni daje się Marcie manipulować, ale jak zawsze mu wybacza.

Po telekonferencjach, kiedy Susana wraca do domu, w którym mieszkała kiedyś z Yonnim, ogląda w telewizji i czyta w gazetach kolejne odcinki opery mydlanej, w której ona i Yonni są obsadzeni w roli tandetnych, jednowymiarowych czarnych charakterów, a Marta w roli ofiary. Globalny grecki chór obcych ludzi gardzi Susaną, ale jej nic to nie obchodzi.

– Moje szczęście było tak wielkie, że w ogóle tego nie czułam – powie później. – Yonni przeżył i wszystkie te historie tylko mnie rozśmieszały. Dla mnie im więcej złych rzeczy o nim mówili, tym bardziej był żywy. Kiedy walczysz ze śmiercią, nic nie jest w stanie cię zawstydzić. Bo śmierć to taka wielka rzecz. Niech mówią, co chcą, niech mnie szkalują, niech mnie nazywają kochanką. Byłam kochanką. Jasne, jestem kochanką. Ile on ma kobiet? Koło dziesięciu! Ma więcej kobiet niż par butów!

ROZDZIAŁ 17

PONOWNE NARODZINY

Jeff Hart, obsługujący wiertnicę realizującą Plan B, nosi na rękawie naszywkę w formie amerykańskiej flagi, a czasami spod białego kasku z logo firmy Layne Christensen wystaje mu z tyłu kawałek płótna. Prawie zawsze podczas wiercenia trzyma jedną stopę na podeście i któregoś dnia minister górnictwa pyta go dlaczego.

– W wierceniu ważne jest czucie – wyjaśnia Hart. – Trzeba stać na podeście, żeby czuć, co się dzieje.

Na dole metal trze i tłucze o skałę i drgania są przekazywane w górę otworu, gdzie Hart i jego stopa rejestrują „dobre wibracje” i „złe wibracje” maszyny.

– W ten sposób można się zorientować, że koronki pękają albo że powierzchnia cierna się zużyła – mówi.

Amerykanie są tym bardziej czujni, że skała w kopalni San José jest twardsza, niż się spodziewali. Na większych głębokościach, w ostatniej fazie realizacji Planu B, muszą wymieniać koronki co dziesięć, dwadzieścia metrów.

– Zrobiło się bardzo nerwowo, bo przestało być tak gładko jak wyżej – mówi Hart. – Jesteśmy w dziurze, która zakręca. Mamy przewód wiertniczy, który w naszej wyobraźni aż na sam dół przebiega środkiem

otworu, ale tak nie jest, bo wszędzie ociera się o ściany. Traciliśmy przez to mnóstwo momentu obrotowego.

Hart i trzej pozostali Amerykanie mieli pracować na dwie dwunastogodzinne zmiany, ale pracują na jedną zmianę po szesnaście do osiemnastu godzin, a potem śpią w namiotach na terenie kopalni. Wiercenie w stronę żywych, uwięzionych pod ziemią ludzi jest nieskończenie bardziej stresujące niż drążenie ku wodom gruntowym albo złożom minerałów. Hart czuje presję związaną ze świadomością, że jeżeli któryś z górników zachoruje, a jego wydostanie zajmie dodatkowy miesiąc, to może nie przeżyć. On sam też jest rodzicem, który czasami spędza wiele miesięcy poza domem, i chce oddać wszystkich tych uwięzionych na dole ojców ich dzieciom. Stres niedługo spowoduje, że Amerykanie, podobnie jak Chilijczycy na dole, zaczną na siebie warczeć.

Kiedy wiertnica Schramm T130 zbliża się do zasypanych, przez chodniki, w których mieszka i śpi uwięziona trzydziestkatrójka górników, przetacza się nowa plaga – najpierw potworne gorąco i dudnienie, potem woda, błoto i grzyb, a teraz do kopalni powoli napływa chmura pyłu i pary. Przez siedem dni, począwszy od dwudziestego siódmego września, mglista, zapiaszczona chmura dryfuje w stronę poziomu sto pięć i Schronu, i już tam zostaje. „Jest 7.40, wszędzie pył i para – pisze Víctor Segovia w swoim dzienniku. – Tak jak wtedy, kiedy jest mgła, wszystko jest zaparowane”.

Górnicy śpią i wiercą się w tej chmurze pary i pyłu, a Víctor zadaje sobie pytanie, czy się rozchoruje, jeżeli będzie to wdychał. W południowej modlitwie bierze teraz udział tylko garstka uwięzionych. Część pozostałych puszcza w koło flagi i zdjęcia, o których podpisanie zostali poproszeni, będą to pamiątki z wydarzenia, które najwyraźniej już przeszło do historii Chile. „Jeżeli na czymś są autografy nas wszystkich, staje się to cenne”, notuje Víctor. Większość górników pisze listy i już teraz mają poczucie, że

żyją w czasie, który przejdzie do historii. Jak zapamiętają ten okres i jak zostanie opisany? Niewątpliwie zapamiętają ofiarność mężczyzn i kobiet, którzy starali się ich stamtąd wyciągnąć, a także własne cierpienie i wiarę. Víctor Zamora, pseudonim Poeta, napisał już zgłębiający te zagadnienia wiersz, który opublikowano na powierzchni. „Nie upadajcie na duchu, towarzysze, musimy się najpierw zorganizować/ przyjdźcie tutaj wszyscy, musimy się pomodlić”, zaczyna Zamora, przedstawiając ich pierwsze podziemne prośby do Boga[13]. Zamora opisuje żal, który go ogarnął na myśl, że rozstaje się z rodziną. „…jedyna rzecz, o której w tamtej chwili myślałem/ powiedzcie mojej żonie i synom, że ich przepraszam/ tęsknią i czekają na mnie, aż stanę u drzwi”[14]. Zamora kończy swoje przesłanie pełnym nadziei: „Jesteśmy w waszych rękach, Chile”.

Na tę historię można jednak spojrzeć inaczej. Czy tak naprawdę nie jest to seria zdrad i zaniedbań ludzi, którzy nie chcieli zobaczyć, że ta kopalnia już wcześniej zabijała i okaleczała ludzi, że prędzej czy później musiała się zawalić i wszystkich zmiażdżyć? Trzeba rozliczyć właścicieli kopalni, ale również zatrudnionych przez nich inspektorów, przekonuje jeden z górników. Na kolejnym codziennym spotkaniu któryś z trzydziestkitrójki atakuje szefa zmiany Luisa Urzúę i sztygara Florencia Ávalosa.

– To przez was tutaj utknęliśmy – mówi. – Gdybyście zamknęli kopalnię, toby nas tutaj nie było.

Górnik grozi, że kiedy wyjdzie na powierzchnię, złoży na nich zawiadomienie o „próbie nieumyślnego zabójstwa” i powie mediom, że jego zdaniem winę za wydarzenia z piątego sierpnia ponoszą szef zmiany i sztygar.

Niezależnie od tego, jak się opowie tę historię, pozostaje pytanie, kto na tym skorzysta.

– Zabierzmy się do tego mądrze – mówi wielu górników. – Nie pozwólmy innym zarobić na naszym cierpieniu, tak jak się to zawsze dzieje.

Kilku górników nalega, żeby w obliczu medialnej ofensywy przestrzegali założeń zaproponowanego przez Juana Illanesa paktu milczenia. To wszystko, co się wydarzyło między piątym a dwudziestym drugim sierpnia, należy do całej grupy, nie do poszczególnych górników, powiedział wtedy Illanes, i jeżeli będą trzymali się razem, to wszyscy dostaną swoją część pieniędzy, które można zarobić na opowiedzeniu tej historii na powierzchni. Wisi jednak nad nimi pokusa indywidualnego wzbogacenia się i czasami zakrada się do kopalni w postaci propozycji składanych członkom ich rodzin i przekazywanych w listach, które zjeżdżają na dół w tubach *palomas*.

– Mam propozycję świetnego kontraktu – mówi Illanesowi Edison Peña, bo chce się dowiedzieć, czy podpisanie tej umowy oznaczałoby naruszenie reguł. Pewna amerykańska firma produkująca obuwie sportowe zaproponowała Edisonowi, już teraz znanemu jako „górniczy sportowiec", pieniądze za noszenie po wyjściu na zewnątrz jej butów. Również Mario Sepúlveda zwraca się do Illanesa, bo przecież pakt był jego pomysłem, a poza tym Illanes został nieformalnym doradcą prawnym górników. Sepúlveda nie mówi, że ma propozycję wywiadu czy jakiegoś innego kontraktu z mediami, ale sam fakt, że pyta, o czym może, a o czym nie może mówić, budzi podejrzenia Illanesa.

– Słuchaj, *compadre*, przyjacielu – zaczyna Illanes. – Musisz być bardzo ostrożny. Bo jest bardzo cienka granica między tym, co twoje, a tym, co należy do całej grupy… Jeśli nas wyjebiesz, to wsadzę cię do kicia[15]. Żeby nie było nieporozumień: tu, na dole, nic nie jest wyłącznie twoje. Nic. Chcesz mi powiedzieć, że gdybyśmy cię tutaj wrzucili na wiele

tygodni i zostawili samego, zupełnie samego, a potem przyszli cię uratować, to znaleźlibyśmy cię tak samo radosnego i kwitnącego, jak jesteś teraz? Sam sobie ze wszystkim radziłeś? Nie, *compadre*. Dożyłeś dzisiejszego dnia, bo stało za tobą trzydziestu dwóch innych.

Kiedy wrzesień zbliża się do końca, Juan Illanes, Luis Urzúa i inni zastanawiają się, czy nie powinni sformalizować swojego ustnego porozumienia i podpisać prawnie wiążącej umowy.

– Ambicje rodzin skłaniały ich do łamania paktu – powie później Urzúa. – Ambicja zmienia ludzi.

Illanes i Urzúa widzą, że ich koledzy przemycają do prasy kawałki swoich opowieści, i podejrzewają, że zaraz po wyjściu z kopalni Sepúlveda może oddzielnie podpisać umowę na książkę i film. W listach na powierzchnię i rozmowach z psychologiem Iturrą górnicy proszą, żeby sprowadzić do San José notariusza, który nadałby ich ustnemu porozumieniu formę pisemną i potwierdził ją, mimo że nadal są uwięzieni pod ziemią i czekają na ratunek.

Iturra przystaje na prośbę górników, co wywołuje jego problemy z rządem Piñery.

– Chcieli mnie za to zwolnić – wyzna.

Górnicy nie powiedzieli Iturrze, dlaczego chcą porozmawiać z notariuszem, po części dlatego, że nie chcieli, by media się domyśliły, co kombinują, więc urzędnicy mogli tylko snuć spekulacje: czy uwięzieni pod ziemią górnicy stali się niewdzięcznikami zamierzającymi pozwać do sądu rząd, który próbuje ich uratować? Czy podpisali już z kimś umowę na film? Iturra mówi urzędnikom, że o to by się nie martwił, ponieważ górnicy nadal siedzą pod ziemią i „tak naprawdę nie mogą nic zrobić”.

Notariusz zjawia się w kopalni drugiego października. Górnicy przedstawiają mu swój pomysł, na co on odpowiada, że może się

skonsultować z adwokatem i przygotować projekt umowy, ale z jej notarialnym poświadczeniem trzeba będzie zaczekać do momentu, aż wyjdą na powierzchnię, ponieważ notariusz musi być obecny przy podpisywaniu danego dokumentu, a nie oglądać je z odległości ponad sześciuset metrów przez łącze wideokonferencyjne.

W momencie kiedy notariusz opuszcza teren kopalni, wiertnica dociera na głębokość czterystu dwudziestu ośmiu metrów i od przebicia do warsztatu, a tym samym uwolnienia górników, dzieli ją niecałe sto metrów. Ale zanim dotrze do nich kapsuła, zasypani będą musieli wykonać jeszcze jedną górniczą pracę: przeprowadzić roboty strzałowe na samym końcu szybu B. Kiedy poszerzony szyb będzie gotowy, kapsuła ratownicza nie zmieści się w chodniku, jeżeli górnicy nie usuną leżących obok wylotu otworu części kamiennej ściany. Jest to rutynowe zadanie, lecz do wykucia dziury na ładunek strzałowy potrzebny jest młot pneumatyczny. Młoty pneumatyczne działają na sprężone powietrze, które było dostarczane z powierzchni rurami, ale zawał kopalni je poprzecinał. Jorge Galleguillos zajmował się już konserwacją tego systemu, teraz łączy ze sobą dwucalowe rury, które ratownicy spuścili na dół, żeby można było pompować nimi z powierzchni świeże powietrze. Jorge, któremu zeszła opuchlizna z nóg, ciągnie rury na poziom sto trzydzieści pięć, gdzie Víctorowi Segovii i Pablowi Rojasowi w końcu udaje się uzyskać dostatecznie silne ciśnienie, żeby wykuć młotem pneumatycznym osiem dziur w skale.

Kiedy Jorge jest zajęty tą pracą, chodzi sam chodnikami blisko poziomu sto pięć i spotyka Yonniego Barriosa. Yonni czuje się zmęczony swoimi obowiązkami medycznymi – niesie cały wór plastikowych buteleczek z przysłanymi z powierzchni lekarstwami – i z jakichś powodów uznaje, że Jorge postanowił przespacerować się po kopalni dla rozrywki.

– Ej, ty dupku – mówi. – Opierdalamy się, co[16]?

Jorge, który również jest zmęczony i sfrustrowany, reaguje na tę obelgę w ten sposób, że wyciera ubrudzone od skręcania rur dłonie w biały lekarski fartuch Yonniego.

– Zobacz, jaki byłem leniwy – szydzi, a potem uderza Yonniego w twarz.

Yonni upuszcza lekarstwa na ziemię, otrząsa się i kopie starego Jorgego w nogę. Po niezliczonych wymianach ostrych słów i groźbach, które padły między członkami szychty A przez te ponad osiem tygodni uwięzienia pod ziemią, są to pierwsze rękoczyny. Jedyny ich świadek Luis Urzúa nie zdążył się odezwać, a bójka już się kończy.

Dziewiątego października Jeffa Harta i obsługę wiertnicy Schramm T130 dzieli niecałe trzydzieści centymetrów od przebicia do warsztatu na poziomie sto trzydzieści pięć, kiedy maszyna wydaje z siebie głośne huknięcie.

– Śmiertelnie nas to wszystkich przeraziło – mówi później Hart.

Przez kilka chwil wiertniczy zastanawiają się nad konsekwencjami utraty otworu i pójścia na marne całej pracy, którą włożyli w jego wykonanie, ale potem, ku ich zaskoczeniu, maszyna zaczyna znowu działać bez zauważalnej zmiany ciśnienia i momentu obrotowego. Hart nigdy się nie dowie, co tak huknęło.

Minister Golborne powiedział rodzinom górników, że kiedy odwiert się przebije, obsługa włączy syrenę. O godzinie ósmej dwie na zboczu góry słychać wycie syreny: odwiert B dotarł do celu. W Campo Esperanza członkowie rodzin górników wołają: „Do flag!”, i biegną w stronę skupiska flag – trzydziestu dwóch chilijskich i jednej boliwijskiej – u podnóża piarżyska, czyli ku miejscu, w którym wcześniej się spotykali, żeby uczcić dobrą wiadomość albo wspólnie zmierzyć się ze złą.

– Nasza radość będzie jeszcze większa, kiedy wszyscy zostaną wyciągnięci żywi – mówi María Sepúlveda reporterowi.

Usunięcie prowadnicy oraz sprawdzenie stabilności i bezpieczeństwa otworu potrwa dwa do trzech dni. Na konferencji prasowej Golborne powie, że dowiercenie się do trzydziestu trzech górników zajęło trzydzieści trzy dni. Zgodnie z harmonogramem ostatni górnik wsiądzie do kapsuły i wysiądzie z niej trzynastego października 2010 roku. Jeżeli doda się do siebie wszystkie cyfry tej daty, zauważa Golborne, również uzyska się liczbę trzydzieści trzy.

Na poziomie sto trzydzieści pięć górnicy zbierają się pod odwiertem, którym wyjdą na powierzchnię, padają sobie w ramiona i robią zdjęcia aparatami przesłanymi przez krewnych z powierzchni. Są o krok bliżej wolności. Víctor Segovia jest jednak zmartwiony: szyb wydaje się wąski i górnik przeczuwa, że podróż na górę będzie potwornie klaustrofobicznym doświadczeniem. Chwilę później górnicy wkładają amonowo-saletrzane ładunki wybuchowe do wywierconych w pobliżu otworów, a następnie wykonują ostatnie roboty strzałowe w stujedenastoletniej historii kopalni San José – te stosunkowo słabe wybuchy przyczynią się do ich uwolnienia.

Następnego dnia rano wielu górników budzi odgłos przenoszonego przez skałę odległego grzmotu. Słychać serię wyrzutów skał, być może dudnienie pochodzi z wnętrza czeluści, którą widział Florencio Ávalos. Burza wewnątrz góry przypomina tę, która piątego sierpnia uwięziła górników. Samuel Ávalos, alias CD, śpi dalej mimo grzmotów, aż w końcu Carlos Barrios budzi go kopniakiem w nogę.

– Hej, CD, wstawaj, *huevón*! Kopalnia hałasuje. Załóż kask. Co robimy?

Pedro Cortez, młody górnik, który chce kupić żółtego camaro, zostaje obudzony przez innego górniczego weterana Pabla Rojasa.

– Góra strasznie pęka – mówi Rojas.

– Tak, już od jakiegoś czasu – odpowiada Pedro.

Seria silnych grzmotów, *pencazos fuertes*, zakłócała mu sen. Teraz oddziela je od siebie zaledwie kilka sekund i potrwają jeszcze cztery godziny, ale nie da się nic z tym zrobić, więc Pedro kładzie się z powrotem na nadmuchiwanym łóżku i próbuje zasnąć. Rozwściecza to Pabla, który nie rozumie, jak można spać, kiedy kopalnia sprawia wrażenie, że za chwilę znowu się zawali.

– To było zabawne, bo w wiadomościach mówili o starych kopalnianych lisach tak, jakby byli ekspertami, którzy pomagali nam, młodym, przeżyć – powie później Pedro. – A tutaj starzy przychodzili do młodych spanikowani.

Wszyscy, którzy nocują w okolicach Schronu, wstają i zbierają się koło szybiku, którym zjeżdżają z powierzchni *palomas*. Starsi górnicy wyglądają na roztrzęsionych, Yonni Barrios płacze.

– Musimy porozmawiać z Sougarretem i Golborne’em – mówią. – Musimy im powiedzieć, że nie możemy czekać kolejne dwa albo trzy dni. Muszą po nas przybyć natychmiast.

Jest taka legenda, że w kopalniach złota mieszkają diabły. Niektórzy uważają, że za dudnieniem kryje się diabeł i że diabeł jest zły, ponieważ górnicy mają zaraz opuścić kopalnię. Jest niedziela, dzień wideokonferencji. Podczas popołudniowych rozmów z krewnymi wielu górników błaga ich, żeby kazali Sougarretowi i Golborne’owi przyspieszyć akcję ratowniczą – na litość boską! – bo diabeł, który mieszka w górze, jest zły i nie chce ich wypuścić. Organizatorzy akcji ratowniczej trzymają się jednak swojego planu: w niedzielę i w poniedziałek nadal sprawdzają stabilność odwiertu i zachowanie kapsuły Fénix w otworze: wkładają do niej worki z piaskiem i opuszczają ją do szybu.

Grzmoty wewnątrz góry kończą się potężnym, dochodzącym z dołu hurkotem, który brzmi jak odgłos gigantycznej skalnej lawiny. Górnicy schodzą na dno kopalni i widzą, że wiele chodników się zawaliło, między innymi przecznica na poziomie czterdzieści cztery, w której Mario Sepúlveda miał zwyczaj się modlić.

W poniedziałek jedenastego października ratownicy na próbę opuszczają kapsułę Fénix na głębokość sześciuset metrów. Uwięzieni górnicy zaczynają sprzątać Schron, jak podróżni, którzy przed wyjazdem na długą wyprawę chcą zostawić w domu porządek. Luis Urzúa zwołuje spotkanie, ostatnie jako uwięzionych pod ziemią. Mówi im, że powinni pamiętać, jak sobie nawzajem pomagali, kiedy góra się waliła, kiedy głodowali i kiedy przez sześćdziesiąt dziewięć dni wspólnie walczyli o przeżycie. Wielu górników zabiera głos, żeby podziękować innym i zadeklarować przyjaźń. Víctor Zamora mówi o swojej wdzięczności dla Maria Sepúlvedy, który mobilizował mieszkańców Schronu w najtrudniejszych chwilach. Jorge Galleguillos, stary górnik z północy, który przez wiele dni cierpiał z powodu spuchniętych nóg, dziękuje Raúlowi Bustosowi, mechanikowi z południa.

– Zawsze był prawdziwym dżentelmenem i ja to doceniam. Jasne, bywa trochę zrzędliwy, ale zawsze mi pomagał.

Po tej wypowiedzi Luis Urzúa patrzy na niego oraz na Yonniego Barriosa i mówi:

– Mamy tutaj dwóch kolegów, którzy spędzili ze sobą dużo czasu, którzy pomagali sobie nawzajem i zawsze byli przyjaciółmi, ale ostatnio strasznie się pokłócili. Myślę, że powinni teraz podać sobie ręce.

Jorge Galleguillos i Yonni Barrios na oczach trzydziestu jeden pozostałych górników ściskają sobie dłonie i się obejmują.

Na koniec głos zabiera Juan Illanes i mówi swoim apodyktycznym barytonem:

– Ponieważ to jest ostatni raz, kiedy jesteśmy wszyscy razem, moim zdaniem powinniśmy zawrzeć porozumienie, które będzie nas obowiązywało w przyszłości.

– Od tej pory – ciągnie Illanes – każda decyzja podjęta przez większość członków grupy powinna być respektowana przez wszystkich.

Lada chwila wrócą do swoich domów, a wielu z nich mieszka daleko od kopalni i…

– …spotkanie się całą grupą będzie niemożliwe. Czy wam się to podoba, czy nie, wszyscy powinniście się zgodzić, że uszanujecie decyzję grupy.

Illanes przypomina im, co wcześniej uzgodnili: że nie będą pojedynczo ujawniali tego, co wspólnie wycierpieli. Ta historia jest ich najcenniejszą własnością i należy do wszystkich.

– Chcę, żeby wszyscy zadeklarowali, że będą przestrzegali tego, co uzgodniliśmy. Tu nie chodzi tylko o grupę, lecz także o to, jak bardzo kochacie samych siebie. Bo jeżeli kochacie samych siebie, to będziecie bronili praw innych.

Pod koniec tego przemówienia Illanes traci rezon, ponieważ prosi kolegów o uszanowanie obietnicy wyrażonej słowami – ustna obietnica jest czymś poważnym i świętym, ale również ulotnym jak oddech, który niesie wypowiadane słowa. Illanes prosi ich, żeby byli wierni abstrakcyjnym pojęciom honoru i solidarności, a także, by potrafili być odporni wobec pokus, które na nich czekają – prawdziwej sławy i prawdziwych pieniędzy w tym zwariowanym, rozpasanym świecie na powierzchni. Jeden z górników zgłasza zastrzeżenie – Estebán Rojas mówi, że nie ufa Illanesowi i nie zgadza się z wieloma rzeczami w jego wypowiedzi. Kilku

górników przytakuje mu i nagle na spotkaniu zaczyna panować bardzo napięta atmosfera. Każdy musi dbać o swoją rodzinę, nie oglądając się na grupę; na tym polega odpowiedzialność za rodzinę. Są to jednak głosy mniejszości i w końcu górnicy uzgadniają, że dochodami z opowiadających ich historię książek czy filmów podzielą się po równo. Potem odbywa się głosowanie, w którym Illanes zostaje wybrany na oficjalnego rzecznika *Los 33* na powierzchni.

Dla Maria Sepúlvedy mianowanie Illanesa rzecznikiem jest raną zadaną mu przez ludzi, dla których cierpiał i harował. W tej kopalni znalazł swoje nowe powołanie: być głosem sprawiedliwości, prawdy i człowieka pracy, ale po dotarciu na powierzchnię nie będzie miał możliwości opowiedzenia całej historii o cudzie na Atakamie.

– Odebrali mi przywództwo – powie później. – To była największa zdrada, jaka mnie spotkała przez te sześćdziesiąt dziewięć dni spędzonych pod ziemią.

Niewola w kopalni San José dała Mariowi Sepúlvedzie nowe poczucie celu i uświadomiła mu, jak wartościowa jest jego robotnicza tożsamość. Mario ma dług wobec kopalni i dwunastego października po południu, dwanaście godzin przed wejściem pierwszego górnika do kapsuły, przygotowuje się do pożegnania z komorami i chodnikami kopalni. Idzie tam, gdzie spał w Schronie, i tworzy pamiątkę po spędzonym w nim czasie. Kiedy ostatni górnik opuści te chodniki, staną się one swoistą kapsułą czasu, pomnikiem historii Chile i górnictwa, który być może przez dekady i stulecia pozostanie zamknięty i przez nikogo nieoglądany. Mario Sepúlveda pisze więc list, który zamierza zostawić na stalowej siatce osłaniającej ścianę obok jego łóżka. Na kawałku tektury wypisuje swoje imiona, nazwisko, datę urodzenia i słowa: „Mario Sepúlveda żył tutaj od piątego sierpnia do trzynastego października”. Przymocowuje też do siatki część przysłanych

mu przez rodzinę fotografii i otacza je wianuszkiem z plastikowych elementów, a dodatkowo wtyka między druty wszystkie chorągiewki w barwach Chile, które udało mu się zgromadzić. Potem zbiera na pamiątkę kamienie z poziomu dziewięćdziesiąt, z miejsc, w których przeżył tak wiele przygód, między innymi z tego, gdzie próbował odpalić ładunek wybuchowy mający stanowić sygnał dla ratowników na powierzchni.

– Dla mnie ten poziom symbolizował życie, nadzieję, chęć przeżycia – powie później.

Zamierza dać te kamienie André Sougarretowi i inżynierowi Andresowi Aguilarowi, którzy odegrali kluczową rolę w akcji ratowniczej, a także prezydentowi.

W tym samym czasie Raúl Bustos również przygotowuje się do wyjścia. On także zbiera kamienie, ale zanosi je do Pieczary i wyładowuje swoją furię, rzucając nimi do tego pustego wyrobiska.

– Weź to sobie, kopalnio San José! *¡Concha de tu madre!*

Potem razem z innymi górnikami Raúl zdejmuje część znaków geodezyjnych i tabliczek ostrzegawczych, a także z wściekłością bazgrze po maszynach, które są własnością Spółki Górniczej San Esteban, wulgarnie „dziękując” właścicielom kopalni i ich matkom. Raúl żegna się również z miejscem, w którym spał, na poziomie sto pięć. Z przesłanych mu przez krewnych skserowanych zdjęć rodzinnych stworzył kolaż, który towarzyszył mu przez tak wiele dni wypełnionych samotnością i tęsknotą za domem.

– Patrzyłem na te zdjęcia i przypominałem sobie wszystkie myśli, które przechodziły mi tam przez głowę, o kolacjach, których nie mogłem zjeść, o urodzinach, które mnie ominęły – opowie później.

Wchodzi do niewielkiego, cichego chodnika, w którym nikt go nie widzi, i podpala te fotografie.

– Chciałem, żeby poszły z dymem, bo wywoływały we mnie złe wspomnienia.

Po zdjęciach zostaje popiół, który rozdmuchuje ciągnący przez chodnik lekki wietrzyk. Kiedy Raúl wraca na poziom sto pięć, starannie usuwa wszelkie ślady swojego pobytu w tym miejscu. Podobnie jak Mario Sepúlveda wyobraża sobie San José w przyszłości, poza horyzontem ich życia, w czasach, kiedy ludzie przyjdą z aparatami fotograficznymi do tego miejsca związanego z historią Chile, do tych jaskiń, w których Raúl spędził najbardziej samotne chwile swojego życia.

– Nie chciałem, żeby ktokolwiek to zobaczył, żeby przyszedł tutaj i powiedział: „Patrzcie, tutaj spał Raúl Bustos”. To wszystko było bardzo prywatne i osobiste.

Przed opuszczeniem kopalni Víctor Segovia znajduje chwilę na dokonanie ostatniego wpisu w dzienniku: „Ziemia rodzi trzydzieścioro troje dzieci, nosiła je w sobie przez dwa miesiące i osiem dni”. Víctor snuje refleksje na temat całej swojej pracy w Spółce Górniczej San Esteban i jej zespole kopalń, ta seria wspomnień zabiera go z powrotem do roku 1988. Myśli o wszystkich miejscach, w których pracował, i wypadkach, które przez te dwanaście lat spotkały jego kolegów. Był wiertniczym, strzałowym i operatorem podnośnika. W sąsiedniej kopalni San Antonio zmarł pod ziemią kierowca wywrotki, a inny górnik zginął w wypadku samochodowym po drodze do pracy. Víctor widział też dwie tragedie w samym San José. Za śmierć tych dwóch kolegów nie obwinia kopalni, lecz tych, „którzy nie chcieli zainwestować większych pieniędzy w jej bezpieczeństwo”. Po tych wszystkich latach kopalnia jest dla niego jak drugi dom, Víctor czuje silną sympatię do zaimprowizowanej architektury jej korytarzy, do zgrzebności i prymitywizmu jej poszarpanych ścian. Rysuje w dzienniku serce i umieszcza w nim napis: „KOCHAM SAN

JOSÉ”. Kopalnia jest jak on sam: niedoskonała i zaniedbana, ale godna szacunku i miłości. „San José była niewinna – pisze Víctor. – Błąd popełnili ludzie, którzy nie umieli nią kierować”.

Wśród chilijskich i amerykańskich urzędników i inżynierów, którzy wymieniali się pomysłami na temat projektu kapsuły Fénix, są dwie osoby z marynarki wojennej – Amerykanin i Chilijczyk – z długim doświadczeniem służby w podwodnej flocie swoich krajów. Ćwiczyli akcje ratownicze analogiczne do misji, która zaraz zacznie się w San José, i są zgodni co do tego, że wyjazd górników na powierzchnię powinien się odbywać zgodnie z zasadą znaną z okrętów podwodnych: najpierw powinien wsiąść do kapsuły najsilniejszy, najsprawniejszy mężczyzna, który najlepiej sobie poradzi z ewentualnymi komplikacjami. Kierując się tym kryterium, kierownictwo chilijskiego zespołu ratowniczego uznaje, że jako pierwszy wyjedzie na powierzchnię Florencio Ávalos, wysportowany trzydziestojednoletni sztygar i zastępca Luisa Urzúy.

Zanim Ávalos wyjedzie z kopalni, ktoś inny musi do niej wjechać. O dziesiątej rano, w dniu rozpoczęcia akcji ratowniczej, Manuel González dowiaduje się, że to on jako pierwszy wsiądzie do Fénixa. Po obiedzie zjedzonym w nadmorskiej miejscowości Bahía Inglesa szofer zawozi go do kopalni San José i do odwiertu B. Jadą minivanem z przyciemnianymi szybami zapewniającymi mu osłonę przed spektaklem, który rozgrywa się na zewnątrz. Nagie kiedyś zbocze góry wokół kopalni jest pokryte mrowiem ludzi: członków rodzin górników i ratowników, którzy czują, że zaraz zacznie się świętowanie, a także reporterów i kamerzystów, którzy mają rozesłać obrazy tego świętowania na cały świat. Kiedy González zjedzie na dół, a pierwszy górnik wyjedzie na powierzchnię, do kopalni zostanie spuszczonych dwóch lekarzy marynarki wojennej, ale na razie całą uwagę skupia na sobie González. Po zapadnięciu nocy i zakończeniu

ostatnich przygotowań kapsuły i odwiertu obraz jego pełnej napięcia twarzy jest wyświetlany na gigantycznym ekranie w Campo Esperanza, na którym rodziny górników będą śledziły przebieg akcji ratowniczej. González, który stoi nad otworem B, podnosi wzrok i widzi nad sobą reporterów, kamery i wiele świateł, tak jakby wchodził do amfiteatru i miał wystąpić w jakiejś wielkiej inscenizacji.

Wsiada do kapsuły i o dwudziestej trzeciej osiem zapinają go w uprząż. Jest ubrany w jasnopomarańczowy kombinezon, biały kask i ma minę człowieka, który nie potrafi całkowicie stłumić w sobie strachu przed nieznanym. Poinformowano go, że system, dzięki któremu dotrze do kopalni, zaprojektowano z bardzo dużym marginesem bezpieczeństwa – na przykład austriacki żuraw, który podniesie Fénixa, ma udźwig pięćdziesięciu czterech ton, czyli około stu razy większy od masy kapsuły. Ale kiedy González stawia stopy na stalowej podłodze kapsuły, znajduje się nad otworem, którego długość równa się wysokości stutrzydziestopiętrowego budynku: swobodny spadek na dół trwałby dwanaście sekund i oznaczał pewną śmierć.

– Nic się nie martw – mówi do niego szef akcji ratowniczej. – Jestem przekonany, że sobie poradzisz.

Na miejscu są też prezydent i minister górnictwa.

– Powodzenia, Manolo – mówi prezydent, posługując się zdrobnieniem od imienia Gonzáleza.

O jedenastej siedemnaście Fénix zaczyna zjeżdżać na dół. González nie widzi szybu pod sobą, ponieważ kapsuła zagłębia się w górę pod kątem osiemdziesięciu dwóch stopni. Ma radiotelefon, ale po mniej więcej stu metrach sygnał zanika. Jest jednak kamera i gdyby pojawiły się jakieś problemy, González może to zasygnalizować dłonią.

– Moim zadaniem było sprawdzenie, czy wszystko działa – mówi.

Przez większość siedemnastominutowej podróży rozgląda się wokół siebie. Na mniej więcej dwustu metrach głębokości widzi wypływającą ze szczeliny w skale strużkę wody. Temperatura rośnie: na powierzchni jest chłodna wiosenna noc, ale w głębszych partiach kopalni panuje tropikalne lato. Sto pięćdziesiąt metrów od dna González czuje niewielkie przesunięcie: szyb zakręca do pionu. Później powie, że był za bardzo skoncentrowany na tym, co powinien był zrobić, aby odczuwać zdenerwowanie. Jego największym zmartwieniem było to, w jakim stanie będą górnicy po otworzeniu się kapsuły, możliwość, że któryś z nich wpadnie w panikę i będzie usiłował wcisnąć się do środka, zanim przyjdzie jego kolej.

Tymczasem górnicy muszą się zmierzyć z innym problemem: jeden z nich nie chce opuścić kopalni. Podczas jednego z testów kapsuła zrzuciła na dół trochę kamieni i teraz Víctor Segovia jest przekonany, że kiedy do niej wsiądzie, obluzowane kamienie zaklinują ją w trakcie jazdy. Na dodatek dudnienie góry spowodowało wielkie pęknięcie ściany wyrobiska, w którym kapsuła wjedzie do kopalni.

– Wciąż żyję – mówi Víctor. – Po co mam umierać w tej dziurze?

– Posłuchaj – mówi do niego Florencio Ávalos. – Ja pojadę pierwszy i jeśli utknę, nikt z nas się nie wydostanie.

Słowa Florencia uspokajają Víctora. Później, kiedy Florencio zaczyna się przygotowywać do wyjazdu na górę, górnicy pochylają głowy i odmawiają ostatnią modlitwę. Sześćdziesiąt dziewięć dni wcześniej padli na kolana i poprosili Boga, żeby ich stamtąd wyciągnął; teraz proszą Boga, żeby chronił Florencia podczas tej pierwszej „podróży” ku wybawieniu. Jest to ich ostatnia prywatna chwila przed rozpoczęciem publicznego spektaklu ratowniczego. Teatralność tego wydarzenia potęguje jasne światło skoncentrowane w miejscu wyłonienia się kapsuły, a także kamera, która

przez kabel światłowodowy zaczyna transmitować na powierzchnię obraz wideo. Chilijski rząd przekazuje ten sygnał dalej do zgromadzonych na miejscu mediów i wozów transmisyjnych, które wysyłają go z kolei w stronę gwiazd nad pustynią i kilkaset milionów ludzi na całym świecie zbiera się przed dużymi i małymi ekranami, żeby zajrzeć do wnętrza kopalni San José, do którego zbliża się kapsuła. W Santiago jest wpół do dwunastej przed południem, w Londynie i Paryżu zbliża się świt, w New Delhi jest koło południa, a w Los Angeles nadchodzi pora kolacji.

Kapsuła wysuwa się z szybu do wyrobiska na poziomie sto trzydzieści pięć. Yonni Barrios, bez koszuli i w białych szortach, jako pierwszy podchodzi do drzwi i wita Gonzáleza, który wyskakuje z Fénixa w swoim nieskazitelnie czystym pomarańczowym kombinezonie. González widzi, że Yonni ma łzy w oczach, padają sobie w ramiona. Ratownik zwraca się do reszty górników:

– Na górze czeka na was mnóstwo ludzi!

Kiedy górnicy podchodzą do niego, żeby podać mu rękę i uścisnąć go, ratownik żartuje nerwowo:

– Nie próbujcie mnie wykorzystać, bo jadą za mną dwaj nurkowie od operacji specjalnych, umiejących się bić!

Dla ludzi, którzy prawie dziesięć tygodni tkwili pod ziemią, wysoki González wygląda nieziemsko czysto i świeżo. Ze swoim ujmującym uśmiechem, pucołowatymi policzkami cherubina i skórą opaloną przez słońce Atakamy sprawia wrażenie przybysza z jakiegoś nieprawdopodobnie jasnego i dalekiego świata.

– Czuliśmy się tak, jakby inni ludzie nie istnieli – mówi jeden z górników. A teraz był wśród nich prawdziwy, absolutnie żywy, inny przedstawiciel rodzaju ludzkiego.

Z kolei González odnosi wrażenie, że ma wokół siebie trzydziestu trzech troglodytów. Wielu z nich jest bez koszuli, w podwiniętych szortach, które wyglądają jak pieluchy, i butach z obciętymi cholewami.

– Wyglądali jak banda jaskiniowców – powie później.

González spędzi w kopalni dwadzieścia cztery godziny i będzie miał okazję trochę w niej pomyszkować: za rogiem zobaczy kapliczkę upamiętniającą górnika, który zginął w wypadku, a kiedy zawędruje trochę dalej, poczuje się tak, jakby cofnął się w czasie, do bardziej prymitywnej i niebezpiecznej epoki w historii górnictwa.

– Nie mieli żadnych zabezpieczeń – opowie. Nie widział masek tlenowych ani przycisków alarmowych, a poza tym w żadnej innej kopalni nie spotkał się z tak wysoką temperaturą i wilgotnością.

– Codzienne warunki pracy były tam nieludzkie – mówi. – Już jeden dzień spędzony w tej kopalni byłby trudnym sprawdzianem wytrzymałości fizycznej, a przecież ci górnicy przeżyli tutaj sześćdziesiąt dziewięć dni. Na litość boską, jak oni to zrobili?

A teraz González musi im pomóc się stamtąd wydostać.

– Jestem Manuel González, ratownik z kopalni El Teniente – mówi spokojnym, ale pewnym tonem. Następnie opisuje, jak będzie wyglądała ich podróż przez szyb.

– Słuchajcie, będzie leciutko kołysało, ale nie bójcie się tego… Poczujecie też zmianę ciśnienia.

Ostatnie przygotowania obejmują zmierzenie Florenciowi ciśnienia krwi i pulsu.

– Nie przejmuj się – mówi González, zapisując wyniki, które są nieco ponad normę. – To tylko do celów prawnych.

Odfajkowuje wszystkie pozycje na liście, a potem podłącza monitory do uprzęży i palca Florencia. Niecałe piętnaście minut po przybyciu Gonzáleza

na poziom sto trzydzieści pięć Florencio Ávalos jest gotowy, by wsiąść do kapsuły Fénix.

– Zobaczymy się na górze – mówi do innych górników, a González zamyka za nim drzwi.

Kilka sekund później Fénix zaczyna się wznosić, gładko i równo jak winda, po czym znika w szybie. Florencio czuje się tak, jakby zagłębiał się w ciało z kamienia.

– Fajnie jest! – krzyczy do górników. – *¡Se siente rico!* Tutaj jest fajnie!

Odkrzykują, ich głosy dobiegają do Florencia z dołu, kiedy unosi się z groty, która przez dziesięć tygodni była jego domem i więzieniem.

Żona Florencia Mónica i jego syn czekają na niego blisko otworu: Mónica, która kiedyś lunatykowała po tym zboczu góry, i ośmioletni Byron. Niżej, w Campo Esperanza, María „burmistrz” Segovia ogląda akcję ratowniczą na gigantycznym ekranie. Myśli o tych dorosłych mężczyznach wciśniętych do kamiennego kanału i dochodzi do wniosku, że kopalnia jest jak rodząca kobieta. Podobnie jak wiele kobiet, które mieszkają na terenach należących do Spółki Górniczej San Esteban, María odczuwa tę analogię całym swoim ciałem.

– Kiedy zbliża się poród, masz świadomość, że mogą wystąpić powikłania albo że dziecko może w ogóle nie przeżyć – mówi.

Może zaplątać się w pępowinę albo utknąć w kanale rodnym i się udusić. Kapsuła transportująca górników przez skałę może spaść z powrotem do kopalni albo góra może znowu zadrżeć i zniszczyć odwiert, więżąc Fénixa razem z pasażerem. María Segovia urodziła czwórkę dzieci, a teraz mężczyźni, o których życie walczyła, będą się przeciskać przez ponadsześciusetmetrowy „kanał rodny” wykuty w matce górze. Jeżeli ziemia nie będzie chciała ich puścić, to nie wyjdą, myśli María, ale może ziemia nie chce już dłużej trzymać ich w sobie.

Wewnątrz kapsuły, podczas własnego „porodu”, Florencio jest przytomny, patrzy na omiatane nikłym światłem wykute w skale ściany, które przebiegają przed jego oczami. Ma na sobie ten sam zużyty czerwony kask, który założył, kiedy szedł do kopalni piątego sierpnia. Jest kilka minut przed północą i w trakcie tej powolnej podróży do góry dwunasty października przechodzi w trzynasty października. Florencio słyszy tylko klekot kapsuły: odgłos ten kojarzy mu się z jazdą starym rollercoasterem. Czuje kołysanie, ale nie traci spokoju podczas tej trzydziestominutowej podróży, ponieważ wie, że jego długa męka wewnątrz góry prawie się skończyła. Jest sam, jednak na powierzchni czeka na niego ponadmiliardowa publiczność ze wzrokiem skupionym na sterczącym ze zbocza góry cylindrze.

Florencio zaczyna wracać pamięcią do wydarzeń, które rozegrały się wewnątrz tej góry, a potem nawiedzają go inne wspomnienia, z życia na zewnątrz: dnia, w którym poznał przyszłą matkę swoich dzieci, dni narodzin synów, ich pierwszych dni w szkole. Zdaje sobie sprawę, że miał udane życie, a dzisiaj znowu mu się poszczęściło: ucieka z kamiennych grot kopalni w kapsule, wyciągany przez ludzi, których nie widzi. Czuje, że powietrze robi się rzadsze i lżejsze. Uszy mu się zatykają, a potem odtykają. Wietrzyk z powierzchni wpływa do kapsuły, która wjeżdża do ostatniego odcinka szybu, przez kilka chwil Florencia otaczają stalowe ściany i klekot znika, zastępuje go niesamowita cisza. Radiotelefon ożywia się z trzaskiem i Florencio słyszy ludzi, okrzyki mężczyzn, którzy wydają polecenia pasażerowi kapsuły i sobie nawzajem, głosy z powierzchni unoszą się nad jego głową. Słychać głośny aplauz. Fénix nadal powoli się wznosi. Kiedy zalewa go światło z zewnątrz, Florencio patrzy do góry i widzi ogorzałego od słońca mężczyznę w białym kasku, który zagląda do środka przez stalową siatkę drzwi kapsuły.

[13] *Arriba ese ánimo compañero, tenemos que organizarnos primero/ Júntense todos, tenemos que rezar.*

[14] *…decirles a mi esposa que lo lament/ Ellos, con ansias, esperándome en esa puerta llegar.*

[15] *Si vos la cagáis, yo te meto preso.*

[16] *Oye, culijuntos. ¿Andáis haciendo puras huevadas, no más?*

CZĘŚĆ III

KRZYŻ POŁUDNIA

ROZDZIAŁ 18

W LEPSZYM KRAJU

W nocy z piątego na szóstego sierpnia Byron Ávalos uznał swojego ojca Florencia za zmarłego, ale trzynastego października kilka minut po północy widzi go zmartwychwstałego, wydobytego z dudniącej góry. Na oczach całego świata Byron zalewa się łzami, nie potrafi się opanować i zaczyna ryczeć. Chilijska pierwsza dama, która stoi obok niego, próbuje go pocieszyć. Florencio Ávalos wyłania się z kapsuły Fénix, bez słowa obejmuje swoją żonę i syna, ściska dłonie prezydenta, ministra Golborne'a i innych szefów zespołu ratowniczego. Kiedy setki reporterów i prezenterów telewizyjnych z całego świata entuzjastycznie zdyszanymi głosami komentują rozgrywającą się na ich oczach akcję ratowniczą, scena wokół kapsuły ma charakter raczej powściągliwy – jest smutnawa i cicha, zwłaszcza w porównaniu z tym, co się wydarzy godzinę później, gdy na powierzchnię wyjedzie Mario Sepúlveda. Wrzask człowieka z sercem psa słychać już w momencie, kiedy kapsuła znajduje się dwadzieścia metrów od powierzchni.

– *¡Vamos!* Idziemy! – woła, a ten okrzyk niewidocznego jaskiniowca wylewa się z otworu cylindra, który sterczy z szybu.

– *¡Vamos!* – woła znowu Mario, budząc śmiech ratowników i swojej żony, a kiedy Fénix nareszcie wynurza się z szybu, piszczy jak zwierzę,

na co wszyscy reagują jeszcze głośniejszym śmiechem. Drzwi się otwierają, Mario szybko obejmuje swoją żonę, a potem sięga do torby, którą zabrał ze sobą z kopalni. Rozdaje kamienie z poziomu dziewięćdziesiąt jako pamiątki dla ministra Golborne'a, szefów zespołu ratowniczego i prezydenta Piñery, a następnie jak arystokrata albo błędny rycerz zdejmuje kask i nisko się kłania pierwszej damie. Po chwili ściska się i przerzuca okrzykiem: *„¡Huevón!”* z grupą ratowników, a następnie próbuje zainicjować skandowanie: „*Mineros de Chile*!”. Unosi ramiona z frenetyczną energią wyzwoleńca, aż w końcu jeden z ratowników każe mu przestać i zdjąć uprząż: na dole są przecież inni ludzie, którzy czekają na ratunek. W końcu Mario kładzie się na noszach i zostaje przetransportowany do pobliskiego lazaretu, a potem poleci helikopterem (podobnie jak wszyscy jego koledzy) do szpitala w Copiapó.

Jako trzeci wychodzi Juan Illanes, a po nim Carlos Mamani witany przez prezydenta Chile, a w szpitalu przez prezydenta Boliwii Eva Moralesa.

Następnie pojawia się nastoletni Jimmy Sánchez, na którego czeka ojciec, później Osmán Araya, który prowadził tak wiele nabożeństw i modlitw, a po nim José Ojeda, autor słynnej notatki o *Los 33*.

Ostro rzeźbione młodzieńcze rysy Claudia Yáñeza, który jakiś czas temu był taki słaby, że przypominał nowo narodzone źrebię, wyłaniają się z szybu na miękkie, przygaszone światło pochmurnego poranka. Claudio kołysze się w ramionach swojej dziewczyny i matki swoich dzieci.

Po nim wychodzi Mario Gómez, kierowca wywrotki, który wrócił na dół, żeby zarobić kilka dodatkowych peso za jeden więcej zjazd do kopalni, a teraz klęka koło kapsuły, żeby się pomodlić.

Do momentu pojawienia się dziesiątego górnika słońce rozproszyło chmury i zgromadzeni wokół szybu ludzie wołają do Alexa Vegi:

– Załóż okulary przeciwsłoneczne!

Alex zastanawiał się kiedyś, czy ciemności kopalni go nie oślepią, ale teraz musi się martwić o uszkodzenia wzroku spowodowane przez pustynne słońce i posłusznie zakłada ciemne okulary. Jego żona Jessica, która odmówiła pocałowania go na pożegnanie rano piątego sierpnia, teraz całuje i obejmuje go namiętnie i długo jak w jakimś melodramacie – jest w tym tyle tęsknoty i smutku, że ludzie przestają klaskać i nagle słyszą płacz Jessiki.

– Nie płacz – mówi Alex. – *No llorís*. Już po wszystkim.

Jako następny wyjeżdża na górę Jorge Galleguillos, a po nim Edison Peña, który mówi:

– Dziękuję wam, że wierzyliście, że żyjemy. Dziękuję wam, że wierzyliście, że żyjemy.

Powtarza te słowa jeszcze kilka razy, nawet kiedy jest już w ramionach kobiety, która zapytała, czy się z nią ożeni. (Nie ożeni się). Niedługo nadejdzie wiadomość, że Edison dostał zaproszenie do Gracelandu.

Carlos Barrios, który wziął udział w dwóch ekspedycjach szukających wyjścia z kopalni, jest witany przez głośno zawodzącego ojca:

– *Tranquilo, ya.* Spokojnie, już po wszystkim – mówi do niego Carlos.

Następnie wychodzi Víctor Zamora, poeta. Psycholog Iturra wywiązał się ze swojej obietnicy i mianował jego syna Artura „młodszym ratownikiem” – chłopiec ma na głowie biały kask z symbolem carabineros z przodu i w odróżnieniu od innych dzieci obecnych wokół szybu wolno mu podejść do kapsuły i otworzyć ją. Niedługo po dwunastej z Fénixa wyłania się Víctor Segovia z bezcennym dziennikiem pod pachą, po nim wyjeżdża na górę wysoki, spokojny kierowca ciężarówki Daniel Herrera, a następnie Omar Reygadas, mężczyzna, który zaniósł na dno kopalni światło. Jako osiemnasty i dziewiętnasty wychodzą kuzyni Estebán Rojas i Pablo Rojas

pseudonim Kot, który feralnego dnia odrabiał nieobecność w pracy spowodowaną pogrzebem ojca.

Jest środek popołudnia, kiedy z kapsuły wyłania się Darío Segovia. Jego siostry Maríi, „burmistrz", nie ma na górze (została w Campo Esperanza) i Daría wita jego partnerka Jessica Chilla. Ujmuje twarz mężczyzny w dłonie, i dotyka jego rąk i nóg, będzie to robiła raz po raz w szpitalu, jak matka, która sprawdza stan zdrowia swojego nowo narodzonego dziecka.

– Chciałam sprawdzić, czy jest cały – tłumaczy później Jessica. – Chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje, taki był zdenerwowany.

Te pierwsze godziny obecności Daría na powierzchni zabarwia jej magiczne i surrealistyczne poczucie, że była świadkiem „porodu" mężczyzny w średnim wieku.

– Było tak, jakby zaczynał nowe życie, w które przestał już wierzyć.

Kiedy na górę dociera Yonni Barrios, słyszy okrzyki:

– Doktor!

Na początku nie widzi swojej dziewczyny Susany Valenzueli, ale ona tam jest, stoi obok ministra górnictwa, ma za sobą wiele dni zmagania się z osobistym dramatem rodzinnym, który częściowo był relacjonowany przez światowe media. Podczas ostatniej wideokonferencji Yonni powiedział Susanie, żeby się nie martwiła: on zadba o to, żeby miała możliwość powitać go na powierzchni. Będzie jak Tarzan, król dżungli, po prostu przemówi i wszystkie zwierzęta wykonają jego polecenie. Tak właśnie się dzieje: zespół ratowniczy mówi legalnej, ale porzuconej żonie Barriosa Marcie Salinas, że Yonni życzy sobie, aby zaszczyt powitania na powierzchni przypadł w udziale współzamieszkującej z nim dziewczynie. Marcie pozostaje wyżalanie się prasie, że jej mąż dokonał takiego wyboru.

– To ona go powita… Ale cieszę się, że przeżył.

Tego dnia przed południem Susana kończy smażyć ryby w obozowej kuchni, przebiera się w świeże ubranie i pod eskortą policji udaje się pod szyb ratunkowy.

Susana patrzy, jak Yonni wysiada z kapsuły, zauważalnie chudszy. Zdejmuje uprząż i jest odwrócony do niej plecami, kiedy ona mówi do niego ściszonym głosem:

– Hej, Tarzanie.

Samuel CD Ávalos wychodzi jako dwudziesty dziewiąty, po nim młody Carlos Bugueño, a następnie José Henríquez, Pastor, witany przez swoją żonę Blancę Hettiz Berrios, z którą są małżeństwem od trzydziestu trzech lat.

Nadchodzi wieczór i teren wokół szybu ratowniczego okrywa cień, kiedy na górę dociera brat Florencia Renán Ávalos, po którym przyjdzie kolej na Franklina Lobosa, gwiazdora piłkarskiego, ściskającego swoją dwudziestopięcioletnią córkę, której łzy przyczyniły się do tego, że rząd federalny postanowił włączyć się do akcji ratowniczej. Córka daje mu piłkę futbolową podpisaną przez członków jego rodziny i Franklin przez chwilę robi kapki.

Zapada noc, kiedy z kapsuły wychodzą ostatni górnicy: Richard Villarroel, który nie pozwoli, żeby jego szykujący się do przyjścia na świat syn tak jak on wychowywał się bez ojca; Juan Carlos Aguilar, szef ekipy mechaników; Raúl Bustos, człowiek z Talcahuano; a potem Pedro Cortez, który zauważa, jak przyjemnie i świeżo pachnie powietrze na górze, w świecie przeznaczonym dla ludzi. Jako trzydziesty drugi wychodzi Ariel Ticona, który będzie musiał jeszcze chwilę zaczekać, zanim po raz pierwszy zobaczy swoją maleńką córeczkę.

Jako ostatni członek szychty A kopalnię opuszcza Luis Urzúa. Piątego sierpnia wjechał głębiej do walącej się kopalni, żeby sprawdzić, czy wszyscy ludzie z jego zmiany przeżyli, a dzisiejszego wieczoru odprawił codzienny rytuał *jefe del turno*: opuścił miejsce pracy dopiero wtedy, kiedy wszyscy podwładni zostali policzeni i wyjechali z kopalni. Jego przybyciu na powierzchnię towarzyszą dźwięki klaksonów i syren, które odbijają się echem od zbocza góry. Urzúę ściska jego syn, a potem prezydent, szef zmiany zaczyna rozmawiać z Piñerą cichym, wycieńczonym głosem, który ledwo wychwytują ustawione w pobliżu mikrofony.

– Jako *jefe del turno* przekazuję panu moją zmianę – mówi do prezydenta.

– Jako dobry *jefe del turno* – komplementuje go Piñera.

Słowa te kończą publiczną mękę trzydziestu trzech członków szychty A z kopalni San José.

Ratownik Manuel González zostaje w kopalni najdłużej. Kiedy zjeżdża po niego kapsuła Fénix, patrzy w stronę kamery transmitującej obraz z dołu na powierzchnię, kłania się, wsiada do środka i jedzie na górę, gdzie wita go prezydent Piñera. Głowa państwa pomaga w opuszczeniu stalowej pokrywy na wylot szybu i wygłasza przemówienie, w którym chwali górników i ratowników za odwagę i wytrwałość.

– Chile nie jest dzisiaj tym samym krajem, jakim było sześćdziesiąt dziewięć dni temu – mówi. – Górnicy nie są tymi samymi ludźmi, którzy utknęli w kopalni piątego sierpnia. Wyszli na powierzchnię silniejsi i czegoś nas nauczyli… Chile jest dzisiaj bardziej solidarne i silniejsze niż kiedykolwiek.

Piñera nigdy później nie będzie taki popularny jak w tym momencie.

W Campo Esperanza kilka tysięcy dziennikarzy, ratowników i członków rodzin górników zaczyna się pakować i wyjeżdżać. Znikają

namioty, mała szkoła, kuchnie, ołtarze, a nawet flagi. Kopalnia już teraz przybiera opuszczony, smutny wygląd odludnego pustynnego stanowiska archeologicznego. María, „burmistrz” miasteczka namiotowego, i pozostałe rodzeństwo uratowanego górnika Daría Segovii kręcą się i sprawdzają, czy wszystko zostało posprzątane.

– Wyszliśmy stamtąd jako ostatni, nikogo innego już nie było – mówi María. – Zostało tylko trochę policjantów do pilnowania opuszczonego zakładu.

Siedemdziesiątego czwartego dnia, o czwartej po południu, jak mówi…

– …całą rodziną zamknęliśmy obóz.

Darío jest w szpitalu w Copiapó, a potem zajmuje się najbliższą rodziną. María postanawia, że da mu trochę czasu na uporządkowanie swojego życia: wraca autobusem do Antofagasty, nie zobaczywszy się z bratem, o którego uwolnienie walczyła przez dziesięć tygodni.

– Wyjechałam z obozu szczęśliwa, ponieważ wygraliśmy, wygraliśmy jego życie, ale było mi smutno, bo nie mogłam się z nim zobaczyć. Zapadło mi to w serce.

Po powrocie do siebie María znowu sprzedaje *empanadas* na plaży, w upalnym słońcu, a w domu ogląda na ekranie telewizora, jak Darío staje się „magnatem”, podróżuje po świecie i przyjmuje różne odznaczenia. Rozmawiają przez telefon. Mija rok, a brat i siostra jeszcze się nie spotkali.

Pewnego dnia María dostaje list od brata. „Jestem z ciebie bardzo dumny, pani Burmistrz”, brzmiały jego pierwsze słowa.

ROZDZIAŁ 19

NAJWYŻSZY WIEŻOWIEC

Szesnastego października w sali konferencyjnej oddziału zakładu ubezpieczeń społecznych w Copiapó Juan Illanes przewodniczy pierwszej oficjalnej konferencji prasowej *Los 33* z udziałem sześciu innych górników. Mają przed sobą las mikrofonów, po dziesięciu tygodniach pod ziemią ich skóra wciąż jest chorobliwie szara. Trzydziestu dwóch z nich wypisano ze szpitala – tylko Víctor Zamora, który ma poważne problemy z zębami, pozostaje pod opieką lekarską – i hordy dziennikarzy nachodzą ich w domach. Mario Sepúlveda został potajemnie wyprowadzony ze szpitala z głową zawiniętą w koc, żeby uniknąć tłumów dziennikarzy, którzy chcieli z nim porozmawiać. Teraz Illanes prosi przedstawicieli prasy, żeby uszanowali ich prywatność.

– Zostawcie nam trochę miejsca, żebyśmy mogli się nauczyć, jak mamy się z wami komunikować – mówi.

Prosi media, żeby powstrzymały się od prób „zniszczenia wizerunku” górników jako grupy, a w szczególności, żeby przestały atakować Yonniego Barriosa, któremu poświęcono wiele nieprzyjemnych artykułów, naśmiewających się z jego miłosnych przygód, „wywlekających jego intymne sprawy”.

– Proszę was, żebyście wzięli pod uwagę jego stan psychiczny – mówi Illanes.

W Ameryce Łacińskiej, tak jak na całym świecie, media kreują bohaterów, a potem z lubością ich niszczą, zwłaszcza kiedy ci bohaterowie nie chcą się dać wcisnąć w schemat celebryty, dlatego Illanes zdaje sobie sprawę, że prasa może w każdej chwili zwrócić się przeciwko niemu. Odpowiada na kilka zaskakująco sceptycznych pytań o to, dlaczego ktokolwiek w ogóle chce pracować w tak niebezpiecznej kopalni.

– Potrzebowałem pieniędzy – oznajmia.

Nie chce jednak mówić o tym, jak górnicy przeżyli siedemnaście dni przed nawiązaniem kontaktu ze światem zewnętrznym. Zawarli pakt milczenia i porozumienie, że dochodami z ewentualnej książki i filmu na temat ich przeżyć podzielą się po równo, dlatego nie będą rozmawiać o tych siedemnastu dniach, mówi Illanes. Pytania zadawane podczas tej konferencji prasowej sugerują, że zgodnie z wyobrażeniami mediów bladzi mężczyźni mają do opowiedzenia różne pikantne i niesłychane historie.

– Kłóciliście się ze sobą?

– Myśleliście o seksie?

– Widzieliście twarz Boga?

– Braliście pod uwagę kanibalizm?

Chilijskie media już teraz insynuują, że sytuacja między bohaterami kopalni San José mogła wyglądać inaczej, niż się wydaje. Górnicy niewątpliwie byli podzieleni i część mediów przekazała podsłuchane przez jednego z ratowników słowa, które padły w momencie, kiedy Mario Sepúlveda opuszczał kopalnię w kapsule Fénix:

– Mamy szczęście, że się go pozbywamy!

Reporterzy otaczają dom Víctora Segovii i kiedy udaje mu się przebić przez medialny kordon, żeby dotrzeć do drzwi wejściowych, w środku

zastaje kolejnych reporterów, którym dzięki swoim perswazyjnym zdolnościom udało się sforsować próg jego mieszkania. Jest wśród nich jedna z najbardziej znanych osobistości medialnych w Chile – Santiago Pavlovic, chodzący z przepaską na jednym oku gospodarz programu *Informe Especial*. Jest też reporter, który rozmawia w kuchni z matką Víctora, a także dziennikarz z Azji. Víctor chce pójść do ogródka i napić się piwa, ale tam również zastaje reportera. Krewni mówią do niego:

– Porozmawiaj z tymi dziennikarzami, żeby sobie poszli.

Kiedy to wszystko się dzieje, Víctor próbuje pocieszyć swojego siedemdziesięciosiedmioletniego ojca. Starszy Segovia jest chory i traci pamięć, a kiedy po raz pierwszy od dziesięciu tygodni widzi swojego syna górnika, zaczyna płakać.

– Nigdy, ale to nigdy wcześniej nie widziałem, żeby płakał – mówi Víctor. – Zawsze był twardym człowiekiem.

Víctor zdziwiony jest przede wszystkim tym, jak wszyscy go traktują w jego własnym domu, jakby był celebrytą, jakby był bogaczem: z podziwem i niechęcią. Niecierpliwią się, chcą, żeby się uśmiechał, chcą usłyszeć, jakie ma plany, skoro nie musi już pracować, ponieważ wszyscy Chilijczycy wiedzą, że według jednego z najbogatszych mieszkańców kraju Víctor i pozostałych trzydziestu dwóch górników będą milionerami. Nawet była żona Víctora, która wiele lat temu go porzuciła, nagle chce się z nim pojednać i prosi go o wybaczenie. To wszystko jest równie dziwne i surrealistyczne jak ten brodaty mężczyzna z przepaską na oku, który jakimś sposobem został przetransportowany z siedziby telewizji do salonu Víctora, a teraz patrzy na niego i pyta:

– Możemy porozmawiać?

Media uwielbiają trzydziestkętrójkę, a jednocześnie zaczynają odczuwać niechęć w stosunku do ocalonych górników. Najnowsi chilijscy

bohaterowie narodowi to banda zwykłych robotników, którzy mają czelność ignorować najważniejsze pytania przedstawicieli środków masowego przekazu, ponieważ zamierzają sami zarabiać na opowiadaniu swojej historii – w Santiago, ale także w Hollywood i Nowym Jorku. Kilku z nich sprzedaje niewielkie części tej historii za duże i małe sumy.

– Policzył nam pięćdziesiąt dolarów, ale mieliśmy wrażenie, że nie wszystko ujawnił – mówi japoński dziennikarz po wizycie u jednego z górników.

Skoro chilijskim mediom nie wolno było z nich zrobić bohaterów, to bez problemu mogły ich rozszarpać i rzucić na pastwę populistycznej krytyki. Na początek niektóre środki masowego przekazu zaczynają przypominać, że za uratowanie górników kraj musiał zapłacić niemałą sumę: co najmniej dwadzieścia milionów dolarów. Jak szacuje rząd, obejmuje to koszty przelotu inżynierów, sześćdziesiąt dziewięć tysięcy dolarów za zbudowaną przez marynarkę wojenną kapsułę Fénix i prawie milion dolarów wydanych przez państwową spółkę naftową na paliwo do różnych maszyn wiertniczych i tirów. Dziewiętnastego października w tabloidzie „La Segunda” ukazuje się artykuł, w którym zostają podliczone koszty wszystkich otrzymanych przez górników prezentów. Nazbierało się tego ponad trzydzieści osiem tysięcy dolarów na głowę (około dziewiętnastu milionów peso) w formie wakacji, odzieży i datków pieniężnych, a także okularów przeciwsłonecznych Oakley po czterysta dolarów za sztukę, najnowszej wersji iPoda z ekranem dotykowym od Apple’a i planowanych podróży do Wielkiej Brytanii, na Jamajkę, na Dominikanę, do Hiszpanii, Izraela i Grecji (górnicy zostali tam zaproszeni przez różnych urzędników i przedsiębiorców). Ostatecznie nie wszystkie podróże dojdą do skutku i w większości z nich wezmą udział

tylko niektórzy z górników. Luis Urzúa wyczuwa jednak zmianę atmosfery wokół trzydziestkitrójki.

– Po tym artykule w „La Segunda” ludzie zaczęli myśleć, że się bogacimy. Zaczęli patrzeć na nas inaczej – mówi.

Ale na razie wszyscy stają na głowie, żeby obdarować czymś górników. Kilka dni po ukazaniu się w brukowcu „La Segunda” wspomnianego podliczenia firma Kawasaki Chile ogłasza, że każdemu z trzydziestu trzech górników podaruje nowy motocykl.

– To będzie nasz najdroższy model, kosztuje trzy miliony dziewięćdziesiąt tysięcy peso za sztukę. Poza wszystkim górnicy na to zasługują – mówi dyrektor generalny przedsiębiorstwa dziennikarzowi telewizyjnemu, a przy okazji łączy markę Kawasaki z zawodem górnika. – Ci ludzie symbolizują ciężką pracę, poświęcenie, wytrwałość, umiejętność pokonywania przeszkód, czyli cechy, którymi wyróżnia się również Kawasaki, jedna z najważniejszych japońskich firm – dodaje.

Franklin Lobos przyjmuje prezent w imieniu swoich kolegów i mówi coś, co górnicy od momentu wyjścia na powierzchnię wciąż powtarzają:

– Wbrew temu, co ludzie mówią, nie jesteśmy bohaterami. Jesteśmy tylko ofiarami. Nie jesteśmy gwiazdami filmowymi czy gwiazdami Hollywood.

Kilka dni później Ariel Ticona siedzi ze swoją żoną i nowo narodzoną córką Esperanzą w madryckim studiu telewizyjnym i odpowiada na pytania gospodarza hiszpańskiego talk-show.

– Mamy dla was prezent – mówi gospodarz, a zza kulis wychodzi młoda kobieta w obcisłym stroju, pchając nowiutki wózek dziecięcy. Następnym przystankiem Ariela w Hiszpanii jest stadion Santiago Bernabéu, ta świątynia światowego sportu, którą drużyna piłkarska Real Madryt nazywa swoim domem. Razem z trzema innymi górnikami Ariel

dostaje zaproszenie na wycieczkę po obiekcie z przewodnikiem dla VIP-ów, która obejmuje spacer po boisku, i z sunącą za górnikami kamerą telewizyjną.

– To jest najpiękniejsza rzecz, jaką widziałem po wyjściu z kopalni – mówi Ariel, patrząc przez okulary przeciwsłoneczne Oakley na osiemdziesiąt pięć tysięcy pustych miejsc. W tym, jak Ariel się uśmiecha, pożerając ten widok wzrokiem, jest coś uroczo niewinnego.

Przez pierwsze tygodnie po wyłonieniu się z ciemnych chodników kopalni San José trzydziestu trzech ocalonych stoi na arenie publicznego uwielbienia, a jednocześnie żyją z prywatnymi wspomnieniami o ich skromnym pochodzeniu i dziesięciu tygodniach spędzonych na łasce i niełasce góry. Media nie szczędzą uwagi i pochwał również Edisonowi Peñi – w końcu człowiek, który pod ziemią biegał i śpiewał *Heartbreak Hotel*, wydaje się uosobieniem wytrwałości i radości ludzkiego ducha. Edison, który przeżył pobyt we wnętrzu dudniącej kopalni, w życiu na powierzchni i patrzeniu, jak ludzie zajmują się swoimi normalnymi sprawami, dostrzega coś okrutnego. Jego umysł nie nadąża za ciałem: nadal przebywa w tej górze, która raz po raz się na niego wali, nadal jest uwięziony za skalną „gilotyną”. Góra tkwi w Edisonie podczas jego podróży po świecie jako ambasadora Chile, górnictwa i kultury biegania, tkwi w nim, kiedy odwiedza Tokio, Tupelo w stanie Missisipi i wiele innych miast. Szczególnie mocno jest w nim obecna w Santiago, gdzie Edison mieszka.

– Cała ta płaskość, cała ta lekkość życia naprawdę mnie oszołomiła – mówi Peña. – Zaszokowało mnie, że ludzie po prostu chodzą sobie po mieście, normalnie żyją. Zaszokowało mnie to i miałem ochotę powiedzieć, że tam, skąd przybyłem, jest inaczej. Że przybyłem z miejsca, w którym rozpaczliwie walczyliśmy o życie. Wyszedłem do świata żywych i zastałem

to gówno nazywane spokojem. Kompletnie mnie to odrzuciło. Odrzuciło wielu z nas.

W kopalni Edison biegał po to, żeby zapomnieć, gdzie jest, teraz robi to samo na powierzchni. Dwudziestego czwartego października, jedenaście dni po akcji ratowniczej, Edison Peña bierze udział w jednej części zawodów triatlonowych w Santiago – biegu na dziesięć i pół kilometra.

– Lekarze i psycholodzy narzucili mi ścisłe zasady, których muszę przestrzegać – mówi przed rozpoczęciem biegu dziennikarzowi telewizyjnemu. – Czuję się trochę jak nienormalny. Edison prywatnie i publicznie przyznaje się ludziom, że czuje się emocjonalnie rozchwiany, ale nie przeszkadza mu to przyjąć zaproszenia na oglądanie nowojorskiego maratonu. W Nowym Jorku śpiewa piosenkę Elvisa w programie Davida Lettermana, a przed startem w maratonie odpowiada na pytania dziennikarzy na konferencji prasowej.

– Dlaczego biegałeś w kopalni? – pyta ktoś.

– Chciałem w ten sposób powiedzieć kopalni, że mogę przed nią uciec, że pokonam los – odpowiada Edison.

Przed katastrofą był raczej rowerzystą niż biegaczem, ale postanawia, że nie będzie tylko widzem nowojorskiego maratonu, lecz w nim pobiegnie i spróbuje go ukończyć. Lekarz i członkowie miejscowego klubu biegowego, którzy go zaprosili, mówią mu, że udział w maratonie bez przygotowania jest nierozsądny, jednak Edison nie daje się przekonać. I oczywiście po mniej więcej godzinie zaczynają mu nawalać kolana, przez kilkanaście kilometrów idzie, a nie biegnie, dociera jednak do mety (w czasie pięciu godzin czterdziestu minut i pięćdziesięciu jeden sekund), między innymi dzięki dwóm meksykańskim emigrantom, którzy pracują w restauracji i są członkami klubu biegowego, a teraz przez całą drogę go eskortują.

– W tym maratonie walczyłem ze sobą i ze swoim bólem – mówi mediom po biegu. Kilku kolegów z kopalni powie później, że Nowy Jork źle zrobił Edisonowi Peñi: pogłębił się tam jego nałóg alkoholowy.

– Gdyby cała nasza trzydziestkatrójka była naprawdę solidarna, to zaopiekowalibyśmy się Edisonem i nie doświadczyłby takiej zapaści – powie młody górnik Pedro Cortez.

W Nowym Jorku Edison zaczyna się kłócić ze swoją dziewczyną o to, czy powinien podróżować, ale kiedy proponują mu kolejny wyjazd, nie potrafi odmówić.

– Zaczynasz być marionetką. Staliśmy się marionetkami. Jedziemy tutaj, jedziemy tam. Stań tak. Stań tutaj, stań tam, pod lampami. Chcieliśmy wyjść do świata i zaszaleć. Narodziliśmy się na nowo i aaa… Ten pierwszy rok… Nie umiem tego wyjaśnić, ale było ciężko. Spakuj się. Stań w kolejce. Zrób to. Zrób tamto. Zrób! Jeśli spojrzeć na to uczciwie, to można powiedzieć, że odebrano nam nasze życie.

Po dotarciu do Memphis i Gracelandu, w styczniu, akurat na urodziny Elvisa, Edison stacza się coraz bardziej. Na kolejnej konferencji prasowej śpiewa kilka linijek z *The Wonder of You* z wyraźnym akcentem, ale chwytającym za serce barytonem: *When everything I do is wrong/ You give me hope and consolation*[17]. Publiczność w Gracelandzie czuje, że z zaangażowaniem wciela się w człowieka, który żyje w bluesowym świecie piosenki, i wielu spośród jego słuchaczy, którzy nie mogą nic wiedzieć o jego wewnętrznych udrękach, wrzeszczy entuzjastycznie, jeszcze zanim Edison dotrze do końca.

Przez pierwszych kilka tygodni górnicy rozmawiają z psychologami i terapeutami.

– Moja dziewczyna mówi, że budzę się z krzykiem w środku nocy – informuje Carlos Bugueño swojego psychologa i dostaje tabletki nasenne.

– W nocy wracają wszystkie wspomnienia – mówi Pedro Cortez.

W ciągu dnia nieprzyjemne są dla niego zarówno długie okresy ciszy, jak i głośne, trzaskające hałasy. Pedro wsiada do furgonetki z pięcioma innymi ocalonymi i na dźwięk wystrzału z gaźnika motocykla padają na podłogę. Bugueño i Cortez dołączają do dużej grupy ocalonych w klinice psychiatrycznej zakładu ubezpieczeń społecznych w Copiapó i biorą udział w grupowej sesji terapeutycznej. Kiedy terapeuta zamyka drzwi, żeby nikt im nie przeszkadzał, kilku górników rusza do wyjścia.

– Zamknął nas pan tutaj – mówi jeden z nich. – Niech pan nas nie zamyka!

Widok zamkniętych drzwi, w połączeniu ze znajomymi twarzami ludzi, z którymi byli uwięzieni, kilku górników wpędza w „podziemny” stan psychiczny.

– Podeszliśmy do okien i wszystkie otworzyliśmy – opowiada Cortez. – Nie dało się urządzić spotkania z udziałem całej trzydziestkitrójki, bo stres był za duży.

Kontynuują indywidualne wizyty u terapeuty, ale większość z nich wytrwa w tym tylko przez kilka tygodni.

Psycholog Iturra bardzo krytycznie odnosi się do leczenia, którym objęto górników po akcji ratunkowej. Większość jego zaleceń jest ignorowana, między innymi argument, że po kilku tygodniach urlopu ci ludzie powinni powrócić do jakiejś pracy (oczywiście na powierzchni). Tymczasem większość górników nadal siedzi w domu i oddaje się konsumpcji owoców swojej globalnej sławy, czują się też zobowiązani do udziału we wszystkich oficjalnych i nieoficjalnych imprezach na swoją cześć.

– Stali się trofeami – mówi Iturra. – Stali się symbolami. Jeżeli robi się z kogoś symbol czegoś, co zdecydowanie przerasta każdego człowieka,

można go pozbawić poczucia tożsamości.

– Najgorsze, co im zrobiono, było nazwanie ich bohaterami – mówi żona jednego z górników.

Ten sam rząd, który skutecznie przeprowadził bezprecedensową pod względem technicznym operację uratowania trzydziestu trzech zwykłych ludzi, powinien zdać sobie sprawę, że czekała ich emocjonalna podróż, która również nie miała precedensu. Tymczasem cierpienie na powierzchni rozgrywało się w prywatnym świecie domu każdego z nich i żaden urzędnik nie interweniował, by pomóc im osiągnąć psychiczną równowagę.

Zamiast tego pod koniec października cała trzydziestkatrójka została zaproszona do pałacu prezydenckiego La Moneda na publiczną uroczystość. Dla kilku z nich, na przykład Florencia Ávalosa, to jedna z ostatnich sytuacji, kiedy pokażą się publicznie.

– Poszedłem do La Moneda, bo nigdy wcześniej tam nie byłem i zawsze chciałem zobaczyć pałac prezydencki. Potem nie byłem już na żadnej imprezie.

Trzydziestu trzech górników otrzymuje świeżo wybity medal z okazji dwusetnej rocznicy odzyskania niepodległości Chile – za heroiczne działania uosabiające przymioty, z których ta latynoamerykańska republika jest najbardziej dumna. Słuchają przemówienia prezydenta: akcja ratunkowa staje się metaforą dokonań, które Piñera ma nadzieję zapisać na swoim koncie na resztę rozpoczynającej się kadencji. Mówi o budowie społeczeństwa, w którym nie ma biedy, społeczeństwa, które lepiej traktuje pracowników, mówi też, że wydrążony „przez naszych inżynierów i techników” siedmiusetmetrowy szyb ratunkowy, który posłużył jako „pomost między życiem, wiarą, nadzieją i wolnością”, nie będzie ostatnim wielkim projektem realizowanym przez Chile.

Trzydziestu trzem górnikom z kopalni San José, a także całemu Chile, przyszłość jawi się bardzo optymistycznie. Kiedy górnicy w grudniu odwiedzają biura swoich nowych prawników w Santiago, osiągają (dosłownie) najwyższy punkt w swojej karierze. Spośród wielu rekomendowanych wybrali największą kancelarię prawniczą w kraju – Carey and Company, żeby przekształcić zawarte pod ziemią ustne porozumienie w prawnie wiążący dokument. Carey i jego specjaliści będą ich również reprezentowali w negocjacjach dotyczących praw do filmu i książki, skontaktują się z agencjami artystycznymi w Nowym Jorku i Los Angeles oraz z waszyngtońską kancelarią prawną Arendt Fox. Jednak najpierw górnicy muszą dokładnie sprawdzić, co Carey ma im do zaoferowania, a to oznacza konieczność udania się do nowego biura firmy na czterdziestym trzecim piętrze najwyższego w tym momencie budynku w Chile – niedawno ukończonego wieżowca Titanium w snobistycznej dzielnicy Santiago nazywanej Sanhattan.

Do przygotowania projektu porozumienia Carey wyznaczył dziesięciu prawników, którzy należą do najlepszych adwokatów w kraju. Ci inteligentni, ambitni i posługujący się wieloma językami ludzie kształcili się i praktykowali w Chile, Europie i Stanach Zjednoczonych, ale kiedy spotykają górników z kopalni San José, na chwilę odbiera im mowę.

– Gdy się na nich patrzyło, człowiek odczuwał wielką dumę ze swojego kraju – mówi jeden z prawników. – Patrzenie na tych zwykłych Chilijczyków jest jak patrzenie na flagę narodową czy na Andy.

Jednak kiedy prawnicy przechodzą do rzeczy, uczucie podziwu szybko się rozwiewa. Przygotowali umowę na dwadzieścia stron i prezentację w PowerPoincie, ale zainteresowanie górników subtelnościami prawa własności intelektualnej w Chile i Stanach Zjednoczonych niedługo gaśnie

– jeden z adwokatów zauważa, że młody górnik z tyłu gra na swoim telefonie i zachowuje się jak dziecko.

Po zakończeniu prezentacji prawnicy zostawiają górników w sali konferencyjnej samych, żeby podjęli decyzję, czy projekt im odpowiada. Z tej znajdującej się na czterdziestym trzecim piętrze wieżowca korporacyjnej sali konferencyjnej roztacza się jeden z najpiękniejszych widoków w całej Ameryce Łacińskiej. To Sala Manquehue – jej okna wychodzą na andyjski szczyt o takiej właśnie nazwie. Dyskusja jest krótka i stonowana, mimo że część górników jest wściekła na Maria Sepúlvedę za to, że zgodził się na wywiad z dziennikarzem BBC piszącym książkę, na której górnicy nie zarobią ani centa. Mario prowadzi również indywidualne rozmowy z latynoamerykańskim producentem filmowym, który powiedział, że może zaproponować astronomiczną sumę za prawa do filmu. Porozumienie z kancelarią Careya stworzy nowy podmiot o nazwie Propriedad Intelectual Minera S.A. (Górnicza Własność Intelektualna), ale będzie ono nic niewarte, jeżeli nie przystąpią do niego wszyscy włącznie z Mariem Sepúlvedą. Człowiek z sercem psa należy w tej chwili do najpopularniejszych ludzi w Chile i bez problemów może podpisywać odrębne kontrakty.

– Mario doskonale sobie uświadamiał swoją siłę przetargową – mówi jeden z prawników. Przechwala się adwokatowi, że gdyby zechciał, mógłby zadzwonić i „dzisiaj po południu wypić herbatę z prezydentem”.

Pod presją kolegów i wobec perspektywy, że inni górnicy mogą go zjechać w prasie, Sepúlveda zgadza się podpisać umowę. Propriedad Intelectual Minera zostaje powołana do życia i górnicy, którzy piątego sierpnia weszli do jednego z najbardziej niebezpiecznych miejsc pracy w Chile, przez kilka chwil mogą się poczuć w najwyższym budynku w swoim kraju jak korporacyjne szychy. Głębokość kopalni San José

trzykrotnie przekracza wysokość wieżowca, ale widok z okien sali konferencyjnej ogranicza smog typowy dla letnich miesięcy, unoszący się nad Santiago. Budynek jest zalany światłem i górnicy widzą ze swojego podniebnego stanowiska obserwacyjnego budowę nowej autostrady pod rzeką Mapocho, gigantyczny projekt, który symbolizuje wejście Chile do grona krajów „pierwszego świata”. Rodzi się nowe Chile i jego przyszłość nie ma żadnych granic, podobnie jak przyszłość trzydziestkitrójki górników – są symbolami męstwa tego narodu. Sam prezydent tak powiedział, a Kongres Narodowy dał każdemu z nich medal wybity z rudy wyszarpanej górom Chile przez ludzi, którzy cierpią i harują głęboko pod ziemią.

---

[17] Kiedy wszystko robię źle/ dajesz mi nadzieję i pociechę (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 20

POD ZIEMIĄ

Podczas swojej szeroko rozreklamowanej styczniowej wizyty w Disney Worldzie ludzie z kopalni San José mają na głowach żółte imitacje kasków górniczych z przypiętymi do nich czarnymi mysimi uszami. W lutym dwudziestu pięciu górników odwiedza Ziemię Świętą i izraelskie Ministerstwo Turystyki daje każdemu z nich kapelusz z wypisanym hasłem: „Izrael cię kocha”. Ludzie z San José są wdzięczni Disney Corporation za możliwość zabrania swoich rodzin do „najszczęśliwszego miejsca na ziemi”, a izraelskiemu rządowi za szansę zobaczenia bazyliki Grobu Pańskiego, Jordanu i wielu innych świętych miejsc, a tym samym oddania hołdu religii, która dopomogła im uratować życie. Z wdzięcznością miesza się jednak dziwne uczucie wywołane tym, że na całym świecie są traktowani jak celebryci.

– Traktowali nas jak gwiazdy rocka, to było stresujące – opowie Pedro Cortez, który był na obu wycieczkach. – W Disney Worldzie ludzie chcieli nas dotknąć. Prawie, jakbyśmy byli bogami. Gość magicznego królestwa widzi człowieka w żółtym kasku idącego imitacją amerykańskiej Main Street, słyszy, że to „jeden z tych chilijskich górników”, i przypomina sobie historię tego mężczyzny: zmartwychwstał z jednego z najgłębszych kamiennych grobowców w historii ludzkości. Jak często człowiek obcuje

z cudem? Odwiedzający kierują więc aparaty w stronę człowieka w kasku i idą za nim kawałek, żeby popatrzeć, jak się porusza.

– Tak, to cud, że żyjemy. Jesteśmy wdzięczni Bogu i wszystkim ludziom, którzy nam pomogli – opowiada Pedro. – Ale czuliśmy się tak, jakbyśmy grali w filmie o Wielkim Tygodniu: wszyscy idą za Jezusem.

Dziwne zachowanie obcych ludzi nie ustaje w Ziemi Świętej.

Po powrocie do Chile Pedro uznaje, że czas przestać zgrywać bohatera czy postać z biblijnej historii. Zamierza uporządkować swoje życie. Po pierwsze, zamiast kupować kosmicznie drogiego żółtego camaro, o którym marzył w kopalnianej niewoli, nabywa używanego jeepa. Co istotniejsze, postanawia zapisać się na studia, zrobić dyplom z elektroniki. Ale kiedy zaczyna chodzić na zajęcia, pojawia się mały problem związany z tym, że jest jedynym ogólnoświatowym celebrytą w kampusie. Przy wejściu do sali wykładowej czyhają na niego dziennikarze, którzy chcą z nim porozmawiać.

– Chciałem się wyluzować, ale wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie – opowiada.

Zarówno wiadomości telewizyjne, jak i długie okresy ciszy przywołują wspomnienia z kopalni, a twarze jego dziewczyny i krewnych budzą w nim poczucie, że do niczego się nie nadaje. Któregoś dnia Pedro wychodzi z zajęć z płaczem i przez dwa następne dni nie pojawia się na uczelni.

– Czułem się tak, jakbym tonął.

Uważa, że rozczarowuje całe swoje otoczenie, że nigdy nie spełni oczekiwań, jakie wiążą z nim inni ludzie. Ma jednak kłopoty z wyjaśnieniem tych uczuć specjaliście, którego zadaniem jest mu pomóc.

– Nawet psycholog mnie nie rozumiał – wyzna.

Víctor Segovia w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu z kopalni San José nie ma koszmarów ani niskiego poczucia własnej wartości. Ale jego

telefon komórkowy nieustannie dzwoni, bo znajomi i krewni widzą w nim osobę dysponującą magicznymi mocami, które mogą rozwiązać ich problemy: nie dlatego, że Víctor jest uosobieniem cudu, z dostępem do nadprzyrodzonych mocy, lecz ze względu na pieniądze w jego kieszeni. Telefonują z rozmaitymi skargami i prośbami.

– Víctor, źle się czuję.

– Mam problem w domu, Víctor.

– Potrzebuję miliona peso (około dwóch tysięcy dolarów), komornik chce mi zająć telewizor i meble w jadalni, pomóż mi!

Víctor powie, że znajomi i krewni traktowali go „jak bank”.

– Dzwoni do mnie kolega i prosi o czterdzieści albo pięćdziesiąt patyków (osiemdziesiąt, sto dolarów). Nawet nie zaprasza mnie wcześniej na piwo. Chodzi mu tylko o wyciągnięcie ze mnie pieniędzy.

Otacza go wiele koncentrycznych kręgów potrzebujących: o pomoc zaczynają go prosić znajomi krewnych i znajomi znajomych. Kiedy Víctor wreszcie przestaje pożyczać pieniądze, uświadamia sobie, że rozdał około sześciu milionów chilijskich peso (mniej więcej dwanaście tysięcy dolarów, czyli z grubsza średnią roczną pensję), z czego większości nigdy nie odzyska.

Zaczynam się spotykać z górnikami mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaświtało im, że ich odszkodowawcze kokosy nie będą tak wielkie i nie wystarczą na tak długo, jak się spodziewali. Tak jak Víctor Segovia dosyć szybko zaczynają trwonić pieniądze od Farkasa – milion chilijskich peso nie pozwala przeżyć tak długo jak kiedyś. Ponieważ większość Chilijczyków uważa, że górnicy wzbogacą się na sprzedaży swojej historii, nikt nie słucha wezwania Farkasa, żeby zebrać dla każdego z nich milion dolarów.

Richard Villarroel jest pierwszym górnikiem, z którym rozmawiam na osobności, przy stoliku w pustej restauracji w Copiapó. Opowiada mi o tłuczeniu w świder kluczem do śrub, o dorastaniu bez ojca i o niedawnych narodzinach pierwszego syna. Potem kieruje rozmowę na teraźniejszość i swój stan psychiczny, ponieważ kiedy nie zwiedza już obcych krajów i siedzi w domu, brzemię tego, przez co przeszedł, jest dużo mocniej odczuwalne.

– Ten okres jest najtrudniejszy – mówi mi Richard. – Nic nie czuję. Jestem poważniejszym człowiekiem. Twardszym. Z żadnego powodu nie płaczę. Moja żona też to zauważyła. Cokolwiek się dzieje wokół, mnie to nie obchodzi. Mam zamęt w głowie. Rozmawiam z kimś i nagle tracę wątek, *se me va la onda*. Muszę czekać, żeby mi przypomniano, o czym rozmawialiśmy.

Pytam go, czy chodzi do psychologa albo psychiatry.

– Chodziłem – mówi. Ale osoba, która go leczyła, powiedziała: „Jest pan zdrowy. Nie musi pan więcej przychodzić". Richard odpowiedział na to: „Naprawdę? Ale ja nie czuję się tak samo jak przedtem. Niech pan porozmawia z moją żoną. Wyjaśni panu, jaki byłem wcześniej i jaki jestem teraz".

Kiedy spotykam się z górnikami i jeżdżę do ich domów, wiele z ich żon i kochanek dzieli się ze mną podobnymi spostrzeżeniami: mężczyzna, który wyszedł z kopalni, jest inny od tego, który do niej wszedł.

– Arturo, który mieszkał tutaj z nami, został w kopalni – mówi mi Jessica Chilla, używając drugiego imienia swojego partnera Daría Segovii, bo w domu zawsze się do niego tak zwracają. Nowy Darío jest pozbawionym emocji stoikiem.

– Możesz walnąć go pięścią, a on nic nie powie. Nic nie czuje.

Nawet jego sześcioletnia córka mówi:

– To nie jest ten sam Arturo.

Jessica tęskni za dawnymi codziennymi schematami, które dawały jej poczucie bezpieczeństwa, za prostymi przyjemnościami, takimi jak dzielenie się obowiązkiem odbierania córki ze szkoły.

– Mieliśmy cały system regulujący nasze życie rodzinne – mówi mi w salonie ich domu.

– Tak, mieliśmy system, który był piękny – potwierdza Darío.

– On nawet dla mnie gotował – mówi Jessica.

– Gotowałem – przytakuje górnik.

– Teraz nie gotuje – mówi Jessica i parska śmiechem, ponieważ to naprawdę niezwykłe, żeby taki twardy górnik jak Darío przygotowywał dla niej posiłki, i to z tak wielkim zaangażowaniem. Śmieje się również dlatego, że chociaż Darío Arturo się zmienił, to ona wyczuwa, że jego stan zaczyna się poprawiać.

– Dwa albo trzy miesiące temu było z nim znacznie gorzej.

W domu, który Susana Valenzuela dzieli z Yonnim Barriosem, kobieta jest świadkiem cierpienia swojego Tarzana. Każdego wieczoru, kiedy słońce zachodzi i za oknami robi się ciemno, Yonni wpada w przygnębienie. Czasem budzi się w środku nocy, zakłada stary kask i siedzi po ciemku w salonie z włączoną lampą górniczą, jakby wrócił do wyrobisk San José i wsłuchiwał się w odległy grzmot góry. Czasami zaczyna krzyczeć i walić pięściami w leżące na sofie poduszki.

– Nie wiedziałam, co robić – wyznaje Susana. Powtarza się to przez wiele nocy z rzędu, aż w końcu kobieta zapala w salonie światło, przytula Yonniego i mówi:

– Obudź się, obudź się, *huevón*, już po wszystkim.

Później Yonni śpi przez cały dzień, całą noc i dalej śpi, tak długo, że to nie jest normalne. Potem znowu w ogóle nie może zasnąć, Susana robi mu

herbatę i gorące mleko, przynosi na tacy i udaje, że są jego urodziny, śpiewa mu jak małemu dziecku. *Estas son la mañanitas*… Robi to kilka dni z rzędu, każdego dnia urządza nowe „urodziny” z herbatą, gorącym mlekiem i śpiewaniem piosenek urodzinowych, a potem każe mu wrócić do psychiatry i po jakimś czasie Yonni zaczyna się trochę uspokajać.

W tym właśnie okresie po raz pierwszy staję na progu domu Yonniego i Susany, przez ponad dwie godziny rozmawiam z Yonnim w salonie, w którym najbardziej rzucającym się w oczy elementem wystroju są liczne zdjęcia jego i Susany obejmujących się w dniach po akcji ratowniczej: Yonni jest chudy, blady i niezwykle szczęśliwy, że w końcu znalazł się w objęciach swojej dziewczyny. Kiedy przypomina sobie zawał i późniejsze głodowanie, roni wiele łez, ale widać, że podzielenie się tą historią z innym człowiekiem, który przekaże ją reszcie świata, działa na niego oczyszczająco.

– Podobało mi się, kiedy pan przyszedł i on z panem rozmawiał, to było tak, jakby nareszcie to z siebie wyrzucił – mówi mi później Susana. – Chciał dotrzymać obietnicy i z nikim innym nie zamierzał o tym rozmawiać.

Po raz drugi jadę do domu Yonniego i Susany kilka miesięcy później, kiedy jego żona Marta złożyła przeciwko niemu pozew o rozwód. Przyjeżdżam ze scenarzystą José Riverą i producentem filmowym Edwardem McGurnem. Pytamy Susanę o żonę jej chłopaka, a ona proponuje, żebyśmy poszli z nią porozmawiać.

– Marta mieszka przecznicę dalej – mówi Susana. – Yonni wam pokaże. Yonni, idź im pokazać – nakazuje mu. Górnik sprawia wrażenie bardzo niechętnego, na co Susana wybucha gromkim śmiechem:

– Nie bój się, przecież cię nie zbiję!

Yonni prowadzi nas do następnej przecznicy i przechodzi na drugą stronę ulicy. Człowiek znany na całym świecie jako Don Juan z kopalni San José wskazuje dom stojący w niewielkiej odległości od tego, w którym teraz mieszka, z lekkim uśmieszkiem, który wyraża albo strach, albo przebiegłość, nie potrafię tego stwierdzić.

Przez kilka minut rozmawiamy z Martą Salinas stojącą za słodyczami i innymi różnościami rozłożonymi na ladzie jej sklepiku. Kobieta mówi, że sprzedała amerykańskiemu dziennikarzowi listy, które Yonni napisał do niej z kopalni. Na zakończenie rozmowy pyta:

– Czy Yonni dostał już pieniądze za ten film?

– Nie, *señora* – odpowiadam. – Jeszcze nie dostał.

Oprócz samych trzydziestu dwóch górników niewiele osób wie, co José Henríquez dokładnie mówił pod ziemią, ale na całym świecie jest znany jako Pastor. Kilka tygodni po wyłonieniu się z kopalni Henríquez wygłasza przemówienie do entuzjastycznego tłumu wiernych w obszernym wnętrzu ewangelickiego kościoła w Santiago, zwracając się między innymi do kilku swoich kolegów górników.

– Widziałem przed sobą trzydziestu dwóch mężczyzn ukorzonych przed Bogiem – mówi Henríquez i krótko opisuje modlitwy, jakie odprawiał pod ziemią. – Teraz dziękuję Panu za tę możliwość sprawdzenia Jego wielkiej potęgi. Fakt interwencji Boga w kopalni jest niezaprzeczalny. Niech nikt nie próbuje okraść Najwyższego z tej chwały. Jesteśmy tutaj po to, by ją głosić – mówi i butnie podnosi pięść, jak człowiek, który odniósł wielkie zwycięstwo dla swojej sprawy.

Henríquez mógłby bez problemu przekuć swoją sławę „El Pastora” w lukratywne tournée z przemówieniami, ponieważ podpisane przez trzydziestkętrójkę porozumienie zezwala na wygłaszanie przemówień, pod warunkiem że nie zostaną w nich ujawnione najważniejsze tajemnice

pierwszych siedemnastu dni pobytu pod ziemią. Henríquez większość czasu spędza jednak w domu i umniejsza swoją rolę. Kiedy przemawia, stanowczo podkreśla, że nie jest prawdziwym pastorem.

– Myślę, że tym, co Bóg zobaczył w kopalni i co Go przekonało, była pokora – mówi w wywiadzie dla chrześcijańskiej rozgłośni radiowej. A pokora wymaga od niego przyznania się, że nie jest prawdziwym pastorem, ponieważ dla ludzi Słowo Boże wiąże się z cierpieniem, tak jak było z jego dziadkiem, który przez wiele lat jeździł na rowerze od jednej świątyni do drugiej.

– Ja jestem tylko człowiekiem, który wszedł do kopalni, wiedząc, jakie mogą być tego konsekwencje.

Florencio Ávalos, sztygar, który jako pierwszy wyszedł z kopalni, odrzuca wszystkie zaproszenia na wycieczki, między innymi do Wielkiej Brytanii, mimo że organizatorzy wymienili go w zaproszeniu z nazwiska. W rocznicę katastrofy odbywa się otwarcie nowej, poświęconej górnikom wystawy w Muzeum Regionalnym Atakama w Copiapó. Florencio zostaje jednak w domu, chociaż przemawia tam prezydent, który domagał się jego obecności, a muzeum znajduje się o dziesięć minut jazdy od jego domu.

– Te rzeczy mnie nie interesują – mówi mi.

Odwiedzam go trzy razy, żeby posłuchać jego relacji o wydarzeniach w kopalni San José: w jego głosie jest zadziwienie i wdzięczność, aczkolwiek wygląda na to, że wspomnienia dręczą go mniej niż jego kolegów. Powrócił do codziennej rutyny, załatwił sobie pracę na powierzchni, w spółce górniczej, a jego synowie chodzą do szkoły.

– Pracuję, żeby moi synowie mogli się uczyć – mówi. – Gdybym nie pracował, nie mogliby chodzić do szkoły.

Siedzimy i rozmawiamy w salonie, w jego dwupoziomowym mieszkaniu w apartamentowcu w średnio zamożnej dzielnicy Copiapó.

Florencio zaprasza mnie, żebym zjadł z nim obiad przy tym samym stole, na którym jego żona piątego sierpnia zamierzała postawić przed nim zupę. Później jego nastoletni syn Cesar Ale wychodzi do szkoły, patrzę, jak całuje rodziców w policzek na pożegnanie. Mieszkańcy Ameryki Północnej rzadko widzą nastolatków, którzy traktowaliby swoich rodziców tak czule, i chociaż w Ameryce Południowej jest to zwyczajny gest, dostrzegam coś wzruszającego w widoku sztygara szychty A, który żegna się w ten sposób ze swoim synem. Jak wszystkie rodzinne rytuały w domu Ávalosów po ocaleniu Florencia z kopalni takie gesty nabrały głębszego i bogatszego znaczenia.

Kiedy Florencio zaczynał umierać z głodu, wyobrażał sobie, jak jego synowie dorastają, stają się mężczyznami i żyją dalej bez ojca, którego mogliby całować policzek na pożegnanie: te tragiczne wizje z przeszłości się nie ziściły.

Pod koniec mojego trzeciego wyjazdu do Chile mam za sobą spotkania ze wszystkimi górnikami oprócz jednego. Víctor Zamora jest nie tylko trudno dostępny, ale również chce dodatkowych pieniędzy za rozmowę ze mną i producentami filmu. Kiedy w końcu przybywamy do jego domu, tuż obok autostrady prowadzącej do miasta Tierra Amarilla, na gruntowym podjeździe widzimy rozbity samochód. Zamora otwiera drzwi i wychodzi na zewnątrz. Kontrast pomiędzy pewnym siebie mężczyzną, który dziękował ratownikom w pierwszym wysłanym z kopalni na powierzchnię nagraniu, a tym rozchełstanym i zdezorientowanym człowiekiem nie mógłby być większy. Víctor mówi, że zastawił biżuterię swojej żony w lombardzie i minął termin wykupu, a on nie ma miliona dwustu tysięcy peso (dwóch tysięcy czterystu dolarów). Leopoldo Enriquez, producent filmu, jest również jednym z najbogatszych chilijskich finansistów. Leopoldo rzuca okiem na umowę lombardową i ocenia: „To jest lichwa”.

Zgadza się pomóc Zamorze w spłacie pożyczki i wchodzimy do zagraconego salonu Víctora.

Zamora wyjaśnia, że rozbity samochód pod domem należy do niego. Próbował założyć firmę handlującą owocami (na zewnątrz gnije cała partia), a to wymaga ciągłego jeżdżenia. Kiedy niedawno jechał autostradą, na chwilę stracił przytomność i wjechał w tira. Víctor często prowadzi samochód w półśnie. Jego podświadomość w absurdalnie dosłowny sposób próbuje go zabrać z powrotem do kopalni: mężczyzna zapala silnik i rusza, a potem zaczyna mu się mącić w głowie i kiedy ponownie otwiera oczy, stwierdza, że znajduje się na drodze do San José. Wyjaśnia, że wspomnienia o wydarzeniach, które rozegrały się wewnątrz góry, nie przestały atakować jego psychiki.

– Najmocniej mnie rąbnął widok mojej własnej śmierci i patrzenie, jak moi koledzy powoli umierają – mówi nam.

Jednocześnie w tym ciasnym Schronie wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej widział człowieczeństwo i słabości swoich kolegów: tym trudniejsze i boleśniejsze było patrzenie, jak zmierzają ku śmierci.

– Widzisz, że w krytycznych chwilach człowiek potrafi być wrażliwy, widzisz, jak w sytuacji zagrożenia rodzi się miłość, więź, *cariño*, braterstwo.

Víctor zapala papierosa, co go uspokaja na tyle, by mógł nam opowiedzieć, co widział i co robił w kopalni, zwłaszcza w tę pierwszą noc głodówki.

Kilka miesięcy później rozmawiam w Copiapó z Luisem Urzúą, kiedy na wyświetlaczu jego telefonu komórkowego pojawia się nazwisko Zamory. Víctor dzwoni do Luisa, żeby zapytać, czy stowarzyszenie trzydziestu trzech górników, nieformalna grupa, na której czele stoi Luis, mogłoby mu pożyczyć niewielką sumę pieniędzy. Urzúa mówi, że Zamora

nie pierwszy raz prosi o pożyczkę. Kiedy jako młody człowiek mieszkał na ulicy, był uzależniony od wielkoduszności i dobroci innych i po wydostaniu się z kopalni San José na kilka miesięcy powrócił do tego życia – ponownie przeżywał swoje sieroctwo, tyle że teraz miał na utrzymaniu żonę i dwójkę dzieci. W końcu wyjeżdża z Tierra Amarilla i wraca razem z rodziną do miasta, w którym mieszkał na ulicy, do oddalonego o prawie tysiąc trzysta kilometrów i dwadzieścia cztery godziny jazdy Arica. Znajduje tam pracę.

Duża odległość dzieląca go od Copiapó i kopalni pomaga Víctorowi Zamorze. Kiedy rozmawiam z nim rok później, jest innym człowiekiem. Długie spacery po plaży i słuchanie, jak znajomi i krewni rozmawiają o własnych problemach, sprowadziły go do teraźniejszości. Rozmawiam z nim przez telefon i słyszę głos pewnego siebie, opanowanego człowieka, jakim był podczas pierwszego nagrania wideo wysłanego z kopalni na powierzchnię.

– Kiedy ktoś chce ze mną porozmawiać, nigdy nie mówię nie.

Zaczął rozumieć, że z kopalnianych wspomnień może zrobić coś, co pomoże mu być lepszym ojcem i mężem.

– *Queda mucho para vivir.* Zostało jeszcze dużo do przeżycia – mówi mi.

Kryzys Zamory był głęboki, ale nie tak niebezpieczny jak wir depresji i alkoholizmu, który wciągnął Edisona Peñę.

– Najgorsze było to, że nie mieliśmy czym się zająć, i ten nadmiar wolnego czasu nas rozwalił – mówi mi, mając na myśli czasy, kiedy upadł na samo dno. Od piątego sierpnia odbył wiele podróży, między innymi wewnątrz dudniącej ziemi i do brukowanych uliczek Jerozolimy, i po każdym powrocie do domu zaczynał pić.

– Słyszałem, że ludzie, którzy wylądowali na Księżycu, potem chcieli tylko siedzieć sami w barze. A samotne picie jest najgorsze.

Niedługo przed pierwszą rocznicą akcji ratowniczej pijaństwo Edisona i jego napomknienia o samobójstwie sprawiają, że trafia do kliniki psychiatrycznej w Santiago. Dla jego własnego bezpieczeństwa nie pozwalają mu opuścić tej dobrze wyposażonej, ale niewielkiej lecznicy, która od zewnątrz przypomina rezydencję bogatej chilijskiej rodziny.

– Siedzę tutaj przez godzinę i chcę umrzeć… Zaczynam odczuwać horror przebywania w miejscu, z którego nie ma wyjścia – mówi mi Edison. Nie umie się powstrzymać od utożsamiania zamkniętych na klucz drzwi kliniki psychiatrycznej ze skalnymi ścianami kopalni.

– Spytałem, czy mnie wypuszczą na wrześniowe święto, ale powiedzieli, że istnieje za duże ryzyko. Czyli po raz drugi z rzędu spędziłem osiemnasty września, Święto Niepodległości mojego kraju, w zamknięciu.

Na jakiś czas założono mu kaftan bezpieczeństwa i umieszczono w pokoju z gumowymi ścianami, żeby nie zrobił sobie krzywdy.

– Jak długo pan tam siedział? – pytam go.

– Nie pamiętam – odpowiada. – Niech mi pan nie każe sobie przypominać. Nienawidzę strzykawek i tego wszystkiego.

Swoje emocjonalne problemy i upokorzenia związane z przymusowym leczeniem traktuje jak kolejne wyzwania.

– Nie wiem, jak po takim doświadczeniu można być w dobrym nastroju i okazywać ludziom pozytywne emocje. Myślę, że taki dar mają komicy, jednak ja nie jestem komikiem. Próbuję pokazać ludziom coś innego na swój temat. Coś pozytywnego… Najważniejsza jest umiejętność rozmawiania o tych doświadczeniach i zrozumienia, że to było coś, co się naprawdę przeżyło. Mnóstwo ludzi, którzy by przeszli przez coś takiego,

nie byłoby w stanie o tym rozmawiać. Jeśli ktoś to potrafi, jest to cenny dar. Jeżeli ktoś potrafi rozmawiać o tym wszystkim, co przeżył, z osobą, której za dobrze nie zna – to jest już coś. To jest odwaga. To jest znajomość samego siebie – mówi.

Edison Peña zna siebie co najmniej tak dobrze jak inni członkowie trzydziestkitrójki z kopalni San José, ale to mu wcale nie ułatwia powrotu do równowagi psychicznej. Kilka miesięcy po rozmowie ze mną, w dniu spotkania z producentami filmu w nadmorskim kurorcie Algarrobo, upija się do nieprzytomności. Po kolejnych kilku miesiącach jedzie do Copiapó na zwołane przez Luisa Urzúę i innych szefów stowarzyszenia spotkanie z pozostałymi górnikami. Widzą innego Edisona Peñę, takiego, z jakim wcześniej nie mieli do czynienia.

– Przestał pić – mówi Urzúa. Mężczyzna, który zmobilizował się do biegania w kopalni, do ukończenia maratonu bez żadnych przygotowań i śpiewania obcym ludziom piosenek Elvisa w języku, którego nie zna, teraz mobilizuje się do tego, żeby nie pić. Obserwowanie, jak Edison próbuje żyć na trzeźwo, w pewnym sensie robi większe wrażenie niż patrzenie, jak uprawia jogging w wyrobiskach kopalni San José.

Po wielu miesiącach negocjacji rząd przyznaje najstarszym górnikom emeryturę. Proponuje również rentę młodszym pracownikom, ale nie byliby oni w stanie z niej wyżyć, więc odrzucają ofertę. Kilku młodszych górników dostaje rozchwytywane stanowiska naziemne w państwowej Spółce Górniczej Codelco, mimo że wymagają one od nich przeprowadzki na południe kraju. Ariel Ticona, którego córka Esperanza urodziła się podczas jego kopalnianej niewoli, nie chce wyjeżdżać z miasta, gdzie przyszedł na świat i się wychował. Zostaje w Copiapó, bez pracy. Mimo że rzadko wychodzi z domu, nie lubi w nim przebywać:

– Na wszystkich się złościłem – wyznaje.

Mężczyzna, który rok wcześniej był najbardziej znanym chilijskim ojcem, odchodzi od swojej rodziny.

– Przez trzy, cztery miesiące byliśmy w separacji. Miałem świadomość, jak bardzo ich zawiodłem. Próbowałem się zmienić, ale nie potrafiłem – mówi mi Ariel. – Po długiej, samotnej refleksji doszedłem do wniosku, że najlepszą terapią będzie dla mnie powrót do pracy.

Ariel wraca do żony i dzieci, a podczas meczu piłkarskiego dowiaduje się od jednego z kolegów z drużyny, górnika Carlosa Barriosa, o możliwości podjęcia pracy na miejscu. Chodzi o stanowisko operatora podnośnika w ekipie wykonującej obudowy w… głębinowej kopalni.

Niecałe półtora roku po tym, gdy go wyciągnięto z kopalni San José, Ariel Ticona znowu wjeżdża pikapem do wykutego w skale otworu.

– Pierwszego dnia czułem się trochę dziwnie – mówi mi. – Nie bałem się, tylko po prostu nie chciałem tam być.

Surrealizm tego doświadczenia wzmacnia jeszcze to, że koledzy traktują go jak celebrytę.

– Drugiego dnia się przestraszyłem. Usłyszałem odgłos maszyn wiertniczych i przypomniały mi się te dni, kiedy nas szukali. Trzeciego dnia zacząłem się do tego przyzwyczajać.

Po wielu rozmowach z terapeutami i psychologami o swojej podziemnej traumie Ariel znowu musi zagłębić się w ciemności. Po kolejnych kilku dniach w kopalni jego zdolność do obycia się z zagrożeniami związanymi z pracą pod ziemią i pokonanie strachu (Ariel nie panikuje i nie ucieka) budzą w nim przekonanie, że jest to dla niego właściwe miejsce. Nie bez znaczenia jest także to, że dostał pracę w lepszej i bezpieczniejszej kopalni…

– …ani za dużej, ani za małej. Czwartego dnia zaczęło mi się tam podobać – mówi.

Praca pod ziemią oznacza również wysokie zarobki i Ariel po jakimś czasie ma odłożone dostatecznie dużo pieniędzy, żeby wykupić wynajmowany dom i zacząć go remontować.

Ariel Ticona powrócił do punktu wyjścia: znowu naraża życie, żeby zapewnić rodzinie wygodny byt. Nagrodą za sześćdziesiąt dziewięć dni spędzonych w kopalni San José są markowy hiszpański wózek dziecięcy, rozmaite proporczyki i inne pamiątki, medal przyznany przez chilijski Kongres Narodowy i wspomnienia z podróży marzeń na Florydę, do Izraela i do Madrytu, gdzie obejrzał jeden z największych stadionów piłkarskich świata.

Carlosa Pinillę, niegdyś dyrektora generalnego San José, to wydarzenie z jego życia skompromitowało w całej okolicy.

– Nie szukam pracy w Copiapó – mówi mi w swoim domu w tym właśnie mieście. Pinilla z nikim nie rozmawia o tym, co się wydarzyło w kopalni San José. Dzień, w którym się okazało, że górnicy żyją, był, jak twierdzi najszczęśliwszym dniem w jego życiu, szczęśliwszym od dnia, w którym się ożenił, a nawet od dnia, w którym urodziło się jego pierwsze dziecko.

Pinilla wie, że górnicy uważają go za człowieka w największym stopniu odpowiedzialnego za ich cierpienia, bo czytał ich zeznania złożone przed komisją kongresową. Kiedy w budynku jakiegoś urzędu w Copiapó spotkał jednego z nich, wywiązała się między nimi krótka, napięta rozmowa: Pinilla mówi, że do tej pory nie rozumie, dlaczego kopalnia się zawaliła, i piątego sierpnia absolutnie nie spodziewał się tąpnięcia. Po wypadku wrócił do pracy w górnictwie, ale jest już innym człowiekiem. Zaczął się nad sobą zastanawiać.

– Bardziej przyjaźnie traktuję ludzi – mówi ze zgaszoną miną pod koniec naszej rozmowy trwającej godzinę. – Nie chcę już być szefem,

którego wszyscy się boją. Prawie błagam ludzi o to, żeby coś zrobili, cały czas mówię do nich „proszę”.

Kilka miesięcy po akcji ratowniczej Carlos Pinilla znalazł pracę w kopalni w Ovalle, ponad czterysta kilometrów na południe od Copiapó. Tak się złożyło, że spotkał tam dwóch innych członków szychty A z San José – Claudia Acuñę i José Ojedę. Podobnie jak Ariel Ticona pracują pod ziemią. Informacji tej udziela mi Luis Urzúa, a ja komentuję, że moim zdaniem los okazał się w tym przypadku wyjątkowo okrutny: jedna kopalnia wali ci się na głowę, a potem znajdujesz pracę w innej i przydzielają ci tego samego szefa, który skazał cię kiedyś na sześćdziesiąt dziewięć dni podziemnej niewoli.

– Takie jest życie górnika – komentuje Urzúa.

ROZDZIAŁ 21

POD GWIAZDAMI

Mario Sepúlveda jeździ konno w pobliżu swojego domu w Santiago, kiedy zostaje wezwany na spotkanie z ludźmi, którzy przekształcają jego historię w książkę i film. Czekamy na niego w sali konferencyjnej na ostatnim piętrze hotelu w stolicy Chile. Przychodzi spóźniony, z fryzurą na rekruta, w dżinsach, wełnianym poncho *huazo*, chilijskiego kowboja, i zabłoconych gumowcach. Jego groźna mina i jeździecki strój przyciągają zdziwione spojrzenia recepcjonisty i chłopców hotelowych. Po wyjściu z kopalni Mario nie próżnuje. Rok po akcji ratowniczej propozycje z mediów nadal płyną obfitym strumieniem. Zaproszono go na przykład do chilijskiego reality show, którego uczestnicy połowę czasu spędzą w warunkach jak w epoce kamiennej, a drugą połowę w warunkach ery cyfrowej. Założył fundację budującą domy dla ludzi, którzy nie mają gdzie mieszkać na skutek trzęsienia ziemi i tsunami, które miały miejsce przed katastrofą w San José. Córkę Scarlette przyjęto na Uniwersytet Nevady, a on sam został zaproszony do wygłoszenia tam odczytu, jednego z wielu w jego długim *tournée* z wykładami.

Podczas moich pierwszych spotkań z nim Mario płakał i opowiadał historie o tym, jak górnicy trzymali się razem przez pierwsze siedemnaście dni spędzone pod ziemią. Teraz jednak, w czasie ostatnich rozmów,

podejmujemy temat bardziej skomplikowanych ośmiu tygodni po publikacji listu, w którym Mario ogłosił się „absolutnym przywódcą”, a także wydarzeń po jego wyjściu na powierzchnię, kiedy udzielił dziennikarzowi BBC tak obszernego wywiadu, że na jego podstawie można by było napisać książkę. Wielu górników uważa, że Mario ich zdradził, a on jest na nich zły, zwłaszcza na Raúla Bustosa.

– Tam, w kopalni, naprawdę chciałem nakopać Bustosowi do dupy, ale mi nie pozwolili[18] – mówi. – Nie straciłem jednak nadziei, że kiedyś to zrobię. Tu, na powierzchni, któregoś dnia. Przysięgam… Nienawidzę tego gnoja.

Mario raczy nas obłąkanymi monologami, które z pewnością przypominają te wygłaszane w Schronie. Opowiada historie i odgrywa je, wstaje, żeby nam pokazać, jak zareagował, kiedy poczuł na szyi oddech diabła, albo pada na podłogę dla zilustrowania, jak nabrał Edisona Peñę udawaną mową przedśmiertną. Przede wszystkim jednak Mario ciągle mówi podniesionym głosem: kiedy krzyczy, kiedy prosi, kiedy potępia, kiedy żartuje. Rozśmiesza nas i budzi w nas zatroskanie o swój stan psychiczny. Mówiąc o Raúlu Bustosie i innych wrogach, powtarza wulgarną zniewagę odnoszącą się do jednego z elementów kobiecej anatomii, mimo że siedzą z nami przy stole jego żona, małoletni syn i przedstawicielka firmy producenckiej. Wiele kobiet byłoby zmartwionych, gdyby widziało, że ich mąż jest tak wściekły, ale Elvira patrzy na niego z przesyconym rozbawieniem dystansem, może dlatego, że wie, iż Mario potrafi złościć się na kogoś, a chwilę później go kochać. Kiedy wszyscy górnicy spotykają się ze sobą, wrogowie Maria ponownie stają się jego przyjaciółmi. Mario potrafi siedzieć albo stać w jednym pomieszczeniu ze swoimi braćmi z San José, ściskać się ze wszystkimi i opowiadać historie, tak jakby nigdy nie padły między nimi żadne niestosowne słowa. Pod tym

względem sześćdziesiąt dziewięć dni spędzonych w kopalni ani trochę go nie zmieniło, lecz tylko unaoczniło jego otoczeniu i ogólnoświatowej publiczności najbardziej burzliwe aspekty osobowości „kocham cię/nienawidzę cię”. Mario podróżował do Kalifornii, Niemiec, na Węgry, do Meksyku i do innych krajów, w których witano go jako Super-Maria i gdzie prezentował swoją frenetyczną wersję optymizmu chilijskich górników. W domu liczba jego psów (przybłęd i szczeniąt) powiększa się do osiemnastu, Mario kupuje nową zamrażarkę (która zawsze jest pełna), a jego żona rodzi chłopczyka, który przychodzi na świat po pełnych dziewięciu miesiącach ciąży i ma bardzo solidną wagę urodzeniową: trzy kilogramy i dziewięćdziesiąt cztery dekagramy. Kiedy pewien chilijski sędzia wyrokuje, że właściciele kopalni nie ponoszą odpowiedzialności karnej za katastrofę, Mario mówi miejscowemu dziennikarzowi:

– Mam ochotę wczołgać się z powrotem pod ziemię i już nigdy stamtąd nie wychodzić.

Mario się dowiaduje, że jego bohater Mel „Waleczne Serce” Gibson nie wcieli się w niego w oficjalnym filmie – trudną, ale mięsistą rolę człowieka z sercem psa zgodził się zagrać pewien znany hiszpański aktor i obiekt kobiecych westchnień.

Carlos Mamani, emigrant z Boliwii, nie ma w Copiapó statusu gwiazdy. Odrzucił ofertę dobrze płatnej pracy w budżetówce w swoim rodzinnym kraju. Podobnie jak tysiące innych imigrantów postanawia urządzić się w Chile, swojej przybranej ojczyźnie. Znajduje pracę w firmie budowlanej jako operator koparki podobnej do ładowarki czołowej, którą obsługiwał przez pół zmiany w San José. Pewnego dnia siedzi w maszynie i zrzuca ziemię na przesiewacz, kiedy ogromna chmura pyłu, która wzbija się w powietrze, przenosi go z powrotem do piątego sierpnia i do kopalni San José.

– Znowu zobaczyłem cały zawał, jeszcze raz przeżyłem te pierwszych kilka chwil.

Otwiera drzwi koparki i krzyczy. Dźwięk własnego przepełnionego paniką głosu otrzeźwia go i sprowadza z powrotem do teraźniejszości. Od wypadku minął ponad rok i Carlos jest zdziwiony, że wciąż nachodzą go wspomnienia przywołujące strach i samotność spędzonych pod ziemią tygodni.

– Najtrudniejsze było to, że tam, na dole, nikogo nie znałem – mówi mi. Dzisiaj całe otoczenie wie, kim jest Carlos, ale część nowych kolegów nie jest zadowolona, że Boliwijczyk o indiańskich rysach, mówiący z akcentem z Altiplano dostał jedno z lepszych stanowisk w firmie.

– Nie powinno cię tu być. Wracaj do swojego kraju – mówią. Potem insynuują, że jest bogaty. – Bogaty Boliwijczyk, widział to kto?

Drażnią się z nim, że powinien zaprosić całą ekipę na grill. Carlos miał już wcześniej do czynienia z rasizmem, lecz do tej pory nigdy nie spotkał się z rasizmem zabarwionym zawiścią. Uwagi kolegów budzą w nim gniew, ale reaguje na nie tylko w ten sposób, że po prostu pracuje dalej. Kiedy się spotykamy, buduje odcinek autostrady pomiędzy Copiapó a następnym miastem na południe – Vallenar. Ma satysfakcję, że płacą mu za coś, co zaczął robić w dniu katastrofy w kopalni San José, tyle że teraz obsługuje koparkę Volvo 150, trochę większy i bardziej prestiżowy model. Kiedy droga będzie gotowa, Carlos pojedzie nią, dumny z tego, że uczestniczył w połączeniu ze sobą dwóch miast w Chile, kraju, w którym okrzyknięto go boliwijskim bohaterem i gdzie postanowił zostać i założyć rodzinę.

Víctora Segovię, podobnie jak Carlosa Mamaniego, kryzys psychiczny spowodowany sześćdziesięciodziewięciodniowym pobytem pod ziemią dotyka z opóźnieniem, ponad rok po akcji ratowniczej. Víctor jest w tym czasie samotny i opuszczony. Niespłacone pożyczki sprawiają, że czuje się

wykorzystany i nieważny. Smuci go, że nikt z rodziny i znajomych nie pyta go o samopoczucie. „Tak, jakby ich to nie obchodziło”, myśli. Staje się odludkiem, rzadko wychodzi z domu, a psychiczne problemy zaczynają się odbijać na jego organizmie – puchną mu kończyny i zaczyna mieć kłopoty z oddychaniem. Doktor przepisuje mu leki, ale początkowo dawka jest za silna i Víctor ma mdłości. Po jej zmniejszeniu leki pomagają, podobnie jak nowy sposób na pozbycie się poczucia krzywdy, który sobie znalazł: zaczyna znowu prowadzić dziennik. Nadaje mu tytuł „Mój ratunek” i szczegółowo opisuje w nim swoje podróże i depresję, ilustrując historię i dramat rysunkami.

W kopalnianej niewoli Juan Illanes dodawał sobie otuchy opowiadaniem historii i wyobrażaniem, że wykonuje różne prace remontowe w domu. Po powrocie do Chillán realizuje te plany, między innymi zakłada rynnę, którą wiele razy budował w swojej głowie, kiedy próbował zasnąć na poziomie sto pięć. Jako jeden z pierwszych spośród trzydziestu trzech ocalonych wraca do pracy w firmie Geotec, której załoga wydrążyła odwiert B.

– Praca jest najlepszą terapią na wstrząs pourazowy – mówi.

Badania wykazały, że głębokość PTSD (zespołu stresu pourazowego, *posttraumatic stress disorder*) jest wprost proporcjonalna do długości czasu, jaki pacjent przeżył z wiszącą mu nad głową groźbą śmierci. Juan powoli zwalcza traumę sześćdziesięciu dziewięciu dni przeżytych wewnątrz dudniącej góry – idzie do pracy, naprawia maszyny, wraca do domu i potem znowu idzie do pracy. Pracuje w ogromnej odkrywkowej kopalni miedzi Collahuasi, blisko portu Iquique, położonej jeszcze dalej od jego domu w południowym Chile niż kopalnia San José – dwa tysiące sto kilometrów, czyli tyle, ile wynosi odległość między Nowym Jorkiem a Tulsą. Większość tego dystansu pokonuje jednak samolotem. Po dwunastu dniach pracy ma

dwanaście dni wolnego i każdy taki cykl powoduje, że odpada z niego kolejna warstwa traumy.

– Dużo się uczę i wciąż się rozwijam – mówi Juan o swojej nowej pracy.

Z upływem miesięcy i lat wnioski płynące z tych sześćdziesięciu dziewięciu dni stają się dla członków szychty A w kopalni San José coraz czytelniejsze. Raúl Bustos pamięta, jak on i jego żona ciągle szukali lepiej płatnej pracy, jak w środku nocy pił whisky z red bullem, czekając, aż jego żona wróci z kolejnej pracy, kiedy przyszło trzęsienie ziemi i tsunami. Pamięta o ryzyku, jakie podjął, żeby więcej zarobić, zaledwie kilka miesięcy później przyjmując ofertę pracy w San José. Teraz zadaje sobie pytanie, za czym tak gonił i dlaczego sześćdziesiąt dziewięć dni samotności uwolniło go od tego przymusu dorabiania się. Rodzina, dom, ogród z tyłu i drzewo brzoskwiniowe: widzi to wszystko skąpane w jaśniejszym świetle, a czas biegnie wolniej i wydaje się jakiś bogatszy.

– Mniej się ścigamy z innymi – mówi.

Pedro Cortez, młody górnik, któremu się nie podobało, że po akcji ratowniczej traktowano go jak gwiazdę rocka, zaczyna czuć się lepiej, kiedy stopniowo znikają naciski i oczekiwania związane z jego statusem celebryty. Ulatują koszmary i wspomnienia, które doprowadzały go do płaczu.

– Zacząłem myśleć o innych rzeczach – mówi. O córce, studiach, znalezieniu nowej pracy, o innym człowieku, którym się stanie. – Nie myślałem już o tej tragedii.

Darío Segovia i jego żona Jessica zakładają własny biznes. Zamiast handlować owocami, o czym marzył w kopalni Darío, zostają dystrybutorami napojów pewnej firmy. Darío serwisuje złożoną z dwóch pojazdów flotę, Jessica prowadzi księgowość, a ich dom pełni funkcję biura

– każdego dnia rano spotykają się w nim z pracownikami na śniadaniu. Darío i Jessica późno chodzą spać i wcześnie wstają.

– Niezależnie od pieniędzy, jakie otrzymamy za film, zamierzamy prowadzić tę firmę – mówi Jessica. Podoba się jej, że idąc w ślady siostry Daría Maríi, zostali mikroprzedsiębiorcami.

– Nie ma jak praca na swoim – mówi María. – Kiedy to, co masz, osiągnąłeś własną pracą, bardziej to cenisz.

Niegdysiejsza „burmistrz” Campo Esperanza dalej pracuje w Antofagaście. Pewnego dnia sprzedaje na bazarze drożdżówki, kiedy dzwoni do niej jedna z córek i mówi:

– Mamusiu, znowu musisz być silna.

U jej trzydziestosześcioletniej córki Ximeny zdiagnozowano białaczkę. Choroba szybko postępuje i kobietę trzeba przewieźć na oddział intensywnej terapii w Santiago. María Segovia znowu ma poczucie, że siły natury i los próbują odebrać jej rodzinę. Wsiada do autobusu i jedzie na południe. Córka Maríi umiera, a ona, jak każda matka, zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby pomóc swojemu dziecku. Po dotarciu do Santiago dzwoni do najbardziej wpływowej osoby, jaką zna, do ministra Golborne’a. Minister przyjmuje ją w biurze, nazywa swoją przyjaciółką, obejmuje ją, słucha jej historii i płacze razem z nią. Obiecuje zadzwonić do ministra zdrowia, który zadba o to, żeby Ximena miała jak najlepszą opiekę. Golborne nie tylko wywiązuje się ze swojej obietnicy, ale również przychodzi do szpitala z kwiatami i ministrem zdrowia we własnej osobie. Stan Ximeny się poprawia.

Cynik zwróciłby uwagę na to, że minister Golborne niedługo rozpocznie kampanię prezydencką i że odwiedza Ximenę w szpitalu w licznym towarzystwie przedstawicieli stołecznych mediów – w przekazach medialnych na temat tych wydarzeń przypomina się o roli

odegranej przez Golborne’a w cudzie w San José. Współczucie i wytrwałość ministra podczas poszukiwań i akcji ratowniczej w tej kopalni uczyniły z niego jednego z najbardziej popularnych chilijskich polityków. Prezydentura Piñery rozczarowała większość Chilijczyków, ale Golborne jest wschodzącą gwiazdą, konserwatywnym politykiem, za którym przemawia jego ofiarna służba trzydziestu trzem ludziom pracy i ich rodzinom. Po dwóch latach od akcji ratowniczej wszystko wskazuje na to, że bez trudu uzyska nominację prezydencką swojej partii. Jego kampanię szybko jednak rujnują skandale, między innymi informacja, która skutecznie podważa wizerunek Golborne’a jako człowieka ludu: odkrycie, że część majątku przechowywał na tajnym koncie na brytyjskich Wyspach Dziewiczych.

Wydarzenia rozgrywające się w Santiago zawsze wydają się bardzo odległe Juanowi Carlosowi Aguilarowi, byłemu szefowi ekipy mechaników. Wrócił do domu na południowym krańcu Chile, w mieście Los Lagos, i prowadzi anonimowe życie, chociaż wygłasza odczyty w miejscowych szkołach. Swoim łagodnym, niespiesznym i bezpretensjonalnym głosem mówi dzieciom i nastolatkom o znaczeniu pracy zespołowej, o tym, że ludzie skromnego pochodzenia mogą przezwyciężyć największe przeciwności, że wiara daje człowiekowi siłę nawet w obliczu śmierci. Fakt, że był jednym z przywódców trzydziestkitrójki, nie jest powszechnie znany, ale koledzy górnicy jednomyślnie potwierdzają, że wiele dla nich zrobił, i to Juanowi Carlosowi wystarcza. Kilka razy w roku pokonuje połowę długości kraju, żeby dotrzeć na spotkanie w Copiapó, ponieważ koledzy ci wybrali go na jednego z trzech członków kierownictwa ich stowarzyszenia. Dyskutują o założeniu fundacji, która by pomagała ubogim górnikom. Juan Carlos uważa jednak, że robi za mało. Przydarzyło mu się coś wyjątkowego, co prawie go zabiło i jednocześnie dało mu nowe życie. Pamięta twarze ludzi

w tej dziurze i ciemnoszarą „gilotynę”, która ich uwięziła. W listach pisanych w Schronie i w głodowych majaczeniach żegnali się ze swoimi rodzinami, a potem cały kraj starał się ich wyciągnąć z ciemności. Juan Carlos zastanawia się, dlaczego spośród milionów ludzi pracy padło akurat na niego.

– Każdego ranka budzę się i pytam Boga: co mam z tym zrobić?

Dwa i pół roku po wypadku Juan Carlos Aguilar siedzi obok Luisa Urzúy na konferencji prasowej i ogłasza powołanie nowej fundacji non profit o nazwie Trzydziestu Trzech z Atakamy. Misją fundacji jest pomoc dla zamieszkujących region ubogich i *perquineros*, pracujących kilofami górników, których kultura ukształtowała dzieciństwo i życie rodzinne wielu spośród *Los 33*. Jest tam większość ocalonych z kopalni San José, między innymi Mario Sepúlveda, Raúl Bustos i Edison Peña, a także były minister górnictwa Golborne, którego nie można już oskarżać o kierowanie się doraźnymi motywami politycznymi. Spotykają się w hotelowym kasynie Antay, naprzeciwko kaplicy, gdzie znajduje się katolicka relikwia czczona przez wszystkich górników w regionie, i słuchają, jak Luis Urzúa odczytuje przygotowany wcześniej tekst.

– Dlaczego przeżyliśmy tragedię? – pyta. – Jaką misję każdy z nas musi realizować?

Po akcji ratowniczej zaczął brać lekcje publicznego przemawiania i na powierzchni stał się kimś, kim w kopalni nie był – niekwestionowanym przywódcą trzydziestu trzech górników. Mówi mi, że nauczył się rozmawiać z „ważnymi ludźmi” i że napisał wiele stanowczych listów i e-maili do wpływowych prawników i producentów filmowych w Santiago i Los Angeles.

Luis ma poczucie, że tąpnięcie w kopalni i dramat akcji ratowniczej nie tylko zrzuciły na niego odpowiedzialność za trzydziestu dwóch kolegów,

ale również stworzyły więź między nim a obcymi ludźmi na całym świecie. Wszyscy mu mówią, że nigdy nie zapomną, gdzie byli w momencie, kiedy usłyszeli wiadomość, że górnicy żyją. Była niedziela, dzień zazwyczaj spędzany z rodziną, pora najważniejszego posiłku w tygodniu.

– Właśnie zasiadaliśmy do jedzenia – mówią mu. Pamiętają, jak rozdzwoniły się kościelne dzwony i jak ludzie wybiegali na ulicę. Chilijczycy, którzy przebywali poza krajem, kiedy miliard dwieście milionów ludzi oglądało akcją ratowniczą w telewizji, twierdzą, że w tych październikowych dniach każdy Chilijczyk miał poczucie, że cały świat go adoptował.

– Ludzie nam gratulowali, że jesteśmy *chilenos*, Chilijczykami – dodają.

Luis nie ma wrażenia, że wszyscy ci nieznajomi uważają go za bohatera albo że budzi w nich podziw. Jest to raczej poczucie wspólnoty doświadczeń: mają za sobą pewne wspólne przeżycie, mimo że on był w kopalni, a oni na zewnątrz. Odczuwa z ich strony wdzięczność ludzi, którzy dostali prawdziwą i krzepiącą historię, ponadczasową legendę zrodzoną w ich własnych czasach, w niepozornym kraju leżącym w cieniu Andów.

Z Alexem Vegą po raz pierwszy spotykam się w jego domu w Copiapó około jedenastu miesięcy po akcji ratowniczej. Nie czuje się dobrze. Pytam go o historię rodzinną i o to, jak to się stało, że zaczął pracować w San José; widzę, że trzęsie mu się ręka. Rozmawiamy jeszcze trochę i odnoszę wrażenie, że dygot rozlewa się na całe ciało, tak jakby Alex drżał z zimna w ten ciepły, słoneczny dzień (na półkuli południowej jest wiosna).

– Wygląda pan na trochę zdenerwowanego – mówię i Alex zaczyna opowiadać o „psychicznych bliznach”, których do tej pory się nie pozbył, o wahaniach nastrojów i koszmarach, które pojawiają się coraz rzadziej, ale

nadal go prześladują. Najbardziej niepokoi go poczucie, że powinien być sam, że dla jego żony i dzieci lepiej jest, kiedy nie przebywa w tym samym pomieszczeniu co oni – bolesna i przykra świadomość dla tak rodzinnego człowieka jak Alex, zwłaszcza po przeżytych sześćdziesięciu dziewięciu dniach tęsknoty za najbliższymi.

W końcu Alex reaguje na swój emocjonalny kryzys w ten sposób, że zaczyna bardziej kurczowo trzymać się swojej żony Jessiki, bardziej się od niej uzależnia. Uświadamia sobie, że nie jest w stanie wyjechać bez niej w dłuższą podróż. Kiedy udaje się do Santiago na spotkanie z innymi górnikami, w sali jest trzydziestu trzech mężczyzn i Jessica, nie dlatego, że kobieta lubi wtykać nos w nie swoje sprawy, lecz dlatego, że Alex nie wsiądzie bez niej do samolotu ani nie wejdzie do pokoju hotelowego. Pozostali górnicy nie mają o to pretensji, bo wiedzą, co przeżywa.

Podczas każdego kolejnego spotkania ze mną – siedem miesięcy później, rok później – Alex czuje się lepiej. W domu w dzielnicy Arturo Prat spotykam się z jego ojcem, siostrą i bratem, rozmawiam także z Jessicą. Szybko się orientuję, że kobieta nie wie o wielu rzeczach, które Alex przeżył pod ziemią.

– Mogę jej powiedzieć? – pytam. – Prędzej czy później Jessica dowie się tego z książki i może byłoby lepiej, gdyby usłyszała to teraz ode mnie.

Alex się zgadza, więc mówię Jessice, że jeden ze wstrząsów wyrzucił jej męża w powietrze; mówię jej, że rozpaczliwie pragnął wrócić do domu, z narażeniem życia próbował się przeczołgać pod skałą blokującą Rampę; opowiadam też, jak szesnastego dnia zaproponował, żeby zrezygnowali z posiłku, mimo że według innych górników wyglądał na strasznie osłabionego i wygłodzonego. Świadomość, że jej mąż, chodząc po domu, nosi w sobie te wspomnienia, doprowadza Jessicę do płaczu, ale

jednocześnie pozwala jej lepiej zrozumieć sytuację, tak jakby fabuła i sens filmu, w którym żyje, nagle stały się dla niej czytelniejsze.

Dziewięć miesięcy po wydobyciu trzydziestu trzech ludzi z kopalni San José na Copiapó spadły ulewne deszcze. Po raz pierwszy od czternastu lat rzeką Copiapó popłynęła woda i zalała brzegi, wymuszając ewakuację dzielnicy nędzy Tornini, tak jak inna burza wypędziła w dzieciństwie z domu Daría i Maríę Segoviów. Dwa lata później Tornini została całkowicie wysiedlona przez władze miasta, żeby można było tamtędy przeprowadzić dojazd do nadrzecznej galerii handlowej, kolejnego symbolu gospodarczego rozkwitu Copiapó. Odwiedziłem tę dzielnicę, kiedy była już opróżniona z mieszkańców, ale jeszcze niewyburzona, i patrzyłem na błąkające się wśród ruin bezpańskie psy.

Około stu metrów dalej, po drugiej stronie mostu, który przenosi Drogę Panamerykańską przez rzekę Copiapó, władze miasta postawiły najbardziej okazały pomnik akcji ratowniczej – Trzydziestu Trzech z Atakamy – przedstawiający wysoką kobietę z chromowaną skórą, która trzyma w rękach gołębicę. Rzeźba ta, dar od chińskiego rządu, stoi nad wyschniętym korytem rzeki Copiapó i wita wszystkich, którzy wjeżdżają do miasta samochodami albo autobusami z południa, w tym także górników spieszących do pracy w okolicznych kopalniach. Obok kopalni San José, na terenie miasteczka namiotowego Campo Esperanza, w którym mieszkały rodziny trzydziestu trzech górników, postawiono krzyż i pomnik. Turyści rzadko się tam wybierają – w czterdziestominutową podróż samochodem z Copiapó. Wejście do kopalni zakryto gęstą metalową siatką. Jeżeli strażnik nie patrzy, można podejść i przez szpary w ogrodzeniu zajrzeć do ciemnego tunelu, który prowadzi do pustego i zawalonego labiryntu wyrobisk na dole.

Kiedy po raz ostatni spotykam się z Alexem Vegą i jego rodziną, nie chodzi o kolejną rozmowę, lecz o wspólną kolację. O zmierzchu wchodzę do tej robotniczej dzielnicy Copiapó złożonej z parterowych domów wybudowanych na nisko położonym terenie nad rzeką. Na chodniku nie ma nikogo oprócz mnie, aż do momentu, kiedy widzę grupę młodych mężczyzn zebranych pod uliczną latarnią, która przed chwilą się zapaliła. Ukradkiem spoglądają na kompletnie pustą asfaltową ulicę, a ja przechodzę obok nich, mijam magazyny i skupiska domów z blachy i drewna za wysokimi betonowymi murami. Znowu jestem na ulicy sam, chociaż czuję, że za tymi barierami mieszkają wyjątkowo przedsiębiorcze rodziny, które szczelnie wypełniły swoje domy pokojami, meblami i sprzętami gospodarstwa domowego, ale ich pokora pozwala im się cieszyć tą zamożnością tylko pod warunkiem, że nikt ich nie zobaczy. Skręcam w niewłaściwą przecznicę i natrafiam na dwóch chłopców, którzy toczą po ulicy oponę. Zatrzymuję ich i pytam o drogę.

Kiedy w końcu docieram do domu Alexa, widzę, że jest taki, jak go zapamiętałem: niedokończony. Alex nie zrealizował swoich planów, które skłoniły go do podjęcia pracy w kopalni San José, bo wymagały dodatkowych pieniędzy. W domu nadal jest jedno stare pomieszczenie z kuchenką i stołem, jeden nowszy pokój z dużą kanapą i paroma fotelami, a pośrodku otwarta przestrzeń, która miała zostać zabudowana. Murek wokół posesji, który Alex budował razem z żoną, jest jednak wyższy i prawie ukończony. Kiedy podaję Alexowi rękę na powitanie, zwracam uwagę, że po raz pierwszy mocno ściska moją dłoń, jak mężczyzna, który zarabia na życie pracą rąk. Po ponad dwóch latach psychicznych cierpień Alex podjął wiele działań, żeby się wyleczyć, między innymi zatrudnił się w warsztacie samochodowym. Siadamy i rozmawiamy. Alex opowiada mi, co zrobił, żeby uwolnić się od koszmarów o byciu żywcem pogrzebanym.

– Nie mogłem spać, więc powiedziałem sobie: „Muszę się zmierzyć z tym strachem. Muszę wrócić do kopalni”.

Zapytał pracującego pod ziemią szwagra, czy może z nim pójść, i przez tydzień codziennie schodził trzysta metrów pod ziemię. Wjeżdżał w głębokie ciemności, wędrował kamiennymi chodnikami i wynurzał się z tych zatęchłych pieczar na słoneczne światło. Koszmary senne już nigdy nie wróciły i Alex przestał się budzić i płakać w środku nocy. Następnym krokiem w powrocie do równowagi psychicznej ma być zorganizowanie spotkania z całą rodziną i wszystkimi znajomymi, żeby opowiedzieć im o tym, co widział i co przeżył przez te sześćdziesiąt dziewięć dni pod ziemią – on sam i jego otoczenie do tej pory celowo unikali tego tematu.

– Chcę zamknąć ten rozdział i mieć go za sobą.

Kiedy przychodzą siostra Alexa Priscilla i jej chłopak, *mariachi*, Roberto Ramirez, a później brat Alexa Jonathan, atmosfera staje się swobodna i wesoła. Obecność autora piszącego książkę o Alexie i jego kolegach nasuwa Vegom wspomnienia o tym, jak było w Campo Esperanza, o ogniskach, rodzinach górników i różnych dziwnych postaciach: o klaunie, który przyjechał rozweselać dzieci, o celebrytach, którzy chcieli sobie zrobić zdjęcia z rodzinami uwięzionych pod ziemią górników, o robotnikach, którzy przyjechali wiercić i ich szukać, o dziennikarzach ze wszystkich zakątków świata. Ponieważ wieczór jest pogodny, a niektórzy z obecnych chcą zapalić, wychodzimy na zewnątrz.

Kiedy dwójka dzieci Alexa bawi się w berka, okrążając go kilka razy i raz po raz znikając z wybetonowanego podwórka, Alex ma spokojną, zadowoloną minę człowieka, który wrócił do domu po długiej podróży i widzi, że jego obecność jest dla jego otoczenia źródłem radości i siły. Pod rozgwieżdżonym czarnym niebem słucham, jak rodzina Alexa opowiada kolejne historie o sześćdziesięciu dziewięciu dniach spędzonych w San

José, a zwłaszcza przed świtem dwudziestego drugiego sierpnia w Campo Esperanza.

– Pamiętasz tę noc? – pyta Roberto. – Pamiętasz, jaka to była magiczna noc?

Alex mówi, że nie pamięta, i wszyscy się śmieją.

– To prawda, nie było cię z nami, ale mieliśmy wrażenie, jakbyś był, Alex, chociaż nadal siedziałeś siedemset metrów pod ziemią.

Była to zimna sierpniowa noc, ale rodzinę Vegów rozgrzewała nadzieja, ponieważ pojawiła się informacja, że odwiert B zbliża się do Schronu, i gorąco wierzyli, że przebije się do Alexa. Po rzadkim o tej porze roku przelotnym deszczu, który spadł kilka dni wcześniej, pustynię wokół kopalni porastały kwiaty. Vegowie pamiętają piosenki, które śpiewali tej nocy, między innymi napisany przez Roberta kawałek o El Pato Alexie i jego siedemdziesięcioletnim ojcu wchodzącym do wnętrza góry, żeby go znaleźć.

Na ukwieconej pustyni i w zagrzybionej grocie na dole Alex i jego rodzina przeżyli tej nocy epicką historię, która należy do świata i do dziejów Chile, ale jest również historią rodzinną równie intymną jak ten mały i wciąż niedokończony dom, w którym mieszkają Alex i Jessica.

Dla Alexa odyseja ta kończy się powrotem do codziennego rytmu rodzinnego życia: rano wychodzi do pracy, kiedy do miasta napływa mgła zwana *camanchaca*, po południu rozprasza ją pustynne słońce, a w takie wieczory jak ten orzeźwiające powietrze wywabia go wraz z całą rodziną na zewnątrz. Podnoszę wzrok na nieznany mi baldachim rozpościerającego się nad południową półkulą nocnego sklepienia i widzę niebo podobne do tego, które rodzina Alexa widziała w Campo Esperanza, między innymi konstelację Feniks i pięć jasnych gwiazd Krzyża Południa. Pod południowymi gwiazdami dwudziestego drugiego sierpnia przed świtem

Vegowie gorąco wierzyli, że niedługo będą świadkami cudu, i śpiewali piosenkę, której słowa obwieszczały, że Alex zostanie uwolniony ze swojego więzienia wewnątrz góry. Dziś wieczorem znowu ją śpiewają, dla gościa z dalekiego kraju i dla Alexa.

– I El Pato wróci!

– Wróci!

Głosy śpiewających cichną i Alex Vega patrzy na ludzi, którzy go kochają i którzy uśmiechają się na wspomnienie tej nocy, kiedy po raz pierwszy zaśpiewali te słowa.

– No i wróciłem – mówi.

---

[18] *Tenía ganas de sacarle la concha de su madre pero nunca me dejaron.*

PODZIĘKOWANIA

Książka ta w dużym stopniu powstała na podstawie dziennika Víctora Segovii oraz setek godzin rozmów, które przeprowadziłem w Chile z trzydziestoma trzema ocalonymi z kopalni San José i ich rodzinami. Wiele z tych rozmów odbyło się w domach górników, sam na sam albo w obecności ich żon, dziewczyn, dzieci i innych krewnych. Niektóre rozmowy prowadziliśmy w grupach – w hotelach w Copiapó albo biurach kancelarii prawnej Carey and Company w Santiago.

Podobnie jak w przypadku każdego przeżytego przez dużą grupę ludzi zagrażającego życiu i dramatycznie je zmieniającego doświadczenia istnieją zasadnicze różnice poglądów na temat niektórych wydarzeń i zachowań niektórych osób. Trzydziestkatrójka jako grupa w całości powierzyła mi swoją historię i zadanie oddzielenia prawdy od mitów, z czego starałem się wywiązać jak najlepiej. Odpowiedzialność za wszelkie błędy w tekście spoczywa wyłącznie na mnie.

Wiele szczegółów dotyczących fizycznych doświadczeń górników w czasie pierwszych siedemnastu dni uwięzienia pod ziemią wywodzi się z moich rozmów z nimi, ale także z nakręconych przez nich filmików. Feralnego piątego sierpnia José Henríquez zabrał ze sobą do kopalni telefon komórkowy (zamiast, jak inni, zostawić go w szafce na powierzchni) i za pomocą kamery tego telefonu zarejestrowano jedyne istniejące materiały filmowe z tych dni. Ponadto chilijski rząd udostępnił mi pełną wersję pierwszego filmu nakręconego niedługo po nawiązaniu przez górników kontaktu z powierzchnią, materiału w dramatyczny sposób unaoczniającego fizyczne wyniszczenie uwięzionych i nieludzkie warunki panujące w kopalni San José. Widziałem również prywatne zdjęcia i filmiki zrobione

przez górników (aparatami posłanymi na dół szybikiem ratunkowym). W rekonstrukcji tego, jak wygląda praca w podziemnej kopalni, pomogła mi również wizyta w pobliskiej kopalni razem z ówczesnym ministrem górnictwa Laurence'em Golborne'em.

Oprócz rozmów z górnikami podstawowym dokumentem, z którego czerpałem wiadomości podczas prac nad tą książką, był raport o wypadku i jego przyczynach sporządzony przez komisję śledczą Kongresu Narodowego w Chile. Eksperci z NASA, którzy przyjechali do Chile, podzielili się wrażeniami z pracownikami archiwum swojej instytucji i posłużyłem się tym materiałem, pisząc rozdziały o akcji ratowniczej. Inne szczegóły pochodzą z wywiadów, których amerykański wiertniczy Jeff Hart udzielił stacji telewizyjnej z Kolorado, a także z jego wykładu wygłoszonego w wyższej szkole górniczej w tym stanie. Opisując historię geologiczną regionu, oparłem się na opublikowanym w 1993 roku w czasopiśmie „International Journal of Earth Sciences" („Geologische Rundschau") studium na temat geologii i „mineralizacji" południowej Atakamy. Wspomnienia Darwina o Copiapó i Atakamie pochodzą z jego słynnego dziennika *Podróż na okręcie „Beagle"*. Opis nieudanej akcji ratowniczej Pedra Riverosa po części opiera się na udzielonym przez niego w listopadzie 2010 roku wywiadzie dla czasopisma górniczego „Area Minera". Wiele użytecznych informacji znalazłem w znakomitym reportażu na temat akcji ratowniczej opublikowanym w 2011 roku przez czasopismo branżowe „Minería Chilena", a także w codziennych relacjach chilijskich gazet, zwłaszcza „La Tercera" i „El Mercurio", a także w książce Carlosa Vergary Ehrenberga *Operación San Lorenzo*.

Niżej podpisany weteran gazetowych reportaży pragnie pochwalić obsługujących katastrofę w kopalni San José chilijskich reporterów

i fotografów za ich profesjonalizm i wyrazić nadzieję, że zauważą swój wkład w jego relację.

Spośród wielu ratowników i urzędników, z którymi rozmawiałem na temat akcji ratowniczej, pragnę wyróżnić takie osoby, jak: Golborne, Cristián Barra, Pedro Gallo, André Sougarret, wiertniczy Eduardo Hurtado i Nelson Flores, ratownik Manuel González, szef zmiany Pablo Ramírez i Carlos Pinilla. Psycholog Alberto Iturra powiedział, że rozmawiał ze mną, ponieważ poprosili go o to jego „klienci, górnicy”. I wreszcie jestem szczególnie wdzięczny rodzinom Daría Segovii, Florencia Ávalosa i Alexa Vegi za wiele godzin, które spędziły ze mną w swoich domach.

Adwokat María Teresa Hola oprowadzała mnie po Copiapó, kiedy dopiero uczyłem się poruszać po tym mieście, a także, podobnie jak wielu innych mieszkańców Copiapó, podzieliła się ze mną wiedzą na temat historii swojego rodzinnego miasta. W kancelarii prawnej Careya w Santiago Paulina Silva i Pilar Fernández opowiedziały mi o swoich doświadczeniach z górnikami, a Claudia Becerra i Soledad Azérreca pomogły mi zorganizować z nimi rozmowy i zajęły się logistyką moich podróży do Chile. Adwokaci Guillermo Carey, Fernando García, Remberto Valdés i Ricardo Fischer należeli do osób, które zgodziły się powierzyć mi ten projekt, i jestem im wdzięczny za wsparcie.

Edward McGurn, Patricia Riggen i legendarny Mike Medavoy z Phoenix Pictures po przeczytaniu wstępnej wersji mojego tekstu nie szczędzili mi słów zachęty. Nuria Anson spisała setki godzin moich rozmów – bez jej niestrudzonej i nieprawdopodobnie szybkiej pracy napisanie tej książki potrwałoby kilka lat dłużej. Wywiady spisywały również Jessica Boianover w Buenos Aires i Jazmin Ortega w Los Angeles, a Ricardo Luis Mosso przeprowadził kwerendę w Buenos Aires. W wielu rozmowach brał udział scenarzysta José Rivera, który podsunął mi wiele

bezcennych uwag na temat historii górników. Producenci filmowi Leopoldo Enríquez i Cecilia Ávalos pomogli mi w zorganizowaniu niektórych rozmów.

Większość tej książki napisałem w okresie, kiedy byłem zatrudniony przez „Los Angeles Times”, i chciałbym podziękować kolegom, którzy pomogli mi wykonywać moje obowiązki redakcyjne i jednocześnie pracować nad tym gigantycznym projektem. Mam na myśli zwłaszcza takie osoby, jak: Nita Lelyveld, Joy Press, Carolyn Kellogg i David Ulin. Chciałbym również wyrazić głęboką wdzięczność dla Judy Baldwin za jej przemyślenia na temat procesu twórczego i ludzkiej duszy: dzięki jej radom udało mi się nie zwariować i zachować koncentrację podczas pisania tej książki.

Dziękuję Jayowi Mandelowi, Alicii Gordon i Ericowi Rovnerowi z William Morris Endeavor za powierzenie mi tego projektu. Mój wieloletni przyjaciel i wydawca Sean McDonald nie wahał się ani chwili, kiedy mu powiedziałem, że chcę napisać tę książkę, i znalazł dla niej wydawcę – wydawnictwo Farrar, Straus and Giroux.

Na koniec zostawiłem najważniejsze podziękowania – dla mojej żony Virginii Espino, która przez trzy lata, które poświęciłem pisaniu tej książki, sama opiekowała się naszą rodziną i znosiła moje nieobecności podczas pięciu podróży do Chile. Bez jej miłości i wsparcia książka ta by nie powstała.

Dziękuję Ci, *amor de mi vida*.

KOPALNIA SAN JOSÉ

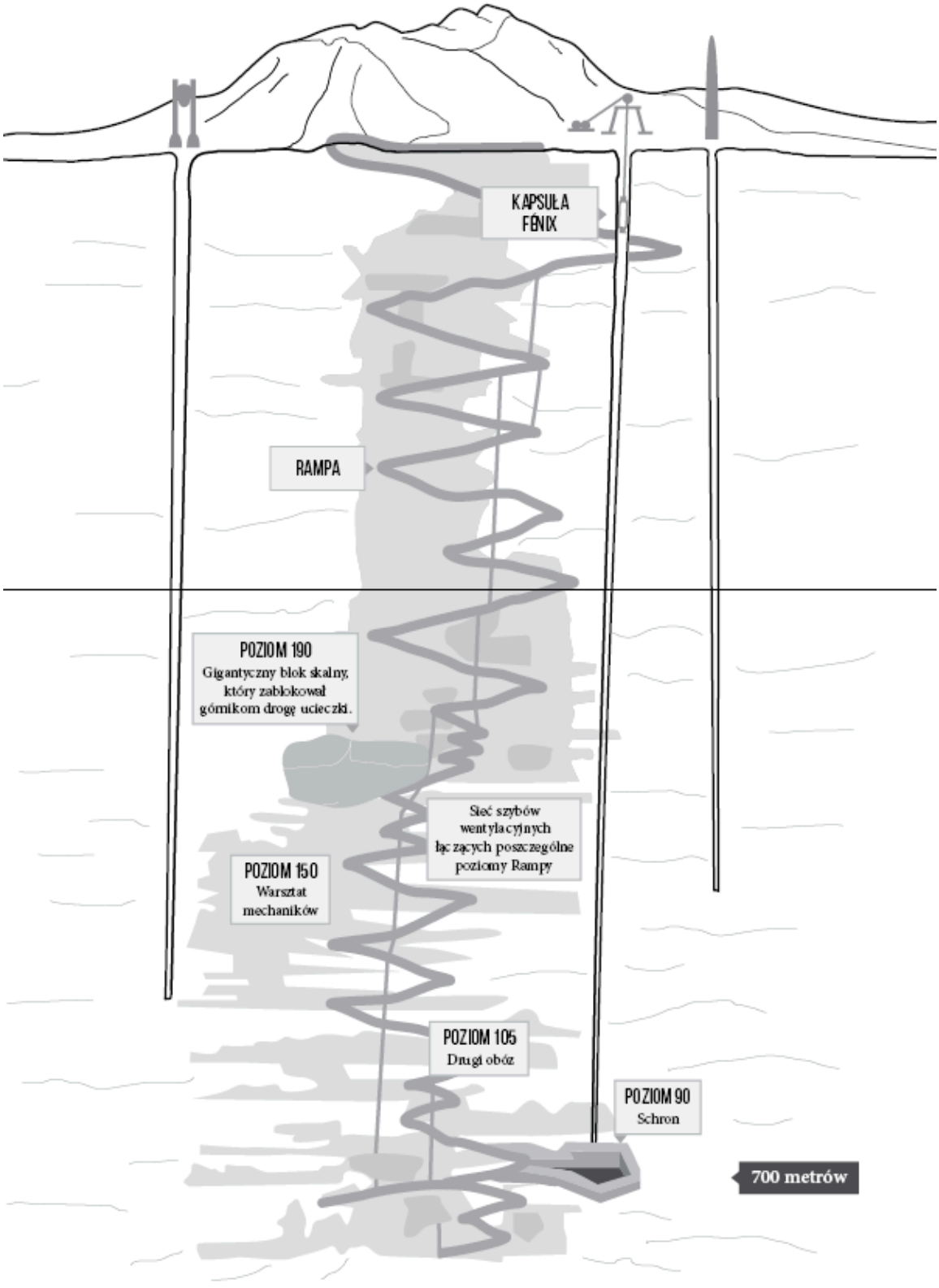

TYTUŁ ORYGINAŁU

Deep Down Dark: The Untold Stories of 33 Men Buried in a Chilean Mine and the Miracle That Set Them Free

Copyright © Héctor Tobar, 2014

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Bieroń, 2015

Copyright © for this edition by Fundacja Instytut Reportażu, 2015

Wydanie pierwsze

REDAKCJA

Krzysztof Zadros

KOREKTA I POPRAWNOŚĆ JĘZYKOWA

Joanna Kowalczyk

PROJEKT GRAFICZNY I TYPOGRAFICZNY SERII I OKŁADKI

Magdalena Wdowicz-Wierzbowska

PROJEKT OKŁADKI, OPRACOWANIE GRAFICZNE

Dominika Jagiełło / OneOnes Creative Studio /

www.behance.net/OneOnes

ILUSTRACJA NA OKŁADCE

© DigitalGlobe/Getty Images

FOTOGRAFIA AUTORA

Leemage/East News

ISBN 978-83-943118-1-0

REDAKTOR NACZELNA WYDAWNICTWA

Julianna Jonek

Dowody na Istnienie

Imprint Fundacji Instytut Reportażu

Gałczyńskiego 7, 00-362 Warszawa

www.instytutR.pl, dowody@instytutR.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

- PROLOG: MIASTA NA PUSTYNI

CZĘŚĆ I

- Rozdział 1: TOWARZYSKI CZŁOWIEK
- Rozdział 2: KONIEC WSZYSTKIEGO
- Rozdział 3: PORA KOLACJI
- Rozdział 4: JESTEM WIECZNIE GŁODNY
- Rozdział 5: CZERWONY ALARM
- Rozdział 6: ZGRZESZYLIŚMY
- Rozdział 7: BŁOGOSŁAWIONAŚ MIĘDZY NIEWIASTAMI
- Rozdział 8: CHYBOCZĄCY SIĘ PŁOMIEŃ
- Rozdział 9: PIECZARA SNÓW

CZĘŚĆ II

- Rozdział 10: PRĘDKOŚĆ DŹWIĘKU
- Rozdział 11: BOŻE NARODZENIE
- Rozdział 12: ASTRONAUCI
- Rozdział 13: ABSOLUTNY PRZYWÓDCA
- Rozdział 14: KOWBOJE
- Rozdział 15: ŚWIĘCI, FIGURKI, SZATAN
- Rozdział 16:ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI
- Rozdział 17: PONOWNE NARODZINY

CZĘŚĆ III

- Rozdział 18: W LEPSZYM RAJU
- Rozdział 19:NAJWYŻSZY WIEŻOWIEC
- Rozdział 20: POD ZIEMIĄ

Rozdział 21: POD GWIAZDAMI
PODZIĘKOWANIA
MAPA KOPALNI
Karta redakcyjna

This file was downloaded from Z-Library project

Your gateway to knowledge and culture. Accessible for everyone.

z-library.sk z-lib.gs z-lib.fm go-to-library.sk

Official Telegram channel

Z-Access

https://wikipedia.org/wiki/Z-Library